Lietuvos Mokslų Akademijos
BIBLIOTEKA
F138-2228

rok 1911.

Michał Römer.

Wilno. Połtowa, 15.

rok 1911.

Dziennik.

Michał Römer

2 (15) stycznia roku 1911.

1° Bohdaniszki.

tom I.

Michał Römer.

11 (24) grudnia roku 1904.

Wilno, Zarańska, 13.

Z Tatą jeździliśmy do kościoła do Krewna. 1(14) stycznia.
Zima dobra, powietrze spokojne i czy- rok 1911.
ste, słoneczko od czasu do czasu sobota.
zza chmur wyziera. Wogóle czas bardzo
przyjemny i znać już, że to po
przesileniu zimowym.

W Krewnie po nabożeństwie zacho-
dziliśmy do proboszcza Kusztejki;
poczciwy to staruszek, cichy, nie-
chciwy, wyrozumiały, łagodny; dość
bezbarwny wprawdzie, bierny, mało
myślący i czytający, ale uczciwy,
rzetelny.

Wieczorem w Bohdaniszkach gra-
łem w karty z panną Anną, Hen-
rysiem, Helką i Stefusiem. P.
Annę biedaczkę głowa boli; sła-
bego jest zdrowia. Smutny to los
takiej biednej dziewczyny - sieroty, sa-
motnej, skazanej na tułaczkę nau-
czycielską, a tak potrzebującej
serca, troskliwości, uczucia, jak
p. Anna. Doprawdy żałować zaczy-
nam, żem się nie z nią ożenił;
charakter ma dobry, jest łagodna i potulna,
a zarazem kochającego i wdzięcznego serca.
Regina ze swą złością, histerią, uporem, prze-
wrotnością ani się umyła do tej kochanej słodkiej
dziewczyny.

Ksiądz proboszcz Kusztejko przyjeżdżał | 2(15) stycznia
dziś po kolendzie i Piotr Rosen z Sa- | roku 1911.
czan też przyjechał. Rzadki to teraz | niedziela.
w Bohdaniszkach fakt — przyjazd
gościa. Sąsiedztwo ziemiańskie w nas-
szych stronach się rozproszyło. Właści-
wie stale dotrzymują placu tylko Ro-
watiszki, Pokrewnie i Saczany; poza
tem, jako bardziej etykietalni sąsiedzi,
są jeszcze Przeździeccy. Antonosz i Taruów
tylko latem dostarczają sąsiedztwa.

Rozmowa cały prawie czas toczyła się
ks. Stakiatty, który — świeżo osiadł w Ros-
gielach. Wielka jest złośliwość ludzka i
wielka uległość sugiestji. Że Stakiatt awan-
turnik, że w dużym stopniu kręci — to fakt.
Ale o ile o nim wiem, człowiek to prosty, szcze-
ry, bezwzględny, zmierzający zawsze do wytknię-
tego celu bez ogródek; przytem niechciwy, ubo-
gi, dobrego serca. Mogę się mylić w ocenie, ale
bądź co bądź sądzić go li tylko na podstawie
plotek, pogłosek, wersji, bez sprawdzenia faktów,
— nie należy. A tymczasem gdy się dostał na
języki, suchej nitki na nim nie zostawiono. Zwłaszcza Piotr Rosen w plotkarstwie ce-
luje, a i Mama lubi sensacje i obmowę.

Grałem dziś z p. Anną i dziećmi w karty. P. Anna
była przez dzień cały w dobrym humorze, wesoła,
jeno wieczorem smutek ją ogarnął z racji mego
jutrzejszego wyjazdu. Kochana biedaczka, i tyle
miała w sobie rzewnej tęsknoty i rozterki! Miłość
tej sieroty jest głęboka, prosta i niezmiernie smutna,
bo bez wszelkiej nadziei, a tak żałośna i taka szczera i
[illegible], jak tylko nadzie kobiety czuć umieją. Dziewczyna
ta jest prześliczna [illegible] niepokalanej rzewności i prostoty [illegible].
Jakże [illegible], żem jej nie pokochał!

3 (16) stycznia roku 1911. poniedziałek.

Wyjechałem z Bohdaniszek do Wilna. Dzień rozstania zawsze smutny. Nie o rozstanie z Rodzicami chodziło, bo to rozstanie chwilowe, i nie o rozstanie z Marynią, bo za 2 dni i ona też do Wilna z dziećmi przyjedzie, ale o rozstanie z p. Anną. Przywiązałem się do niej serdecznie i zawsze mi jej żal żegnać. Te jej oczki zwłaszcza, ten jej smutek pokorny, ten wyraz krzywdy sierocej, który z niej wbrew jej woli i wbrew świadomości wyziera. Kilka dni z nią teraz spędziłem i znów mi tak samo ciężko się z nią rozstawać, jak dawniej. Kto wie, kiedy się z nią teraz zobaczę. Czy p. Anna przyjedzie ——— do Bohdaniszek na święta Wielkiejnocy — nie wiadomo. A już latem, gdy się skończy jej rok w Szakołach u Rutkowskich, wyjedzie do Królestwa szukać nowej posady. Smutna to tułaczka nauczycielska, zwłaszcza z charakterem p. Anny, cichym, tęsknym, przywiązującym się. Jak liść oderwany od drzewa i gnany wiatrem po bezdrożach przygód — wciąż dalej w przyszłość nieznaną.

Do Wilna przyjechałem wieczorem koło godz. 8-ej.

4 (17) stycznia roku 1911. wtorek.

Większą część dnia spędziłem w domu. Wychodziłem tylko dla niezbędnych sprawunków i na obiad. A rozpakowałem rzeczy, porządkowałem, załatwiałem zaległą korespondencję. Przez czas pobytu w Hołowczyńskach, to znaczy przeszło przez 2 tygodnie, nie napisałem ani jednego listu, to też teraz zaległości mam mnóstwo.

Dzień był piękny, słoneczny, wesoły. Ale wieczorem nudno mi było samemu w mieszkaniu. Z niecierpliwością wyczekuję jutrzejszego powrotu Marynki z dziećmi i Anusią.

Zimno w naszym mieszkaniu. Pomimo że służąca Janulaitisa od 3 dni pali codziennie w naszych piecach, w gabinecie moim było dziś wieczorem zaledwie 9 stopni ciepła.

5 (18) stycznia, rok 1911. Środa.

Przychodził dziś do mnie Stanisław Kościałkowski z propozycją od zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czybym się zgodził wziąć udział w komisji redakcyjnej tegoż Towarzystwa. Zadaniem tej komisji będzie ~~[illegible]~~ redagowanie rocznika Towarzystwa. Do tworzącej się komisji mają należeć: Michał Brensztejn, literat i publicysta, pracujący obecnie w redakcji „Gońca Codziennego", Wacław Studnicki, mój kolega z Paryża, były pps-owiec a obecnie zbliżony do endeków, nacjonalista czystej wody, archiwariusz archiwum miejskiego i założyciel „Tygodnika Wileńskiego", dalej szef Narodowej Demokracji, niejako jej namiestnik na Litwę i Białoruś — Józef Hłasko, redaktor naczelny endeckiego „Gońca Codziennego", i wreszcie ja. Kompanija, w której się znajdę, bardzo odemnie daleka pod względem przekonaniowym — sami nacjonaliści. Wszakże udziału mego nie odmówiłem — wejdę do komisji, bo rocznik jest wydawnictwem naukowym, w którym względy przekonań politycznych, choć niewątpliwie mogą na kierunek ~~[illegible]~~ redakcyjny wpływać, jednak odgrywają mniejszą rolę.

Wieczorem czekałem przyjazdu Marynki z dziećmi, ale się nie doczekałem, bo o g. 9 poszedłem do Tadeusza Wróblewskiego na doroczną tradycyjną „uroczystość" koleżeńską — sławną „~~kiełbasę~~ adwokacką". Uroczystość ta polega na wspólnym spożyciu olbrzymich zasobów kiełbasy, obficie skropionej alkoholem.

Wczorajsza „kiełbasa adwokacka" była 6 (19) stycznia wesoła, ale zawiele przy tej sposobności wypiłem. rok 1911. Dowcipkowałem, czwartek dokazywałem, bawiłem na „kiełbasie" całe gremium adwokackie. Już to mi humoru i pomysłowości nie brak, gdy mię nastrój zabawy ogarnie i gdy się rozhukam, zwłaszcza przy alkoholu. Ale ~~wczo~~ już tym razem przebrałem się wszelką miarkę w piciu. Spiłem się tak, jak nie pamiętam nigdy. Co ze mną potem było, jak wyszedłem, jak się do domu dostałem — nie wiem. Wiem, że były jakieś przygody, ale co, jak — nie wiem i ani się chcę dopytywać. Aż mi wstyd. Niesmak mię ogarnia głęboki i smutek na to pijaństwo. To paskudna rzecz; po pewnej granicy człowiek staje się bydlęciem. Dziś przez cały dzień zmęczony i schorowany byłem i szczerze, głęboko zawstydzony.

Wczoraj w mojej nieobecności Maryńka z dziećmi i z Henrysiem oraz starszą Anielką przyjechała do Wilna.

Dzień dzisiejszy minął cicho i spokojnie. Zajęty byłem prze- ważnie moją pracą o Litwie Pru- skiej. Rozrastała się ona do dość dużych rozmiarów, choć istotnie, wobec bogactwa materjału na- ukowego, jaki znajduję w słu- żącym mi za źródło rękopisie Bruožisa, praca ta nie może być krótszą. Skracam, ile mo- gę, streszczam, dużo pomijam, a jednak ilość zapisanych pasków rośnie. Bądź co bądź jest to praca naukowa, oparta na ~~fa~~ analizie licznych faktów, — — nie zaś ogólnikowe rozwlekłe. Mam dla pracy tej lokatę w kra- kowskim „Świecie Słowiańskim" prof. Zdziechowskiego, ale wolę spróbować umieścić ją w „Biblio- tece Warszawskiej", jeżeli się uda, a oprócz tego wydrukować ją po li- tewsku w „Lietuvos Žinios". Helcia chora lekko na ospę wietrzną, ale gorączki nie ma i chodzi, tylko na miasto wychodzić nie wolno.

7 (20) stycznia rok 1911. piątek.

8 (21) stycznia. rok 1911. sobota.

Spotkałem się dziś na ulicy z Wacławem Studnickim. Choć jest on moim kolegą paryskim i choć go lubię, rzadko się z nim spotykamy, bo ~~za~~ w zupełnie innych kołach żyjemy. Ja obcuję przeważnie z adwokaturą, ~~polit~~ z elementami lewicowymi i z litwinami (nie licząc garstki konwencjonalnych stosunków towarzyskich z beau-monde'em), Studnicki zaś obcuje przeważnie z endekami i światem dziennikarsko-aktorsko-artystycznym polskim. Opowiadał mi Studnicki o ~~swym~~ swym nowozałożonym „Tygodniku Wileńskim”, ~~który ch~~ z którego chce zrobić placówkę kulturalną, z wyłączeniem terenu namiętności politycznych. Prosił mię o współpracownictwo, które w zasadzie obiecałem. Prosił też o ułożenie ustawy spółki wydawniczej dla pisma, czego się podjąłem.

Wieczorem byłem z Henrysiem Wołłowiczem w menażerji. Menażerja po znanych mi petersburskich i paryskich ogrodach zoologicznych wygląda ubogo. Żal biednych zwierząt, znoszących głód, chłód w naszym klimacie w budynku z desek sklejonym, wśród klatkowego istnienia.

Henryś przez czas swego pobytu w Wilnie bawi to u nas, to u swego stryja Władysława Wołłowicza. Miesza się w tym chłopcu pewne zepsucie z naiwnością dziecięcą. Serce ma dobre, serdeczności dużo, ale egoizm do szpiku kości. Jest dziecinny, mówi szczerze, ale zarazem zarozumiały, myśli o sobie. Ogromnie się liczy z tłumem, z opinją, ale tylko w pozorach, aby się nie ośmieszyć, a zresztą nic sobie z niczego nie robi.

Byłem wieczorem w teatrze z Henrysiem Wołłowiczem na tłomaczonej z francuskiego sztuce „Noblesse oblige". Gra niedziela była dobra, sztuka wesoła i bardzo śmieszna, typowa farsa, nadająca się do teatrzyku „Cluny" w Paryżu. Cała akcja osnuta na dowcipnych i wielce powikłanych „qui pro quo".

9 (22) stycznia rok 1911.

Wracając do tego, com wczoraj o Henrysiu pisał, muszę sprostować, aby się nie wydało, że w chłopcu tym same tylko ujemne cechy dostrzegam. Owszem dużo w nim materjału dodatniego: wielka żywotność, zdolności zrównoważone i ponad miarę przeciętną, wrażliwość, prostota. Te cechy dodatnie mięszają się z niektóremi ujemnemi. Szkoda chłopaka i żal, aby się nie zmarnował przez bezczynność.

Po 2 leciech siedzenia w V klasie jest teraz z gimnazjum wypędzony. Ojciec jego nie ma nad nim widocznie władzy i, będąc sam zajęty, toleruje jego rozwałęsanie się. Teraz rodzina Wołłowiczów ma się nim zająć, ale sprężystości w tym „zajęciu się" nie widać, — jak zwykle gdy chodzi nie o rodzone dziecko, lecz o krewniaka, a tymczasem Henryś gnuśnie w próżniactwie, które może mieć wielce szkodliwy wpływ na niego.

Zaszliśmy dziś po obiedzie z Ma- | 10 (23) stycznia
ryńką do Podwiedzie pp. Antoniostwa | rok 1911.
Weyssenhoffów z Sobkreszwina, ba- | poniedziałek.
wiących chwilowo w Wilnie w mie-
szkaniu p. Pawła Końcy. Pani
Antoniowa Weyssenhoffowa, która
dziś była u Stryjenki Izydorowej
Römerowej i słyszała od niej
o mej córeczce, powiedziała mi,
że córeczka moja jest wyjątkowo
pięknym i zdrowym dzieciakiem;
jest tęga, znakomicie zbudowa-
na, silna; śmieje się, siedzi
już, choć dopiero ma niespełna
pół roku. Gdy o niej słyszę, serce
mi rośnie. Chwała Bogu ze wszy-
stkich stron, skąd mnie wieści o
córeczce dochodzą, słyszę zawsze, że
jest śliczna, że jest zdrowa. Dzie-
ciątko moje! Jakżebym Cię pragnął
widzieć, uściskać, popieścić Tobą
moje serce zbolałe! W Tobie streścił-
bym cały mój świat, moją tęsknotę,
mój ból, moją wiarę i miłość. Błogosła-
wiona bądź, córko moja! Kiedy przyjdzie
ta chwila, gdy Cię poraz pierwszy zobaczę
wreszcie żywą, nie w opowieści tylko, jak dotąd;
i kiedy przyjdzie ta druga szczęsna chwila, gdy wreszcie
w pełni świadomości i Ty pokochasz i uczcisz Ojca Twego.

11 (24) stycznia, rok 1911. wtorek.

Śniłem dziś w nocy o mej córeczce Cesce. Ale sen był ciężki: widziałem ją małą półroczną, taką, jak jest, ale jednocześnie karykaturalną, bo już chodzącą, przedwcześnie dojrzałą, mówiącą, a rączki miała starcze, zgrzybiałe; ta karykatura dziecka z dojrzałością robiła przykre wrażenie; dziwaczny sen, ale przykry; a brwi i rzęsy miała nad oczętami czarne, piękne, a poznała we mnie ojca i tuliła się i garnęła do mnie; i takie mię opanowało wzruszenie, że się wypłakałem przez sen; i zdawało się, że nasza miłość ku sobie wzajemna, ojca i córki, spoiła nas na chwilę i odcięła zewnątrz od świata. Byliśmy tak z nią zespoleni, tak sobie bliscy, tak jedyni i jedni, jak w przybyciu: była w nas jedna krew, jedno ciało i dusza. Piękny był i zarazem przykry i bolesny ten dziwaczny sen.

Henryś Wołłowicz dziś do Mińska wyjechał.

Wieczorem byłem w klubie bankowym na zebraniu nowego zgromadzenia towarzyskiego, które nazwy nie posiada a istnieje od jesieni. Jest to zgromadzenie takie same, czyli raczej tegoż typu, co „Szubrawcy” lub co nasze „czwartki”. Uczestnicy też mięszani przekonaniowo. Przeważnie należą tu ci, którzy zajmują pośrednie miejsce między „Szubrawcami” a naszą lewicą „czwartkową”, to znaczy endecy lub wszelakiego rodzaju sympatycy takowych, postępowcy letniej wody, niezakwalifikowańcy wszelakiego znaku. Ja byłem na tym zgromadzeniu po raz pierwszy, bo dopiero świeżo mię na członka przyjęto. Zobaczę, co to za rodzaj zgromadzeń. Dziś byli obecni: adwokaci Łukaszewicz, Abramowicz Witold, Bortkiewicz, Cezymont i Kontowski, dr. Hanusowicz, dr. Połoszewicz, dr. Maciejewski, Studnicki Wacław, Łastowski. Dyskusja toczyła się na temat niepodległości Polski, jako postulatu programowego partyjnego. Wartość dyskusji była niewielka, dużo mówiono, ale mało powiedziano.

Otrzymałem dziś z poczty 2 utwory p. Ignacego Korwin-Milewskiego: „Słowo szlachcica o wyborach posła do Rady państwa" i „Wygranka odpowiedzi szlachcica". Autor rozsyła te broszury „szlachcie litewskiej", a stąd i mnie je przysłał. Paradne to są utwory. Ignacy Korwin-Milewski propaguje w nich ściśle stanową politykę szlachty, arystokratyczną, monarchiczną, państwowo-rosyjską. Obrusza się na demokrację wogóle i polską w szczególności, na nieszczęsną uległość szlachty litewskiej prądom demokratycznym z Królestwa, zaleca wierność niewzruszoną Monarchji, aby dysnastja w szlachcie znalazła stałe oparcie i aby szlachta ta stała się rdzennym elementem państwowości rosyjskiej i konserwatyzmu społecznego. Język lapidarny, wspaniała odwaga cywilna, ostra i cięta ironja, myśl uderzająca w samo sedno rzeczy. Milewski wypowiada tu niewątpliwie utajoną myśl polityczną znacznego odłamu szlachty, nie śmiejącej tak śmiało i gardzącej pozornym kompromisem z prądami demokratycznymi. Jego idea — to wspaniała pieśń łabędzia ginącego stanu szlacheckiego.

12 (25) stycznia roku 1911. środa.

13/26 stycznia. czwartek. roku 1911.

Byłem wieczorem na naszym „czwartku" u Wróblewskiego. Byli obecni: Wróblewski, Dominik Bujnickiewicz, Witold Abramowicz, Michał Biržyska z żoną, Wacław Biržyska, Bagiński, Folejewski z żoną, Janulaitis, Staś Ładkowski, Tiomkin i ja (chwała Bogu przypomniałem czternastego — Bujnickiego). Folejewski referował o ~~[illegible]~~ zasadach syndykalizmu robotniczego francuskiego w interpretacji ideologa syndykalizmu — Jerzego Sorela. Wykład Folejewskiego był objektywnie dobry, choć co do jego własnego stanowiska w tej sprawie, to, jak zwykle, Folejewski jak zawsze się wykręcił od wyraźnego sformułowania własnej myśli przewodniej. Kocham ruch syndykalistyczny, dostrzegam w nim żywą moc i ten potężny czynnik, wyzwolony z formuł, a raz płynący ze źródła myśli i uczucia, który tak dodatnio wyróżnia syndykalizm z tonu socjalnej demokracji germańskiego autoramentu. Co do roli inteligencji wogóle i w ruchu robotniczym w szczególności, to zabierali głos Wróblewski i Tiomkin. Wróblewski, pojmując jak zwykle, odmawiał inteligencji wszystkiego. Nie uznaję tego gminnego lubowania się w „samopoświęcaniu", jak mówią [illegible]. Rozumiem i cenię postępek inteligencji u Sorela, który sam zrobił wysiłek umysłowy i uczuciowy, by się z nabłonku pseudo „inteligencji" wytłumaczyć, ale tyjąc inteligentny, porzucając takowym, — to niestety droga.

Córeczka moja skończyła dziś 1/2 roku. 14 (27) stycznia
Niespokojny trochę jestem o nią, bo wczo- rok 1911.
raj otrzymałem list od panien Kościał- piątek.
kowskich z Grodna, że Teściowa moja,
która bawiła u nich z Jutkiem przez
święta, otrzymała w tym czasie wiado-
mość od Reginy, że córeczka nasza
była trochę niezdrowa, gdyż ząbki się
u niej wykluwały. Matysia mówi, że
to nic niebezpiecznego, ale dziwi się,
że tak wcześnie dostała ząbków.

Rano o godz. 9 pojechałem dziś
do Kowna dla sprawy włościan z
Wiżajć, Metelić i Rogiel o opłatach
obrokowych. Zaszedłem tam do
Izby Skarbowej i do „Gubernskawo
Prisutstwija", dowiedziałem się,
o co mi chodziło, zjadłem obiad
i wieczornym pociągiem wró-
ciłem do Wilna.

15 (28) stycznia, rok 1911. sobota.

Posłałem dziś Helcię do mojej Teściowej z prośbą o informację o stanie zdrowia mej córeczki. Teściowa odpisała, że prawdopodobnie Cesia prędko dostanie ząbki, bo miewa czasem niedyspozycje żołądkowe; Teściowa dodaje, że „dzieciątko zdrowe, tęgie, ładne”. Ustnie Teściowa mówiła Helci, że córeczka moja jest bardzo rozwinięta, ~~się~~ siedzi na rękach, rozumie ~~wszystko~~, co się do niej mówi.

Wieczorem byliśmy z Marynką na herbacie u staruszków pp. Stefanostwa Budrewiczów. W roku 1899, t. j. przed laty 12 pp. Budrewiczowie obchodzili złote wesele, a więc w tym roku upływa 62 lata ~~ich~~ ich pożycia małżeńskiego. Piękna rocznica, piękny wiek! On już mocno zgrzybiały, ale ona trzyma się dobrze.

Byłem dziś na ćwiczeniach praktycznych pomocników adwokatów z prawa cywilnego, w których odtąd zamierzam brać udział stały. Dzisiejsze ćwiczenie odbywało się pod kierunkiem adwokata przysięgłego Fridmana. Obecni byli: Łowłocki, Janulaitis, Srajewski, stary Żymont, Andrejewskij, młodszy Żymont, młodszy Łapin, Wysocki, Burchard, Lewin, Wacław Biziuk, Dmochowski, Czyż i kilku z najmłodszych pomocników. Ćwiczenia ożywione, pożyteczne. Zapisałem się do spółki z Dmochowskim na ~~ref~~ opracowanie referaciku o dawności na ziemiach nadbałtyckich — na jedno z przyszłych ćwiczeń. | 16 (29) stycznia, rok 1911. niedziela.

Z Marynką wizytowaliśmy dziś Ledóchowskich (rodziców p. Weyssenhoffowej), których nie zastaliśmy, Władysławów Wołłowiczów i Adolfów Bohdanowiczów. Wieczorem byliśmy u Teściowej. O córeczce mojej Teściowa mówiła, że jest śliczna, bystra, o czym zawsze od wszystkich słyszę. Teściowa ~~[illegible]~~ znajduje, że Cesia podobna do mojej rodziny raczej, przypomina trochę Helcię, Marynki córkę; podobnie szatynka, jak ja. Cesia bawi się, jest żywa, towarzyska, wsłuchuje się we wszelkie dźwięki, obserwuje wszystko.

17 (30) stycznia rok 1911. poniedziałek.

Większą część dnia zużyłem dziś na ostateczne wykończenie mojej pracy o Litwie Pruskiej, co też zrobiłem. Rękopis, z którego korzystałem do mej pracy, odniosłem [autorowi] A. Bruožisowi, emigrantowi z Litwy Pruskiej, który tu pracuje w Wilnie, jako zecer w drukarni Kuchty. Skromny to człowieczek, garbus ułomny, pochodzenia włościańskiego, samouk, ale bardzo pracowity, bardzo kochający swój kraj i naród. Ten jego rękopis — to niewyczerpane źródło surowego materjału o Litwinach pruskich, to istotna kronika faktów, niezmiernie skrzętnie i sumiennie zgromadzonych a ogarniających zwłaszcza całą drugą połowę w. XIX i aż do roku 1905. Jutro projektuję zanieść moją pracę do Rosanowicza.

Wieczorem układałem projekt umowy spółkowej do wydawnictwa „Tygodnika Wileńskiego"; pracę tę robiłem na obstalunek Studnickiego.

Dziś Marynka zaprowadziła naszą służącą Anuśkę do dr. Maczewskiego, bo Anuśka coś tam choruje. Otóż ponieważ dr. Maczewski był przy połogu Reginy i zdawało się nam, że to on ostatecznie wziął po połogu leczyć Reginę ze szczątków tyfusa, więc Marynka spytała go o Reginę i o jej córeczkę. Okazuje się, że Regina u niego się od tyfusu nie leczyła. Ciekaw jestem, u kogo znowu się leczyła, bo chyba że już uleczona; gdym w listopadzie zapytywał Engiejnowe, czy Regina już zupełnie zdrowa, ten mi odpowiedział, że zdaje się, że tak.

Z wielu ludźmi się dziś widziałem. Zachodziłem do redakcji „Naszej Niwy" białoruskiej. Zastałem tam Własowa, obu Łuckiewiczów, „rudego" czyli jak go zwą — „prezydenta Mejszagolskiej respubliki" (za agitację rewolucyjną śród włościan w okolicach Mejszagoły w r. 1905 przesiedział parę lat w kozie, — nazwiska jego nie wiem) i wreszcie Wacława Iwanowskiego, bawiącego w przejeździe ~~[illegible]~~ z Petersburga. Miłe to i ciekawe grono — ta redakcja „Naszej Niwy": wszystko to ludzie o typach wypukłie zarysowanych, dużo z nastroju cyganerji, a razem dużo zapału, jakaś romantyczność, fantazja, wielki zmysł towarzyskości we wspólnej pracy. Jest tam u nich coś niby komuna — każdy podług swego temperamentu, a wszyscy — społem. Bajeczna gromadka!

18 (31) stycznia rok 1911. wtorek.

Byłem też u Krasanowicza, któremu dałem mój rękopis o Litwie pruskiej ~~do~~ przejrzenia i zaopinjowania, dotąd go skierować.

W domu pracowałem w sprawach prawniczych.

Wieczorem wyszedłem z domu i spotkałem tam się ze Studnickim, z którym przeszedłem do Towirta; gawędziliśmy o „Tygodniku Wileńskim".

19 stycznia
1 lutego.
rok 1911.
środa.

Dzień dzisiejszy spędziłem dość bezbarwnie. Załatwiłem trochę bieżącej korespondencji w interesach adwokackich — i oto wszystko. Wieczorem jakiś dziwny stan niepokoju i rozterki mię ogarnął. Wyszedłem na miasto, zaszedłem do pierwszego lepszego znajomego, którego po drodze przypomniałem, jakby ~~[illegible]~~ wiedziony instynktem towarzyskości — byle ~~[illegible]~~ uciec od własnego „ja", od swego nastroju ciężkiego; tym znajomym był Witold Abramowicz. Jednak go nie zastałem. Wyszedłem znów na ulicę, przechadzałem się po prospekcie z jakąś bolesną tęsknotą w sercu, z uczuciem głębokiego osamotnienia. Przyszła mi chęć szalona upicia się, zanurzenia się w orgji rozpusty; szalone pragnienie alkoholu i kobiet ogarnęło mię, jak drapieżna ~~[illegible]~~ szpony ~~[illegible]~~ krogulca. Tak nieraz w chwili ciężkiej rozterki, gdy duch słabnie, raptem rozszalała ciało; z kryjówek wypełzają najniższe instynkty życia, podłej rubieżności, która plwa na wszystko, co jest w człowieku harmonją, i chce się upić, chce żarcia, chce ~~[illegible]~~ spługawienia się. ~~do~~ Mając mało pieniędzy przy sobie, poszedłem pożyczyć Hołowczyców do Jasnulaitisa, aby mieć za co orgję wyprawić. Już pożyczyłem, już szedłem z pieniędzmi tam, ale zdołałem się jeszcze zdobyć na wysiłek, przemogłem się i wróciłem do domu.

20 stycznia / 2 lutego rok 1911. czwartek.

Poszedłem dziś do dr. Maciańskiego dla rozpoczęcia znów kuracji systematycznej od trypra, którą przerwałem w roku zeszłym podczas żółtaczki. Dr. Maciański, ujrzawszy mnię, był naraz zdetonowany; przypuszczał, że mogę mam żal do niego za to, że wydał zeszłej wiosny Reginie świadectwo dla separacji o tym, że dostała trypra ode mnie. Jakżeż się mogłem gniewać za to, skoro, że zeznał, to była prawda i skoro to ani dla Reginy ani dla mnie tajemnicą nie było. Dr. Maciański przekładał mi, że zrobił to z musu i że starał się tę sprawę załagodzić; umyślnie poszedł zaraz po wydaniu tego świadectwa do stryjenki Bolesławowej i tłumaczył jej i Reginie, że to zarażenie było bez mej wiedzy i woli, bo się leczyłem długi w Paryżu u dr. Motza, który jest w tym zakresie wybitnym specjalistą i który mię upewnił, że jestem uleczony; dr. Maciański powiada, że skoro przecież i doktorowie i nawet tacy, jak Motz, się mylą, to tym bardziej nie mogą być winnymi profani, że nie są w stanie wiedzieć o swej chorobie, tkwiącej u nich w stanie szczątkowym. Dr. Maciański powiada, że gdy to Bolesławowej i Reginie przekładał, Bolesławowa rozumiała to i nie winiła mnię, Regina zaś gniewała się na doktora i ledwo że się pożegnała z doktorem.

Po obiedzie przyszedł do mnie stary p. Jan Uniastowski, którego przed świętami uwolniono z więzienia za kaucją. Sprawa Uniastowskich wyznaczona już do powtórnego rozważania w Izbie na 28 marca. Staruszek był wesoły, rad z wolności; zabawił u nas na herbatce.

Wieczorem w mieszkaniu Józefa Kłaski odbyło się posiedzenie komisji redakcyjnej Towarzystwa Przyjaciół Nauk w osobach Kłaski, Wołodkowicza, Studnickiego i mnie. Mieliśmy do oceny 2 prace do rocznika, mającego wyjść w lutym: jedna praca przyrodnicza, bardzo specjalna – przyczynek do flory Litwy, opracowany przez p. Trebnickiego, drugi – kilkadziesiąt niedrukowanych dotąd listów Tadeusza Kościuszki (przeważnie do Sierakowskiego), rzecz niezmiernie cenna, bo listy te pochodzą z ostatnich lat życia Kościuszki, które to lata są w jego życiu najmniej zbadane; nie są to banalne listy do krewnych, lecz traktujące o sprawach publicznych. Bezstronnie wydaje mi się, że w naszej komisji bardzo pożyteczny; w każdym razie traktuje on wydawnictwo rocznika ze stanowiska ściśle naukowego, jest bezstronny, nie zabarwia roboty tendencjami politycznemi, których bym się obawiał u Kłaski.

21 stycznia / 3 lutego. rok 1911. piątek.

Rano byłem znów u dr. Maciańskiego, potem do obiadu w Bibljotece publicznej. Zacząłem tam od wczoraj studjować historję ustawodawstwa włościańskiego w guberniach litewskich. Mam zamiar, jeżeli mi się to uda, napisać specjalną pracę o tym. Czasu mam do tego dość, bo moja uboga adwokatura nie pochłania mi ~~[illegible]~~ dużo czasu; praca taka byłaby sama przez się dla mnie bardzo ciekawa, a pozatym byłaby mi nawet zawodowo pożyteczna, bo wyspecjalizowałaby mnie w zawikłanej dziedzinie ustaw włościańskich. Ograniczyłbym mą pracę ~~tylko do~~ wyłącznie do czasów panowania rosyjskiego. Taki jest mój zamiar, ale jeszcze za realizację takowego zaręczyć bym nie mógł. Wiem, że to praca poważna — a ~~[illegible]~~ „чем дальше в лес, тем больше дров."

Wieczorem byłem w redakcji „Naszej Niwy" a potym z Iwanem Łuckiewiczem byłem w hotelu Żorża na blinach. Łuckiewicz był jakoś niezmiernie przygnębiony, bez humoru, nie swój. Takim go nie widziałem nigdy. ~~[illegible]~~ Obawiam się, że z „Naszą Niwą" jest źle. Interesa ich są bodaj zachwiane; niewiadomo, czy zdołają wybrnąć. Byłaby wielka szkoda, gdyby klapę zrobili.

Byłem wczoraj wieczorem po świętojerskiej, ~~mię~~ | 22 stycznia
mając ~~—~~ iść na wieczór koncertowy litewski | 4 lutego
w litewskim klubie „Rūta", złapał | rok 1911.
mię Iwan Łuckiewicz i zaciągnął | sobota.
do swych znajomych Danitowiczów.
Mieszkanie Danitowiczów jest rodzajem klubu prywatnego białorusinów z „Naszej Niwy". Własow, Łuckiewicze i inni tam się stołują, tam spędzają wolne chwile. Swoboda tam panuje zupełna, nastrój cygańsko-koleżeński bez różnicy płci i stanowisk. Rodzina Danitowiczów liczna, są panie w rozmaitym wieku, są mniej lub więcej młodzi panowie, są chłopaki w wieku gimnazjalnym. Każdy żyje tam tak, jak mu się podoba — szablonu, formułek towarzyskiego współżycia nie ma, a jednak zespół całej bandy dobry.

Danitowiczowie są Rosjanami białoruskiego pochodzenia. Byłem tam wczoraj z Iwanem Łuckiewiczem, zastałem towarzystwo w stołowym przy kartach; ~~stół~~ na jednym końcu stołu stały resztki wieczerzy, herbaty i zakąsek, przy drugim końcu kwitła gra w „banczek polski". Zanim zdziwiłem się usprawiedliwić z mego przyjścia bez poprzedniej znajomości lub zaproszenia, już mi dano 3 karty i zacząłem w tę grę grać. „Banczek" ten przypomniał mi czasy szkolne sprzed lat kilkunastu, gdyśmy z kolegami - prawnikami grywali namiętnie po całych nocach na drobniutkie stawki. Tu stawki były niewielkie. Przegrałem przez wieczór 6 rubli z kopiejkami. Wśród obecnych była jedna b. ciekawa kobieta, p. Praskowja, lat koło 28, z wielkim temperamentem.

23 stycznia / 5 lutego. rok 1911. niedziela.

Rano byłem u dr. Maciańskiego. O południu poszedłem na ćwiczenia pomocników adwokackich z prawa cywilnego. Obecnych było kilku przysięgłych i wielu pomocników; ćwiczenie pod kierunkiem Friedmana. Obecni byli: Wimont, Jędrzejkiewicz, Witold Abramowicz, Jan Piłsudski, Wysocki, Grajewski, Jamuntaitis, Pawłowskij, Jamont młodszy, Szyłkowicz, Goldman, Lewin, Dmochowski, Łapin młodszy, Czyż, Tiomkin, Andrejewskij i kilku innych. Referował Jamuntaitis o dawności. Dyskusja ciekawa; ja wszakże nie ośmielałem się jeszcze głos zabierać, nie czując się dość kompetentnym.

Byliśmy z Marynką z wizytami u Waluniów Weyssenhoffów, cioci Lydalki Świdówny i p. Czyżowej.

Wieczorem byłem w teatrze w sali „Lutni" na komedji z angielskiego „Lekarz na rozdrożu". Satyra na lekarzy słaba, sparodjowana, ale ślicznie zaś uwypuklenie rozdźwięku między głęboką jaźnią życiową artysty-malarza, pojmującego piękno i prostotę życia, a mentalnością fortunkową „ludzi porządnych", który wszakże te same ludzkie namiętności i te same zwykle ukrywa, w szatę formułek ubrawszy, uważa się być szlachetniejszym i dobrym. Ślicznie odegrał rolę artysty Ostrowa. Teatr był przepełniony. Prawie wszystkich znajomych wileńskich spotkałem, a lekarze-polacy byli w komplecie.

24 stycznia / 6 lutego. rok 1911. poniedziałek.

Mróz – 17° R. Śnieg skrzypi pod nogami, słońce świeci, ale wiatr potęguje zimno. W mieszkaniu naszym chłodno, ale pociechą jest rosnące słońce i nadzieja wiosny; po Nowym Roku nadzieja ta zawsze utrzymuje pewien nastrój radosny.

Marynia wynajęła dziś nasz piąty pokoik przy sieniach niejakiemuś p. Korsakowi, człowiekowi młodemu, który od jutra się już wniesie. Nie widziałem go jeszcze, ale mówił on Maryni, że się cieszy, iż będzie obcował ze mną, bo mnie zna, jako autora „Litwy”, którą wielce ceni. Stąd wnoszę, że to człowiek postępowy, bo inny, jakiś wstecznik lub endek, nie ceniłby we mnie autora „Litwy”. Cieszę się z tego. P. Korsak będzie się u nas stołował.

Byłem dziś w redakcji „Lietuvos Ūkininkas” i „Liet. Žinios”. Panie Bortkiewiczowa i Wyszyńska zwróciły się do mnie z tym, że koniecznym jest, aby miejscowi postępowcy polscy wypowiedzieli się w jakikolwiek sposób, choćby ogólnikowo zasadniczo w sprawie stosunków polsko-litewskich na tle obecnych świeżych tarć, powstałych z zatargu niedawnie między ks. Tumasem a duchowieństwem i prasą polsko-wileńską. Jak wiadomo, władze diecezjalne odwołały ks. Tumasa z Wilna do diecezji żmudzkiej. Ks. Tumas zyskał wygórowaną aureolę męczeństwa w oczach większości Litwinów (niewątpliwie i on przeskrobał i ze strony też polskiej ekscesy [illegible] wybujały), ale że ks. Tumas i Litwini byli stroną słabszą – przeto im się dostała aureola; „Liet. Žinios” zajęły w tej sprawie stanowisko bardzo stanowcze, wolne od nacjonalizmu, wskazujące, że teza nacjonalistyczna dla obu stron szkodliwa; za to rzuciła się na nie „Viltis” i endecja litewska. „Liet. Žinios” odwołały się do postępowej i demokratycznej opinii polskiej, ale ta milczy, jak w przysłowiu: „przemówił chłop do obrazu, a obraz do niego ani razu.” Uważam, że [illegible] należałoby postępowcom polskim zareagować, że takie milczenie i uchylanie się od głosu pod płaszczykiem, że nie mamy swego organu – to jest wygodne, nieodpowiedzialne sobkostwo, ale to nie po obywatelsku, bo to daje pole do rozwielmożnienia się reakcji tak polskiej, jak litewskiej. Trzeba będzie pomyśleć o tym i coś wykombinować!

Marka „Pogotowia Ratunkowego" w Wilnie. rysunek Ferdynanda Ruszczyca 25/I 1911 „Dzień Pogotowia".

25 stycznia / 7 lutego roku 1911. wtorek.

O świcie było dziś -21° R.; po południu szare niebo zaciągnęło się chmurami, mróz ulżył, wieczorem śnieg wypadł.

Dziś zamieszkał u nas p. Korsak; obiad jada z nami. Jest to młody człowiek lat przeszło 20; zrobił na mnie wrażenie sympatyczne; wygląda spokojny, cichy, skupiony w sobie, skromny; mówią mi, że jest wyraźnie postępowy, przynajmniej wyraźnie się tak określa. Zamierzał wstąpić do uniwersytetu w Krakowie, ale ze względu na zajścia, które tam miały miejsce z powodu „wykładów socjologii" ks. Zimmermana, zaniechał tego zamiaru. Wyraźnie się oświadcza, iż sympatyzuje z protestem ~~ks. Z~~ młodzieży postępowej przeciwko Zimmermanowi.

Po obiedzie, po przejrzeniu NN dziet. „Žinios" i „Visuomenė" dla dokładnego zapoznania się ze stanowiskiem tych pism w sprawie ostatnich zajść litewsko-polskich, napisałem projekt odezwy czyli raczej enuncjacji grona postępowych Polaków w tej sprawie, solidaryzując się ze stanowiskiem zasadniczym demokracji litewskiej. Na piątek chcę zwołać grono postępowców polskich i projekt ten im wyłożyć. Chciałbym, aby się zgodzili na zbiorowe wystąpienie w tej materji. Nie wiem wszakże, czy mi się uda ich przekonać; mogą oni mieć skrupuły, względziki, które zmuszą ich do pewnej obawy takiego wystąpienia; niestety i nasi „postępowcy" z inteligiencji nie są ludźmi odważnymi i nie mają [illegible] zmysłu obywatelskiego.

Wieczorem byłem w klubie [illegible] na naszym zwykłym dwutygodniowym wtorkowym zebraniu. Byli: Studnicki, Bądzkiewicz, Dr. Hanusowicz, dr. Łukowski, dr. Malewicz, [illegible], sprowadzony z Warszawy dziennikarz Jankowski z „2 groszy" i jeszcze ktoś. Zebranie było nudne.

26 stycznia / 8 lutego
rok 1911.
Środa.

Przyszli do mnie popołudniu 2 włościanie z pod Żagor powiatu szawelskiego w charakterze klientów. Wypadło mi w ich interesie pod wieczór wyjechać do Szawel. Wyjechałem z Wilna koło 7 wieczorem. Całą niemal drogę w wagonie studjowałem ustawy włościańskie i komentarze do nich w stosunku do tej sprawy włościan. W Szawlach stanąłem w nocy po godz. 1. Zajechałem do hotelu Berlińskiego.

~~[illegible]~~ Że Wilno jest bądźcobądź nie jakąś dziurą prowincjonalną, ale ma dla kraju naszego, t. j. dla Litwy i dla Białej Rusi, istotnie cechę stolicy, jako ośrodka, to się widzi nawet w takiej podróży do Szawel. Coprawda spostrzeżenie to, że Wilno jest naszym ośrodkiem — „c'est la vérité de Monsieur La Palisse", jak mówią francuzi, odkrycie dawno odkryte. Ale mówię to do tego, że gdy się jedzie taką koleją Libawsko-Romeńską, która stanowi jednolitą ciągłość na dużej przestrzeni kraju, to jednak ruch podróżnych na niej rozpada się na 2 części; pociąg, idący z Mińska i dalej z guberni Mińskiej, Mohylowskiej jest pełny, w Wilnie zaś prawie kompletnie się wypróżnia i zapełnia się znów nową publicznością, jadącą już z Wilna; dla ruchu więc osobowego Wilno na tej linji nie jest zwykłym transitem, ale miejscem ośrodkowym ruchu.

Zabawiłem w Szawlach do g. 5 popołudnia. 2/ stycznia
Rano z moimi klijentami-włościanami 15/ lutego
poszedłem do ~~z~~ zjazdu powiatowego, rok 1911.
przejrzałem tam ich sprawy i poro- czwartek.
zumiałem się z nimi co do dal-
szego prowadzenia tych spraw.
Do odejścia pociągu nie było co
w Szawlach robić. Zjadłem obiad,
pochodziłem po mieście, siedzia-
łem w hotelu czytając, konfero-
wałem znów z włościanami, którzy
kilkakrotnie wracali do mnie,
byłem w ~~m~~ jedynej pono cu-
kierni szawelskiej (może krzywdzę
Szawle tym posądzeniem), wreszcie
wyjechałem i koło północy by-
łem już w Wilnie w domu.

28 stycznia
10 lutego
rok 1911.
piątek.

Z Papą (który przyjechał pozawczoraj w czasie mego pobytu w Kowlaczli i który jutro do Maszwiłów wyjeżdża) byłem na obiedzie u Waluniów Weyssenhoffów.

Na wieczór dzisiejszy zwołałem grono najbliższych przyjaciół-postępowców dla wspólnego omówienia mego projektu zbiorowej odezwy w sprawie sporów polsko-litewskich. Zaprosiłem Znyjednowskiego, Klotta, Bagińskiego, Nagrodzkiego, Kruszewskiego, Witolda Abramowicza i Kozłowskiego. Późno wieczorem, bo między godz. 9 a 10½ przyszli wszyscy prócz Nagrodzkiego i Kruszewskiego. Wyłożyłem im mój projekt. Skreśliłem ~~ostatnie~~ tło ostatnich zajść: rola Tumasa w krakowskim obchodzie grunwaldzkim, artykuł Zankusa (Sabrysa) w „La croix", zastrzeżenie „Viltisa" z powodu tego artykułu, wezwanie ks. Tumasa przez Michalkiewicza do usprawiedliwienia się, odpowiedź Tumasa, napaść ks. Czerniawskiego na Tumasa w prasie, odwołanie Tumasa przez biskupa Cyrtowta na żądanie Michalkiewicza. Dalej przeczytałem im w tłumaczeniu ustępy z „Lietuvos Žinios" i „Visuomenė" dla zapoznania ich ze stanowiskiem, jakie wobec tych hec nacjonalistyczno-klerykalnych zajęli demokraci („postępowcy") i socjalni demokraci litewscy. Zreferowałem o nagonce nacjonalistów i klerykałów na postępowców. Wreszcie odczytałem im mój projekt naszego ewentualnego zbiorowego komunikatu. Narazie Klott i Kozłowski zaoponowali. Klott, dobra głowa do myślenia i dobre serce, ale wieczysty safanduła, unikający czynu, zwłaszcza jaskrawszego, doradzał zamiast zbiorowego wypowiedzenia się ~~[illegible]~~ wystosowanie relacyjnej korespondencji do któregoś z pism warszawskich. Słaba kombinacja, bo korespondencja relacyjna to nie ~~czyn~~ obywatelski na żywym terenie stosunków krajowych, a tu właśnie chodzi o taki czyn, o zaznaczenie naszego stanowiska w sprawie żywotnej, o zabranie głosu, o wyraźne wypowiedzenie się. Mało nas postępowców tutaj, ale choć w doraźny sposób musimy próbować się wypowiadać, swoimi na opinię oddziaływać. Poparli mnie energicznie Abramowicz i Kozłowski, poparł, po pewnym wahaniu, ale szczerze, Bagiński. Bagiński – działacz cichy, z wielką myślą i ze zmysłem społecznym, świetny [illegible] obywatelski, jeno trochę nieśmiały wobec, bojący się zachowania przeskakującego tak [illegible] esdeckiej, a stąd często ostrożny, choć zresztą nie jest to ciasny sadek, bo ma impulsywność naturalną i wolę do czynu. Uradziliśmy, że mój tekst zostanie trochę przerobiony ze zwróceniem głównego nacisku na krytykę klerykalizmu i nacjonalizmu a osłabieniem natomiast wniosków konstruktywnych. Zredagowany w ten sposób artykuł czy komunikat, ułożony wspólnie z Abramowiczem, po zebraniu podpisów opublikować w pismach demokratycznych litewskich i w „Naszym Życiu"; odpowiednio ~~[illegible]~~ „Nowego Życia" ~~[illegible]~~ zakupić w ilości kilkuset i rozesłać w kraju. Ostatecznie zgodzili się na to wszyscy. Rad jestem z dzisiejszego wieczora. Widzę, że bądźcobądź w pewnych razach jest możność wspólnego działania. To grunt.

29 stycz.
11 lutego
rok 1911.
sobota.

Przejazdem z Warszawy ~~do Wilna~~ bawiła przez dzień dzisiejszy w Wilnie ciocia Zosia Tukałłowa i zaszła do nas ze swą córeczką Niunią. Chytra jest c. Zosia. Wszyscy spółwłaściciele Mamylów, prócz jednej c. Zosi, dali w grudniu Papie plenipotencję na zarządzanie Mamylami do czasu działu. C. Zosia zaś nie wzięła wtedy udziału w zjeździe grudniowym i potem pod pretekstem choroby, wyjazdów i t. d. wykręcała się od dania Papie wyraźnej ~~o~~ odpowiedzi, czy plenipotencję da czy nie. Teraz Papa listownie pojechał do Mamylów, i rzecz, że ta jazda cioci do Warszawy była umyślnie na to obliczona, aby pokrzyżować Papy działanie, wykręcić się od formalnej plenipotencji i zarazem od bezpośredniego współdziałania z Papą, a nią zarazem mieć usprawiedliwienie, że musiała wyjechać dla zdrowia do Warszawy i że przeto listów Papy, do ~~[illegible]~~ Stanynity pisanych, nie otrzymała w porę. Dopóki Papa nie ma plenipotencji od cioci, ~~to~~ dopóty musi wszystko z nią wespół robić, a ~~to~~ ciocia stara się ten zespół uniemożliwić i plenipotencji nie dać. Cioci zaś widocznie chodzi o to, aby Mamyly nie zostały oddane w dzierżawę a moi Stei i ~~A~~ o to, żeby w ogóle zarząd Mamylowski był tak samo chaotyczny, jak dotąd, bo 2 grosze byłby nie dał za to, że ciocia cichaczem ze źródła dochodów mamylowskich sobie do kieszeni czerpie za pośrednictwem rządcy Butlera.

Wieczorem przyszedł do nas p. Jordański, pochodzący ze stron wiłkomierskich a pełniący posadę na komorze celnej w Wierzbołowie. Z p. Jordańskim kiedyś przed laty kilkunastu się znałem, a odnowiłem z nim znajomość w r. 1909, gdym z żoną po podróży poślubnej przez granicę do powrotem przejeżdżał. P. Jordański nic widocznie nie wie o moim rozstaniu się z Reginą; przyszedł do nas obojga, zapytywał mię o żonę, ~~[illegible]~~ pytał, czy tylko jest chwilowo nieobecna w Wilnie, czy też wyjechała dokądś z Wilna. Byłem zakłopotany, dałem odpowiedź wymijającą i unikałem tego tematu w rozmowie.

30 stycznia / 12 lutego rok 1911. niedziela.

Wieczorem zaprowadziłem nasze służące Anusię i Ewkę do „Ruty" na przedstawienie amatorskie „Velnias — ne boba" i na wieczorek tańcujący. Moje dziewczyny wszakże nie bardzo się musiały dobrze zabawić, bo, nie mając znajomych kawalerów, nie tańczyły wcale, jeno się musiały tylko przyglądać tańcom. Spotkałem w „Rucie" ks. Tumasa; nie wyjechał jeszcze na swą nową parafję; dopiero w połowie lutego wyjedzie. Rozmawiałem z nim o zajściach polsko-litewskich, których on był osią, i o odwołaniu go z Wilna przez biskupa Cyrtowta. Ks. Tumas usprawiedliwiał krok biskupa Cyrtowta, uzasadniał swoje stanowisko ukorzenia się przed wyrokiem władzy duchownej. Choć nie mogłem z Tumasem dyskusji prowadzić ze względu na miejsce (staliśmy w tłumie roztańczonej młodzieży półinteligienckiej), ale z tych kilku zdań, które z nim wymieniliśmy, spostrzegłem, że Tumas, który jest człowiekiem mądrym, sam widzi fałszywość swej sytuacji, i, choć nadrabia miną i rezonuje, jednak mu nieswojsko. Popadł w pułapkę. Jako ksiądz-klerykał uwikłał się w sidłach klerykalizmu, który go przygniótł brutalną łapą zwierzchności; i nie ma wyjścia, bo, będąc zarazem trybunem i bojownikiem klerykalizmu, nie może się buntować przeciwko przemocy klerykalnej, nie może podkopywać własnego fundamentu. Nędza!

Wieczorem byłem na „Achu". Jest to „Ach IV", czwarta odmiana tej specyficznej zabawy wileńskiej, która się staje tradycyją. Sama sztuka była nudna, akcji żadnej; jako „revue" ~~był bez~~ — „Ach" tegoroczny był bezbarwny; satyra słaba, dowcipy jałowe, kuplety bezbarwne. Dobre tylko były kuplety dziada w I akcie, zręcznie ułożone i bardzo dobre, ze specyficznym dziadowsko-„tutejszym" akcentem wypowiadane przez Oskierkę, i w akcie II ładne kuplety armaty ~~wil~~ z Góry Zamkowej, odśpiewane przez Helenkę Ochenkowską na nutę „tra-ra-ra bumbija"; kuplety te nietyle ładne przez swą zawartość, ile przez wdzięk, z jakim je Helenka odśpiewała; głosik Helenki słaby, ale ogrom melodyjnego wdzięku. Prześliczne było natomiast dekorum — kostjumy, tańce, cała inscenizacja baletu i wystawy. ~~Al~~ Tańce w akcie III śliczne, jeno ~~[illegible]~~ polonez-mazur trochę za mało miał temperamentu. Bajecznym wprost był pochód taneczny posągów w końcu aktu I. W niszach posągi kobiece, po bokach rycerze w stali — wyruszają one w pochodzie poważnego poloneza, w posągowej iście powadze, w szlachetnym majestacie niewzruszonego piękna.

31 stycznia
13 lutego
rok 1911.
poniedziałek.

Urządziliśmy dziś wieczorem herbatkę proszoną u nas dla spożycia indyka, którego nam Mama w zeszłym tygodniu z Bohdaniszek przysłała a który, na skutek ~~mrozów~~ stałych srogich mrozów, w stanie zlodowaciałym przeleżał w oczekiwaniu stosownego dnia do spożycia. Zaprosiliśmy Krzyżanowskich, Antoniostwa Pisanich, Żmujdzinowiczów i Janulaitisa z siostrzenicą, ogółem 8 osób. Przyszli wszyscy. Herbatka nieźle się udała, towarzystwo było swojskie, nieceremonialne, wszystko miłe osoby, to też, choć właściwie wszyscy poraz pierwszy się dziś między sobą poznali, jednak ~~ogólnie wśród~~ na ogół nie było skrępowania. Przesiedzieli do północy.

1(14) lutego. rok 1911. wtorek.

W Banku spotkałem się dziś z Tumasem. Wspomniałem mu, że ~~my~~ z naszej strony, postępowców polskich, przygotowujemy deklarację w sprawie zajść polsko-litewskich. Gdym mu wytknął, że głównym motywem naszej deklaracji będzie krytyka klerykalizmu tak polskiego jak litewskiego, Tumas się obruszył i wykazywał, że o dominacji klerykalnej ze strony sfery litewskiej nie może być mowy, zaznaczył, iż przy takim postawieniu kwestii w naszej deklaracji, oni, to znaczy zapewne litwini-viltisowcy, będą musieli nas traktować jako zawziętych wrogów nacjonalistów polskich.

2 (15) lutego roku 1911. Środa.

Składaliśmy z Marynką wizyty. W domu zastaliśmy tylko p. Bolesławową Jeleńską i jej matkę, starą panią Sieczewiczową. Byliśmy u naszych dawnych sąsiadów z Kazańskiej, Krajewskich – nie zastaliśmy, byliśmy u ks. Jasińskiego, proboszcza Św. Jakóba – nie zastaliśmy, u stryjenki Kazimierzowej Römerowej, która przywiozła tu na karnawał swą córkę Irenkę, – też nie zastaliśmy. Ciekaw jestem, jak stryjenka Kazimierzowa będzie reagować na naszą wizytę; to będzie probierzem poniekąd stosunku tego domu Römerowskiego do mnie. Z Römerami bowiem stosunki moje od czasu mojej separacji z Reginą są zachwiane lub ewentualnie zerwane. Z Bolesławami stosunki zerwane, bo stryjenka Bolesławowa była główną siewczynią złośliwych plotek o mnie i sprawczynią zamieszkania Reginy z p. Elizą. Z domem Izydorów stosunków nie mam, bo się one urwały na tle mego zatargu z Eugieniuszem; ponieważ jeszcze w kwietniu, za życia stryja Izydora, Eugieniusz mi listownie oświadczył, że ojciec jego nie życzy sobie, abym bywał u niego, więc do tego domu mogę wejść tylko w razie odwołania tego upokarzającego zawiadomienia. Z Eugieniuszem choć się wzajemnie pogodziłem, jednak oczywiście szczerego koleżeńskiego stosunku już być nie może, a z bratem jego, Stasiem, nie witamy się wcale. U cioci Maryni Römerowej ani ja, ani moja siostra Marynia nie bywamy, bo c. Marynia oraz złośliwy język i plotkarstwo zadrasnęła tak wrogo, jak siostrę moją. Z Leonem Römerem witamy się, ale stosunek chłodny. Z Helenką zaś nie na tyle jak ze stryjenką Alfredową i Helą Dehnhoffówną, witamy się zdawka, ale serdecznie, bo są one jakby najmniej poinformowane o mnie ze strony [illegible] ich, a ja właśnie z całej rodziny te 2 osoby, Alfredową i Dehnhoffównę, najwięcej cenię i kocham.

3 (16) lutego rok 1911. czwartek.

Większą część dnia siedziałem w domu, przygotowując się do jutrzejszej obrony karnej w Sądzie Okręgowym w sprawie niejakiego włościanina Żyłkiewicza, oskarżonego o obrazę asesora („[illegible]") podczas pełnienia przez tego ostatniego obowiązków służbowych. Sprawa w gruncie rzeczy bagatelna; gdy asesor ze strażnikami strzegli robotników dworskich podczas rąbania lasu, albowiem włościanie okoliczni, uważając ten las za swoją własność, chcieli nie dopuścić do rąbania, nadszedł tłum włościan, uzbrojony w drągi i pałki; tłum ten został przez strażników rozpędzony, Żyłkiewicz zaś aresztowany; podobno w czasie tych zajść, gdy tłum krzyczał i łajał, a strażnicy rozpędzali ludzi i bili, Żyłkiewicz miał powiedzieć asesorowi i strażnikom: „Dla pana Ulendera (właściciela) [illegible] „i [illegible], a nas [illegible] „[illegible]." Ten frazes właśnie stanowi zarzut obrazy, za którą Żyłkiewicz ma być sądzony. Z 5 świadków tylko dwóch zresztą wytłumaczyło na śledztwie ten frazes i z tych dwóch jeden jeszcze uzupełnił okolicznością tym, że Żyłkiewicz za wyrzeczenie tego frazesu został przez strażników z rozkazu asesora pobity. Zeznania innych świadków na śledztwie pierwiastkowym, a w tej liczbie zeznanie samego asesora nic o rzekomej obrazie asesora przez Żyłkiewicza nie wspominają. Sprawa więc łatwa. Moja rola obrońcy też łatwa. Gdyby sądzili przysięgli, uniewinnienia byłoby się spodziewać niewątpliwie; ponieważ wszakże będą sądzili sędziowie koronni, więc zapewne skażą, bo ubliżenie policji jest w tym zacnym państwie zbrodnią źle widzianą, a to, że policja Żyłkiewicza zbiła, w rachubę nie wchodzi i z pewnością o tym mi mówić nie pozwolą. Choć sprawa łatwa, jednak czuję się wzruszonym. Taka jest moja natura. Każdy występ mię porusza.
Pod wieczór byłem u mecenasa Łuckiewicza ze sprawą [illegible] w charakterze klienta. Jest to sprawa cywilna na ~~[illegible]~~ robotę w Izbie. Sprawa łatwa, wziąłem ją, ale sam w sprawach cywilnych w Izbie występować nie mogę, więc przekazuję ją Wyganowskiemu.

Wieczorem byłem na „czwartku" u Wróblewskiego. Osób było mało; tylko Wróblewski, Folejewski z żoną, Bagińscy, D. Szymkiewicz, Janulaitis, Wacław Biržiška, [illegible] pomocnik adwokata [illegible] i ja. Pogadanki właściwie nie było żadnej — tylko luźna gawędka.

4 (17) lutego, rok 1911, piątek.

Rano, wdziawszy frak uroczysty, ruszyłem do Sądu na obronę mego Kiśkiewicza. Sprawa została wyznaczona najpierwsza. Okoliczności sprzyjały obronie. Najniebezpieczniejszy świadek oskarżenia nie stawił się, odczytanie zaś jego zeznań śledczych było mi na rękę, bo o Kiśkiewiczu tam głucho. Ostre i niepomyślne zeznania drugiego świadka udało mi się podkopać przez odczytanie mu jego pierwiastkowego zeznania, wykazującego sprzeczność z tym, co twierdził dziś. Udało mi się też wyciągnąć na jaw i wydatnie tę okoliczność, że Kiśkiewicz był bity przez strażników z rozkazu asesora. Przewodniczący był bardzo dobry, bezstronny, ułatwiający wypełnienie obrony. Prokurator mowy nie wygłaszał wcale i ograniczył się jeno do ogólnikowego stwierdzenia, że utrzymuje oskarżenie. W moim przemówieniu prosiłem o całkowite uniewinnienie, ewentualnie o uwzględnienie okoliczności łagodzących, mianowicie nieświadomości i „ciemnoty" Kiśkiewicza oraz stanu podrażnienia, zrozumiałego w takich warunkach, gdy go bito. Oczywiście cała ta sprawa jest naciągnięta, rozdmuchana sztucznie przez policję. Jedyni świadkowie — to strażnicy. Sąd uznał wszelkie możliwe okoliczności łagodzące, zmienił oskarżenie z I części art. 286 na część drugą tegoż artykułu i skazał Kiśkiewicza na 5 rb. sztrafu (mógł zaś Kiśkiewicz otrzymać do 4 miesięcy więzienia).

Po sprawie podszedł do mnie prokurator; myślałem, że się chce, jako gentleman, poprostu ze mną zapoznać, aż on się do mnie w te słowa zwraca: „Czto, nie uznajetie mienia?" Rzeczywiście nie poznałem. Domyśliłem się, że jako prokurator, musi być zapewne kolegą moim prawnikiem. Zaś trzeba było okazało się, że to Sergiusz Kudrewicz, prawowita, który był 4 klasy wraz ze mną, tenże sam mały Kudrewicz, którego tak kochałem i tak się pieściłem, gdy on był w II klasie, a ja w VII. Było to w roku szkolnym 1897-1898. Co za spotkanie. Mały Sergiusz Kudrewicz był ulubieńcem mym i moim nieodżałowanego przyjaciela mego — Pietrusia Szymkowicza.

Papa dziś wrócił z Mamyłów i po spędzeniu paru dni w Wilnie wyruszy do Bohdaniszek. Widział się Papa z Mieczysiem Tukałło, działającym w imieniu c. Róźi, i omówił z nim wszystkie bieżące sprawy, dotyczące zarządu Mamyłów. Sprawa więc ta weszła wreszcie na dobre tory. 5 (18) lutego rok 1911. sobota.

Wieczorem zebraliśmy się u Krzyżanowskiego — Bagiński, Kruszewski, Krzyżanowski i ja — dla ostatecznego zredagowania tej odezwy czy deklaracji zbiorowej, którą projektujemy ogłosić w pismach w sprawie rzeczy sporu polsko-litewskiego. Deklaracja ta ma oprzeć punkt ciężkości na krytyce klerykalizmu i nacjonalizmu. Badaliśmy długo, ale pozytywnego rezultatu mało. Szkielet mojego projektu deklaracji, po usunięciu zeń wszelkich wskazań programowych, w dodatku pokiereszowany przez poszczególne wstawki i wykreślenia, wymaga dużych uzupełnień. Krzyżanowski dokonał bardzo rzeczowej analizy na tym szkielecie i tą drogą zakreślił treściwy szkic tego, jaką ma być ta deklaracja. Bagiński, który ma zawsze robaka chwiejności między poczuciem czynu a skrupułami prawowierności esdeckiej i przez to jest do szpiku podejrzliwy względem wszystkiego, co pochodzi nie od patentowanych esdeków, albo milczał ostrożnie albo ~~[illegible]~~ rzucał uwagi destrukcyjne. Tak mnie przez to Bagiński zniecierpliwił i podrażnił, że mu parę razy dość ostro przymówiłem. Niech krytykuje, niech analizuje, jak Krzyżanowski, jeżeli nie jest w stanie dać własnego projektu, ale niechże się decyduje wyraźnie, o co konkretnie mu chodzi. Kruszewski — ten patrzy sceptycznie na odezwę, uważając ją za chybioną, ale ten przynajmniej wie, o co mu chodzi. Zresztą do popierania dalszego ciągu układania odezwy, ale już układania odmówiłem, a wezmę udział tylko w krytyce. Chcę dojścia do skutku tej odezwy, ale znam więc niedołęstwo i chwiejność takich ludzi, jak Bagiński.

6 (19) lutego. rok 1911. niedziela.

Boli mię to, że nasze polskie elementy postępowe są tak słabe, tak rozstrzelone i tak połowiczne, że się nigdy, nawet doraźnie, nie potrafią zdobyć na jakiś zbiorowy wyraźny czyn. Z wczorajszego wieczoru wnoszę, że z tej zaprojektowanej przeze mnie odezwy w sprawie zatargów polsko-litewskich nic nie będzie. Niedołęstwo naszych postępowych czy też nawet radykalnych i socjalistycznych elementów jest straszliwe. Nie pozostaje nic innego, prócz samotnego robienia na własną rękę tego, co się da.

~~Wie~~ Byliśmy z Marynią na wieczorku białoruskim, urządzonym przez białorusinów z „Naszej Niwy.” Wieczorek ten udał się świetnie. Odegrana była po białorusku komedyjka obyczajowa z życia włościańskiego (tłumaczenie z ukraińskiego) — „Paszylisia u durni”; gra amatorów-białorusinów dobra; doskonały typ chłopa białoruskiego odtworzył Burbis, świetny był jego język, ruchy, gra dobra. ~~Wogóle przedstawienie~~ Potem chór mieszany białoruski, kierowany przez Rogowskiego, odśpiewał kilka pięknych melodyj rodzimych piosenek ludowych; wreszcie odtworzono na scenie charakterystyczne tańce białoruskie, wykonane z świetną werwą. Stroje narodowe, tańce, pieśni ludowe —— barwne i piękne! Wrażenie estetyczne bardzo dodatnie.

Tłumno było na sali. Prócz gromadki białorusinów-organizatorów, było dużo litwinów (z inteligencji), rosjan i polaków (przeważnie ze sfer półinteligienckich, drobnourzędniczych i drobnomieszczańskich, oraz trochę inteligencji zawodowej, — natomiast nie z arystokracji). Charakterystyczny jest też gorący serdeczny oddźwięk, jaki białorusini znajdują w szerokich masach warstwy półinteligienckiej ludności wileńskiej. Tam mają pole do podboju, tamże we podłożu zasadniczem zostają — oczywiście nie kwestjonując ich najistotniejszego, najpierwotniejszego podłoża włościańskiego.

Ciekawe, że na wieczorku białoruskim nie było ani jednego żyda.

(20) lutego. rok 1911. poniedziałek.

Umarł Józef Montwiłł. Człowiek czynny, wybitny działacz, człowiek, który we wszystkich zakresach życia publicznego w Wilnie zdołał wycisnąć piętno swej wybitnej indywidualności. Obecne Wilno w swych urządzeniach i instytucjach społecznych polskich jest w dużej mierze Wilnem Montwiłłowskim. Strata takiego człowieka czynnego, niezależnie od wad, które mu były właściwe, jest ciężką i dotkliwą dla Wilna stratą.

Parę godzin wieczorem spędziłem dziś u białorusinów w „Naszej Niwie." Kółko redakcyjne „Naszej Niwy" jest dla mnie jednym z najsympatyczniejszych środowisk w Wilnie. Jest u nich wielka szczerość woli, wielkie przywiązanie do działa, które nie uważają za mechaniczną tylko robotę, za fach swój, lecz za żywą twórczość, za całkowitą emanację ich życia, ich energji, ich woli. Są oni zupełnie wcieleni w swe pismo, w nim całkowicie żyją. Wszyscy są zarazem ludźmi wyraźnie zarysowanymi, z charakterystycznymi indywidualnościami. Brak w nich zupełnie szablonowej zbiorowości. Ta ich koścista indywidualność tłumaczy się właśnie tym szczerym, rzetelnym stosunkiem do działa. W żywym czynie indywidualności bynajmniej się nie niwelują pod szablon, lecz właśnie się rozwijają i uplastyczniają, dochodząc do pełni wyrazistości.

8/(21) lutego. rok 1911. wtorek.

Pracowałem dziś trochę, jak zwykle, w Bibliotece publicznej, gromadząc sobie materjał do historji ustawodawstwa włościańskiego; wieczorem studjowałem znów ustawę 14 czerwca 1910, szykując się do referatu, który mam mieć w niedzielę na ~~[illegible]~~ konferencji pomocników adwokackich.

Okazuje się, że projekt zbiorowej odezwy postępowców polskich w sprawie zatargu polsko-litewskiego nie upadł jeszcze. Kryżanowski i Witold Abramowicz wzięli projekt ten w swoje ręce i postanowili go do skutku doprowadzić. Oby tak było! Ale jak ta odezwa będzie wyglądała, czy ~~[illegible]~~ odpowie temu, o co chodzi, t.j. wyraźnemu odseparowaniu się od nacjonalizmu nie tylko litewskiego, ale też przedewszystkiem polskiego, i czy będzie nie li tylko martwą wyrozumowaną deklaracją, lecz żywym zespołem z demokracją litewską na gruncie woli do zgody i do spółżycia, to jeszcze kwestja. ~~[illegible]~~ Ale ile to kontrowersji, ile jałowych utarczek, dopóki od projektu do czynu przyjdzie, kiedy cała rzecz mogła być w paru dniach załatwiona. O, klasyczne niedołęstwo i ociężałość „postępowców" naszych! Takie ustawiczne odwlekanie projektu wnosi na dłuższy czas zniechęcenie do nowej próby wspólnego czynu. Niema wiary wzajemnej, niema odwagi twórczej. Jutro Witold Abramowicz i Kryżanowski zaprosili mię znów do udziału w tej pracy.

9 (22) lutego. rok 1911. Środa.

W jesieni r. 1909 otrzymałem od Polskiego Towarzystwa Nakładowego we Lwowie, tego, które wydało moją „Litwę", propozycję napisania książki o Białej Rusi (odrodzenie narodowe białoruskie). Na razie odłożyłem szczegółowe rozważenie tej propozycji na później i tak też Towarzystwu odpisałem. Potem przyszła moja żółtaczka, zawierucha matrimońska, wyjazd do Karlsbadu, awantury z Eugieniuszem i tak się ta sprawa odwlekła. W jesieni ubiegłego roku znów o to samo zostałem przez Towarzystwo Nakładowe zainterpelowany. Po namyśle ostatecznie odmówiłem, ze względu na to, że ruch białoruski jest zbyt młody, zbyt mało skrystalizowany, dopiero się szkicujący w życiu. Nadaje się on dopiero do traktowania w artykułach gazeciarskich, ale na monografję jeszcze stanowczo zawcześnie. Otóż dziś otrzymałem od Kulczyckiego w imieniu Tow. Nakładowego odpowiedź na mój odmowny list. Towarzystwo domaga się koniecznie, abym pracę napisał, choćby mniejszą, niż „Litwa", bardziej publicystycznie traktowaną, na jakieś 10-12 arkuszy druku. Kulczycki pisze, że społeczeństwo polskie nie może czekać, aż jakieś zjawisko społeczne, które się rozwija, dojrzeje i skrystalizuje się; społeczeństwo musi poznawać każde zjawisko bieżące w jego toku, musi się orjentować. Okazuje się, że Towarzystwo Nakładowe w swym drukowanym sprawozdaniu rocznym już zaznaczyło, że moja praca o Białej Rusi jest w przygotowaniu. Wobec tego listu poradziłem się do białorusinów z „Naszej Niwy". Oni bardzo radzi, abym się tej pracy podjął, obiecują dostarczyć mi wszelkiego materjału. Trzeba się będzie zapewne zabrać do tej roboty, jakkolwiek traktować ją będę tylko publicystycznie.

Wieczorem zebraliśmy się we troje Krzyżanowski, Witold Abramowicz i ja dla załatwienia redakcji tej odezwy w sprawie zatargów polsko-litewskich i roli w nich klerykalizmu i nacjonalizmu. Witold Abramowicz przyniósł zredagowaną przezeń bardzo dobrą z treści odezwę. Po małych uzupełnieniach i poprawkach przyjęliśmy ją. Rzecz więc gotowa. Teraz tylko podpisy zbierzemy i ogłosimy ją.

10 (23) lutego. rok 1911. czwartek.

Przelotnie tylko widziałem pogrzeb Montwiłła. Mimo że nie lubię pogrzebów, ten zrobił na mnie dodatnie wrażenie. Bank, rada miejska, towarzystwa rolnicze ziemiańskie, stowarzyszenia rzemieślnicze, stowarzyszenia sług, instytucje filantropijne — wszystko się w tym szczerym hołdzie zmarłemu zespoliło. Szczerość tego hołdu, tego żalu — niewątpliwa. Na ulicy, w sklepach, w zakładach rzemieślniczych, w całej szarej masie drobnomieszczaństwa wileńskiego — wciąż słychać rozmowy o Montwille, tchnące głęboką serdeczną nutą żalu i wielkiej miłości, wielkiej czci dla Montwiłła. Pogrzeb ten — to nie zdawkowy obrządek pompatyczny, to żałoba rzetelna, prosta. Lud wileński kochał Montwiłła za jego serce dla ludu. Montwiłł miał wady, despotyzm, nepotyzm, ale wobec jego zasług wady te gasną.

Stryjenka Kazimierzowa Römerowa była u nas z córką Jolą.

Wieczorem byliśmy z Marynką zaproszeni do Złotkowskich. Wynudziliśmy się tam ze wszystkich sił; towarzystwo było konwencjonalne, pretensjonalne — wszystko zupełnie obcy dla nas ludzie, ~~[illegible]~~ z którymi nie było co robić.

Znów, jak akurat przed miesiącem, śniłem nocy dzisiejszej Cėśkę; ale sen był inny: widziałem ją małym podrostkiem, lat koło 12-13; wprawdzie we śnie sądziłem, że ma 7 miesięcy, t.j. właśnie tyle, ile rzeczywiście ma, ale wygląd miała podlotka; rozmawialiśmy z nią, chodząc po pokoju, a ja się jej twarzy przyglądałem; czoło miała akurat, jak moje, z tym samym rodzajem fałdowania się; oczy i cały wyraz twarzy były mi tak swojskie, że w nich przeczuć bym mógł samego siebie; słowem — moje dziecko.

11 (24) lutego roku 1911. piątek.

Zajęty dziś byłem studjowaniem ustaw włościańskich odnośnie do ziem nadziałowych, jako osobnej kategorji prawnej. Mam bowiem referować o tym na pojutrzejszej konferencji pomocników.

Wieczorem byliśmy z Maryńką u pp. Antoniostwa Pisanich na herbacie. Zebrało się tam kilka osób; otoczenie było swojskie, byłoby miło, gdyby nie to, że byłem zmęczony po wczorajszym wieczorze u Kłottów i że chciałem spać.

12 (25) lutego. rok 1911. sobota.

Przez cały dzień zajęty byłem przygotowywaniem się do referatu o ziemiach nadziałowych w związku z ustawą 14 czerwca 1910 (ob. ukaz 9/XI 1906). Referat ten mam wygłosić jutro na konferencji pomocników adwokatów. Temat, nad którym wprawdzie pracowałem już dawniej, traktując takowy ze stanowiska bardziej społeczno-politycznego, obecnie, przy traktowaniu go ze stanowiska ściśle prawniczego, wymagał poważnego nakładu pracy. Studja i ułożenie notatek do referatu wypełniły mi cały dzień. Z domu nie wychodziłem wcale.

Był u mnie z wizytą Kastelański, literat-żyd, bawiący przez dni kilka w przejeździe przez Wilno. Jest to ten sam, który mię przed 3 laty zaangażował z ramienia „Товарищества Общественной Пользы" do napisania artykułu o polakach litewskich do wydawnictwa „Формы национального движения в современных государствах"; wydawnictwo to wyszło pod redakcją Kastelańskiego. Obecnie Kastelański, pragnąc poznać stosunki wileńskie i interesując się w szczególności ruchem związkowo-kooperatywnym rzemieślniczym, zgłosił się do mnie po informacje co do ruchu tego śród rzemieślników chrześcijańskich. Ponieważ osobiście z ruchem tym się nie stykam, więc [redacted] skieruję go do kogoś innego, może do Sokołowskiego.

Otrzymałem list od Wacława Wróblewskiego z Warszawy, któremu wysłałem mój rękopis pracy o stronnictwach politycznych i reformie agrarnej w Rosji po r. 1905. Wróblewski pisze, że zdążył tylko pobieżnie się z tym rękopisem zapoznać, ale z tego, co poznał, widzi, że praca to poważna, i radzi mi ją wydać w osobnej broszurze. Może być, że pójdę za jego radą i sprostuję przesłać rękopis Polskiemu Towarzystwu Nakładowemu do Lwowa.

13/26 lutego. rok 1911. niedziela.

W południe na konferencji pomocników referowałem o ziemiach nadziałowych w związku z ustawą 14/VI 1910. Właściwie konferencje te, czyli „ćwiczenia praktyczne z prawa cywilnego”, jak je nazywają, nie są konferencjami tylko pomocników, bo prócz starszych adwokatów-kierowników, biorą w nich stały udział, w charakterze zwykłych uczestników (już nie - kierowników) niektórzy adwokaci przysięgli. Na dzień dzisiejszy, ~~by~~ prócz stałego naszego kierownika Fridmana, byli zaproszeni adwokaci Łapin-starszy i Łukaszewicz w charakterze rzeczoznawców prawa włościańskiego. Wśród uczestników byli: stary Zimont, Julisz Zortowski, Bagiński, Piłsudski, Zgruszewski, Zimont młodszy, Grajewski, Janulaitis, Tiomkin, Wysocki, Łoldman, Homan, bracia Parczewscy, Łapin młodszy, Dmochowski i inni. Referat mój się udał. Choć nie mogłem ~~opa~~ zapanować nad pewnym wzruszeniem, które mi jest zawsze właściwe, ilekroć występuję publicznie i choć miałem pewną trudność wysłowienia się, zwłaszcza że to musiałem mówić w języku rosyjskim, jednak pod tym względem nie źle; za to co do samej treści referatu, to był on rzeczowy, zwięzły i dość wszechstronnie ujmujący całokształt kwestji. A zwłaszcza te odpowiedzi dodatnie dla mnie wrażenie, że gruntownie posiadłem zawikłaną dziedzinę ustawodawstwa włościańskiego. Dyskusja była ciekawa, choć tylko kilku zabierało głos, bo ogromna większość nie odważała się wkraczać w dziedzinę tak zawiłą, jaką jest ustawodawstwo włościańskie u nas.

Już Bagiński zwęszył jakiś gnach esdecki w ~~…~~ naszej odezwie polsko-litewskiej, zaakceptowanej przez nas przed kilku dniami w redakcji Abramowicza Witolda. W robocie konstrukcyjnej w układaniu tej odezwy Bagiński czynnego udziału nie brał, choć w zasadzie potrzebę tej odezwy uznawał, do destrukcji zaś, do krytyki, do rozdzielania spół nad okruszyną zakonnej tendencji tzw. odezwy — skory, bo to najłatwiejsze. Mam wielką sympatję do Bagińskiego, ale robi on na mnie wrażenie dzieciaka. Odezwa nasza kursuje obecnie w celu zbierania pod nią podpisów. Bagiński nietylko że jej nie podpisze, ale będzie jej zapewne przeciwdziałać; niewątpliwie, że ~~ti~~ Wróblewski ~~Bagiński~~ zakwestjonować będzie — Wróblewskiemu w to graj, gdy jest możność ~~…~~ jakiegoś wyraźnego wypowiedzenia się. „Że 9/10 robotników nie podpisze tej odezwy, to moja w tym głowa” — tak się w niezmiernie charakterystyczny sposób wyraził Bagiński! Wieczorem dziś Marynka wyjechała na zapusty do Bielcza i do Roberlowa, to znaczy do ~~…~~ Pruszanowskich i do Mieczkowskich.

14/27 lutego. rok 1911. poniedziałek.

Ceśka, córeczka moja, skończyła dziś 7 miesięcy. Prawie od miesiąca nie miałem już o niej żadnej wiadomości. Trzeba będzie znów się o jakąś wiadomość postarać — może przez teściową.

Kilka godzin spędziłem z Kastelańskim, którego informowałem o stosunkach narodowościowych w Wilnie i w kraju, o wzrastającej ciągle sile litwinów, o ujawniających się dążeniach białorusinów. Zaprowadziłem go do redakcji „Lietuvos Ukininkas" i „Lietuvos Žinios", gdzie mu urządziłem interview z redaktorem Ślażewiczem.

Wieczorem byłem na dorocznym zebraniu członków „Lietuvių Dailės Draugijos" w lokalu „Ruty". Towarzystwo to, nader sympatyczne i dodatnie, jako wyłącznie kulturalne, znakomicie się rozwija. Stan kasy dobry, inicjatywa do czynu zawsze gotowa. Towarzystwo urządza w tym roku V wystawę sztuki litewskiej, projektuje wydać książkę zbiorową o sztuce litewskiej, Čiurlionisie i wydać album litewskiej sztuki ludowej. Towarzystwo ma zadanie podwójne: popierać artystów litewskich przez udzielanie zapomóg, urządzanie wystaw, popularyzowanie ich utworów, ułatwianie dla nich zbytu, oraz niezależnie rozwijanie zamiłowania do sztuki w społeczeństwie przez też wystawy, przez zakup corocznie kilku utworów sztuki dla rozlosowania między członków i przez rozdawnictwo corocznie członkom premium w postaci reprodukcji artystycznej z jakiegoś dzieła, i wreszcie utrwalać sztukę ludową przez popularyzację jej na wystawach, gromadzenie odpowiednich zbiorów, wydawnictwo albumów i t. d. Na zgromadzeniu dzisiejszym wybrano mię na rok przyszły do Zarządu „Dailės Draugijos".

Będąc w Sądzie, spotkałem się z Witoldem Abramowiczem i Krzyżanowskim. Znów została mowa o tej naszej odezwie w sprawie zatargów polsko-litewskich. Ze względu na zarzuty Bazylińskiego Krzyżanowski znów zechciał dokonać małej rewizji redakcyjnej tekstu tej odezwy. Znów ją odczytaliśmy i kilka poprawek w niej zrobiliśmy, chociaż już jest pod nią 8 podpisów, więc formalnie poprawki są niedopuszczalne. Poprawki te są więc poniekąd fałszerstwem, ale oczywiście, że odpowiadają one zupełnie życzeniu i opinii tych, którzy się podpisali. Zmieniliśmy więc nieco tylko tego ustępu, z którego mogło się wydawać, że ideałem naszym jest nie równoległy pełny rozwój narodowości, ale walka ich o zwycięstwo i zapanowanie. Poprawki redakcyjne, ale na tym tekst zyskuje. Bądź co bądź odezwa, tylokrotnie zmieniana, musi w ostatecznym wyniku tracić na wyrazistości. Już dziś nie jest ona zupełnie tym, czego sobie w pierwszej chwili, dając inicjatywę, życzyłem.

15 (28) lutego. rok 1911. wtorek.

Po obiedzie posłałem do redakcji „Lietuvos Žinios" mój rękopis o Litwie pruskiej. Jeżeli im się spodoba, to go po zużytkowaniu w tym piśmie przerobię.

Wieczorem po g. 10 przyszedł do mnie Iwan Łuckiewicz. Wśród gawędki nadmienił mi, zastrzegając tajemnicę, o formującym się jakimś stronnictwie, mającym ogarniać, jak się wyraził, ludzi „[illegible]"; formuje się ono teraz w Wilnie, ale podług słów Łuckiewicza i w całym państwie się nawiązuje; ma być ponadnarodowe, cel dzisiejszy — pozyskanie w państwie gwarancji konstytucyjnych. Wyraziłem wątpliwość o pożytku i skuteczności takiego „stronnictwa", które właściwie stronnictwem być nie może; zwłaszcza jałowość takowego na naszym gruncie krajowym; od słówka do słówka, z kategorycznym zastrzeżeniem milczenia, bąknął mi Łuckiewicz, że chodzi tu o grunt taki, na którym dokonany został przewrót w Turcji i w Portugalii. Zwróciłem uwagę, że to dzieło nie partii politycznej, ale wielkiego bractwa, związku, sprzysiężenia czy stowarzyszenia. Tu napomknąłem o masonerii, że to jest typ i wzór potężnej organizacji, jaka jest potrzebna dla takiego dzieła, jak w ogóle dla wielkiego dzieła kierowniczego w przewrocie. To jest olbrzymia potęga oddziaływania na stosunki i urabiania planowego na bajecznej skali roboty, mając sprężyny w ręku i kierując zmianami wszelkie porozumienia i związki rozstrzelonych pozornie czynników jednolitej akcji. O masonerii marzę, do niej w Rosji tęsknię. Tu mi Łuckiewicz wyjawił, że o nią właśnie chodzi. Już się zawiązała, już się w Wilnie tworzy. Zakomunikowałem, że chciał mnie wysondować przez poprzednią rozmowę, dał mi [illegible] dojść do treści rzeczy. Obiecał, że spróbuje mnie wciągnąć do tworzącej się tu loży. Tak, to potęga, to realność. Z tego związku, który jest Istotą w Chaosie, narodzić się może wielki Czyn. Wola ogarnia tę kojarzy przestrzeń, skupia i kieruje zewsząd w jedno. To wielkie Dzieło. To Jan Chrzciciel, Zwiastun.

16 lutego / 1 marca rok 1911. środa.

Piękny słoneczny dzień. Słońce już coś raz wyżej się wznosi, dzień dłuższy, przyjemny powiew wiosny dokoła; śniegi topnieją.

Wracając do mojej wczorajszej rozmowy z Łuckiewiczem o organizacji masońskiej w Rosji, sądzę, że to nie blaga, o czym mi Łuckiewicz napomknął. Wprawdzie Łuckiewicz romantyk i lubi trochę blagi dla efektu dodać, sam może ~~wierzy~~ w nią wierzyć, ale sądzę, że jądro prawdy w tym, co mówił, jest. A organizacja typu masońskiego jest dziś bardzo na dobie w państwie rosyjskim. Na ruch masowy nie ma co w najbliższym czasie liczyć. Jeżeli nawet powstanie, to będzie za słaby do zwalczenia organizacji państwowej i militarnej, o ile nie zostanie poprzedzony przez planową organizacyjną akcję wielkiego sprzysiężenia, które utoruje sobie drogi do armii, do sfer urzędniczych, ~~[illegible]~~ przemysłowych i do wszystkich słowem placówek machiny społecznej. Cokolwiek bądź by się mówiło o kadetach, ~~są~~ w ich szeregach ludzie, którzy lepiej od innych rozumieją potrzebę takiej czynnej planowej roboty, skierowanej do wytworzenia status in statu w celu ~~[illegible]~~ opanowania urzędu państwowego i dokonania wielkiego przewrotu. Niewątpliwie jednak, że robota konspiracyjna ma jedno olbrzymie niebezpieczeństwo — prowokację.

17/2 lutego / 2 marca. rok 1911. czwartek.

Lokator nasz, p. Korsak, należy, jak się okazuje, do kierunku „frackiego". Jest to młody człowiek lat 21, który skończył szkołę realną na Wołyniu i gotuje się teraz do któregoś z wyższych zakładów. Ciekawa rzecz, że śród obecnej najmłodszej młodzieży porewolucyjnej, zwłaszcza na t. zw. „kresach", t. j. na Litwie i Rusi, żywiołowo się rozwija kierunek właśnie fracki, niepodległościowy. Cała młodzież radykalna ciąży do tego kierunku, który znajduje wyraz w odpowiednich organizacjach młodzieży i upowszechnia się pod mianem „filaretyzmu". Od paru lat śród młodzieży polskiej zagranicznej powstała taka nowa organizacja pod nazwą „Filarecja", istniejąca obecnie równolegle do dawnego endeckiego „Zjednoczenia" i dawnego „postępowego" „Związku", który znowu obecnie stał się wyraźniej socjalistyczny, ściślej — esdecki. Takież „filareckie" organizacje młodzieży niepodległościowej istnieją w Galicji; od roku wyodrębnił się też niepodległościowy, jako osobny kierunek śród młodzieży petersburskiej, gdzie istnieją dziś równolegle do organizacji endeckiej, postępowej, esdeckiej i „wyzwoleńczej" (katolickiej). Śród młodzieży „postępowej" wileńskiej, zorganizowanej w odpowiednim kółku od jesieni r. 1909, kierunek „filarecko"-niepodległościowy jest wszechwładny. To samo jest, jak opowiada p. Korsak, śród polskiej młodzieży „postępowej" szkół średnich na Rusi. Charakterystyczne, że kierunek fracko-niepodległościowy nie jest wpływem odpowiedniego oddziaływania na młodzież zewnątrz, lecz zupełnie samorodnie, spontanicznie się z niej wyłania. Żadnej agitacji „fraków" na młodzież nie ma. Tu np. w Wilnie kierunek fracki śród inteligencji nie istnieje wcale. Na całe Wilno śród dorosłej inteligencji jest tylko dwóch zwolenników kierunku frackiego: Witold Abramowicz i Jan Piłsudski, którzy wszakże nic nie czynią i nie mają najmniejszej styczności z tą młodzieżą. Młodzież ta wileńska [illegible], że nie została przez agitację fracką w kierunku niepodległościowym pchnięta, lecz doszła do tej koncepcji samodzielnie i nawet właśnie wbrew przeciwnej agitacji ze strony esdeków z Bagińskim na czele, którzy wśród tej młodzieży urabiali i ostatecznie nic sobie nie poradzili w zatamowaniu prądów frackich nie zdołali. P. Korsak jest z tą młodzieżą wileńską bardzo zbliżony; podziela jej stanowisko i komunikuje się z nią. Objawy [illegible] niepodległościowego śród młodzieży naszej są bardzo charakterystyczne. Czy nie wskazuje to, że kierunek ten zasysa właśnie z młodzieńczego temperamentu synów szlacheckich z „Kresów", o ile się do szeregów pod demokratycznym dotrzymie. Młodzież ta, polska w naszym kraju — to dzieci z kości i krwi szlacheckiej, w której demokratyzm ma zawsze zabarwienie romantyczne i rycerskie. Marzą się jej szlachetne boje, bojowa wolność rycerska.

Wieczorem byli u mnie na herbacie Białorusini Iwan Łuckiewicz i Jeleński. I to też jest szlachta polska kresowa. Bajeczna szlachta; komu ona nie dostarcza bojowników! Jakiż kres wspaniały i barwny kreśli ona w dziejach Europy Wschodniej! Z Łuckiewiczem stoczyłem dyskusję — do porozumienia dojść nie mogliśmy. Jego zdaniem wszelka robota demokratyczna polska a nawet tylko w języku polskim śród ludu miejscowego jest w ostatecznym wyniku działaniem na rzecz klerykalizmu i reakcji wsteczną. Moja teza: demokratyczna litewska robota polska wyrwie najciemniejszy zastęp ludności krajowej, spolonizowanej czy chłopskiej, [illegible] etnograficznym, ze szponów kleru i reakcji; jest to jedyny środek walki — wielki czas o robocie takiej myśleć.

Spędziłem większą część dnia w domu; ~~[illegible]~~ 18 lutego
opracowałem skargę do Senatu 3 marca
w sprawie włościan Wirzyjskich, bo re- rok 1911. piątek.
zolucja Komitetu Gubernjalnego („[illegible]”) wypadła na
niekorzyść naszej sprawy.
Rano otrzymałem list od panny Anny, że
wieczorem przez Wilno przejeżdżać będzie,
więc prosi, abym przyszedł z dziećmi
na banhof dla pożegnania się. Na
g. 8 poszedłem z Helcią na kolej (Stefuś
niezdrów, przeziębiony, leży w łóżku).
P. Anna wyjeżdża już na stałe z Litwy,
bo Rutkowscy, u których teraz posa-
miała, wyjeżdżają dla zdrowia córek
zagranicę. Z p. Anną spędziliśmy w
wagonie kwadransik. Pożegnanie
było zrównoważone; tylko gdy już
pociąg ruszył i straciłem p. Annę
z oczu, ogarnął mnie głęboki smutek
i tęsknota. Ta dziewczyna ma nie-
zwykły urok dla mnie, stały wpływ
[illegible], który się zawsze odradza.
Nie chcę przypuszczać, żeby to już był
taki sobie lakoniczny finał naszego sto-
sunku. Ale kiedy teraz i w jakich warunkach
się zobaczę? Ostatnie widzenie — ech, chyba nie!
Aż mnie boli myśl, że to przecie rozstanie z tą Kochaną,
tą swojską panną Anką, tą, która mi jest jak rodzona.

19 lutego / 4 marca rok 1911. sobota.

Do obiadu napisałem mały artykulik ze wspomnień moich o stowarzyszeniu młodzieży litewskiej „Lithuania" w Paryżu (w leciech 1904 i 1905). „Lithuania", założona przez Petrulisa, odegrała ~~[illegible]~~ wybitną rolę w dziejach mojej orjentacji społecznej specjalnie w stosunku do Litwy. Artykulik ten przeznaczam dla litewskiego miesięcznika młodzieży postępowej „Aušrinė", która gromadzi przyczynki, dotyczące młodzieży litewskiej, jej znaczenia, jej prądów i t. d.

O g. 5 poszedłem do kolegi Powołockiego na proszone bliny. Zebrało się do 20-30 adwokatów (prawie wyłącznie pomocników); ze starszych byli tylko Wróblewski i Andrzejewski. Atmosfera była miła, koleżeńska. Męski pijacki charakter tego rodzaju uczt koleżeńskich był złagodzony obecnością żony Powołockiego, teściowej i sióstr; miłe zresztą i nie krępujące wesołe kobiety, jak miły też bardzo i gościnny był sam gospodarz Powołocki. Piło się dużo, ale specjalnego pijaństwa nie było. Po blinach przy kawie czarnej w dyskusji pewnej grupy kolegów popstrykaliśmy się z Wróblewskim, z którym zawsze tradycyjnie po wypiciu się drażnimy, choć te nasze podchmielone docinki są zawsze tylko swawolą bez złości; ujadamy się z nim wtedy, cięte ku sobie rzucamy pociski, ale bez niechęci; właściwie wtedy właśnie zbliżamy się ku sobie, wtedy zaciera się między nami ta niechęć, która na trzeźwo zawsze nas dzieli. Po tradycyjnej więc szermierce z Wróblewskim, wróciłem z blinów do domu z zamiarem bezzwłocznie się spać położyć, ciesząc się, że się obeszło bez zbytniego nadużycia alkoholu. Tymczasem po przyjściu do domu przypomniałem, że to dziś w „Rucie" przedstawienie amatorskie litewskie, na które śliczna moja Aniuśka miała wielką ochotę się wybrać. Dla zrobienia jej tej przyjemności, ponieważ sama biedaczka iść ~~[illegible]~~ na wieczorek nie może a jest to dla niej jedyna przyjemność w mieście, zaprowadziłem ją sam do „Rūty". Wkrótce przyszedł do „Rūty" Iwan Łuckiewicz, który się dowiedział, że ja tam jestem, i wywołał mię do Żorża; ~~[illegible]~~ zleciłem Aniuśkę opiece Janulaitisa i poszedłem z Łuckiewiczem do Żorża, gdzie zastaliśmy całą kompanję: Antoniego Łuckiewicza, Jeleńskiego z siostrą, pomocnika adwokata Wysockiego i Szpakowskiego z Mińska. Od Żorża umieliśmy iść do [illegible], ale potem, odprowadziwszy siostrę Jeleńskiego, poszliśmy na czarną kawę na Bakszte, gdzie spędziliśmy prawie hulacką noc — Sardanapalowską noc, jak mówi Szpakowski.

20 lutego / 5 marca. rok 1911. niedziela.

Z Żuckiewiczami byłem na blinach u Daniłowiczów, gdzie się zresztą wynudziłem.

Og. 6 odbyło się u Żmujdzinowiczów posiedzenie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos" (Litewskie towarzystwo artystyczne). Zarząd stanowią: malarz Żmujdzinowicz (prezes), żona jego, Lutwińska z domu, moja koleżanka z Paryża, adwokat Jan Vileišis, p. Józef Landsberg (sekretarz) i ja (kasjer). Po załatwieniu spraw formalnych, jak podział funkcji w zarządzie, omawialiśmy kwestję bieżącej wystawy litewskiej, która ma być otwarta w połowie marca. Będzie to już V wystawa litewska. Wystawy te już ~~[illegible]~~ zdobywają sobie tradycję w Wilnie. Litwini choć powolnie i cicho, ale krok za krokiem, konsekwentnie i wytrwale posuwają się w rozwoju naprzód, utrwalają sobie poszczególne placówki, rosną. ~~[illegible]~~ Stają się czynnikiem, z którym z roku na rok coraz bardziej się w kraju liczyć trzeba.

21 lutego / 6 marca
rok 1911.
poniedziałek.

Wieczorem poszedłem z Helcią i Stefusiem do Krzyżanowskich na chwilkę, do cioci Masi Bohdanowiczowej, bawiącej ~~obe~~ w Wilnie chwilowo w przejeździe, i potem do staruszków pp. Budrewiczów. Lubię tych obojga kochanych staruszków, którzy mię kiedyś tak serdecznie przygarnęli w Petersburgu i stali się dla mnie jak najbliżsi krewni. Lubię w nich tę patynę starości, ten żywy symbol więzadła między chwilą bieżącą a odchodzącą już w mroki przeszłością krajową. Lubię słuchać opowieści p. Budrewicza z lat ubiegłych, z epoki powstania r. 1863 i lat wcześniejszych; w jego opowieści, jako świadka spółczesnego tamtej epoki, niema patosu historycznego, który się wytwarza przez perspektywę czasu; jest jeno prosta fabuła pośród zjawisk, spółczesnych ludzi z ich powszednimi wadami i zaletami, — wszystko widziane przez pryzmat spokojnej, zrównoważonej aktualności dnia powszedniego. W opowieści p. Budrewicza dawne czasy i dawni ludzie nabierają żywotności, bo się o nich mówi bez emfazy, z takim samym spokojem i prostotą, jak się mówi o bieżących wypadkach z roku zeszłego, poprzedniego i t. d. Dziś p. Budrewicz mówił o czasach Murawjewa i o latach poprzednich, o swoim pradziadku Ignacym Tukalle, z którym sąsiadował i był w stosunkach zażyłych.

22 lutego / 7 marca / rok 1911. / wtorek.

Dziś w ostatki zapust urządziłem ucztę z przysłanych wczoraj przez Mamę w posyłce indyka i kury. Jutro zaczyna się post, więc trzeba było dziś to spożyć. Kurę posłałem p. Kuncewiczowi, u którego Stefuś się uczy, ale Stefuś, który ją zaniósł, nie zastał p. Kuncewicza i kurę odniósł z powrotem. Nie zostawało nic innego, jak ją zjeść razem z indykiem. Dla przysporzenia gąb zaprosiłem na obiad braci Łuckiewiczów, Iwana i Antoniego, i Jeleńskiego. Razem ze stołującymi się u nas p. Korsakiem i Marynią z dziećmi zebrało się nas na obiedzie 9 osób. Gawędka była przy stole wesoła i ciekawa, w stylu r. 1905. Tematy społeczno-krajowe, nad wszelki wyraz ciekawe, dają niewyczerpane pole do wymiany zdań, która jest konieczną dla zorjentowania się w zawiłych stosunkach krajowych i narodowych i rozwijających się procesach społecznych (kwestja białoruska, litewska, stanowisko i rola polaków, stosunek do Rosji, prąd Sołogubowiczowski i t.d.). Każdy z nas przedstawiał odrębny odcień: P. Korsak „frak”, niepodległościowiec-polak ~~[illegible]~~, entuzjasta narodowego rewolucjonizmu polskiego w stylu powstańczym, ja polak-demokrata, stojący na stanowisku obywatelstwa krajowego z traktowaniem polaków za jeden z elementów rdzennych w kraju, Iwan Łuckiewicz białorusin o żywym poczuciu narodowościowym, w pewnym rodzaju romantyczny „frak” białoruski, Antoni Łuckiewicz rzeczy cudak białoruski, spółpracujący do czasu z [illegible] razem z demokratami, w gruncie rzeczy i wytrwały polityk-nacjonalista, Jeleński białorusin, szczery demokrata-ludowiec, mniej od ~~[illegible]~~ Łuckiewiczów przesiąknięty nacjonalizmem, rozumiejący stosunek kulturalny miejscowych elementów narodowych, traktujący ruch białoruski nie jako fetysz sam w sobie, lecz jako wyraz narodu-„monolitu”, jak mówi Wróblewski, jako najlepszy wyraz rozwoju demokracji w kraju, najlepszą ~~[illegible]~~ formę społecznego rozwoju włościan białoruskich.

Po g. 6 wieczorem Maryńka wróciła do Wilna z Bielcza i Pobiestowa. Przywiozła wiadomość, że [illegible] Mieczkowski jest [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

23 lutego / 8 marca rok 1911. środa.

„Mistyczną jest świadomość socjal-demokracji wszelkich odcieni, epickim stan dusz, „reprezentowany przez generalną konfederację „pracy we Francji, francuskich syndykalistów; epickim chcielibyśmy uczynić stan „dusz naszej klasy pracującej, tych wszystkich, „kogo obejmuje nieokreślona, nie legendarna, „Młoda Polska. Epicki stan duszy, t. j. prze„świadczenie o swoim nieustannym odpowiedzial„nym udziale w wielkim heroicznym dziele „wydaje mi się jedyną podstawą, na której „można wspierać jakąkolwiek działalność kultu„ralną.” (Stanisław Brzozowski — „Legenda młodej Polski”, Lwów 1910, str. 432). Złota myśl. Piszę się na nią zupełnie. W książce tej, w której dużo jest balastu robionej sztucznej deklamacji myślowej, ciężkiej w czytaniu a wydającej mi się manewrem strategicznym skompromitowanego Brzozowskiego, takie perły głębokiej prawdy społecznej błyszczą nieskalanym ogniem jędrnej, do samych źródeł prawdy sięgającej spostrzegawczości krytycznej.

Całe niemal popołudnie byłem zajęty pisaniem artykułu o [redacted] pseudo-demokratycznym rosyjskim ruchu nacjonalistycznym w Wilnie i w kraju, reprezentowanym w szczególności pierwotnie przez towarzystwo „Krestjanin” z Kowalewskim na czele a obecnie głównie przez „Северо-Западное Общество” Solonewicza z jego organem „Bielorusskaja Żizń”. O napisanie tego artykułu do „Nowej Gazety” byłem proszony przez białorusinów z „Naszej Niwy”.

Dowiaduję się tu dziwnych rzeczy o nacjonalistach litewskich. Podobno przyjechał tu do Wilna znany obrusitiel i polakożerca, prawicowiec Filewicz i konferował z grupą litwinów, śród których Basanowicz i grupa Świetowy; podobno konszachty te trwają [redacted] nadal i jakiś pakt się zawiązał, oczywiście zwrócony przeciwko polakom i pono białorusinom za cenę pozyskania [redacted] dla litwinów poparcia nacjonalistów rosyjskich i ewentualnie sfer rządzących. Oczywiście że, o ile to prawda, odpowiedzialność za to spada wyłącznie na nacjonalistów litewskich.

24 lutego / 9 marca
rok 1911.
czwartek.

Wykończyłem artykuł o „nowych formach nacjonalizmu rosyjskiego” na Litwie i Białej Rusi, traktujący głównie o kierunku Kowalczuka i kierunku Sołowiewicza. Artykuł ten udał mi się dobrze; tego zjednałem tych panów, jak na to zasługuje. Po napisaniu artykułu posłałem do redakcji „Naszej Niwy” i odczytałem go Antoniemu Łuckiewiczowi i Iwanowskiemu, bo chciałem ewentualnie liczyć się z ich wskazówkami i uwagami, ponieważ artykuł ten pisałem na ich prośbę. Obaj zresztą całkowicie artykuł zaaprobowali.

Taki dziś wypadł „literacki” dzień, że dopiero co skończyłem pierwszy artykuł, zaraz zasiadłem do drugiego dla „Tygodnika Wileńskiego”. Wyczytałem bowiem w „Tygodniku” artykuł Studnickiego, pisany z powodu rocznicy zniesienia poddaństwa (19 lutego 1861), w którym Studnicki, przenosząc główną zasługę reformy tej z manifestu 19/II 1861 na ukaz 1/III 1863, widzi główną wartość ukazu 1/III 1863 w „faktycznym zniesieniu pańszczyzny”. Wistocie zaś znaczenie ukazu 1/III 1863 polega na tym, że ten dopiero ukaz dokonał w kraju naszym uwłaszczenia włościan, uzupełniając w ten sposób reformę 19/II 1861, co zostało dokonane pod wpływem ruchu powstańczego dla ujałowienia powstania i pozbawienia go podłoża społecznego.

Wieczorem w mieszkaniu Józefa Hłaski odbyliśmy posiedzenie komisji redakcyjnej Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zebrali się członkowie komisji (Hłasko, Brensztejn, Studnicki i ja) oraz członek zarządu Towarzystwa, dr. Ludwik Czarkowski. Zadeklarowałem obiecaną pracę Kurczewskiego do przyszłego Rocznika, następnie rozpatrzyliśmy i zakwalifikowaliśmy te prace, które ~~—~~ już są gotowe w rękopisach. Wstęp ks. prałata Kurczewskiego do jego pracy o szkołach zakonnych w diecezji wileńskiej w pierwszej połowie w. XIX, wywołał wśród nas pewną dyskusję. Ks. Kurczewski w tym wstępie daje kilka zwrotów, tworzących apologię w ogóle szkolnictwa zakonnego, jako takiego, oraz apologię jezuitów. Zwroty takie są niewłaściwe a nawet kompromitujące, więc ja oraz Brensztejn oświadczyliśmy się za ich usunięciem. Hłasko, który w ogóle jest bardzo prawicowo, konserwatywnie usposobiony, godził się na takie zwroty pod pretekstem, że nie można gwałcić stanowiska autora. Jakież to stanowisko subjektywizmu, gdy praca ma być tylko przyczynkiem naukowym! Czarkowski przechylił się na stronę [illegible]. Ostatecznie uzgodniliśmy [illegible], choć z [illegible] kompromisowym i postanowiliśmy ~~[illegible]~~ postarać się o usunięcie tych zwrotów, choć wykonanie to usuwania będzie bardzo i bardzo ostrożne.

2 lutego / 10 marca. rok 1911. piątek.

Po obiedzie przyszli do mnie Stach Sadkowski i jeszcze jakiś młody człowiek, jadący do Petersburga (Stach Sadkowski za rozruchy studenckie wydalony został z uniwersytetu i z Petersburga bez prawa powrotu do stolicy i gub. petersburskiej). Przyszli z propozycją jazdy do Petersburga z odczytem. Dawno już był o tym mowa, jeszcze przed Bożym Narodzeniem grono studentów-esdeków angażowało mnie na odczyt na styczeń, proponując mi odczytanie mianowicie tej pracy, którą odczytywałem w jesieni na „czwartkach” u Wróblewskiego — o ~~[illegible]~~ ewolucji stronnictw politycznych rosyjskich od r. 1905 i o reformie agrarnej (praca ta była zatytułowana „Demokratyzacja Rosji w ewolucji stronnictw i reformie agrarnej”, ale tytuł zmieniłem, jako nieodpowiedni; rękopis tej pracy jest obecnie w Warszawie u Wacława Wróblewskiego). Potem znów mnie niejaki Paknis od imienia litewskiej młodzieży esdeckiej angażował do odczytu. Ale projekty te nie doszły potem do skutku, a to że wybuchły zwłaszcza rozruchy studenckie. Teraz znów Paknis dopomina się o mój przyjazd — w tym to właśnie celu przyszedł Sadkowski z towarzyszem, jadącym do Petersburga. Zaproponowałem im zamiast tamtej pracy opracować dla odczytu rzecz nową, dotyczącą specjalnie stosunków krajowych, a więc żywszą, aktualniejszą i ciekawszą, mianowicie o ruchu ludowym białoruskim i o równoległych próbach nacjonalizmu rosyjskiego do oparcia się w kraju na ludowym elemencie białoruskim. Za podstawę wziąłbym mój artykuł wczorajszy o „nowych formach nacjonalizmu rosyjskiego” w kraju i rozwinąłbym go w stosunku do ruchu białoruskiego. To też zrobiłem tę propozycję Sadkowskiemu i towarzyszowi jego i dałem im do przejrzenia mój artykuł wczorajszy, aby się zorientowali, czy nie w tym rodzaju by się nadawał. Jutro mam się z nimi ostatecznie rozmówić.
Wieczorem byłem u Bumy-Dmochowskiego i przyjąłem od niego księgi ~~[illegible]~~ i rachunki kasowe „Lietuvių Dailės Draugijos”, której kasjerem jestem.

26 lutego
11 marca
rok 1911.
sobota

Zachodziłem przed obiadem do redakcji „Naszej Niwy”; zastałem Jełłowskiego, Iwana Łuckiewicza, Własowa i jakiegoś gościa — ziemianina z gub. Mohylowskiej x). Ciekawa była rozmowa. Ziemianin ów, twierdząc, że na Białej Rusi wschodniej, prawosławnej, język białoruski w młodszym pokoleniu ludu całkiem zanika na rzecz [skreślone] rosyjskiego, zwracał uwagę, że jednak niezależnie od języka naród białoruski, jako taki, niewątpliwie, zamiast języka, się zachowa i nie stopi się z rosyjskim, bo różnice między białorusinami a rdzennymi Rosjanami zachodzą głębsze niż językowe: są to różnice kultury dziejowej, nawet oprócz zdarzenia jego, różnice rasy; białorusini są europejczykami; białorusini-chłopi, siedząc w zwartej masie i stosując wyraz „ruscy” do siebia, bo nie widzą innych rosjan, nie mają kryterjum do rozróżniania; dopiero gdy się zetkną z rosjanami, gdy pojadą do Moskwy, do Petersburga, gdy przekroczą dawną granicę Rzeczpospolitej, dopiero wtedy uwydatnia się głęboka różnica między nimi a rosjanami, staje się też dla nich widoczna; tenże białorusin, który w masie swej mówi o sobie „ruscy”, — gdy się znajdzie na gruncie moskiewskim rosyjskim, nie zawsze zowie siebie inaczej, jak „lach”, „polak”, „z Polszczy”; głęboki kulturalno-rasowy rozdźwięk między białorusinem a rosjaninem ujawnia się przez nich samych przy zetknięciu się wprost instynktowo. A oto ciekawy i charakterystyczny [skreślone] obrazek, zacytowany przez tego pana: ktoś z Mohylowskiej czy Czernihowskiej guberni sprowadza corocznie dla jakichś czynności dużą ilość robotników; robotników tych lokuje w barakach, osobno dziewki, osobno chłopcy; baraki są sąsiadujące; ów obmyślił on ciekawy i, jak twierdzi, nader skuteczny sposób zapobieżenia rozpuście; w baraku męskim lokuje [skreślone] w najbliższym sąsiedztwie dziewek-białorusinek chłopców-moskali, a dopiero za nimi chłopców-białorusów; chłopcy-moskale przez zazdrość samczą nie dopuszczają białorusów do dziewek, dziewka zaś białorusinka żadnemu chłopu-moskalowi się nie odda. W inteligentnej klasie obcowanie płciowe jest międzynarodowe, [skreślone] ponieważ w tej klasie kult zmysłowy [skreślone] zupełnie zagłusza, niż w ludzie, formy; ale w ludzie prostym w współżyciu wyrażają się najgłębsze pociągi i sympatje — stąd tam głębokie różnice rasowe są zaporą, są antytezą współżycia. Bądź co bądź zdanie tego pana bardzo mnie zastanowiło. [skreślone] Co do zaniku języka białoruskiego, to Jełłowski, Łuckiewicz zaś przeczą temu procesowi. Może on bywa miejscami, ale rozwój ruchu ludowego białoruskiego paraliżuje go; a że tak jest i że ruch ten sięga ludu i szerzy się w nim, na to mają w „N. Niwie” nader ciekawą i doniosłą statystykę nadsyłanych do redakcji korespondencji od włościan z całego kraju.

Po obiedzie był u mnie Stankowski. Ostatecznie ustaliliśmy, że pojadę do Petersburga z odczytem; termin ustaliliśmy na marzec, na 10-tego.

Wieczorem byłem na dorocznym zebraniu członków polskiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk” [skreślone] w lokalu Towarzystwa Lekarskiego. Ponieważ przedstawiciela władzy nie było, więc zebranie odbywało się w języku polskim (ostatnie

x) Jak się nazajutrz dowiedziałem — był to pan Emanuel Bułhak, grubo bogaty pan z Mińszczyzny, szeroko znany, oryginał, głowa dobra, ale dziwaczna.

(2 zebrania doroczne — w r. 1909 i w r. 1910 — odbyły się po rosyjsku [illegible])

27 lutego / 12 marca
rok 1911.
niedziela.

Jak doniosły wczorajsze depesze Agencji telegraficznej Petersburskiej, opublikowane dziś w pismach, zamknięte zostały wszystkie litewskie towarzystwa księżowskie w Kownie i gub. kowieńskiej; a więc za jednym zamachem upadło „Saulė”, „Blaivybė”, Związek organistów, towarzystwo wydawnicze św. Kazimierza i szereg innych. Senat uznał, że towarzystwa te, jako mające charakter i dążenia wyznaniowe, nie odpowiadają ustawie 4 marca 1906 i że przeto nie mogły być w drodze regiestracji utworzone. Formalnie stanowisko senatu jest słuszne, o ile tylko te towarzystwa mogą być uznane za religijne, co właściwie nie jest ściśle, bo choć były one w ręku księży i miały cechę klerykalną, jednak cele ich bezpośrednio religijnemi nie były. W gruncie rzeczy jednak, niezależnie od stanowiska formalnego, jest to poprostu nowym przejawem represji i tak też niewątpliwie rozporządzenie to zostanie przez opinję w kraju przyjęte. Represja, dotknąwszy wpierw towarzystw oświatowych polskich oraz towarzystw postępowych świeckich litewskich, dobrała się i do klerykalnych litewskich, tnąc je cięciem cesarskiem. Największa szkoda „Saulė”. Było to bądźcobądź jedyne zorganizowane prywatne towarzystwo oświatowe, a choć kierownictwo było w ręku księży, jednak niewątpliwie towarzystwo miało zasługi oświatowe. Miało kilkadziesiąt szkółek w gubernji z nauczycielami litwinami, miało w Kownie zorganizowane kursa nauczycielskie. Strata dla litwinów, dla szkolnictwa ludowego, dla kultury w kraju przy naszych słabych narzędziach takowej — dotkliwa. Ale niechże stąd nacjonaliści litewscy wniosek wyciągną, niechże mają nauczkę i przestrogę, czym jest rząd i jaki jego kierunek. Są poszlaki, że nasi wileńscy nacjonaliści litewscy, zwłaszcza „viltisowcy”, wdali się w tych czasach w pewne dość znaczne konszachty z nacjonalizmem rosyjskim i jego filarami krajowymi na warunkach „do ut des”. Choć wiem tylko ze źródeł prywatnych i publicznie tego twierdzić nie mogę, ale pono grono litwinów (Bassanowicz, Smetona, Miecz. Dowojna-Sylwestrowicz) konferowali z bawiącym w Wilnie Filewiczem (znanym kresowo-rosyjskim „działaczem” nacjonalistycznym spod ciemnej gwiazdy); zdaje się też, że są pewne zupełnie świadome przejawy czynnej sympatji między nacjonalistami litewskimi a Stołypinowskim „Towarzyszów Siłujno”, która jest organem najczystszego nacjonalizmu rosyjskiego i i która ma sobie plecy i kombinacje w Moskwie z światowymi sferami petersburskimi. „Towarzysz Siłujno” ma stałą rubrykę ze stosunków litewskich, w który popierał koncepcję nacjonalistyczną ruchu litewskiego; „Viltis” i „Lietuva” dały wzmianki sympatyczne o „Tow. Siłujnu”; między pismami temi nastąpiła wzajemna wymiana grzeczności. Rubryka ze stosunków litewskich jest w „Tow. Siłujnu” prowadzona przez litwina; a choć litwini zapewniają, że to sobie tylko pojedyńcza jednostka, jednak sądzę, że to nie jest tak sobie „dopocina”; mnożą się oznaki gotującej się przez kuchnię polityczną ugody nacjonalizmu litewskiego z rosyjskim, a przynajmniej jakiejś ugody, pewnej entente cordiale. Oczywiście, że ceną tej ugody będą w pierwszej linji białorusini („Nasza Niwa”). Oni będą musieli płacić koszta tej ugody.

28 lutego
13 marca.
rok 1911.
poniedziałek.

Podwieczorem przyszła Malwina, odwieczna zaufana sługa Teściowej mojej, i powiedziała, że Teściowa mnie prosi, abym do niej po godz. 7 przyszedł. Stawiłem się. Teściową zastałem poruszoną, smutną. Pierwszą mi oznajmiła nowinę — dobrą, że u Cesi ząbek już jeden wyrósł. Druga nowina niespodziana, przykra: Regina wynosi się na stałe z Wilna do Cytowian, gdzie sobie w miasteczku domek wynajęła. Sama Teściowa dowiedziała się o tym niespodzianie. Zawiadomiła ją o tym Regina przed paru dniami listownie, jako o fakcie dokonanym. Treść tego listu Reginy (nie czytałem go, cytuję jeno ze słów Teściowej) taka: Regina pisze, że środki jej są na Wilno za szczupłe a ponieważ musi zmienić mieszkanie (podobno podwyższono jej komorne) a że i doktor [illegible] uważa dla niej wyjazd z miasta za pożądany, więc postanowiła się z Wilna wynieść; chciała zamieszkać w Trokach, lecz Eugieniusz poradził przenieść się do Cytowian, gdzie w miasteczku jest do wynajęcia dom z ogródkiem, co też Regina uczyniła. Jakie są istotne motywa i szczegóły tego projektu — Teściowa nie wie. Wezwała mnie Teściowa pod sekretem, chcąc mnie o tym uprzedzić, ale zobowiązała, że nie powiem nikomu, iż od niej się dowiedziałem. Teściowa przygnębiona, płakała. Zdaje mi się wszakże, że główny motyw przygnębienia Teściowej — to złość, że się wszystko robi bez niej i wbrew niej i że ona jest od steru odcięta. Reginy Teściowa w gruncie rzeczy nie lubi, ma do niej głębokie urazy, a jest zawzięta, pomna krzywd, mściwa. Już to niedaleko upadło jabłko od jabłoni. Ale w meritum sprawy Teściowa ma dużo racji. Mówi, że ten wyjazd Reginy odcina raz na zawsze ją od córki i małej wnuczki (Teściowa oczywiście jeździć do Cytowian o 8 mil od kolei nie jest w stanie) i odcina mnie też radykalnie dostęp do widywania dziecka (to racja). Jednocześnie jest to oczywiście zwycięstwo najzupełniejsze dla panny Elizy, która tam z Reginą pojedzie. Panna Eliza utrwala na zawsze swoje stanowisko; jest to finał wreszcie długich planów i zabiegów panny Elizy, jest to dla niej wreszcie zawinięcie do spokojnego brzegu.

Napisałem zaraz do Papy, prosząc, aby się zwrócił do Eugieniusza z zapytaniem o szczegóły, ze zwróceniem uwagi specjalnie na p. Elizę, i z kategorycznym zapytaniem, jak sobie wobec tego projektu Eugieniusz wyobraża wypełnienie danej obietnicy, że o ile będzie w jego mocy, on mi wyrobi możność widywania Halki. Wreszcie prosiłem, aby Papa zarządził dla mnie fotografii mej córeczki. Dania mi jednego czy nawet kilku widzeń dziecka przed wyjazdem — nie wystarcza mi. Co ja wiem, co może się stać z dzieckiem, gdy je wywiozą; mała dziecinka — to rzecz taka, nietrwała, krucha. Chcę mieć przynajmniej fotografię jej zawczasu — to i wspomnienie takie skromne, takie małe, a dla mnie to niebo całe. Prosiłem Papę, aby na tę fotografię bardzo nalegał.

60

1 (14) marca. rok 1911. wtorek.

Spotkałem dziś na ulicy dr. Zniewlicza, który mi oświadczył, że w tych dniach wybrany zostałem do rady nadzorczej „Obywatelstwa uprzemysłowienia". Kandydaturę moją postawili Bagiński i Krzyżanowski, ~~[illegible]~~ nie uprzedzając mnie i nic mi o tym po wyborach nie mówiąc. Wybór ten przyjąłem do wiadomości, aczkolwiek nie wiem, na czym rola moja polegać będzie — zdaje się, że to są funkcje rewizyjne. Nie pamiętałem nawet, że jestem członkiem tego towarzystwa, choć okazuje się, że tak jest; widocznie kiedyś przed paru laty mię wpisano, bo w ostatnich latach żadnych składek nie uiszczałem. Słyszałem o tym towarzystwie, wiem, że to towarzystwo poważne i demokratyczne, ale go bliżej nie znam. Jest to pono towarzystwo międzynarodowe ~~czyli~~ — czyli międzynarodowościowe, funkcjonujące na całym terenie państwa i mające sekcję w Wilnie. Będę czekał jakiegoś wezwania do pełnienia mych funkcji.

Od Witolda Abramowicza wziąłem odezwę w sprawie zatargów polsko-litewskich. Abramowicz bardzo niedołężnie zbierał podpisy, nic prawie nie robił; przez parę tygodni zebrano zaledwie 14 podpisów. Oj te niedołęstwo naszych „postępowców"! Oczywiście że kontragitacja esdeków z destrukcyjnym Wróblewskim i dość naiwnym Bagińskim na czele zaszkodziła tej odezwie. Ci zamiast coś lepszego zrobić, umieją tylko wygodnie krytykować i basta, choć niby w [illegible] sami potrzebę takiej odezwy uznają. Choć i ja też mam pewne zarzuty względem tej odezwy, ale skoro nie mam lepszej, to się piszę na tę, bo chodzi o samo wypowiedzenie się, a nie o talmudyczną ścisłość i drobiazgowość poszczególnych zwrotów stylistycznych. Zresztą pod zbyt wyraźną odezwą trudno skupić szersze grono osób, a tu chodzi nie tyle o zgodne grono jednomyślnych ludzi, ile o średnią publiczność. Cieszy mię, że esdecy litwini, jak Janulaitis i Wacław Biržiška, którzy odezwę tę znają, bo była na ostatnim „czwartku" u Wróblewskiego czytana i ostro krytykowana przez domorosłych esdeków, uznają, iż ona się nadaje, jako średnie i przeciętne wypowiedzenie się, jako ogólnikowe zaznaczenie protestu przeciwko nacjonalizmowi i klerykalizmowi tak polskiemu, jak litewskiemu. Spróbuję zebrać więcej podpisów, choć to już trudno, bo czas upłynął, kontragitacja esdeków rzuciła cień na odezwę i sam nie wiem, do jakich grup się zwrócić. A bez jakichś 30 podpisów jest ona słaba. Witold Römer przyjechał dziś z Moskwy. Zabawi w Wilnie z tydzień. Był u nas po obiedzie i na herbacie wieczornej.

Pisałem do Papy długi list w sprawie zarządu Mamaytkiów i działu. Znów nie wiadomo jak będzie w sprawie zarządu Mamaytkiów, bo Mieczyś Rotpanowicz cofnął Papie plenipotencję i między Mieczysiem a Papą nastąpiło nieporozumienie i rozdźwięk. Ale mniejsza już o zarząd, byle tylko dział mógł w tym roku dojść do skutku.

2 (15) marca rok 1911. Środa.

Zaniosłem dziś ową nieszczęsną odezwę w sprawie zatargu polsko-litewskiego — do Jeleńskiego z „Naszej Niwy" z prośbą, aby on pozbierał podpisy w kołach swoich znajomych Polaków. Ma on jakieś znajomości śród aptekarzy i t.d., których podpisy, jako wyraz przeciętnej właśnie opinii polskiej, są pod tę odezwą ~~[illegible]~~ najbardziej pożądane. Mnie osobiście, choć się pod nią podpisałem, tekst tej odezwy w redakcji Wł. Abramowicza nie zachwyca zbytnio, ale bez względu na (mniejszą lub większą) dokładność stanowiska uważam tę odezwę za pożyteczną; chodzi bowiem nie tyle o ścisłość wniosków, ile o samo wypowiedzenie się w kierunku stwierdzenia woli do zgody, do współżycia polsko-litewskiego. To jest główne zadanie takiej odezwy. Ustalenie dziś konkretnych i ścisłych założeń, na których się ta zgoda w sposób trwały oprze, jest trudne i tu każdy myślący obywatel kraju, zależnie od swego zasadniczego stanowiska przekonaniowego, może inne twierdzenia stawiać. Ale wspólną jest dla wszystkich postępowców krytyka klerykalizmu i nacjonalizmu oraz właściwie ta wola do zgody i współpracownictwa, tęsknota do sprawiedliwości. Z tego tytułu oceniam obecnie tę odezwę.

Wieczorem byłem na posiedzeniu Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Omawialiśmy kwestie, dotyczące otwarcia wystawy litewskiej, które ma nastąpić 19 b. m.. Lokal dla wystawy już jest, w sali b. „Lutni"; towarzystwo pracy społecznej, do którego lokal ten należy, ofiarowało go naszemu towarzystwu na wystawę. Mamy już dużo nadesłanych na wystawę dzieł artystów oraz wyrobów sztuki ludowej:

Dzień dzisiejszy minął dość bezbarwnie. 3 (16) marca. rok 1911. czwartek.

Rano towarzyszyłem koledze Srajewskiemu, jako świadek, przy wypłacie u rejenta w pewnej jego sprawie między nim a jakąś klijentką jego; biedny Srajewski wpadł w pułapkę jakiejś szczwanej starej baby-klijentki, zrobił jakąś nieostrożną wypłatę z jej pieniędzy spadkowych nawet za jej piśmienną zgodą, ale przed zatwierdzeniem jej do spadku, i teraz musiał ~~powtórnie~~ zwracać jej te pieniądze, płacąc powtórnie z własnej kieszeni i zachowując jeno wątpliwe prawo regresu do tej osoby, której ~~pieniądze~~ spłacił tę sumę pierwotnie. Suma gruba, koło 700 rb.; biedny Srajewski krucho się ma materjalnie, a tu jeszcze taki casus.

Wieczorem Witold Römer zaprosił mię do siebie na herbatkę; częstował wódką, przekąską, herbatą. Mieszka w jakichś obskurnych chambres garnies przy ul. Wileńskiej; dokoła same kurwy, dość niskiej kategorji; jakieś tam dwie przylazły do jego numeru częstować się wódeczką i przekąską, ale Boże odpuść — co za lafiryndy. Nie warte grzechu!

4/17 marca rok 1911. piątek

Spotkałem dziś w cukierni Sztrala Kamilkę Römerównę i od niej się dowiedziałem, że Stefan Römer, syn Bolesławostwa jest w Wilnie u rodziców na całkiem wolnej stopie. Wiedziałem, że jesienią został aresztowany w Wiedniu pod zarzutem jakichś szantażów, które uprawiał wespół z szajką swych towarzyszy. Wtedy po zaaresztowaniu go ujawniło się, że jest on w Rosji poszukiwany, jako będący pod zarzutem zbrodni fałszowania podpisu rodziców na wekslach (było to w r. 1906, gdy Stefan sfałszował weksli na 40000 r.). Po ujawnieniu tego Austrja postanowiła wydać Stefana Rosji. Sprawa o fałszowanie weksli była w prokuratorze w Kownie (większa część weksli była już przez Bolesławów w latach 1906–1910 wykupiona od wierzycieli i tylko kilka było w prokuratorze). Bolesławowie wtedy porobili wszystkie sprężyny, aby sprawę umorzyć, przyznać się do podpisów i ~~weks~~ pozostałe fałszywe weksle pospłacać; kosztowało ich to drogo starań; wreszcie Bolesławowa pojechała sama do Wiednia, w Kownie sprawę umorzono, i oto Stefan już ~~…~~ jest swobodny, ma prawo pobytu w kraju, nie potrzebuje się ukrywać. Ale zostać na stałe w kraju podobno nie zamierza; nie dziwię się: 1) trudno by mu było uporać się z opinją ~~…~~ w kraju, 2) dla jego obecnych przedsięwzięć i szachrajskich spekulacji trzeba szerszego lotu, a kraj, Litwa, Wilno to za ciasna dziury dla fantazji spekulacyjnej Stefana.

Przez cały prawie dzień byłem dziś zajęty układaniem statystyki prasy wileńskiej ~~…~~ od r. 1905–1911. Musiałem skreślić całkowity ~~…~~ w tych latach prasy polskiej, litewskiej, białoruskiej, rosyjskiej i żydowskiej w Wilnie. ~~…~~ Musiałem zanotować czas wychodzenia każdego pisma, jego kierunek i kierunek. Dla prasy litewskiej posłałem do redakcji „Viet. Ukininkasa", gdzie zrobiłem to z pomocą czytników redakcji, „Vilniaus Žinios" p. Pętkiewiczowej i innych. Dla prasy polskiej chciałem pójść do redakcji „Kurjera", dla żydowskiej do zakładu ... Wariniena.

Naszkicowałem więc sam z pamięci, a potem poszedłem do dr. Czarkowskiego, prowadzącego stale systematyczną bibliografię druków ~~…~~ polskich w Wilnie i porobiłem w niej szkice prasy polskiej, ostatek ... prasę białoruską pozostawiłem naturalnie łatwo, bo niewiele tam jest. Prasę rosyjską naszkicowałem tylko z pamięci i to jeno bieżącą, w stanie obecnym, bez układu historycznego. Prasę żydowską, hebrajską i żargonową przepisałem z notatki Sterenickiego. Robota ta wypełniła mi dzień cały do godz. ... wieczorem. Wykonałem ją na prośbę Studnickiego do porządku tegoż „Tygodnika Wileńskiego". W ~~…~~ tym ukaże się ... i z tego praca. Tygodnik, będący rzeczywiście pismem ponadpartyjnym, jest u nas jedynym organem, w którym mogą pisać ludzie i z lewicy, i z prawicy.

5 (18) marca, rok 1911. ~~sobota~~ sobota.

Pod wieczór przyszedł do mnie Ferdynand Ruszczyc w sprawie „Tygodnika Wileńskiego", którym Ruszczyc się bardzo zajmuje i w którym kieruje działem artystyczno-ilustracyjnym. Przyszedł dla pomówienia ze mną poważnie o zorganizowaniu akcji udziałowej na „Tygodnik". Chcą oni oprzeć byt pisma na udziałach, ale nie w postaci spółki udziałowej, ~~tam w po~~ na szerszych zasadach, lecz w postaci zdobycia ~~[illegible]~~ jednego lub kilku grubszych mecenasów, ~~który~~ którzyby zainteresowali i których stałe wsparcie pozyskali. Wskazałem mu kilku takich ewentualnych, których by się dało na takie mecenasostwo ewentualnie pozyskać, mianowicie np. Władysław Komar z Bejsagoły, Antoni Chrapowicki, Karol Zabiełło, p. Stefiacki z Bikliczy, p. Emanuel Bułhak. Ruszczyc był pełen komplementów i atencji dla mnie, zaprosił mnie do siebie, zaprosił na swe „poniedziałki"; słowem — był uprzejmy aż do gorzkości. Widocznie te parę prac moich, wykonanych dla „Tygodnika" do Nr jutrzejszego, dały „tygodnikowcom" wrażenie, że pozyskają we mnie „swego" człowieka. Proponował mi też Ruszczyc napisanie czegoś do przyszłego Nr, który będzie poświęcony specjalnie wystawie litewskiej i ma nawet pono w podwójnej objętości się ukazać ze względu na obfitsze reprodukcje artystyczne.

Wieczorem przyjechał do Wilna Stefan Mieczkowski i u mnie się zatrzymał.

O godz. 8 z białorusinami z „Naszej Niwy" Jeleńskim i Iwanem Łuckiewiczem poszedłem na zebranie postępowego kółka uczniowskiego. Młodzież ta żyje i rośnie w kraju, a mało co o stosunkach krajowych wie. Są to wszystko niepodległościowcy polscy; starają się oni poznać stosunki w Polsce, orjentować się w układzie politycznym polskim, tam też w Polsce zakładać punkty wyjścia dla swej myśli polityczno-społecznej, wzorów dążeń i ideałów. W stosunkach zaś krajowych błądzą poomacku, nie znają ich, nie umieją się w nich orjentować; a to właśnie główna rzecz, bo tu w kraju mieszkać będą, tu będą kiedyś działać czynnie. Te niezmiernie ciekawe i doniosłe procesy przewrotów społecznych i narodowościowych, które w Litwie i Białej Rusi dokoła nas pulsują, procesy, których skutki będą się coraz bardziej uwydatniać i zmieniać oblicze kraju, są dla oka przeciętnego widza bardzo mało znane. A przecież w nich, w tych nierozwiązanych się procesach tkwi utajona zaklęta przyszłość naszego kraju. Kto chce w kraju tym i zachować swój byt żywotny i nie stracić gruntu pod nogami, ten musi się z tymi procesami liczyć, musi je poznać, zajrzeć konkretnie im w oczy i zastosować się do nich, określić świadomie swój stosunek do tych procesów. To też witać należy wszystko, co tej naszej krajowej inteligencji polskiej otwiera oczy na kraj. Jeleński mówił dziś dla niej referat o historji Białej Rusi, ze szczególnym [illegible] białoruskiego i o społecznym ruchu ludowym białoruskim. W dyskusji zabierali głos Łuckiewicz i ja. Postanowiono na przyszłą sobotę urządzić specjalne zebranie dyskusyjne w tym zakresie i zaprosić na posiedzenie kółka [illegible] z [illegible] oprócz Łuckiewiczów i Jeleńskiego, z litwinów Janulaitisa i Iłżewicza, z polaków mnie i Bogowskiego Ludomira.

6/19 marca. rok 1911. niedziela.

Rano byłem z Maryńką u Żmujdzinowiczów, gdzie się zebrał zarząd Litewskiego Towarzystwa Artystycznego dla rozsegregowania nadesłanych okazów litewskich artystycznych wyrobów ludowych na mającą się rychło otworzyć wystawę. Okazów tych jest powódź. Barwne paski, fartuchy, naszycia paciorkowe i t.p. przeważają. Wyrobów rzeźbionych z drzewa w tym roku mniej. Olbrzymie zbiory pasków, fartuchów i t.p. nadesłał Dr. Staugaitis z Suwalszczyzny. Przez parę godzin pracy zdążyliśmy przejrzeć i rozsegregować zaledwie część pasków i fartuchów, do innych zaś rzeczy nie zdążyliśmy się nawet zabrać. Przepiękne są zwłaszcza paski; co za bogactwo indywidualnych pomysłów na tle układu przeważnie tych samych rodzajów zasadniczych motywów i barw; jakie szlachetne subtelne poczucie kolorystyczne! Wielka rozmaitość barw i odcieni, ale zawsze w tonach poważnych i w szlachetnym doborze wrażeniowym. Znać w tych wyrobach wrażliwą, skupioną i głęboką naturę litwina. Niema jaskrawości, ani cienia zamaszystej rozlewności i jaskrawej bulatyki ostrych krzyczących barw. Tej roboty jeszcze skończyć nie byliśmy w stanie, a każdy z nas jest poza tym zajęty, więc dokończenie segregacji zleciliśmy osobno Żmujdzinowiczowi.

Potem poszedłem do Sądu na konferencję adwokatów z prawa cywilnego. Tam spotkałem się z Bagińskim, który zaczął mi robić wymówki za to, że umieściłem moje prace w „Tygodniku Wileńskim". Zwłaszcza robi mi on zarzut za artykuł prawno-społeczny o uwłaszczeniu włościan. Zdaniem jego „Tygodnik" ma bądźcobądź barwę nacjonalistyczną i z tego względu ludzie przekonań demokratycznych nie powinni go zasilać, bo stwarzają szkodliwe złudzenie, że kierunek nacjonalistyczny godzi się ze stanowiskiem demokratycznym. Rozumiem i podzielam te zdanie, ale nie w stosunku do tygodnika i do moich artykułów, w nim umieszczonych. Przedewszystkiem „Tygodnik W." jest dotychczas eklektyczny; choć w niektórych artykułach w nim zamieszczonych jest zapaszek nacjonalistyczny, ale dotychczas pismo, jako takie, barwy żadnej określonej nie ma — raczej probuje ono stać się pismem li tylko ogólnokulturalnym, poświęconym ilustrowaniu zabytków przeszłości, przyczynków do kultury i t.d. O ile pismo zdoła się na tym gruncie utrzymać i rozwinąć, nie widzę przeszkody do współpracownictwa z nim. Z moje też artykuły, które mogą mieć za możliwe tam umieszczać, mają taki sam charakter przyczynków do historji czy objawów kultury w kraju.

7 (20) marca. rok 1911. poniedziałek.

Po wieczór przyszedł Iwan Łuckiewicz i oznajmił mi, że w niedzielę miejscowa loża związku masońskiego postanowiła mnie przyjąć do swego łona. Podobno jeden tylko „brat” na tym posiedzeniu podnosił zarzut przeciwko mnie, mianowicie ten, że lubię zahulać; ale przyjęty zostałem jednogłośnie. Podobno od miesiąca, odkąd zaszła mowa o mym przyjęciu, byłem śledzony i badany przez 2 „braci” — oczywiście że bez mej wiedzy. W następną niedzielę wieczorem mam być zaprowadzony na posiedzenie koła, tam mam wypełnić na piśmie odpowiedzi na jakieś 4 pytania, następnie mam być z przepaską na oczach wprowadzony do sali, tam indagowany i badany i o ile moje wyznanie wiary będzie zgodne z zasadami organizacji, o ile sam się przekonam do tych zasad i przyjęty przez „braci” zostanę, — o tyle przepaska zostanie mi zdjęta i wstąpię w poczet koła. Jeżeli to tylko się nie okaże szopka, jeżeli to nie jest niedowarzone przedsięwzięcie garstki marzycieli czy maniaków, lecz istotny związek masoński, to całym sercem się do tego związku przygarnę i z nim zespolę.

Wieczorem byłem u kolegi Torchowskoja na zebraniu adwokatów. Rzecz jest taka. Po śmierci Montwiłła adwokat Sumorok został dyrektorem Banku, Znaczyński na miejsce Sumoroka juryskonsultem tegoż Banku. Ponieważ Znaczyński był dotychczas juryskonsultem miasta Wilna, więc po otrzymaniu przezeń innej posady, posada juryskonsulta miejskiego zawakowała. Pomocnikiem juryskonsulta miasta Wilna jest od lat 8 Klott. Otóż Klott liczył, że jego teraz juryskonsultem mianują. Tymczasem Zarząd miejski, pomijając Klotta, dał nominację Malińskiemu; są wskazówki, że pominięcie Klotta i nominacja Malińskiego zostały dokonane na interwencję adwokatów Znaczyńskiego, Strumiłły i Sumoroka, u których Maliński jest w specjalnych łaskach i zawsze wszędzie przez nich protegowany i wpychany. Ten postępek starszych kolegów i krzywda Klotta spowodowały dzisiejsze nasze zebranie. Na zebranie te przybyli: Piłsudski, Janulaitis, Abramowicz, Smajewski, Kimont, Grynwald, Kołłowski, Ligi, Łęckowicz, Stackiewicz, Biriszka, Bagiński, Houwalt, Kryżanowski, Torchowskoj, Wyszyński, Dmochowski, Kruszewski i ja. Klott, — czując się dotknięty przez pominięcie go, ma się podać do dymisji ze stanowiska pomocnika juryskonsulta, ale ma wątpliwości co do skuteczności takiego protestu, jeżeli zaraz ktoś inny z kolegów to miejsce zajmie. Na zebraniu naszym wytoczyły się takie wnioski: jeden, popierany przeważnie przez Torchowskoja i Janulaitisa, — wyrazić potępienie dla postępku starszych kolegów, oczywiście po uprzednim sprawdzeniu ich roli w tej sprawie, i następnie ogłosić bojkot posady, którą Klott się usunie. Drugi wniosek, przeważnie Kryżanowskiego i Bagińskiego, — ogłosić posadę pod bojkotem, nie wyrażając oceny postępku starszych kolegów. Bojkot został uchwalony większością. Co zaś do potępienia postępku starszych kolegów, to tego ostatecznie nie załatwiono, ale na gorącą interwencję Torchowskoja postanowiono tej kwestji nie pogrzebać, a wezwać tych 3 starszych kolegów — Znaczyńskiego, Strumiłłę i Sumoroka — wysłuchać ich i wypowiedzieć się o ich postępku. Torchowskoj tak nawet daleko kładzie nacisk na zachowanie się starszych kolegów, że z tego wyciąga bojkot. Moim zdaniem — bojkot przedewszystkiem, jako skierowany przeciwko patronowi — Zarządowi Miasta, za krzywdę zawodową, wyrządzoną Klottowi. Tu my powinniśmy stanąć na stanowisku solidarności zawodowej i z tego zażądać wycofania. A potępienie dla starszych kolegów — swoją drogą.

8 (21) marca rok 1911. wtorek.

Wieczorem byłem na zebraniu zarządu „Żiburėlis'a" w redakcji „Lietuvos Ukininkas'a". Omówiliśmy z paniami Bortkiewiczową i Żmujdzinowiczową wszystkie bieżące sprawy Towarzystwa. Często się widuję z p. Bortkiewiczową i mam dla niej wielki feblik. Jest to jedna z najsympatyczniejszych osób, które znam w Wilnie. Jest sprytna, niezmiernie energiczna i czynna, zdążająca zawsze najkrótszą drogą i z żelazną konsekwencją do celu, a przytem pełna kobiecości i wdzięku i niezłomna miłośniczka Swobody i Postępu. Zaiste ta kobieta wciąż żłobi ~~z~~ bieg życia, wszędzie na całym ogromie zapoczątkowań wyciska ~~~~ piętno swego czynu.

Elizka Komorowska przyjechała dziś wieczór do Wilna i u nas się zatrzymała. Przypadkowo w tych dniach mamy zgromadzenie rodzinne. Witold Römer bawił w Wilnie od dni kilku i wciąż do nas zachodził (zdaje się, że dziś wieczorem już wyjechał), Stefan Mieczkowski od paru dni też jest, Elizka dziś przyjechała, Papa jutro ma przyjechać.

9 (22) marca. rok 1911. środa.

W sądzie gawędziłem dziś z Witoldem Abramowiczem; człowiek ten, który dawniej do r. 1905 brał czynny udział w nielegalnej robocie politycznej i był jednym z szefów PPS-u w Wilnie, teraz jest zupełnie poza wszelkim ruchem, zamknięty wyłącznie w zawodowej pracy adwokackiej. Usunięty został poza nawias ruchu politycznego siłą rzeczy, bo pozostał pepesowcem starej daty, to znaczy typu „frackiego", podczas gdy r. 1905 wykreślił u nas w kraju ten kierunek; w obozie socjalistycznym pozostali u nas na widowni tylko esdecy, polscy i litewscy. Ale Abramowicz nie jest zadowolony ze swego bezrobocia politycznego, zachował z dawnych lat tęsknotę do działania. Teraz byłby z niego materiał na ludowca, oczywiście w sensie inteligenta-ideologa, kierunku zbliżonego do Zygmunta Nagrodzkiego, to znaczy z odcieniem narodowym polskim. Pali się Abramowicz do roboty śród tutejszej polskiej młodzieży postępowej i do roboty ludowej. W początkach takiej roboty ludowej mógłbym iść ręka w rękę z takimi ludźmi, jak on, jak Nagrodzki, bo robota ta jest u nas zaniedbana a pilna, aczkolwiek przewiduję, że w dalszej ewolucji, gdyby się wyłonił pierwiastek nacjonalistyczny, co jest możliwe w pracy takich ludzi, musiałbym z nimi zerwać. Abramowicz wciąż myśli o wydawaniu zbiorowej jednodniówki, o czym dziś z nim rozmawialiśmy. Jest to właściwie mój dawny projekt, ale Abramowicz, który do żadnej innej roboty nie jest zaangażowany, wciąż nad tym medytuje, jak to urzeczywistnić. I może coś do rzeczy konkretnego wymyśli. W każdym razie podoba mi się to, że chce on tę myśl oprzeć nie na tych samych ludziach, którzy już od kilku lat wciąż się od czasu do czasu zbierają dla omawiania projektu pisma i już nawet sami nie wierzą w to, o czym gadają, ale na [illegible] ludziach nowych, nietkniętych przez demoralizację [illegible] powszechnej (?).

Wieczorem u Żmujdzinowiczów (?) zebraliśmy się w kilka osób i pisaliśmy katalogi wystawy litewskiej w 3 językach.

10 (23) marca. rok 1911. czwartek.

W sądzie dowiedziałem się, że ~~[illegible]~~ Klott nie podaje się do dymisji z posady pomocnika jurysskonsulta miasta Wilna; Klott przyjął przeproszenie Malińskiego, ekskuzy adwokatów Strumiłły, Znamierowskiego i Szumorska, tłómaczenie się prezydenta miasta Niedziałkowskiego i został, a Maliński zostaje jurysskonsultem. W tych warunkach kwestja zachwalonego przez nas bojkotu posady pomocnika jurysskonsulta upada. Moja opinja taka, że Klott się spaskudził i spaskudził całą sprawę. Klott powołuje się na przymus warunków materjalnych. Ostatecznie zapewne, że mu dogodniej mieć o 1200 czy 1500 rubli więcej rocznie, ale przymusu w ścisłym znaczeniu niema, bo Klott ma jakąkolwiek ustaloną praktykę prywatną, ma żonę niebiedną; ale już Klott jest dziś opierzonym filistrem i wygodę swoją ceni, a za nim stoi żona czystej krwi burżujka. Zdolny Klott, inteligentny, sympatyczny, ale zmarniał już całkowicie przez swą miękkość, sobkostwo, filisterskie wygodnisiostwo życiowe. Postąpiono z nim po świńsku, a gdy spostrzeżono, że opinja kolegów się poruszyła i może ugodzić ✱ i zdemaskować chamów, ugłaskano Klotta ekskuzami; ugłaskanie Klotta wytrąciło oręż z rąk kolegów, a to, co ~~[illegible]~~ nepotyzm kliki dokonał, zostaje nietknięte i przez samego Klotta usankcjonowane: Maliński jest jurysskonsultem, Klott — jego pomocnikiem. Wprawdzie Torchowska chciałby jeszcze niezależnie od tego, aby opinja kolegów wypowiedziała się o zachowaniu się starszych kolegów, ale oczywiście że już teraz to znaczenia mieć nie będzie, bo uczynek tych kolegów jest przez ten fakt, że Klott przyjął ekskuzy i pogodził się z faktem, zatuszowany. Już nawet dziś wśród kolegów ~~[illegible]~~ wyrok potępienia na uczynek starszych kolegów nie zapadnie; wrażenie już osłabione, a że większość adwokatów, nawet młodszych — to ~~[illegible]~~ ostatecznie karjerowicze zawodowcy, dla których zmysł społeczny czy solidarność czy sprawiedliwość — to furda, a ci starsi koledzy, tacy jak Znamierowski, Szumorok, Strumiłło — to potęga i siła, z którą się trzeba liczyć a zadzieranie niebezpieczne, więc większość jest rada znaleźć wybieg, aby nie wyrażać ostrych potępień dla tych panów. A przecie ten fakt, że Klott zostaje, to wybieg najlepszy, osłabiający ostrze wszelkich potępień. Tak się to robi korupcję.

W Banku Papa i ja spotkaliśmy się z Eugieniuszem. Potwierdził on wieść o przeniesieniu się Rapiny do Cytowian, obiecał zrobić dla mnie fotografję Kaśki.

Wieczorem ze Stefanem ~~[illegible]~~ Mieczkowskim i Iwaneum Łuckiewiczem byłem na skating-ringu w ogrodzie Botanicznym. Byłem tam poraz pierwszy; wrotkowanie ślicznie wygląda, jest bardzo zgrabnym, eleganckim ruchem. Szczególnie pięknie jeździła na kółkach jedna czarna wysoka smukła dziewczyna o twarzy napewno, ~~prosta~~, giętka, piękna — smukła jak struna ~~[illegible]~~ wyciągnięta. ~~[illegible]~~ Ta była najpiękniejsza. Jazda jej była artyzmem, była plastyką. Piękna jeździła instruktorka-łyżwiarka w krótkiej sukience — ta jeździ [illegible], ale mniej [illegible] piękna, o [illegible].

11 (24) marca rok 1911. piątek.

Spotkałem się dziś w sądzie z Tadeuszem Wróblewskim, który wszczął ze mną długą rozmowę na temat jego ewentualnej kandydatury do czwartej Dumy. Powiada Wróblewski, iż go wciąż interpelują jego znajomi, merytorycznie endecy, jak Bronisław Umiastowski, dr. Węsławski, Putkamer, ~~i~~ i ~~inni~~ wyrażając mu pożądaność nabycia przez Wróblewskiego kamienicy w Wilnie. ~~A~~ Posiadanie kamienicy daje cenzus wyborczy z I kurii miejskiej. Ale ci panowie nie mówią nic Wróblewskiemu o jego ewentualnej kandydaturze, jeno wciąż w kółko twierdzą, że byłoby dobrze, aby nabył kamienicę. Otóż ja już w zeszłym miesiącu słyszałem, że grono ~~post~~ t. zw. „postępowców” (nazwałbym ich raczej „realistami” czy zachowawcami, bo są to tacy „postępowcy”, jak Dembowski, Mich. Węsławski, Tugutski i t. p.) zwracało się do Władki Józefa, jako wodza Endecji w Wilnie, z propozycją takiego podziału mandatów, żeby Wróblewski przeszedł z I kurii, a kandydat endecki, obecny poseł X. Maciejewicz z II kurii. Na tym gruncie zawiązały się podobno istotnie rokowania i potem doszło do mych uszu, że pakt stanął. Słyszałem też, że rokowania te toczyły się bez udziału Wróblewskiego (żeby bez jego wiedzy — w to wątpię, choć bardzo możliwe, że bez jego sankcji). Otóż to, co mi dziś Wróblewski powiedział, potwierdza zupełnie te wieści. A więc znaczy, że pakt wyborczy endeków z umiarkowanymi zachowawcami („postępowcami” w endyzmowie) pod sztandarem „Wróblewski + Maciejewicz” doszedł istotnie do skutku, i Wróblewskiego obie strony, bo i endecy naciskają, aby pakt usankcjonował. Wróblewski się waha, orientuje się w konstelacjach, boi się fałszywego kroku i widocznie ~~pytał~~ stara się wybadać opinię rozmaitych ludzi i grup. Niewątpliwie też takim badaniem, takim „macaniem” ufię była jego dzisiejsza ze mną długa o tym rozmowa. Wróblewski w rozmowie ze mną wyrażał się bardzo ostrożnie o tych kombinacjach, jako podstawie do jego kandydatury. Twierdził w sposób kategoryczny, że taka kombinacja wyborcza jest niedopuszczalna dla niego. Powiada, że gdyby chciał tylko przejść do Dumy, to ma drogę zupełnie zapewnioną w gub. kowieńskiej, gdzie ma mandat w kurii ziemiańskiej; ponieważ podług ustawy wyborczej z d. 3/XI 1907 jeden poseł musi być wybrany koniecznie z kurii ziemiańskiej, więc gdyby Wróblewski kandydował, to wyborcy włościańscy i miejscy, czyli Litwini i Żydzi, mający w gub. kowieńskiej większość ~~nad~~ wyborcami ziemiańskimi ~~nie~~ nie wahaliby się, zdaniem Wróblewskiego, między nim a jakimś Zawiszą i przeforsowaliby go swymi głosami. Co do mnie, to trochę wątpię, żeby Litwini z Żydami zechcieli na Wróblewskiego głosować, bo zaufania oni u niego nie mają; wątpię też, czy Wróblewski zechciałby przejść głosami litewsko-żydowskimi przeciwko szlachcie — dobre to głoszenie ogólników, ale wystąpienie na wyborach wyraźnie contra szlachcie, to się po Wróblewskim nie pokaże. Ale może na zapas Wróblewski tę kombinację w rezerwie trzyma i w związku z nią uprawia ten swój flirt z esdekami litewskimi. W każdym razie, jak widać, Wróblewski jest mocno zajęty kwestią kandydowania do IV Dumy. Choć mówi, że postawę nie przyjął i nie widzi potrzeby, choć się zarzeka od wszelkiej solidarności z tymi kombinacjami, które się przez jego przyjaciół z endekami układają, jednak sądzę, że w głębi serca Wróblewski karjery politycznej chce i kandydować myśli, a forma kandydowania taka, która będzie możliwa i dla Wr. niekompromitująca, znajdzie się.

12 (25) marca rok 1911 — sobota

21.

Z Papą pojechałem z wizytą do stryjenki Izydorowej. Wizyta ta stanowi urzędowe zamknięcie tych wszystkich zajść, jakie miały miejsce w roku zeszłym na tle mojej separacji. Długo się opierałem tej wizycie pomimo nalegań Papy, bo choć z Eugieniuszem jeszcze się od jesieni pogodzili, jednak widziałem poważne skrupuły co do bywania w rodzinie nieboszczyka stryja Izydora; pierwszy wzgląd był ten, że w roku zeszłym Eugieniusz pani Ostrowska zamknął wstęp do domu jego rodziców; uważałem więc, że niezależnie od pogodzenia się osobistego mego z nim, należałoby, aby [illegible] mi wyraźnie cofnął i odwołał to swoje zeszłoroczne zamknięcie domu przede mną; drugi wzgląd ten, że Staś Römer, brat Eugieniusza, stale się dotychczas nie wita ze mną, już nawet po pogodzeniu się moim z Eugieniuszem. Ale ostatecznie zgodziłem się dla względów rodzinnych pójść, gdy Eugieniusz parokrotnie zapewnił Papę, że to, co w zeszłym roku napisał, samo przez się już teraz upadło po dokonanej zgodzie i zlikwidowaniu tych zajść, a więc i dom jego matki i jego są teraz zawsze dla mnie otwarte, i gdy wczoraj stryjenka Izydorowa w rozmowie z Elizką Komorowską na zwrócenie przez Elizkę uwagi, że Staś się ze mną nie wita, oświadczyła, że to pochodzi chyba tylko z krótkiego wzroku; choć wiem, że to tylko wykręt, ale w każdym razie urzędowo niewitanie się Stasia zostało zaprzeczone. Zastaliśmy z Papą stryjenkę i Eugieniusza; rozmowa na wizycie była mała; dowiedziałem się, że moja Ceśka ma już 2 ząbki.

Wieczorem Białorusini z „Naszej Niwy" Iwan Łuckiewicz i Jeleński, litwini redaktor „Liet. Žinios" ludowiec Sławewicz i esdek Janulaitis, i ja poszliśmy na zebranie dyskusyjne do kółka uczniaków-postępowców. Zebrania było ściślejsze, uczniaków i uczennic było 15–20. Uczniacy ci, „postępowcy", są to socjaliści-narodowcy, łączący ~~[illegible]~~ doktrynę socjalistyczną z gorącym szczeciowym patriotyzmem polskim i są wyznawcami idei Niepodległości Polski. Cel dzisiejszego zebrania dyskusyjnego był taki: jakie są zadania i jaka rola postępowców i demokratów polskich w kraju, to znaczy w Litwie i Białej Rusi. Uczniacy ci stoją na tym stanowisku, że się uważają za tubylców w Litwie i Białej Rusi, za jakichś pobytowców czy kolonistów, związanych nie z krajem, lecz z Polską etnograficzną, dla której swe siły i swą pracę społeczną poświęcić w przyszłości pragną. W tym właśnie duchu wypowiadali się ich ref. i przywódca, uczniak Niedziałkowski (syn wiceprezydenta Wilna), oraz drugi uczniak Śmoliński. Większość uczniaków i uczennic zabierała głosu; ~~[illegible]~~ mówiliśmy tylko my, inteligienci-goście, dwaj wyjajowszczenkowani uczniacy i jeszcze uczniak Flott i uczennica Kobylińska. Białorusini Łuckiewicz i Jeleński zajmowali stanowisko więcej nacjonalistyczne, dowodząc, że robota demokratyczna tutaj będzie powinna być przede wszystkim narodowa ✗ w kierunku budzenia świadomości narodowej białoruskiej lub litewskiej, a dopiero potem ~~[illegible]~~ na tym już fundamencie społeczna. Żądali oni bezwzględnie od młodzieży

✗ polskiej, chcącej pracować w kraju, aby taką właśnie była ~~[illegible]~~ jej robota. ~~[illegible]~~ Z uczniaków, przynajmniej, umiał tych, którzy głos zabierali, tylko uczennica Kobylińska zdawała się to stanowisko podzielać. Janulaitis natomiast i uczniak Flott podkreślali społeczny czynnik w robocie demokratycznej ludowej; Janulaitis był konsekwentny i, podkreślając czynnik społeczny, traktował język także lub owak, tylko jako narzędzie, uważając za potrzebne stosować białoruski tam, gdzie lud białoruski i t. p. Uczniak Flott natomiast, podkreślając czynnik społeczny, popełniał niekonsekwencję, bo jednocześnie wyraził wyznawanie hasła Niepodległości Polski, które przecież w robocie społecznej wśród ludów białoruskiego i litewskiego a nawet „tutejszego" język(?) polskiego zastosowania żadnego mieć nie może; jest to niekonsekwencja zwłaszcza w ustach tego, który zwalczał unarodowienia białoruskiego, jako pozostające w stadium roboty społecznej. Wyszedł już na razie takie unarodowienia białoruskie, nie czynnik społeczny charakteryzujący wśród ... polskiego. Moje stanowisko, jakie zajmowałem w dyskusji przy zabieraniu głosu, cytować nie będę, bo ono jest samo przez się widoczne z tego, co tu piszę. Sławewicz mówił dobrze, zajmując stanowisko, uwzględniające i społeczny i narodowy czynnik ludu.

[illegible]

Ciekawy byłby dzień a raczej wieczór dzisiejszy do opisania, ale zrobić tego nie mogę. Związany bowiem jestem przysięgą ~~do~~ milczenia. Od dnia dzisiejszego w życiu moim będzie jedna gałęź działalności, która musi pozostać w bezwzględnej tajemnicy. Pragnąłbym ją utrwalić, ale zrobić tego nie mogę. Nie należy dla lekkomyślnego gawędziarstwa czy też dla utrwalenia wspomnień swoich narażać na szwank dzieło, które jest poważne i może być w upragnione skutki brzemienne. Zresztą dzieło te nie jest wyrazem chwili, jeno trwałym ciągłym działaniem, które się dziś dla mnie dopiero zaczęło i upłynie odtąd w przyszłość nieznaną.

13 (26) marca. rok 1911. niedziela.

—— Nocnym pociągiem o północy wyjechałem z Wilna ze Stefanem Mieczkowskim. On pojechał do siebie, do Bobertowa, ja ~~do~~ przez Jaroszkowicze do Chełmicy do Marii Wołodkowicza, gdzie już mię czeka Papa i stąd mamy potem do Narzymtów jechać.

14 (27) marca rok 1911. poniedziałek.

Po źle przespanej nocy w ~~wag~~ przepełnionym wagonie III klasy, stanąłem o godz. 6 rano w Radoszkowiczach i ruszyłem wnet najętą furmaneczką do Chełmnicy. Mróz, śnieg dokoła, ale już skowronek śpiewa, raz po raz się budzi słoneczny, marcowe słoneczko coraz wyżej, coraz goręcej świeci. W Chełmnicy zastałem Kazia Wołodkowicza i Papę. Wkrótce przyjechał nocujący w Nowym Dworze Mieczyś Bohdanowicz i wszyscy czworo pojechaliśmy do Mamyłtów, gdzie też zastaliśmy Mieczysia Tukałłę. Był to zjazd (trzech) plenipotentów (Papy, jako plenipotenta Mamy, c. Kasi Tukałłowej i c. Lusi Wołodkowiczowej, Miecz. Bohdanowicza, jako plenipotenta c. Masi Bohdanowiczowej i w swoim własnym imieniu, i Miecz. Tukałły, jako plenipotenta c. Bozi) dla zarządu Mamyłtów. My z Kaziem Wołodkowiczem byliśmy tylko ubocznymi świadkami, gośćmi (co do mnie, to pojechałem na życzenie Mamy, aby być przy Papie i ewentualnie mu doradzać lub pomagać). Poraz pierwszy byłem w Mamyłtach; majątek ładnie usytuowany, las piękny i rozległy dokoła, miejscowość urozmaicona, ale rezydencja całkiem opuszczona, w ruinie. Mieczyś Bohdanowicz był w obradach arbitralny, gburowaty, chamem — jak zawsze; właściwie dyktował Papie, co chciał; a Papa z gołębią naiwnością ustępował we wszystkim, co się Mieczysiowi podobało; żadnego planu, żadnego swego projektu Papa nie posiadał; a najgorzej, że się Papa nie w tych interesach nie orjentuje, jest jak baranek stropiony, bez oporu, bez woli. Miecz. Tukałło trzymał początkowo całkiem z Bohdanowiczem, a jeszcze był od niego wstrętniejszy (bo taki sam cham, ale w dodatku [illegible] o wiele głupszy (bo Bohd. w interesach mądry). Ja się nieco wstrzymałem, bo ostatecznie nic złego się nie stało, choć wszystko było robione pod dyktaturą Bohdanowicza

Dziś upłynęło 8 miesięcy od dnia urodzenia córeczki mojej — Celinki.

15 (28) marca rok 1911. wtorek.

Pół dnia spędziłem w Chełmnicy u Maria Wołodkowicza, po obiedzie zaś pojechałem do Siemkowa do Chełchowskich. Naturalnie nie zastałem ich w domu. Obejrzałem więc pałac w Siemkowie, zapoznałem się z małą córeczką Zuśki, Łucką czyli, jak ją nazywają, — „Bobulinką" — śliczne dziecko, urodne, zmyślne, ładne, rezolutne. Pałac w Siemkowie — to rezydencja wielkopańska; postawiony przez wojewodę Chmarę w w. XVIII. Siemków przeszedł do rąk Chełchowskich po Chmarach; właściwie spadek po Chmarach należałby się tak Chełchowskim i Protasewiczom, którzy go wzięli, jak i nam, t.j. Zabiełłom i Römerom. Prababka moja, Katarzyna Kobylińska, Pustowska z domu, rodziła się z Karnickiej-Chmarzanki, córki Joachima Chmary, brata wojewody i dziedzica Siemkowa i Meleszkiewicz. Gdy lat temu ze 30 umarł ostatni Chmara, wnuk owego Joachima, prababka Kobylińska otrzymała 40000 spłaty i zrzekła się udziału w spadku, który został przyjęty przez Chełchowskich i Protasewiczów. Po śmierci prababki Kobylińskiej córka jej a moja babka (matka Papy) Witalja 1° voto Michałowa Römerowa i 2° voto Aleksandrowa Żukowska zaczęła dochodzić sądownie swego udziału w tym spadku po Chmarach, korzystając z tego, że prababka Kobylińska urzędowego dokumentu zrzeczenia się nie wydała. I istotnie w r. 1901 sąd okręgowy miński przyznał prawo spadkowe mej babce. W tym samym roku babka Witalja umarła, nie doczekawszy egzekwowania spadku; wskutek jej śmierci sprawa została zawieszona; Chełchowscy i Protasewiczowie apelacji na wyrok sądu mińskiego nie wnieśli i wyrok przeto, po 3-letnim zawieszeniu otrzymał moc prawną. Papa wszakże sukcesji po babce Witalji nie przyjął, bojąc się długów, więc nie mógł też skorzystać z wyroku mińskiego. Przed paru laty był projekt, aby Papa zrzekł się formalnie spadku po babce, a wtedy jabym spadek ten przyjął i mógł się upomnieć o należną część z funduszu po Chmarach z mocy wyroku mińskiego. Potem wszakże projektu tego zaniechałem, gdym się dowiedział, że prababka Kobylińska otrzymała już w swoim czasie faktyczną spłatę. Tak o mało co nie zostałem się współwłaścicielem Siemkowa.
W godzinę po mnie przyjechawszy wrócili z Mińska oboje Chełchowscy, Bronisław i Zuśka. Wieczór upłynął na miłej gawędce.

16 (29) marca, rok 1911. Środa.

Do wieczora spędziłem czas w Siemkowie. Zunka Chełchowska (Wołodkowiczówna z domu, moja cioteczno-rodzona siostra) była dla mnie niezmiernie miła i uprzejma. Z Zunką znamy się od lat dziecinnych i zawsze byliśmy ze ~~sta~~ sobą na stopie bardzo bliskiej, prawie jak brat i siostra — kiedyś za lat dziecinnych w Wilnie, potem przez długi szereg lat corocznie w Kasuni u Babuni Tyszkiewiczowej, w Nowym Dworze. W gruncie rzeczy nie lubię charakteru Zunki, nie szanuję jej, bo jest chytra, przewrotna, egoistka wyrafinowana, ale mamy zawsze słabość do Zunki przez wspomnienia dawne, jako do towarzyszki dzieciństwa; Zunka jest bardzo inteligentna i umie być, gdy chce, bardzo miła, serdeczna, uprzejma. Wojciech Chełchowski, mąż Zunki, to człowiek światły, zrównoważony, wysoce kulturalny; w młodości był socjalistą, teraz, jako dziedzic wielkiego majątku, przestał nim być, ale pozostał postępowym; jest to zawołany gospodarz, pracowity i dzielny obywatel kraju.

Ciekawych rzeczy się dowiedziałem od Zunki o Mieczysiu Bohdanowiczu i Nusi. Już od lat paru słychać było, że Jaś Borowski z Łukawca jest zakochany w Nusi i że jej bardzo asystuje. Nusia młoda mężatka, piękna, działająca na zmysły, mogła ~~m~~ męża swego do szału doprowadzić. Ja sam się kochałem w niej, jeszcze jako w pannie, mocno kochałem; kochał się też w niej przez czas jakiś Ludwiś Wołodkowicz a potem i wujaszek Ignaś Tyszkiewicz. Z Jasiem Borowskim, który był w łaskach u męża Nusi, Mieczysia Bohdanowicza, i który nieodstępnie wisiał przy Nusi, wywiązała się u Nusi „une intimité” bardzo ścisła. Są wszelkie wskazówki, że „intimité” ta dochodziła do pożycia. Jaś Borowski zaczął myśleć o rozwodzie Nusi z Mieczysiem i ożenieniu się z nią. Mieczyś był ślepy na to wszystko, widocznie zbyt pewny siebie. Mieczyś tolerował takie rzeczy, że Nusia zajeżdżała do Łukawca i nocowała tam, że Borowski ciągle siedział w Obodowcach nawet w nieobecności Mieczysia, że Nusia przesiadywała tygodniami w Wilnie sama, mieszkając w hotelu obok numeru Borowskiego. W korespondencji poufnej między Nusią a Borowskim pośredniczył Mieczyś Tukałło. Wydał się przed Mieczysiem Bohdanowiczem wykryty przez kochankę Borowskiego, piękną [illegible], stającą. Ta doniosła Mieczysiowi B. o wszystkim i powiedziała mu, że mu zatelefonuje, gdy Mieczyś Tukałło list poniesie. Zatelefonowała razu pewnego. Gdy Miecz. Tukałło przyjechał, Mieczyś B. zażądał od niego pokazania listu. Ten odmówił, lecz gdy Bohdanowicz pogroził skandalem, list pokazał. Borowski pisał tam o rozwodzie. Bohdanowicz kazał oddać list Nusi, nie jej nie mówiąc, że wie o nim. Potem zażądał od Nusi pokazania listu. Ponieważ w liście nie było nic o pożyciu Borowskiego z Nusią, jeno o rozwodzie, więc Mieczyś B. stanął na gruncie, że nie między nimi nie zaszło, jeno zażądał od Borowskiego, aby natychmiast na czas jakiś wyjechał za granicę, co ten istotnie zrobił.

Wieczornym pociągiem wyjechałem z Siemkowa przez Kalatę do Wilna.

Większą część dnia do wieczora spędziłem 17 (30) marca.
w Mińsku. Na obiedzie byłem u wu- rok 1911.
jostwa Wołodkowiczów. Wuj chory, na czwartek.
jakieś ostre bóle newralgiczne w krzy-
żu i w nodze; przez długi czas był le-
żący, teraz wstaje i może przejść się po
pokoju, ale bardzo mało; zamie-
szkał z ciocią w klinice dr. Zucker-
mana, ale mieszka tam swoim dwo-
rem, ma własną służbę, własnego ku-
charza. Główne zajęcie wuja — to
wybieranie brylantów na pierścionek
zaręczynowy dla syna, Olesia, który
się żeni z młodziutką (17-letnią) i
bogatą panną Protasewiczówną z Zasta-
wia. Ciągle przychodzą do wuja Żydzi,
przekupnie brylantów; wuj ma już całą
kolekcję brylantów, które trzyma na prze-
chowaniu, ogląda je, porównywa, aże-
by wybrać najlepsze, targuje się z Żydami.
Jest to wrodzone amatorstwo wuja.
Zachodziłem też do Ludwisia Wołodkowicza.
Zastałem tylko jego, żony zaś, Cesi, której
ciekaw byłem, nie zastałem.
Godzinkę spędziłem na wystawie obrazów,
urządzonej w Mińsku przez towarzystwo „Ognisko”.
Piękna wystawa, dobry dobór dzieł; śliczne
są obrazy i szkice Henryka Weyssenhoffa, są obrazy
i utwory sztuki stosowanej ([illegible]), szkice, ry-
sunki (po oficerów) Ferdynanda Ruszczyca, obrazy
Czurlanisa, Zmudzinowicza, jest Włodz. Tetmajer,
Brandt i wiele innych. Dużo jest rzeczy ze zbio-
rów prywatnych. Wogóle wystawa doborowa.
Wieczornym pociągiem o godz. 6 wyjechałem do Wilna,
gdzie stanąłem po godz. 11.

18 (31) marca rok 1911. piątek.

Długą dziś miałem w sądzie rozmowę z Bronisławem Krzyżanowskim. Mówiliśmy o tych zadaniach, które są dziś do wykonania przez zorganizowaną planową robotę w państwie. Krzyżanowski wahał się i ostatecznie się nie zdecydował.

Jutro otwiera się wystawa litewska. Wobec tego byłem wieczorem w lokalu, gdzie się urządza wystawa (t. j. sala „Lutni" w dziedzińcu bankowym). Robota wre. Żmujdzinowiczowie, p. Janowa Vileišisowa, Piotr Rymsza i inni krzątają się, rozwieszają obrazy i wyroby sztuki ludowej, robią korekty katalogów i t. p. Przez czas mojej nieobecności szukali mnie oni i wciąż się dopytywali o termin mego powrotu, bo byłem im potrzebny, jako kasjer Towarzystwa, i potrzebny do pomocy przy urządzeniu. Stadnicki i Puszczyk też mnie szukali i też byli z powodu mego wyjazdu podrażnieni, bo liczyli na moją pracę do bieżącego numeru „Tygodnika Wileńskiego", który będzie poświęcony specjalnie Litwie etnograficznej z okazji wystawy. Żałuję bardzo, że z powodu wyjazdu nic do tego numeru nie dałem.

Wieczorem ciepło; deszcz; błyskawice; pierwsza burza w tym roku.

19 marca
1 kwietnia
rok 1911.
sobota.

Od rana byłem zajęty na wystawie litewskiej, która została dziś o południu otwarta. Przyczepiałem numerki katalogowe do poszczególnych obrazów, porządkowałem i układałem zbiory wespół ze Żmujdzinowiczami, Rymszą, p. Janową Vileišisową i innymi. Przed samym otwarciem w południe przyszedł cenzor i policja. Musiałem ich przyjąć w charakterze członka zarządu i urzędowego przedstawiciela „Lietuvių Dailės Draugijos". Cenzor przyglądał się zbiorom, badał, czy nie zawiera czegoś „nielegalnego", to znaczy mającego cechy polityczne lub patrjotyczne litewskie. Starał się być pedantycznym, a był zaiste śmiesznym. Szczególną uwagę jego zwrócił obrazek Čiurlanisa, przedstawiający nagiego mężczyznę w koronie, siedzącego w fotelu na skrawku kuli, mogącej przedstawiać kulę ziemską, i wpatrzonego w jakąś wizję, uplastycznioną na dalszym planie obrazka; obrazek ten przedstawia pomysł projektu kurtyny dla klubu litewskiego „Rūta"; jak wszystkie rzeczy Čiurlanisa, ma on charakter wybitnie impresjonistyczny, wizjonerski, pełny subjektywizmu wrażeniowego. Otóż cenzora obrazek ten zaniepokoił; czy ten mężczyzna siedzący w koronie na fotelu, to jakiś książę litewski lub król; a może to jakiś car, którego artysta chciał pod osłoną symboliki ośmieszyć; ~~[illegible]~~ może to ~~[illegible]~~ symboliczna karykatura polityczna? Poco ta korona na głowie i czy ten fotel to nie tron i dlaczego ten mężczyzna jest nagi? Uspokajałem cenzora, jak mogłem, tłomaczyłem, że to jest li tylko impresjonizm wizjonerski, ale cenzor jednak zupełnie się nie został uspokoił i więcej chciał się dobitnie poinformować, cóż właściwie ten obrazek znaczy. Wogóle w krajobrazach i portretach najniewinniejszej treści cenzor wciąż węszył, czy się nie dopatrzy jakichś aluzji politycznych. Przy przeglądaniu katalogu działu sztuki ludowej cenzor zapytywał, czy pod nazwiskami włościanek i włościan eksponentów nie ma jakichś osób politycznie skompromitowanych, jakichś wybitnych działaczy czy działaczy narodowych, których nazwisko może być zasłonięte przez te podpisy i nazwiska. Wprost komedja! Uspokoiłem go, że to są włościanki i włościanie, nie mający z polityką nic wspólnego i że zresztą nie możemy kontrolować politycznej „prawomyślności" naszych eksponentów.

Policja też była nudna. Mieliśmy pozwolenie od policmajstra, żeby chorągiew wystawowa, zawieszona na prospekcie przy wejściu do dziedzińca bankowego, była na białej płachcie z napisem literami koloru błękitnego; tymczasem zmieniliśmy potem chorągiew w ten sposób, że na płachcie błękitnej naszyliśmy litery białe. Otóż ta policja podniosła kwestję, czy to dopuszczalne; zapytywała, jakie są litewskie barwy narodowe, dlaczego to zmieniono, projektowano pierwotnie białą, ma być płachta błękitna i ostatecznie trzeba było znowu jechać do policmajstra, aby się zgodził na zmianę płachty białej na błękitną. Wystawa piękna, ale już brak miejsca do pisania o niej.

O godz. 8-mej wieczorem byłem z Marynią i jej dziatkami na „skating-ringu". Wieczór do późnej nocy spędziłem z Szypiarowskim na rozmowie w wiadomej sprawie. Z rozmowy rad jestem. Skuteczna.

20 marca
2 kwietnia.
rok 1911.
niedziela.

Niedziela, dzień jasny słoneczny, to też na wystawie litewskiej frekwencja wielka. Wystawa zdobyła sobie odrazu dobrą renomę i sympatję publiczności wileńskiej. Pisma zamieściły o niej wzmianki przychylne; „Tygodnik Wileński" wydał z powodu wystawy specjalny # litewski podwójnej objętości, cały poświęcony Litwie etnograficznej i sztuce litewskiej, bardzo piękny #, z kilkudziesięciu ilustracjami. Wogóle wieść o wystawie litewskiej rozeszła się po mieście szeroko i sympatycznie. Ilość sprzedanych dziś płatnych biletów wejścia wyniosła ogółem 114 (w tej liczbie 93 bilety dla dorosłych i 21 uczniowski; w to nie wliczone są wejścia bezpłatne rozmaitych osób honorowych, dziennikarzy i członków Litewskiego Towarzystwa Artystycznego); katalogów sprzedano w języku polskim 31, litewskim — 29 i rosyjskim — 10 (ciekawe to, że ilość sprzedanych katalogów litewskich prawie że nie ustępuje ilości katalogów polskich). Tranzakcje zakupu eksponatów postępują wcale dobrze; wczoraj i dziś sprzedano dużo wyrobów ludowych, zwłaszcza prześlicznych pasków; z obrazów najlepszym popytem cieszy się Żmujdzinowicz, choć to są przeważnie płótna wielkie i drogie, dalej Kalpokas, Varnas. Na wystawie tegorocznej przepiękny jest dział sztuki ludowej, bardzo wzorzyste tkaniny, paski, fartuchy, kapy, ręczniki. Ten dział — to przecież, jest słuszną dumą twórczości narodowej litewskiej. Dział sztuki czystej wygląda też wcale dobrze z punktu widzenia artystycznego, choć ilość eksponentów-artystów nie zbyt wielka. Królują Żmujdzinowicz z wielkiemi płótnami (najpiękniejszy okaz — to portret jego żony). Nader cenna jest piękna kolekcja przerysowanych przez Jaroszewicza krzyżów litewskich.

21 marca / 3 kwietnia. rok 1911. poniedziałek.

W dniu dzisiejszym nie mam prawie nic ciekawszego do zanotowania. Powszedni dzień.

Spotkałem się z Antonim Hrehorowiczem, który ~~mię~~ mi stręczy pewien gruby proces do rozpoczęcia. Obiecuje mi do 10000 rb. honorarjum za (skuteczne) przeprowadzenie tego procesu, ale na początek trzeba wyłożyć 3000 rb. na koszta sprawy — z własnej kieszeni. Ze słów Hrehorowicza proces ten wygląda pewny, choć jest zawikłany, ale zmysłowi Hrehorowicza do interesów wierzyć nie można. Jest to człowiek rozumny, ciekawy, z charakterem i temperamentem, indywidualność bujna, ale warjat nieobliczalny. Spróbuję pogadać z Iwanem Łuckiewiczem, który jest obrotny i lubi się puszczać na przedsięwzięcia spekulacyjne dla pomnożenia środków na społeczną robotę białoruską. Jeżeli Łuckiewicz będzie mógł wytrzasnąć pieniądze, to dokumenta do tej sprawy wystudjujemy i, o ile sprawa się okaże uzasadnioną, zabierzemy się do niej.

22 marca.
4 kwietnia.
rok 1911.
Wtorek.

Kupiłem dziś na wystawie litewskiej 8 pięknych pasków wyrobu ludowego z gub. suwalskiej. Będzie to podwalina mego zbiorku, który sobie z czasem dość kompletuję.

W czasie, gdym był na wystawie litewskiej i siedział przy stoliku z panią Janową Vileišisową, do sali weszło grono osób, śród których były pani Maksimowiczowa i Hela Boerner-Ochenkowska. Z p. Maksimowiczową, starą zawodową plotkarką, nie witam się od roku wcale, odkąd ona, za czasów zrywania się mego małżeństwa, pod wpływem gawęd Reginy i panny Elizy Courtot, których jest przyjaciółką, zaczęła roznosić po mieście plotki i niestworzone wymysły na mnie, urządzając sobie umyślny sport z ogadywania mnie. Jest to wstrętna baba, o której mi zresztą tyle chodzi, co o śnieg przeszłoroczny. Natomiast z Helą Ochenkowską stosunek jest inny. Helę cenię i mam dla niej dużo szczerej sympatji i uznania, nietylko jako dla artystki, lecz też jako dla człowieka i pięknej a zarazem dzielnej kobiety. Nie zachwycam się wcale „literaturą" Heli, lecz mam głębokie uznanie dla jej szlachetnej, ~~dumnej~~, humanitarnej i artystycznej, (ekscentrycznej, nieco zmanierowanej) ~~[illegible]~~ natury. To też mię szczerze i serdecznie bolało to, że Hela, ~~[illegible]~~ z którą mię łączyła zawsze nić sympatji, odwróciła się ode mnie w czasie moich bolesnych zeszłorocznych konfliktów małżeńskich i w czasie mego zatargu z Engieljusem. ~~[illegible]~~ Dotknęło mię to zwłaszcza z tego względu, że Hela nie spróbowała nawet zwrócić się do mnie po wyjaśnienia i poprostu z lekkiem sercem potępiła mię pod wpływem li tylko gawęd mego otoczenia. Na ukłony moje przy spotkaniu odpowiadała ostentacyjnie, dawała mi poznać wyraźnie, iż mię od siebie odsuwa, lekceważy mnie i potępia. Tego jej nie wybaczę, dopóki kiedykolwiek się z nią nie rozmówię i wszystkiego nie powiem jej wręcz o jej zachowaniu się. Od jakiegoś czasu Hela szuka okazji zbliżenia się do mnie, zatarcia poprzedniego chłodu, wykazania mi, że się znowu do mnie przyjaźnie odnosi. Ale ja znów tak skory do zapominania krzywdy i obelgi nie jestem, dopóki między nami szczera rozmowa nie nastąpi i dopóki Hela sama tej rozmowy nie wywoła.

Umiałaś, Helo, mię dotknąć, to też umiej dać mi satysfakcję. Obelga nie spływa z mej pamięci i sumienia tak łatwo, jak woda z gęsi. Raz jeszcze na ulicy zauważyłem przy spotkaniu ruch taki ze strony Heli, jakby chciała podejść do mnie, ale ja ją minąłem. Dziś na wystawie litewskiej sama podeszła do mnie, przywitała się serdecznie, ale ja, pocałowawszy ją w rękę, nie miałem ochoty do ~~[illegible]~~ serdecznego reagowania na jej serdeczność i cofnąłem się. W pół godziny potem stałem na ulicy i rozmawiałem z Tyszkiewiczem, gdy Hela przejechała mimo dorożką, wpatrując się we mnie, żebym ja, choć też na nią patrzałem, nie ukłoniłem się jej wcale.

23 marca / 5 kwietnia rok 1911. dzień środa.

Rano zaprowadziłem Stefusia
na wystawę litewską. Ja tam cho-
dzę codzień, bo, jako kasjer „Dżie-
tuvių Dailės Draugijos", muszę
codzień inkasować dochód dzien-
ny z wystawy. Wczoraj i dziś,
ponieważ dnie są mroźne, po-
chmurne, brzydkie i powszed-
nie, dochód z wystawy niewielki.
Wspominał mi dziś Ba-
giński, który jest w Zarządzie wi-
leńskiej sekcji „Ruchu odpajoba-
nid", że sekcja ta zakrzątnęła
się teraz energiczniej nad ~~ob~~
zorganizowaniem działalności
oświatowej i odczytowej, skierowa-
nej do robotników i rzemieślników,
uczniów, inteligencji i szerokich
półinteligenckich mas. Mają
oni i mnie także do odczytów za-
angażować. Bagiński chciał mię
namówić do odczytu także na ju-
trzejszy „czwartek" lewicowy u Wróble-
wskiego, ale odmówiłem, bo na czwar-
tki te przestałem chodzić; robię to zu-
pełnie rozmyślnie. Dziś już zaczyna
się odczuwać pewien prąd żywszy, dynamiczniejszy w
skupianiu się ludzi i w robocie społeczno-polity-
cznej. Każdy zaczyna określać swój teren i środowi-
sko działania. „Czwartki" zaś te ~~...~~ utknęły na martw-
ym punkcie, stały się małym zbiorowiskiem garstki inteligen-
ckiej, a przeznaczeniem ich — dostarczyć pola do jałowych po-
pisów dialektycznych pana Tadeusza Wróblewskiego. Zatraciły one już
całkowicie swą wartość, a Wróblewski jest klasycznym destruktorem wszelkiej
żywej roboty. Obyż Wróblewski został prędzej wybrany do Dumy i opuścił Wilno!

Wczoraj z Iwanem Łuckiewiczem
byliśmy u Witolda Abramowicza.

24 marca
6 kwietnia
rok 1911.
czwartek.

Piętno milczenia nałożone na całą jedną wyż-
bitną i żywą dziedzinę mojego życia i
działania. Wypełnia ona w dużym
stopniu moją myśl i energię czynną,
ale śladu pisanego po sobie zostawić
nie powinna.
Czas jest teraz ciekawy. Powoli, z pewną
jeszcze ociężałością, ale już się [redacted]
prężą czynniki wolnościowe. W naszym
kraju i w jego ośrodku - Wilnie, gdzie
stosunki są niezmiernie ciekawe i zło-
żone, gdzie się poszczególne prądy wsze-
lakich zapoczątkowań przeplatają i ukła-
dają w mozaikowe przesłanki rozwoju,
wszczęcie fermentu wolnościowego wyda
niewątpliwie barwne i bujne owoce
czynu.
Dzień dzisiejszy zeszedł mi spokojnie
i cicho. Większą część dnia przesie-
działem w domu przy pracy.
Zwracał się do mnie wczoraj p. Choiseul,
właściciel większych dóbr w pow. tel-
szewskim z prośbą, abym mu wska-
zał kogoś z młodszych adwokatów, kto-
ryby się zgodził objąć u niego posadę
prywatnego juryskonsulta. Daje pensję
roczną 1000 - 1200 rb., mieszkanie we dwo-
rze, ordynarję, konie do wyjazdów; zas-
trzega, żeby porzucił adwokat [redacted] prak-
tyki prywatnej całkowicie się wyrzekł.
Chce mieć kogoś, kto się już trochę zna
w sprawach włościańskich i który wła-
da językiem litewskim. Ale zarazem taż
też się zastrzega, żeby to nie był „szowinista"
litewski lub ludowiec [redacted] krańcowych przekonań de-
mokratycznych, mogący „wichrzyć" i chcieć agitować. Skie-
rowałem go do młodego adwokata Tumenasa, osiadłego w
Jeziorosach, ewentualnie zaś wskazałem mu Wacława Birzi-
skę w Wilnie. Jak się dziś dowiedziałem, miał on zamiar mnie
tę posadę zaproponować, ale nie wspomniał mi nic o tym, bo wi-
docznie się spostrzegł, żeby mi to nie w smak poszło. I rzeczywiście — co za
myśl byłaby [illegible] mnie na tę posadę. Zakopać się w głębokiej prowincji, wleźć w
środowisko systemu administracji dworskiej, zaniechać pracy społecznej, w której się jestem
zaangażowany i którą cenię wyżej od adwokatury, dusić włościan w sporach na rzecz dworu.

25 marca
7 kwietnia
rok 1911.
piątek.

Dziś dzień na wystawie litewskiej bardzo udatny z powodu święta. Biletów płatnych wejściowych sprzedano 137, katalogów w języku litewskim 19, polskim — 23, i rosyjskim — 10. Zwiedzał wystawę Ferdynand Ruszczyc z całym orszakiem panien, które oprowadzał i którym dawał wyjaśnienia. Zwiedzali też przy mnie wystawę młodzi Rogowscy, to znaczy młodszy Rogowski-Spyrydzik ze swą piękną jasnowłosą narzeczoną, dziewczyną młodą i hożą, jak krew z mlekiem, skupioną w sobie i milczącą, ale niezmiernie żywą przez swą niepospolitą wyrazistość; jest to cud-dziewczyna, ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ zbudzająca we mnie zawsze jakiś niepokój, jakieś dziwne ~~[illegible]~~ skojarzenie piękna i poezji ty zmysłowej ze sfinksową tajemniczością głębi; jest zagadkowo milcząca i bierna, a jednocześnie tak czynnie wyrazista w rysach, spojrzeniu i uśmiechu, że aż strach; bałbym się jej; musi być pieszczotliwa i drapieżna, a zarazem po kobiecemu bierna. Młody Rogowski, mąż, brat Henryka, natura artystyczna i subtelnie wrażliwa; rozkochany w białoruszczyźnie, w motywach ornamentyki ludowej, w ~~[illegible]~~ bogatych przetworach twórczości ludowej i w swej cudnej dziewczynie-narzeczonej. Adwokat Powołocki zakupił dziś na wystawie 3 obrazy za 80 rb. Prócz litwinów na wystawę uczęszczają licznie polacy; natomiast rosjanie są źle usposobieni do wystawy tegorocznej, widocznie ~~[illegible]~~ w drodze reakcji przeciwko pewnemu serdeczniejszemu zbliżeniu polsko-litewskiemu, jakie się na tle tej wystawy chwilowo ujawniło.

Wieczorem byłem w teatrze polskim na 3-aktówce Zapolskiej — „Żywy kupidyn”. Sztuka tak marna, tak głupia, tak jałowa nawet w pomyśle, że naprawdę coś uboższego trudno sobie przedstawić. Jakkolwiek żywy talent Zapolskiej w tej sztuce nie dopisał.

26 marca
8 kwietnia.
rok 1911.
sobota.

Wieczorem w mieszkaniu pp. Janów Vileišisów zebrało się grono Litwinów dla wysłuchania pięknego odczytu literata prusko-litewskiego Storosty (pseudonim literacki: Vydunas). Obecni byli: dr. Basanowicz, Jan Vileišis z żoną, dr. Antoni Vileišis, Kunigdzinowicz z żoną, nerbiar Piotr Rymsza, dr. Domaszewicz z żoną, współredaktor „Viltis'a" ks. Tumenas, redaktor „Viltis'a" Antoni Smetona, Ludwik Gira, Simbutówna, Jastrzembska, p. Felicja Bortkiewiczowa, redaktor „Lietuvos Žinios" Šlażewicz, Jamulaitis, dzielny ludowiec kierownik „Lietuvos Ukininkas'a" Rimka, Wacław Biržiška, ~~Dalinas~~ Ellison, były poseł do I Dumy Kubilius, ja i parę innych. Pomiędzy Litwinami ja jeden polak, ale do Litwinów wielce zbliżony i z nimi w sprawach krajowych ręka w rękę idący.

Vydunas miał odczyt o pięknie, o twórczości artystycznej, o rytmie. Jest to ~~[illegible]~~ najwybitniejszy dziś literat w Litwie pruskiej, człowiek o głębokim zmyśle artystycznym i filozof-teozof, dążący do zrealizowania ~~[illegible]~~ całokształtu człowieka w sobie. Ideałem jego jest, by wszystkie władze psychiczne, tak umysłowe jak uczuciowe, człowieka zdobyły pełnię rozwoju i ~~[illegible]~~ osiągnęły w każdym osobniku równowagę stylu indywidualnego ~~[illegible]~~ odpowiedniego do uzdolnienia i natury poszczególnych ludzi. Słowem — chodzi mu o człowieka-artystę, a więc twórcę. Aby być artystą, człowiek musi posiąść całkowity rozwój i harmonię swych władz psychicznych, musi się realizować w doskonałym wszechstronnym rozwoju. Trzeba ~~być sobą~~ być sobą i manifestować siebie w najwyższym rozkwicie. To jest ideał, któremu służy cała działalność Vydunasa; jest to człowiek szczery; ideał ten nie jest dla niego tylko ideałem literackim, lecz wypełnia całą treść jego życia ~~[illegible]~~; Vydunas w praktyce żyje podług tego ideału, w nim się cały streszcza i jest wegetarjaninem, rozstrzyga zagadnienia religijne, doskonali i uzupełnia siebie we wszystkich kierunkach, jest sobą w każdym calu i w całokształcie. Na tym gruncie stołu istotnie stanął na wysokim szczeblu doskonałości ~~[illegible]~~ psychicznej. Jego odczyt o pięknie był wypowiedziany sugestywnie, bo wiele prostoty i szczerości, które zawsze ~~[illegible]~~ potrzeba, ma sugestji. Ideałem piękna jest dla niego udoskonalenie człowieka w rozwoju indywidualności.

Dopiero takie skupienie w doskonałym zespole wszystkich władz psychicznych stwarza następnie i sprawia wytworzenie całokształtu psychiki, z której jego wytwórstwa czyli dzieło, czyli takie powinno w sobie rytm, jest pięknem. To jest dzieło sztuki, artyzm.

Chodziliśmy z Marynią z wizytami do Adalków Bohdanowiczów, których nie zastaliśmy, do Wyllottów, których także nie zastaliśmy, i do Ztokockich. Nudne to zajęcie te wizyty urzędowej grzeczności; niektórzy w tym smakują, ale większość składających wizyty klnie je, narzeka, a jednak składa. My z Marynią ograniczamy wizytowanie do minimum, ale zupełnie się wyzwolić nie możemy, bo pewną garść stosunków konwenansowych, wynikających bądź z pokrewieństwa bądź ze znajomości towarzyskich, utrzymywać musimy. Co do mnie, to ja jedną nogą i to najmocniejszą stoję na gruncie ruchów i działań demokratycznych w kraju, to znaczy w świecie swobody i twórczości, lecz drugą nogą tkwię jeszcze w gruncie przeżytków starego świata, w środowisku, z którego pochodzę i z którym całkowicie nie zerwałem.

2 marca / 10 kwietnia rok 1911. niedziela.

Od g. 4 poszedłem z Maryńki dziećmi na wycieczkę za miasto. Pogoda piękna, słońce świeci, wiosna. Przeszliśmy przez most Zwierzyniecki, stamtąd brzegiem Wilji w kierunku Sołtaniszek. Woda w Wilji wysoka aż po brzegi urwiste; stokami tych brzegów urwistych musieliśmy się przesuwać, nie mogąc iść ani po szczycie brzegu ze względu na zabudowane tam wille i parkany [illegible], ani płaskim piaszczystym dołem u spodu, który jest teraz pod wodą; w paru miejscach przeprawa ta stawała się trochę ryzykowna. Wyszedłszy na brzeg sołtaniszkowy, gdzie się Stefek [illegible] rzucaniem żwirku do Wilji zabawiał, zaszliśmy przez Sołtaniszki do lasków [illegible]; tam usiedliśmy [illegible] chórów [illegible] na górach [illegible]. [illegible] wróciliśmy do Wilna. Wieczór był ciekawy i skuteczny.

Dzień był ciekawy i skuteczny. Miłość a swoboda oświecają nas istotnie. 28 marca / 10 kwietnia rok 1911. poniedziałek.

Poza tem dzień spędzony powszednio. Załatwiałem trochę interesa adwokackie, pisałem do Liedwilly, wieczorem byłem na herbacie u Kryżanowskich.

Moja projektowana jazda do Petersburga z odczytem nie dochodzi jakoś do skutku. Grupa litwinów-esdeków, studentów uniwersytetu petersburskiego, która mię do tego odczytu zaangażowała, dziwnie jakoś się zachowuje; w lutym przez jadącego do Petersburga ~~[illegible]~~ pewnego studenciaka, który się do mnie od tej grupy zwracał, zawiadomiłem, że gotów jestem do tego odczytu i że będę czekał wezwania. Ustaliliśmy już nawet z nim i z Sadkowskim temat odczytu, omówiliśmy szczegóły. Tymczasem po jego wyjeździe ani słówka od tego grona studentów nie otrzymałem. ~~[illegible]~~ Natomiast pisali oni parokrotnie, raz do Jamulaitisa, drugi raz do Wacława Biržiški, zapytując, czy gotów jestem do odczytu i czy mogę przyjechać. I Jamulaitis i Biržiška odpisali im, że czekam wezwania. I nic. Teraz już wątpię, żeby odczyt ten do skutku doszedł. Zaraz już święta, studenci się rozjadą i ja też na wieś wyjeżdżam. Po świętach zaś zbliży się rychło czas egzaminowy, kiedy się studenci do kucia zabiorą — nie czas już będzie na odczyty.

29 marca.
11 kwietnia.
rok 1911.
Wtorek.

Ponieważ odezwa od imienia postępowców polskich w sprawie waśni polsko-litewskiej, w końcu stycznia przeze mnie zaprojektowana, chybiła celu, bo dziś już te spory chwilowo przetrzęsiały i sama odezwa dość nieoczywiście się przedstawia, więc napisałem dziś artykuł w tej sprawie, który dam do „Liet. Žinios". Odezwa taka, jakiej chciałem, do skutku nie doszła z tego powodu, że wśród postępowców, których do tego kroku zorganizowałem, nie było solidarności. Wszyscy się godzili w zasadzie, że odezwa jest pożądana, że trzeba wystąpić z krytyką demagogicznej spółki klerykalno-nacjonalistycznej tak polskiej, jak litewskiej, i stwierdzić wolę do zgody. Ale przy omawianiu redakcji odezwy, zaznaczyły się rozdźwięki; przy większym staraniu rozdźwięki te dałyby się stopić w jakiejś redakcji zgodniejszej; nie były to rozdźwięki bez wyjścia. Dużo tu szkodziła podejrzliwość dogmatycznie-esdecka Bagińskiego, który więcej ma w tych rzeczach zdolności destrukcyjnych (czarował go tak umiejętnie esdeckim), niż konstrukcyjnych. Odezwa, którą potem z Krzyżanowskim przyjęliśmy w redakcji Abramowicza Witolda, była już sama przez się nie najlepsza. Bagiński, dopatrzywszy się w niej pewnych wykroczeń przeciwko prawowierności esdeckiej, trafnie dostrzegając klasowe przewagi, co jest zwykłe u wszelakich dogmatyków talmudycznych, zorganizował całą kampanię przeciwko tej odezwie i nieczystości potrafił zniweczyć całą akcję, poświęcając istotę sprawy dla dokładności jej szczegółów. Przesadził krytykę tekstu, zniechęcił nawet tych, którzy się na odezwę pisali, w ogóle zraził do całej roboty i stworzył odezwie tę atmosferę podejrzliwości. W tych warunkach zbieranie podpisów pod odezwą postępowało słabo i ociężale. Zebrało się w końcu 21 podpisów, ale podpisy przeważnie niezbyt, mało znaczące. A jeśli dziś i sprawa sama przetrzęsiała, straciła na aktualności. Opublikowanie teraz spóźnionej pompatycznej i długiej odezwy z garstką podpisów przed [illegible] ośmieszyłoby sprawę. To też odezwy tej publikować nie będę. Ale skądinąd pozostaje wobec Litwinów pozór, że ze strony Polaków postępowców nic się nie robiło, a więc że Polacy demokraci, nie reagując wcale na hece nacjonalistyczne, podczas gdy Litwini-demokraci zareagowali, pokrywają i akceptują je milczeniem. Wobec tego napisałem niniejszy artykuł, w którym przedstawiłem historię tej niedoszłej odezwy, żeby został ślad, że przecie coś się przedsiębrało ze strony polskiej i że rzecz upadła nie ze względów zasadniczych, jeno przez słabość i niedołęstwo obecne postępowców polskich.

Umarł Czurlanis, wybitny malarz i muzyk litewski. Ciało jego będzie jutro sprowadzone do Wilna. Od roku był już chory umysłowo. Wieczorem odbyło się z tego powodu w „Rucie" zebranie zarządu „Liet. Dailės draugijos" z udziałem Tumasa? i grona postronnych Litwinów. „Liet. Dailės draugija" wzniesie na swój koszt pomnik Czurlanisa. Klepsydra ma być wykonana podług pomysłu Rymszy; jedna z obwódek żałobnych klepsydry ma być czarną, a środek biały, symbol śmierci. Szkoda Czurlanisa. Wielka strata dla sztuki i muzyki litewskiej. Była podobno jeszcze nadzieja, że się uleczy z choroby umysłowej.

Poprzednio odbyło się w „Rucie" zebranie zarządów „Dailės draugijos" i „Mokslo draugijos" z udziałem grona jednostek luźnych w sprawie budowy litewskiego „Domu Narodowego" w Wilnie. Dotychczas zebrany jest na ten cel fundusz ze składek w kwocie przeszło 10000 rb. przez niespełna rok; rezultat dobry — zabiegliwi skrzętni Litwini robią swoje. Smetona i Jan Vileišis, którym polecone są funkcje wykonawcze w sprawie tego projektu, referowali o placach do nabycia pod budowę tego domu. Najodpowiedniejszy ze względu na cenę i na warunki uzyskania jego wydaje się im plac na Nadbrzeżnej, który też oni zalecają do nabycia.

30 marca / 12 kwietnia rok 1911. Środa.

Większą połowę dnia, bo od południa do godz. 6 wieczorem, byłem wciąż zaprzątnięty sprawą jutrzejszego pogrzebu ś. p. Czurlanisa. Koło g. 1 grono osób, Żmujdzinowiczowie, Jan Vileišis i ja z zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos", dalej artysta Ferdynand Ruszczyc, rodzina zmarłego w osobach jego ~~brata, stu~~ żony, jego brata, studenta politechniki warszawskiej, i wuja Czurlanisowej — ks. Jarulajtisa, proboszcza płungiańskiego na Żmudzi (b. posła do I Dumy z gub. kowieńskiej), i wreszcie pani Felicji Bortkiewiczowej i Sinkutówny, zebraliśmy się u Żmujdzinowiczów dla omówienia szczegółów pogrzebu. Ciało zmarłego dziś przyjdzie z Warszawy; eksportacja odbędzie się jutro o godz. 10 z dworca kolejowego ~~na~~ na cmentarz Rossa, gdzie, po odprawieniu nabożeństwa w kaplicy, nastąpi pogrzeb. Ustaliliśmy redakcję klepsydry w 3 językach, ogłoszenia do dzienników oraz inne szczegóły. Koszta pogrzebu bierze na siebie ks. Jarulajtis, wobec czego „Liet. Dailės Draugija" cofa swą decyzję wczorajszą o przyjęciu tych kosztów na siebie. Mowy mają być wygłoszone: przez ks. Jarulajtisa po litewsku, przez Żmujdzinowicza od imienia „Liet. Dailės Dr." po litewsku, i przez Ruszczyca ~~od~~ od artystów polskich po polsku. Wdowa smutna, przygnębiona, ale cięższe wrażenie sprawia brat zmarłego, człowiek bardzo nerwowy i straszliwie poruszony tą śmiercią. Stamtąd pojechaliśmy ze Żmujdzinowiczem wpierw na telegraf dla wysłania kilku depesz, potem do drukarni Zawadzkiego dla korekty klepsydry (ramki klepsydry pomysłu Ruszczyca wypadły bardzo oryginalne i piękne z białym kwiatkiem schyłkowego narcyza), wreszcie do magazynu kwiatowego Nokrulaka na Wileńskiej dla obstalowania wieńca od „Liet. D. Dr." i od wdowy. Nie doczekałem wszakże zakończenia obstalunku wieńca, bo musiałem już śpieszyć do domu. Oryginalnego pomysłu jest wieniec Ruszczyca — kombinacja gałązek sosny z laurem; wstęgi do tego ma wykonać Ruszczyc osobiście.

Wieczorem byłem z Marynką na urządzonym staraniem p. Szymatowskiej prywatnym odczycie Bogowskiego młodszego. Pierwsza część odczytu ~~[illegible]~~ — było to studium teoretyczne o publiczności i tłumie, o naturze tych 2 odrębnych gatunków ugrupowań ludzkich, zasadach ich rozwoju i funkcjonowania. Rozprawka ta wzięta niemal żywcem z odpowiedniej książki francuskiego filozofa społecznego Tarde'a, niegdyś profesora z École des Sciences Politiques w Paryżu. Druga część odczytu była ciekawsza i aktualniejsza. Bogowski mówił o zadaniach naszych w stosunku do polskiej publiczności wileńskiej w zakresie polityki, dziennikarstwa, teatru, sztuki, piękna. To, co mówił, było ładne i trafne, ale nie wyczerpujące, za mało pogłębione i jędrne. Podnosił potrzebę zatrzymania w Wilnie „Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy" (myśl bardzo trafna) w celu zjednoczenia i planowego oddziaływania na publiczność [illegible], zaznaczał użyteczność placówki, zajętej przez „Tygodnik Wileński", podkreślał wielką doniosłość pięknej kulturalnej i obywatelskiej działalności Ruszczyca. Audytorium dla odczytu na taki temat było niedostateczne: prawie same kobiety i kilku starszych emerytów.

31 marca.
13 kwietnia.
rok 1911.
Czwartek

Odbył się pogrzeb Czurlanisa. Choć nie znoszę pogrzebów i zawsze takowych unikam, jednak tym razem wziąłem udział, ze względu na charakter obecnego pogrzebu. Śmierć Czurlanisa — to ciężka strata dla sztuki, dla „Litewskiego T-stwa Artystycznego", którego członkiem zarządu jestem, i dla całego narodu litewskiego, tracącego w jego osobie jego z najwybitniejszych twórczych synów. O godz. 10 rano przybyliśmy z Marynią na dworzec kolejowy, skąd nastąpiła eksportacja zwłok na Rossę. Grono Litwinów, osób koło 40-50, cały kwiat litewskiej inteligencji wileńskiej, utworzył orszak pogrzebowy. W kaplicy na Rossie odbyło się nabożeństwo, egzekwie i msza żałobna, i następnie złożenie zwłok do grobu. Rodzina zmarłego, starzy rodzice-włościanie, 2 siostry, brat, żona — tworzyli grupę żałoby osobistej na tle orszaku żałoby narodowej. Z Polaków wzięli udział w pogrzebie — prócz mnie z Marynią — Buszczyc, prezydent miasta Michał Węsławski, ziemianin - publicysta stary p. Stefan Okulicz, malarz Jarocki, dr. Matusowicz. Wianków było z 8-10, śród nich duży wieniec z sosny z laurem od Buszczyca, wieniec od „Liet. Dailės Draugijos" w postaci pięknej gałęzi jodłowej z wstawami z tkanego wzorzystego ręcznika wyrobu ludowego, dalej wieniec od klubu litewskiego „Ruta", od „Wileńskiego T-stwa Artystycznego", mały ale nowy wianuszek od grupy „Wyzwolenia" wileńskiej [studenckiej] młodzieży polskiej, wianek z białych lilij od wdowy i kilka innych. Trumnę dźwigaliśmy na cmentarz na rękach — ja, Buszczyc, Żmujdzinowicz, dr. Domaszewicz, Ulasewicz i Donat Malinowski. Nad otwartą mogiłą przemawiał pierwszy ks. Jarutajtis, wuj wdowy; przemowa jego była piękna, tchnąca wielką głębią, szczerością i bólem; mówił o złamanym przedwcześnie życiu, o pięknie, dobrze i świetle, które ukochał Czurlanis, o sieroctwie rodziny i narodu; mowa ta, piękna tak ze względu na formę, jak na szczerość uczucia, była bardzo taktowna; nie było w niej żadnych wycieczek wyznaniowych, żadnej manifestacji klerykalnej — jeno głębokie religijne skojarzenie bólu z miłością i tęsknotą ideałów. Ksiądz płakał. Po nim mówił Żmujdzinowicz od „Dailis Draugijos": Bez wielkiego daru wymowy, Żmujdzinowicz zdołał głębokim szczerym smutkiem i powagą nadać swej mowie nastrój uroczysty i szlachetny. Treścią przemówił po polsku Buszczyc w ślicznym krystalicznym tonie skupionej. Potem głos Buszczyca, miękki i głęboki, znakomicie pasował do jego szlachetnej i bladej ze wzruszenia twarzy i do całej tragicznej, a zarazem miłością życia i prawdy tętniącej treści przemowy. Uwydatnił on wzrost i skupienie się twórczego talentu Czurlanisa, wznoszącego drogę do najwyższych wyżyn ducha ludzkiego i biegnącego między światem zmysłowym a rozświetleniem tajemnic i przeczuć, objawiających się w przeświadczeniu głębinach ducha; [illegible] twórczość Czurlanisa do jego pięknego obrazu „Wieść", w którym zza skał wystania się wielki ptak skrzydlaty w pełni lotu, jako zwiastun, poprzedzający blaski promieni słońca, wschodzącego w ciemności. Buszczyc porównał Czurlanisa do tego ptaka-zwiastuna, niosącego wschód światła w mroki. Ostatnim przemówił publicysta i niby „poeta" Ludwik Gira; mowa jego deklamacyjna, patetyczna, wiecowa, bez powagi i szczerości, była jaskrawym

1 (14) kwietnia rok 1911. piątek.

Wzorem litwinów białorusini zaczynają myśleć o urządzeniu wystawy białoruskiej. Byłaby to wystawa sztuki budowy, przeważnie stosowanej, oraz zabytków przeszłości i kultury białoruskiej. W redakcji „Naszej Niwy" mają oni już obecnie pewną ilość nagromadzonych zbiorów z zakresu starego piśmiennictwa białoruskiego, starych druków i rękopisów, rozmaitych narzędzi, tkanin, przedmiotów zdobnictwa, rysunków budownictwa i ornamentyki, i t. d.. Gromadzą oni te rzeczy na podwaliny przyszłego muzeum białoruskiego. Pracują nad tym zwłaszcza Iwan Łuckiewicz i Jeleński. Jeleński projektuje już w tych dniach zwołać grono ludzi na naradę w sprawie omówienia zarysu wystawy i zorganizowania akcji w celu zbierania eksponatów po kraju. Mają już białorusini obiecany współudział „Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego", które ma im udzielić zapomogi na rzecz rozdawnictwa premjów dla wyrobów ludowych.

2 (15) kwietnia, rok 1911, sobota

Rozmawiałem dziś z Michałem Biržiśką o wielu bieżących zagadnieniach i o warunkach [illegible] działalności organizacyjnej w dobie obecnej. Przekonałem się, z czego się bardzo cieszę, że Biržiška nietylko że nie jest zwolennikiem Tadeusza Wróblewskiego, ale że wręcz zdaje sobie sprawę ze szkodliwości takiego osobnika, jak Wróblewski. Cieszy mię, że coraz więcej ludzi, nawet z pośród tych, ~~który~~ których Wróblewski specjalnie usidlać pragnie, jest w stanie przejrzeć go na wylot. Nie znam w Wilnie człowieka bardziej ujemnego społecznie, bardziej szkodliwego, bardziej demoralizującego na wszelkie twórcze zapoczątkowania działającego, niż Wróblewski. Gotów jestem posądzać go, że należy do tajnego związku jezuickiego i że powierzoną mu sobie misję do rozkładowego ubijania w zarodzie wszelkich przedsięwzięć wolnościowych, wszelkiego żywego czynu. Narska ortodoksyjna – esdecka, którą na siebie przyjął, znakomicie mu w robocie destrukcyjnej pomaga. Wszelki żywszy prąd czynu rozkłada on swym skalpelem ortodoksji; do każdego zapoczątkowania probuje się wcisnąć, aby go natychmiast rozbić. W istocie wszakże walcowodyzm nie jest cechą Wróblewskiego: tak by się tylko wydawać mogło, gdyby nie znać głębi jego natury. Człowiek to wybitnych zdolności, znakomitej pamięci i pracy; niemniej wybujałe ma wszakże ambicje i próżność, jak purchawka, ~~[illegible]~~ trawiony jest gorączką informowania na wsze strony, przez co jest chorobliwie przeczulony na punkcie informacji zdyskredytowania się; chce więc mieć pozycje na prawo i na lewo, od klerykałów do esdeków, a więc nie może się skupić ani tu, ani tam i unika wyraźnego czynu; wyraźny bowiem czyn w jednym obozie zdyskredytowałby go w drugim, a że chce być persona grata i w jednych, i w drugich, więc chodzi mu o to, aby bez niego też ~~[illegible]~~ nic się nie robiło; przeto nietylko że sam nic nie robi, ale i pracuje nad tym, aby się wogóle nic nie robiło. To straszny szkodnik. I czym większy ma talent, tym szkodliwszy. W gruncie wszakże, ponieważ wie, że klerykali są siłą, im tajnie pomaga i dla nich tajnie robi, u esdeków zaś nic nie robi (jedyna rzecz – to popieranie „Nowego Życia”); „czwartki” nasze, które mogły mieć w okresie reakcji pewne znaczenie, jako bądź co bądź placówka, na której się ludzie z lewicy spotykali na gruncie pewnej jedności myśli, w ręku Wróblewskiego stały się narzędziem płaskiej destrukcji. Teraz, gdy [illegible] żywszy prąd polityczny zaczyna znów potrzebować ludzi i kształcić ich do konkretniejszego działania, tego rodzaju luźne [illegible] zebrania, jak nasze „czwartki” tracą na aktualności wogóle, to się już wyczerpało. Nasze zaś „czwartki” są dziś już nietylko nieaktualne, ale wprost ujemne.

Wieczorem u Żmujdzinowiczów odbyło się zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos”. Powzięliśmy parę praktycznych decyzji; jedna – to po zamknięciu obecnej wystawy litewskiej stworzyć specjalną wystawę prac Čiurlionisa; będzie to wielce ciekawe i cenne; wystawa całej jego twórczości artystycznej, całokształt od szkiców do dzieł skończonych. Druga rzecz – to postanowiliśmy wydać album rysunków artysty Jaroszewicza, wykonanych z natury – wizerunki krzyżów litewskich, kapliczek, ornamentyki, szczegółów architektonicznych i t. d. Rzecz nader cenna; ogłosimy na to prenumeratę po cenie taniej, a pozostałe sprzedaż po wydaniu. Młode T-stwo Artystyczne Litewskie pracuje intensywnie. Choć nie stoi ono jeszcze, ale pracuje, że przez wystawianie itd. [illegible] wzbudzi swe pomysły, bo obudzi większe zainteresowanie i skuteczniej przez cele dopnie. A i zasługa jego kulturalna nie przez to wielka, bo nadaje Wilnu i krajowi piętno żywiejszego życia artystycznego.

3/(16) kwietnia, niedziela, rok 1911.

Marynka ze Stefusiem i Helcią wyjechała dziś do Bohdaniszek na święta.

W myśl wczorajszego postanowienia Zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos” napisałem komunikat do pism litewskich o projektowanym otwarciu wystawy dzieł Czurlanisa, wydaniu albumu [illegible] dokonanych przez malarza Jaroszewicza rysunków krzyżów litewskich i okazów zdobnictwa i budownictwa ludowego litewskiego, i o przeniesieniu obecnej wystawy litewskiej do Kowna po jej zamknięciu w Wilnie. Pisząc pierwszą część tego komunikatu — o projektowanej wystawie dzieł Czurlanisa — tak się uniosłem wrażeniem twórczości zmarłego Czurlanisa, że napisałem gorący, jaskrawy artykulik, przepojony subjektywizmem i wyrażający właściwą ocenę istoty twórczości tego artysty. Wskutek tego artykulik ten stracił cechę suchego rzeczowego komunikatu Zarządu towarzystwa. Żmujdzinowiczowie, którym ten mój artykulik dałem do przeczytania, tak go upodobali, że mnie zobowiązali, abym go dał koniecznie w tej postaci bez zmian do druku, chociaż nie w postaci komunikatu. Wobec tego dałem go p. Gabryeli Pietkiewiczównie, mojej stałej tłumaczce, do przetłumaczenia go na litewski i umieszczenia w „Lietuvos Žinios”.

O godz. 5-tej zebraliśmy się w mieszkaniu Jeleńskiego (z „Naszej Niwy”) w następującym komplecie osób: Antoni Żmujdzinowicz z żoną, Dr. Boguszewski, rzeźbiarz Jurewicz, redaktor „Tygodnika Rolniczego” i sekretarz Wil. T-stwa Rolniczego Zdzisław Ludkiewicz, członkowie redakcji „Naszej Niwy” Własow, Antoni i Iwan Łuckiewiczowie, Jeleński i Lastowski. Mieli jeszcze przybyć Bujnicki (nie zdążono go zawiadomić w porę), redaktor „Liet. Žinios” Sleżewicz (nie miał czasu na przybycie) i przyrodnik [illegible] Rogowski (nie wiem, dlaczego nie przybył). Projektodawcy - białorusini zgłosili projekt urządzenia wystawy krajowej przemysłu ludowego, sztuki stosowanej ludowej i poniekąd etnografji krajowej. Po pewnej dyskusji ustaliliśmy, że to ma być wystawa „Wsi” litewskiej i białoruskiej. Lastowski chciał, aby z góry ograniczyć wystawę do paru określonych działów, np. działu tkactwa i garncarstwa. Zwróciliśmy wszakże jego uwagę na to, że taka zbyt ścisła specjalizacja mogłaby mieć miejsce tylko przy doskonale zorganizowanym zbieraniu materjału na wystawę, gdybyśmy mieli gwarancję, że istotnie zbierzemy w sposób systematyczny wszystko to, co w tych specjalnych działach jest godnego uwagi; w obecnych warunkach organizowania takich wystaw u naszym kraju zbiory nasze będą zawsze niekompletne, dyletanckie, i zbyt dokładna specjalizacja jest przeto niepożądana, bo nie wyczerpiemy tych działów w całkowitej ich pełni, a natomiast rozmyślnie zamkniemy dostęp na wystawę innym ciekawym okazom z innych działów. Iwan Łuckiewicz chciał zorganizować takie specjalny dział historyczny dla uwydatnienia stopniowego rozwoju obecnych motywów ludowych; uznaliśmy, że działu takiego, jako specjalnie zorganizowanego, wprowadzać nie będziemy, ale za to rzeczy z zakresu tej wystawy dziedziny chętnie przyjmiemy, podkreślając ich wartość. Jest więc będzie to wystawa „Wsi”. Powstała kwestja, czy „Wsi” tylko białoruskiej czy też i litewskiej. Uznaliśmy, że ma być wystawa całego kraju, tj. Litwy i Białej Rusi, a więc gub. Suwalskiej, Kowieńskiej, Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Witebskiej, Mohylowskiej i — na wniosek białorusinów — także Smoleńskiej. Czy ma *się wystawa rozpadać na 2 części narodowe — litewską i białoruską? Litwini — jednolitości zupełnej nie chcą, bo słusznym jest, aby sztuka i etnografja tych 2 ludów, litewskiego i białoruskiego, pomimo pokrewieństwa przez wieczyste współżycie i wzajemne oddziaływanie, została uwydatniona w 2 równoległych działach. Antoni Łuckiewicz wszakże trafnie zauważył, że rozgraniczenie ściśle językowe Litwy od Białej Rusi w dziedzinie etnografji i zdobnictwa ludowego zastosować się nie da; takie powiaty, jak trocki, lidzki, oszmiański — czy mają być do Litwy czy do Białej Rusi zaliczone? Boguszewski chciał wprowadzić zasadę ściśle terytorjalną, usuwając przez to niedogodności podziału ściśle narodowego, a mianowicie podzielić eksponaty podług powiatów. Ja wniosłem projekt kompromisu zasady narodowej z terytorjalną; niektóre powiaty mogą być wcale niereprezentowane, inne bardzo słabo, inne znów obficie — to w dodatku niezależnie od działu przypadkiem; a znów niektóre zbiory, jak np. pisanki, trudno i źle jest odbić na małe fragmenty powiatowe; stąd więc raz jeszcze zastrzeżenia Ant. Łuckiewicza o niedogodności [illegible] zasady dwoistości litewsko-białoruskiej; wobec tego zaproponowałem więc zasadę okręgów; jeden okręg — rdzennie litewski (Suwalska i Kowieńska); drugi okręg — terytorjum przejściowe, czyli wschodnie kresy litewskie, wynarodowione częściowo części Litwy, zachodnie kresy Białej Rusi; trzeci okręg — białoruski rdzenny. Przyjęto. Pierwotny projekt był, aby wystawę przygotować na jesień; Jurewicz zwrócił uwagę, że lepiej na wiosnę, gdy na pielgrzymki [illegible] w Wilnie przy wystawie może być więcej zwiedzających. Ustaliliśmy ostatecznie termin na rok 1912. Starania się do wystawy przygotować, zaprzęgając przez zaraz i wykorzystując własne [illegible].

*Mówią: trzeba będzie wykorzystać dla tej wystawy „Wsi” krajowe towarzystwa rolnicze, ziemian, księży, nauczycieli ludowych i t.d.; także skorzystać ze zbiorów i z pomocy „Lietuvių Dailės Draugijos”, „Towarzystwa Przyjaciół Nauk”, „T-stwa Nauki i Sztuki”, „Lietuvių Mokslo Draugijos”. Ostatecznie zebranie nasze wyłoniło „komitet inicjatywy”, do którego wyznaczono następujące osoby: Ferdynand Ruszczyc (prezes), Antoni Żmujdzinowicz (wiceprezes), dr. Boguszewski (drugi wiceprezes), Łuckiewicz, Jurewicz, Zdzisław Ludkiewicz i ja.

Wieczorem byłem w „Rucie” na dorocznym zebraniu jej członków. Chciałem być krótko, bom był trochę zmęczony, ale zagapiłem się do obliczenia głosów w wyborach członków zarządu. Kartek było podanych kilkadziesiąt, na każdej po 20 nazwisk, bo z tylu osób składa się zarząd, więc obliczenie głosów zajęło mi czas do północy.

4 (17) kwietnia. rok 1911. poniedziałek.

O godz. 5 tej zebraliśmy się w mieszkaniu dr. Boguszewskiego — Buszczyc, Boguszewski, Zmujdzinowicz, Iwan Łuckiewicz, Jurewicz, Jeleński i ja — to znaczy nasz wczorajszy prowizoryczny komplet komitetu wystawy „Wsi" (nie stawił się Łuckiewicz). Buszczyc już się zapalił do tej wystawy; mianowicie on ją odrzucał i chciał ją połączyć z projektowaną wystawą rolniczą, która się zapewne nie odbędzie. Buszczyc zakreśla tę wystawę szeroko; chce ją urządzić na wzór analogicznych wystaw szwedzkich, które się urządzają w parkach na dużej przestrzeni, odtwarzając zewnętrzne i wewnętrzne urządzenia wiosek, chat i zagród włościańskich z przedmiotami powszedniego użytku, zdobnictwa i przemysłu ludowego; w tym celu Buszczyc projektuje wejść w kontakt z miastem; miasto planuje nowe skwery, nowe parki; wystawa „Wsi" mogłaby w związku z miastem zużytkować taki teren pod park, urządzi wówczas go w typie wioskowym; urządzenie to zostałoby potem na stałe, a przeto i miasto by na tym skorzystało, bo zdobyłoby piękny i oryginalny park, jedyny w swoim rodzaju; wywiezienie zbiorów wystawowych nie zniszczyłoby zewnętrznego urządzenia terenu parkowego; byłoby w ten sposób dokonane dzieło trwałe — rodzaj ogrodu etnograficznego. Pomysł ten jest piękny i obszerny, — oby się tylko w takiej okazałości dał dokonać. Buszczyc chciałby przewieźć do Wilna nietylko sprzęty i wyroby ludowe, ale też typowe chaty wiejskie, świronki i t. d.; to już wchodzi w grę kwestja środków. Główną sprężyną dzisiejszego zebrania był Buszczyc — on planował pomysły, on nakreślał charakter naszej wystawy. Narazie Buszczyc chciał rozszerzyć ramy tej wystawy w kierunku etnograficznym, to znaczy wciągnąć też miasteczka (żydowskie), dwory i t. d.; w końcu wszakże po pewnej dyskusji ustaliliśmy, że będzie to ściślejsza wystawa właściwie wsi i tego, co ze wsią w ten lub inny sposób się łączy. Postanowiliśmy tymczasem projektu nie rozgłaszać; Buszczyc ma się w czasie świąt porozumieć z przedstawicielami miasta, aby się zorjentować, czy rzecz się da w ten sposób na wzór szwedzki urządzić, jak on projektuje, i do czego jest potrzebny współudział miasta; mnie polecono przez czas świąt opracować rodzaj odezwy czy artykułu o projekcie wystawy wsi; po świętach nastąpi w naszym gronie tej odezwy ostateczne jej zredagowanie, ma być ona zakomunikowana na posiedzeniach towarzystw rolniczych oraz innych instytucji, takich jak „Towarzystwo Przyjaciół Nauk" i t. p., ażeby wciągnąć do tej inicjatywy rozmaite siły społeczne i wykorzystać je czy to dla środków, czy dla pomocy w czynnościach organizacyjnych i innych. Termin wystawy zaplanowaliśmy tymczasem, o którym mówiliśmy wczoraj, to znaczy maj 1912.

Wieczorem z Iwanem Łuckiewiczem i Antonim Hrehorowiczem omawialiśmy ewentualny proces Hrehorowicza o straty z umowy kontraktu o węgiel kamienny w majątku Domieckim. Hrehorowicz angażuje mnie do tego procesu, ale dla rozpoczęcia go potrzebne pieniądze. Otóż pieniądzy tych dostarczyłby Łuckiewicz, o ile tylko by się z nim umówił, że w ewentualnym procesie Hrehorowicz stoi i ma dobre szanse wygrania. Dotychczas po pobieżnym rozejrzeniu się sprawa jeszcze nie przedstawia się dość jasno — jest jeszcze dużo wątpliwości.

5 (18) kwietnia
rok 1911.
wtorek.

Nie umiem się utrzymać na poziomie surowej cnotliwości i wstrzemięźliwości. Mam żyłkę hulacką, która mię od czasu do czasu gwałtownie wtrąca w odmęt orgji użycia. Nagół hulaką nie jestem, mam wielką wrażliwość społeczną, kocham życie intelektualne, mam nieprzeparty pociąg do czynnego życia psychicznego, które z wielką [illegible] wcielam do moich prac literackich, politycznych i społeczno-kulturalnych. To pochłania lwią część mojej energii, zwłaszcza że nie umiem czegoś robić połowicznie, lecz się cały oddaję pracy, która mię pociąga, ponieważ wrażliwość moja skłania mię zawsze do przeceniania raczej, niż sceptycznego niedoceniania istoty rzeczy. Jestem urodzonym optymistą i człowiekiem intensywnego życia psychicznego, a jednak... Jednak zawsze wyskakuje we mnie od czasu do czasu żywiołowa iskra użycia fizycznego, tęsknoty do rozkoszy, pożądliwości płciowej, pragnienia ekstazy i narkotyku. Trwa to krótko, ale z taką siłą, że panować nie potrafię. Widocznie — nihil humanum a me alienum esse puto. Taką noc dziś spędziłem upojony winem i kobietami. A szczytu podniecenia erotycznego osiągnąłem, gdy śród kobiet lubieżnych, kobiet do wzięcia, była jedna czysta i nieskalana, nietknięta, naiwna, wstydliwa. Ten kontrast doprowadzał mię do szału, do pożądliwości chorobliwej tym ostrzejszej, że się zaspokoić nie dawała, bo ta dziewczyna jest cnotliwa i fizycznie nieskalana. A włosy i głos miała prześliczne i biła z niej taka świeżość, taka ~~[illegible]~~ wstydliwość i skromność, że na tle zepsutego lubieżnego środowiska była ona ~~[illegible]~~ różowym paluszkiem jutrzenki i budziła ku sobie ostrą bolesną tęsknotę, budziła — czarodziejka — z najgłębszych tajników duszy jakieś sny ~~[illegible]~~ [illegible] i [illegible], subtelne jakieś ~~[illegible]~~ promyki wczesnych marzeń młodości, jakieś przeczucia rozkoszne a ~~[illegible]~~ smutek, bo strawione świadomością brudu.

Po takiej nocy nie spanej, boleśnie [illegible] w porozumieniu (?) [illegible] ramach [illegible] zmęczony, wyjechałem pociągiem południowym z Wilna do Bohdaniszek. Większą część drogi jechałem razem z dr. Józefem Koriattem (?), z którym ~~[illegible]~~ gawędziliśmy żywo i ciekawie o rozmaitych tematach, politycznych, wileńskich a także i o wielu znajomych. Od dr. Koriatta (?) [illegible] [illegible] plotkarską. Z Kotkami (?) jechałem z fabrykantem Trenem (?) z [illegible]. Po przyjeździe do Bohdaniszek wcześnie spać poszedłem.

6 (19) kwietnia rok 1911. ~~wtorek~~ środa.

Pięknie i wesoło na wsi; wiosna dopełnia zwycięstwa nad szczątkami zimy. Resztki śniegów, zwiędłe i brudne, topnieją pod płotami, w cieniu zarośli, po rowach i na północ zwróconych zboczach pagórków. Żwawe rażne strumyki i ruczaje kończą pełnić swą misję wiosenną. Ziemia pachnie, odurza, ciepły wiatr upowszechnia wiosnę, trawka już skromnie kiełkuje, wynurzając zwycięskie młode źdźbła ponad jednolite szare tło wymarłej flory zeszłorocznej. Na łąkach błękitnieją wielkie tafle wód. Nad tym wiosennym skupieniem natury, nad jej szlachetną powagą twórczą góruje krzykliwy zgiełk licznego ptactwa z melodyjnymi tonami poszczególnych gwizdów, wybijających się na tle zmieszanego chóru. Już i żuczki biegają po grudkach ogrzanej słońcem ziemi, bąk przeleci gdzieś het pod nosem, [redacted] nużąc w uszach krótkim nowym brzęczeniem. Dzień dziś słoneczny, przejrzysty, bez chmurki. W cieniu 11 do 13° Réaumura. Kocham wiosnę, kocham Bohdaniszki, toteż mi tu dobrze, radośnie. Wypoczywam, chłonę w siebie woń młodości, wiary w życie, jaką daje wiosna. Daje ona bogatym konkretne piękno, skojarzone ze siłą, i daje zmysł miłości, jako zespołu tęsknoty z wolą. Chodziłem ze Stefusiem po polu wzdłuż [redacted] ruczaju w rowie od białego krzyża za bramą bohdaniską [redacted] aż do wąwozu wpół drogi do Gaciun. Torowaliśmy ruczaj poprzez szczątki śniegu, puszczaliśmy po nim „okręty" w postaci ogarków papierosowych, kawałków drewna, kaloszy starych własnych nawet.

Jeździłem z furmanem do Abel po kosz, któ- 7 (20) kwietnia
ry pozawczoraj, wyjeżdżając z Wilna, wysła- rok 1911.
łem bagażem, a który jednak nie dosta- ~~środa~~ czwartek.
rczono w porę. Posyłałem po ń i wczoraj —
bezskutecznie. Dziś więc sam się wybrałem.
Kosz przyszedł; wiozłem w nim świeżą ry-
bę na post; oczywiście, że przez 3 dni w
cieple ryba się zepsuła. Jazda do Abel
była przyjemna; choć droga zła, miej-
scami w zagłębieniu drogi resztki śnie-
gu lub głębokie błoto, jednak po-
wietrze bajeczne. Dziś cieplej jeszcze,
niż wczoraj; popołudniu było przeszło
16° R. w cieniu; trawka coraz gęściej
kiełkuje, barwiąc szare tło ziemi; żabki
już się pokazały, wesołe, żwawe, zwia-
stujące lato; wieczorem już zaczęły re-
chotać w stawach i błotkach, nie-
śmiało jeszcze, bez chóru, ale
radośnie. Mam trochę robót, które
chciałbym wykonać lub przynajmniej
rozpocząć przed świętami, ale wiosna
tak mnie ciągnie w pola, do natury,
że trudno się zdobyć na pracę przy
biurku.

8 (21) kwietnia. rok 1911. piątek.

Piękne dnie! Ciepłe, do upału dochodzące, jaskrawo-słoneczne, pachnące, rozśpiewane, tętniące jawą budzącego się życia. Radosne dnie. Kiedyś, daj Boże w późnej starości, chciałbym w takim a nie innym dniu umrzeć. Wiosna jeszcze wczesna, bo jeszcze bez liści na drzewach, bez trawy nawet, a już czerwcowo ciepła. I noce takież, jak dnie. Co może być rozkoszniejszego, co piękniejszego nad wiosnę na wsi. Tło ziemi jeszcze szare, ale już pojedyncze trawki sypią się spod ziemi, jak maczek gęste. Na klombie żonkile zakwitły. W południe wyjrzał z zielonych łodyg jeden żółty kwiat żonkili, a już ku wieczorowi było ich 6-7. Pszczoły hurmem brzęczą nad koroną wierzby, szukając kwiecia w jej gałązkach, pokrytych włochatemi kotkami. Fijołki na klombie zakwitły. Noc. W ciepłym wietrze dobiega daleki echo szczekania psa, a z pól płynie rechot żab. Wielki piątek, urzędowy dzień smutku, ale jakże radosny, jak pełny życia w naturze. Święto Zmartwychwstania, święto Odrodzenia. [illegible] obchodzili pojutrze. Ale oto Zmartwychwstanie już dokonane.

Pościmy przez te kilka dni; nie skarżę się wcale na post; przeciwnie — lepiej mi z tym; chodzę dużo, męczę się fizycznie przy torowaniu gasną czyściej trucizny, jem umiarkowanie, czuję się rzeźwy i zdrów.

Pracowałem też dziś umysłowo, pisałem dość dużo, czytałem ciekawą pracę mej prababki Róży z Sienkiewiczów Onufrowej Bohdanowiczowej, która w kilku rękopiśmiennych książkach streściła olbrzymi materjał medycyny ludowej.

9 (22) kwietnia 99
rok 1911

Wielka sobota. Wszyscy zajęci gorączkowo ~~[illegible]~~ przygotowaniem święconego na jutro. Papa, zdenerwowany i zmęczony sobotnim postem, chodzi i gdera, Mama nawet się rusza i dogląda ustawiania mięsiw i ciast na stole a poza tym wydaje rozporządzenia iześrodkowuje całą administrację roboty; Marynia sama piecze, biega, pracuje, Helcia jej pomaga, Stefuś — i ten przejęty doniosłością chwili i ~~niecierpl~~ stęskniony do przysmaków jutrzejszych, kręci się, jak fryga, po wszystkich kątach, drepcze, coś niby pomaga, coś skubie, słowem — wszyscy i wszystko w ruchu. Służba cała też skierowana do jednego celu — święconego. Kamerdyner, służąca Jadzia i Urszulka, służba kuchenna, pokojówka stryjna Anna, gospodyni, dziewki na piekarni — wszystko uruchomione w pocie czoła.

Ja tylko jeden najmniej biorę czynnego udziału w tych gorączkowych przygotowaniach, choć też przy okazji zaglądam to do kuchni, to do pokoju gościnnego w nowym domu przy spiżarni, w którym się ustawia święcone.

Wieczorem przyjechali z Kowaliszek na święta obojga Zygmuntowie Komorowscy z Hektorem i małą Fellą, zwaną dotychczas „Milusią". Nie ma Julka i Zitki. Julek bawi jeszcze we Dworze i Dusiatach u Komorowskich, skąd ma zresztą wkrótce wrócić, Zitka została na święta w Mickunach, bo ma wkrótce egzamina.

Czytałem dziś zbiór rękopiśmienne księgi lekarskie prababki Róży Kościałkowskiej (?). Prababka, która umarła w r. 1876, ~~[illegible]~~ przez ~~[illegible]~~ szereg lat zajmowała się leczeniem ludu. Zaczerpnęła na użytek staroświeckich przepisów, doświadczenia własnego oraz swych poprzedników, uzupełnionego przez pewną zapożyczoną przez nią zdobycz nauki ~~[illegible]~~ lekarskiej. Doświadczenia swe oraz tradycje spisała w kilku nader ciekawych księgach. Nie jest to czysta medycyna ludowa, bo są nie wątpliwie dużo naleciałości nauki oraz praktyki nowszej, ale bądź co bądź źródło tej sztuki lekarskiej, która się w ~~[illegible]~~ księgach zachowała, jest bardzo archaiczne i sięga głębokich pokładów pierwotnej wiedzy ludowej, uprawianej jako pewna czarnoksięstwo, jako sztuka tajemnicza ~~[illegible]~~ tajemniczej walki z chorobą.

W księgach prababki Róży są działy, wpisane z praktyki lekarskiej jej babki a mojej pra-pra-prababki, zapewne Prószyńskiej, ~~[illegible]~~ Zofii Sieczewiczowej (?), która uchodziła być jeszcze bardziej bliską źródeł medycyny ludowej; są też działy z praktyki znachorów i znachorów ludowych a więc też wprost z najautentyczniejszych pokładów pierwotnej ludowej wiedzy tajemnej. To też nawet pewne linie zmodernizowania sztuki lekarskiej prababki znać w niej jeszcze cechy głębokiej starożytności i mistycyzmu; ~~[illegible]~~ pierwotna ludowa sztuka lekarska ~~[illegible]~~ czarnoksięstwo posiada cechy obrzędowe, religijne, jest to metafizyka. Choroby mają tam swoją indywidualność, swoje odrębne tajemnicze istoty, są to istoty złośliwe, jakieś ~~[illegible]~~ potęgi wrogie, które mają swą naturę, swój byt metafizyczny; sztuka lekarska polega na zażegnywaniu ich, na zwalczaniu ich potęgi; w księgach prababki takie upostaciowanie chorób jest jeszcze chwilami widoczne; zresztą „kołtuny", „ku… wory" i t. d. są jakby duchami, złośliwymi bożkami pogańskimi. Złota łucznica i t. d. mają też poniekąd ~~[illegible]~~ „[illegible]" miejscowe.

10 (23) kwietnia, rok 1911. niedziela.

I Dzień Wielkiejnocy. Symboliczny dzień zmartwychstania miłości, życia, święto wiosny, święto wiecznego odrodzenia. W świętach chrześcijańskich znajduje pewne potwierdzenie teorja Andrzeja Niemojewskiego (vide jego książka: „Bóg Jezus”) o astralnym pochodzeniu Chrystusa i mytu chrześcijańskiego. Nawet zabagnienie chrystjanizmu specyficznym — że się tak wyrażę — racjonalizmem mistycznym średniowiecza nie zdołało pozbawić go całkowicie jego pierwotnej głębokiej koncepcji kosmicznej. W szczególności kosmiczny i astralny charakter chrystjanizmu, jako systematu religijno-filozoficznego, uwydatnia się najdobitniej w kapitalnych świętach chrześcijańskich — Bożym Narodzeniu i Wielkiejnocy. Narodzenie Boże, — to moment przesilenia słonecznego, narodziny dnia i słońca, zwycięstwo nad przemocą nocy i cieniu. Wielkanoc, Zmartwychstanie Pańskie — to święto odrodzenia całej natury, święto życia, młodości, rozrostu. Piękny też jest nasz polski symboliczny zwyczaj święconego; jest on głębszy ponad zwykły instynkt obżarstwa i chciwości; po długim poście jest to uczta pełni użycia, odrodzenia zdobywczej natury, rozpasania zmysłów po skupionym, wątłym uśpieniu. To orgja użycia, radosna orgja bachiczna, jaka ogarnia całą naturę dokoła w dniu wiosny.

Święcone bohdaniskie jest, jak zawsze, okazałe, suto. Indyki, szynki, głowy świńskie, pieczenie wołowe, cielęcina, ciasta, kuchy, babki, torty, mazurki — zapełniają zastawę stołu świątecznego. Oprócz Komorowskich i naszego grona bohdaniskiego — nikogo nie było. Zespół ściśle rodzinny.

II dzień Wielkiejnocy. Chodziliśmy z Zy-siem Komorowskim 2 razy na spacer do Gaju, Elizka czytała nam głośno „Ucztę Baltazara" Grubińskiego, poza tym zabawialiśmy się parokrotnie staczaniem [?] jajek — Elizka, Hektor, Helcia, Stefuś i ja. Niema w tym roku wesołych zabaw dziecinnych, niema „cyrukowy [?]" „piatnaszek" „Ina-bazowskiego [?]"; brak bowiem liczniejszego kompletu do zabaw tych; Hektora już te zabawy nie bawią, Milusia jeszcze za mała; niema Zitki, niema Julka, niema panny Anny — towarzyszy zabaw tych. Stefuś bardzo tym obżałowany [?].

11 (24) kwietnia rok 1911. poniedziałek.

Po obiedzie przyjeżdżali pp. Antoniostwo Weyssenhoffowie z Pokrewnia. Przez kilka godzin głowa mię dziś bolała, bo trochę zadużo wypiłem święconego wczoraj; wziąłem kilka pigułek rebarbarum i wyzdrowiałem. Za to już dziś jadłem mało.

Parobcy urządzili sobie piękną hojdawkę na gumnisku: na dwóch olbrzymich tęgich palach, mocno wbitych w ziemię i podpartych z boków, umocowali u góry takąż tęgą przecznicę i na tym zawiesili hojdawkę; ze względu na wysokość zawieszenia hojdawka ma świetny rozmach, leci pod niebiosa.

III dzień Wielkiejnocy — bigosowy czyli degringolade'owy. Z Hektorem, Helcią i Stefusiem zabawialiśmy się tarzaniem jaj kolorowych. Na tym zajęciu upłynął czas do obiadu. Zajęcie zresztą wcale nie złe, gdy się je urozmaica rozmaitymi pomysłami.

12/25 kwietnia rok 1911. Wtorek.

Elizka Komorowska z Milusią wyjechała zaraz popołudniu, Zyś z Hektorem dopiero po późnym obiedzie koło godz. 4tej. Elizka chciała pożyczyć u Mamy 1000 rubli, ale Mama musiała jej odmówić! Biedna Mama kochana ma tyle dla nas serca, tak jest nam oddana, że na wszystkie strony łata nasze potrzeby, nic dla siebie ze swych dochodów spadkowych nie zachowując. Doprawdy bez sukursu Mamy byłoby nam wszystkim bardzo ciężko. Dotychczas jeszcze Mama małą zaledwie cząstkę zrealizowała ze spadku po Babuni Tukałłowej a już ta cząstka jest nadszarpana. Część, wypadająca na udział Mamy ze spadku nieruchomości, da się zrealizować dopiero po dokonaniu działu, który niewiadomo jeszcze kiedy nastąpi. To też teraz musi się jeszcze Mama strzec przed nadmiernym ogołacaniem tej cząstki, którą już otrzymała, bo kapitał topnieje a procentu mało. Najbardziej wszakże korzystamy z pomocy Mamy Marynia i ja, bo nasze utrzymanie opłaca się całkowicie z kieszeni P. Mamy.

Przyjechał dziś do Bohdaniszek miejski p. Ostachiewicz z pow. poniewieskiego, zawodowy ogrodnik, którego Papa umówił do objęcia kierownictwa nad ogrodem owocowym. Za opłatą 60 rubli p. Ostachiewicz będzie przyjeżdżał 2 razy rocznie po 2 tygodnie, na wiosnę i w jesieni, obejrzy dokładnie ogród, zarządzi niezbędne roboty i reformy, doprowadzi słowem wszystko w ogrodzie do porządku. Wnet po przyjeździe p. Ostachiewicz do roboty się zabrał. Umówienie zawodowego ogrodnika jest bardzo pożądane i pożyteczne, o ile p. Ostachiewicz rzeczywiście się zna i potrafi się z zadania wywiązać. Towarzysko p. Ostachiewicz robi wrażenie człowieka ciężko myślącego, nudziarza.

13/26 kwietnia rok 1911. Środa.

Pod wieczór poszedłem do wioski. Przede wszystkim zaszedłem do Kligysów. Właściwie moja wizyta u Kligysów była jeno napół legalna, bo od jesieni Papa się z Kligysem pokłócił i teraz są ze sobą na noże. Kligysowi zakazany wstęp do dworu. Obydwaj, Papa i Kligys, mają charakter zawzięty i uparty. Także i Papa nie posiada się ze złości na Kligysa i Kligys odpłaca pięknym za nadobne. Ponieważ wioska Bohdaniszki jest o miedzę od dworu, więc stąd są ciągłe powody do drobiazgowych zatargów sąsiedzkich, zwłaszcza gdy dwór z wioską się pokłóci; zatarg Papy z Kligysem podsyca się więc takimi drobiazgami sąsiedzkimi; to świnia Kligysa wpadnie do dworu, to świnie dworskie wybiegną na ogrody Kligysa. Pozostali zaś zawistnicy, którzy zawsze z niechęcią spoglądali na przyjaźń rodziny Kligysów ze dworem, teraz cieszą się z kłótni i chętnie Papę przeciwko Kligysowi podżegają. W pierwszym rzędzie cieszy się lokaj Karczewski, który ma wielki wpływ na Papę i który umie znakomicie intrygować. Gospodarz Jan Małec, pod przydomkiem „Szymas", wróg Kligysa, który w ostatnich latach był w bardzo złych stosunkach ze dworem, teraz jest nadzwyczaj dla dworu uprzejmy. Ja osobiście Kligysa i całą jego rodzinę bardzo lubię; Kligys jest to zdolny, żwawy i inteligentny włościanin, choć jest bardzo uparty, unoszący się i zawzięty. Lubię też bardzo jego żonę, Emilkę, starą ongiś służącą naszą, która w latach mego dzieciństwa, zwłaszcza w Wilnie, była moją opiekunką i powiernicą i która mię zawsze kochała. Kligysa w domu nie zastałem, tylko Emilkę, która mię potraktowała wykwintnym piwem domowym. Od Kligysów poszedłem w gościnę do lokajowej Karczewskiej.

14 (27) kwietnia
rok 1911.
Czwartek

Córka moja, Céśka, kończy dziś 9 miesięcy. Nie wiem, co to będzie z tym dzieciątkiem. Regina ma już podobno po św. Jerzym, to znaczy za dni 10, przenieść się do Cytowian. Dotychczas nie dopuszczała mnie do widywania córki, po wyniesieniu się jej z Druskiennik do Cytowian tym mniej będzie szans dla mnie do zobaczenia dziecka. Engiejnjusz w marcu mówił, że postara się dać mi możność zobaczenia córki przed wyjazdem Reginy; obiecywał też stanowczo, że przed wyjazdem zrobiona zostanie dla mnie fotografja mej córeczki. Tymczasem teraz termin wyjazdu Reginy już tuż za pasem, a Engiejnjusz milczy i bardzo wątpię, aby coś robił, a jeszcze bardziej wątpię, aby coś potrafił dokazać na upór Reginy, gdyby nawet szczerze chciał. Nie widać wszakże, aby Engiejnjusz próbował energicznie zadość uczynić swym obietnicom. W marcu byłem z Papą u jego matki i u niego, a on mnie nawet nie rewizytował i milczy odtąd, a czas płynie. Skandaliczne jest ich postępowanie ze mną. Nic sobie nie robią z moich praw i uczuć ojcowskich; dokładają widocznie wszelkich starań, aby mi córkę zobojętnić. Czy tego pragną? Wypełnienia zaś przeze mnie moich zobowiązań pilnują. Ja płacę regularnie na utrzymanie Reginy, a mną zgoła regularnie poniewierają. Jak mam się upomnieć moich naturalnych praw? Wielu osób się dziwi, że w tych warunkach płacę nadal. Cóż mam robić? Nie płacić, dopóki tamta strona nie zacznie moich praw szanować? Ależ popierwsze do płacenia mogą mnie oni zmusić sądownie a powtóre zrobi się skandal, Engiejnjusz podniesie krzyk, zwołają się rozpoczną sądy familijne, tyleż warte, co tłuczenie wody w moździerzu; a skandal zostanie i zostanie potyczy pozór, że zostałem zmuszony do płacenia. Błędne koło. Czy nie miałem racji w roku zeszłym, gdym chciał, aby Engiejnjusz wystąpił w pertraktacjach ze mną w roli formalnego plenipotenta Reginy? Wtedy układ mój z Engiejnjuszem byłby dla obu stron obowiązującym. Tymczasem teraz układ jest obowiązujący dla mnie, a dla Reginy zaś okazuje się nieobowiązującym, gdy ona sobie nie życzy akceptować tego, co Engiejnjusz w jej imieniu za stronę uznaje. Trzeba teraz, żeby Papa stanowczo do Engiejnjusza napisał. Papa pośredniczy w układach Engiejnjusza ze mną, ale Papa jest tak słaby i miękki, że Engiejnjusz co chce, to z Papą robi, i co chce, to Papie wmówić zdoła. Napisałem dziś dla Papy bruljon listu od imienia Papy do Engiejnjusza. W liście tym zapytuje Papa, co słychać z obiecaną fotografją Céśki, i proponuje, aby do układów naszych wprowadzona została na przyszłość taka zasada, że to, co my z Engiejnjuszem ułożymy i czego się Engiejnjusz w imieniu Reginy podejmie, musi być dla Reginy obowiązujące, to znaczy że Engiejnjusz ma być wobec nas jej istotnym pełnomocnikiem. Papa napisany przeze mnie projekt listu zaakceptował.

Nawo jeździłem dziś z Papą do Lejbgały dla pokazania Papie tego krzyża, który ma być wzorem dla projektowanego przezemnie. Projektuję bowiem od lat paru obstalować krzyż, który postawię w Bohdaniszkach za zgodą Papy; Papa daje mi drzewo na krzyż, robota zaś stolarska zostanie wykonana moim kosztem. Chodzi mi o piękny krzyż litewski — ozdobny. Za wzór obrałem krzyż typu kapliczkowego, stojący w wiosce Lejbgałce. Jest to jeden z najpiękniejszych okazów ozdobnych krzyżów w naszych stronach. Jest to krzyż bez krzyżowania, z dwoma daszkami kapliczkowemi jeden nad drugim. Mnóstwo ornamentów, aniołków, kielichów, słupków, świec; przepiękne są drewniane frendzle drewnkowate zwieszające się z daszków. Kocham się w pięknych krzyżach litewskich. Wolę krzyże typu kapliczkowatego od krzyżów z krzyżowaniem. Jestem wielbicielem — profanem, nie znam się na architekturze i zdobnictwie ludowem i nie mogę mieć wniosków naukowych, ale mi się zdaje, że krzyże kapliczkowe są o wiele starsze i sięgają prawdopodobnie źródeł azjatyckich — są to te same formy stylu architektonicznego, co pagody indyjskie; natomiast krzyże ozdobne z krzyżowaniem mają w typie swoim cechy bizantyjskie — oczywiście via Ruś.

15 (28) kwietnia. rok 1911. piątek.

Chodziłem ze Stefusiem na spacer do Gaju. Pięknie w lesie — kobierce z pierwiosnków, błękitne i białe kwiatki całymi pękami, całymi gwiazdami zaścielają ziemię. Daliśmy się ze Stefusiem unieść fantazji: marzyliśmy, jakby to było pięknie, gdyby nas dwóch zamknięto w Gaju, odgrodziwszy olbrzymim nieprzebytym parkanem od świata, dawszy nam wszystkie narzędzia i nasiona oraz broń i zapełniwszy las najrozmaitszym zwierzem; oczywiście marzenie było sielankowe, o ciężkim trudzie zdobywania, tworzenia, walki nie myślało się — rozpływał się on w rozkoszy natury, prostoty, uroku twórczego życia.

Od kilku dni wielkie ciepła, które panowały w zeszłym tygodniu, ustały; powietrze się zrównoważyło, nie brak chłodku; postęp wegetacji powolniejszy. Z drzew rozpuściła listki — i to nie zupełnie jeszcze — tylko czeremcha. Słyszano już dziś kukułkę.

Do obiadu byłem zajęty układaniem skargi apelacyjnej w sprawie włościanina Licysa z Pietrasunami. Po obiedzie ~~dnia~~ sporo popracowałem nad specjalnymi pamiętnikami mymi. 16 (29) kwietnia roku 1911. sobota.

Ostatni dziś dzień pobytu w Bohdaniszkach. Jutro z Maryńką i jej dziećmi do Wilna wyjeżdżamy. Zawsze mi tęskno wyjeżdżać z Bohdaniszek. Kocham je z całego serca i cieszę się na myśl, że tu kiedyś na stałe osiądę. Choć mi teraz nie ciężko ~~[illegible]~~ jechać do Wilna, bo jestem tam do wielu ciekawych prac i zajęć zaangażowany, jednak wieś i kochane Bohdaniszki mają dla mnie zawsze we wszelkich okolicznościach urok nieprzeparty; ciągnie mię do nich, jak pijaka do wódki. A narzekać wszakże na mój pobyt w Wilnie nie mogę; w ostatnich czasach zwłaszcza moje życie wileńskie zapełniło się dość obfitą treścią wrażeń i czynu. Cieszę się z tego, bo kocham życie intensywne, nie znoszę nudnej wegetacji. Co za różnica między obecnym rokiem w mym życiu a ~~[illegible]~~ ubiegłym. W roku przeszłym moje sprawy małżeńskie ciążyły nade mną, jako przeklęta zmora, jak upiór ohydny. Pełno było dla mnie męczarni, stamtąd czyhały na mnie okropieństwa, historyczne widziadła Reginy i panny Eliz, brutalna arogancja zakusy Engielhardowa et tutti quanti. Rok 1910 był rokiem bolesnym dla mnie, rok 1911 pod dobrą piękną gwiazdą płynie.

17 (30) kwietnia
rok 1911.
niedziela

Południowym pociągiem Marynia z dziećmi i ja wyjechaliśmy z Bohdanowiszek do Wilna. Jechaliśmy III klasą. Pociągi były natłoczone literalnie po brzegi; nie było wolnego skrawka ~~miejsca~~ ławki, ani jednej chyba wolnej piędzi podłogi do stania; w Hajdukiszkach jeszcze, choć był tłok, można było się ~~z trudem~~ z wielką biedą usadowić, ale im bliżej Wilna, tym pełniej, tym ciaśniej; my z Helcią wspólnie urządziliśmy się dobrze, bo konduktor dał nam w Hajdukiszkach za małą zapłatą maciupki ~~osobny~~ przedziałek służbowy ~~— na~~ na skraju wagonu z ławeczką na 2 osoby, małym stolikiem i miejscem na rzeczy. To też my we dwoje tłoku nie mieliśmy; Marynka ze Stefkiem usadowiła się w ogólnym wagonie.

W Wilnie zastałem obfitą korespondencję; czeka mię w tych dniach nawał roboty, ~~[illegible]~~ tak adwokackiej, jak wszelakich spraw i interesów osobistych i publicznych; nie wiem, jak się z tym wszystkim uporać zdołam. Śród korespondencji znalazłem jeden list od jakiegoś interesanta aż z Czyty z pod Nerczyńska w interesie adwokackim; cieszy mię to, bo muszę w obecnych warunkach dbać o rozwój praktyki adwokackiej; zdziwiło mię, że ten nowy klient z Czyty powołuje się na redakcję „Kurjera Wileńskiego”, która go do mnie skierowała; ciekaw jestem, skąd taki fawor dla mnie w redakcji „Kurjera”, z którą nie prawie nie mam wspólnego. Dalej z listów się dowiedziałem, że pani doktorowa Motzowa albo ma być albo już jest w Wilnie; nie mogłem tylko wyrozumieć, kiedy będzie i ile czasu zabawi; oczywiście przyjeżdża dla sprawy bordańskiej, która ma być wkrótce w Izbie wojennym wileńskim rozpatrywana.

Najciekawszy wszakże dla mnie — to list Eugeniusza Römera. Pisze, że był u mnie we środę z wielkim tygodniem, to znaczy nazajutrz po moim wyjeździe do Bohdanowiszek. Jest to pierwszy dodatnie wiadomość, bo znaczy to, że przyjmujemy Eugeniusz poczuł się do obowiązku rewizyty wobec mnie. Dalej pisze Eugeniusz, że córka moja jutro lub pojutro będę mógł widzieć w południe na spacerku w dziedzińcu domu Waśkowiczowa na prospekcie, gdzie Regina mieszka; ale córka moja będzie wyniesiona na spacer tylko o tyle, o ile dzień będzie pogodny słoneczny; w przeciwnym więc razie nie będę jej zapewne mógł zobaczyć; niestety — ale jutro przypuszczalnie dzień się nie zapowiada ładny, bo dziś wciąż aż do późnej nocy deszcz padał i całe niebo wskroś zasnute chmurami. Może będzie lepiej pojutrze. Z listu nadto Eugeniusza wnoszę, że po Wielkiej Nocy Regina już zaraz do [illegible] wyjeżdża. Druga wiadomość, jeszcze [illegible] dla mnie, — że fotografie małej zrobione, jeszcze nie odbite; egzemplarz przeznaczony dla mnie Eugeniusz [illegible] mi wkrótce. Z fotografii cieszę się niezmiernie, bo będę ją miał stale.

18 kwietnia / 1 maja. rok 1911. poniedziałek.

Rano było dość pochmurnie, choć ciepło. Obawiałem się, żeby deszcz mi nie zepsuł wyjazdu i nie przeszkodził w widzeniu córeczki. Ale wkrótce niebo się wypogodziło, słoneczko zaświeciło, zwiastując mi radosną nadzieję. Punkt o południu poszliśmy z Marynią i Stefusiem do domu Wańkowicza; w dziedzińcu domu tego w ogródku zobaczyliśmy młodą dziewczynę - niańkę z małym dzieckiem na ręku. Podszedłem i zapytałem, czy dziecko jest pani Römerowej; — tak. Miałem więc wreszcie przed sobą moje dziecko, moją córkę, ukochanie i tęsknotę moją. Ucałowałem Cesię; nie broniła mi się; patrzała jeno na mnie uważnie wielkiemi ciemnemi oczyma. Rażące jest podobieństwo małej do Reginy, zwłaszcza w dolnej części twarzy, w charakterystycznym grymasie jest, szczególnie gdy się zaczerwieni i zrobi minkę, powracając się wbok. A jednak choć jest do matki podobna, jest ładna; bywają nieraz podobieństwa rażące dwóch twarzy, z których wszakże jedna jest brzydka, druga — ładna. Mała zrobiła na mnie wrażenie dodatnie [illegible]. Jest bardzo bujna, tęga, wielka; ma bardzo zdrowy czerstwy wygląd, ciałko jędrne, zdrową cerę twarzy, kolorki na policzkach; tem się przedewszystkiem od Reginy różni, która jest zawsze blada i ma wygląd chorowity. Dziecko ma piękne duże i ciemne, niezmiernie wyraziste, oczy, piękne czarne rzęsy, brwi dobrze zarysowane, włosy ciemnej szatynki, jak moje; nos ma niezły, bo choć dość szeroki i okrągły oraz w nozdrzach mięsisty, jednak linja nosa jest prawidłowa i kształtna. Usta ma szerokie z kącikami charakterystycznie wdół opuszczonemi; wogóle usta mi się najmniej podobają; jest w ustach jakby wydatność dolnej wargi, choć Marynia powiada, że to od ssania. Ale nadewszystko zwraca uwagę niezwykła wyrazistość oczu oraz charakterystyczna indywidualność całej twarzy, jako zespołu. Wyrazistość ta jest niepospolita u tak małego dziecka. Ile uważałem, zwykle dzieci w tym wieku mają twarz miłą, bez wybitnego wyrazu indywidualnego. Może być wszakże, że nigdy żadnemu dziecku tak się nie przyglądałem, jak jej. Studjowałem ją, wzruszony, kochający. Mała jest bardzo spokojna, poważna. Wyrazistość jej nie jest lekką i migotliwą wyrazistością trzpiota; jest to wyrazistość skupienia, rozwagi, obserwacji; jeżeli się nie mylę, mała będzie miała charakter głęboki, będzie myśląca, skupiona w sobie, a jednocześnie bardzo wrażliwą, choć nie ekspansywną zewnętrznie. Rad z niej jestem. W spojrzeniu ma wielką ciągłość i badawczość. Marynia przepowiadała, że mała będzie się nas lękała, że będzie płakać i krzyczeć; tymczasem mała zachowała się spokojnie, jeno się przyglądała nam pilnie i widocznie coś sobie kalkulowała; parę jeno razy zaczerwieniła się i wtedy, mrucząc, odwróciła główkę i schowała ją za ramieniem niańki. Wogóle Maryni i Stefusia mała się więcej bała, niż mnie; odemnie się nie odwracała, patrzała mi w oczy, nie zdradzała żadnych oznak nieufności i niezadowolenia; rączki mi swej nie cofała, pocałunek oddawała; patrzała na mnie z zaciekawieniem; względem zaś Maryni i Stefusia zdradzała pewną niechęć. Czyżby instynkt pierwotny tak małego dziecka ulegał zmysłowi tożsamości krwi? Czyżby mała przeczuwała we mnie rodzica swego, poprostu chyba przez jakąś kosmiczną tajemnicę związku owocu z nasieniem? Kto wie! Dziecko takie to nie człowiek jeszcze, to istota, kierowana tajemniczymi przedświadomymi zmysłami instynktów, które u ludzi w stanie późniejszym ulegają zanikowi lub raczej drzemią gdzieś w mrocznych głębiach jaźni pod powłoką uczuć i myśli wyższego rzędu. Kto wie więc! Przy małej spędziłem ze 20 minut; miała ona różyczkę w ręku, którą mając w ręku wyrzucała z zabawy, małego chłopaka lat 4. Niańce dałem 3 ruble. Niańka mówiła, że Regina jeszcze mała karmi, oprócz tego zaś daje jej codzień jajeczko i kaszkę. Ząbków ma mała 6. Regina wyjeżdża z małą do Cytowian już pojutrze. Skorzystałem więc jeszcze z widzenia małej jutro, jeżeli pogoda dopisze. Na pożegnanie pocałowałem Cesię w usteczka i spróbowała mi ona pocałunek oddać i śliniła mi usta — nie brzydziłem się wcale, bo moja to krew, mój wyskok w daleką przyszłość, moje zmartwychwstanie. Jest mi ona nadewszystko droga, a widzenie dzisiejsze było cementem, który mię ściślej z nią spoił.

Po obiedzie byłem u pani Motzowej, z którą spędziłem kilka godzin. Sprawa bezdańska, dla której ona przyjechała, rozpoczyna się w sądzie wojennym jutro. Pani Motzowa wyjeżdża dziś do Petersburga, gdzie nawiąże stosunki i przygotuje wszystko, aby na wypadek skazania na śmierć Zawiszy, co jest prawie pewne, pójść w trzech okrąg ratunkowego dla ocalenia tego człowieka. Sprawa ta była wzorowa 2 lata temu; i wtedy, dzięki niesłychanej energji i przedsiębiorczości p. Motzowej, udało się chwilowo ocalić Zakrzewskiego i Szyrokiego od stryczka; Zakrzewskiemu dziś już stryczek nie grozi, ale czy uda się znów teraz ocalić Świrskiego?

Przyjechał z zagranicy Julek Komorowski w przejeździe do Kowaliszek; Julek nie robi na mnie dobrego wrażenia — jest jakiś narwany, jak złapany na gorącym uczynku, nieszczery; byłoby dobrze, gdyby jak najprędzej do Kowaliszek jechał, ale ciotki jego, panny Jadwigi i Zola Komorowskie, same zakłopotane, roztkliwione, zatrzymują go w Wilnie na dni kilka. Wieczorem u Zmujdzinowiczów było zebranie zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos”, które się przeciągnęło do późna. Jutro zamyka się wystawa litewska, w sobotę otwieramy wystawę specjalną Czurlanisa.

19 kwietnia / 2 maja rok 1911. Wtorek.

Dzień ciepły, więc spodziewałem się, że i dziś będę mógł mą córeczkę zobaczyć; Eugieniusz bowiem pisał, że dziecko będzie wychodziło na spacer w poniedziałek i we wtorek o południu, i niańka mię upewniała wczoraj, że wyniesie dziś dziecko. O południu poszedłem tedy więc — i cóż? dziecka nie było. Co za złość i ohydna okrutna zaciętość Reginy! Dowiedziała się, że wczoraj widziałem małą i oczywiście nie zechciała mi jej po raz drugi pokazać. Jutro już wyśle dziecko do Cytowian a więc na lata całe zamyka mi możność widzenia córki i dziś nie daje mi jej widzieć. Podła kobieta.

Wczoraj gdym po widzeniu córki wpłacał do banku bieżącą ratę miesięczną na rachunek Reginy — po raz pierwszy płaciłem jej z całego serca, czując bądź cobądź, wbrew wszystkiemu, co między nas zaszło, że jednak te dziecko łączy nas z Reginą, że przecie jest ona matką mojej córki. Ale podła, histerycznie posępna i zacięta natura Reginy zrywa zawsze w zalążku wszelkie odruchy jakichś uczuć i stosunków szlachetniejszych.

Julek Komorowski został w Wilnie. Źle to dla niego, bo wspomnienia wileńskie, dawnej rezygnacji a zresztą chorobliwie nerwowe, histeryczne środowisko jego ciotek Komorowskich bardzo szkodliwie nań wpływa, zwłaszcza, że już jest on sam przez się zdenerwowany. Panna Jadwiga z p. Zofią Komorowską kłócą się i szarpią; dziś działy się tam u nich jakieś straszliwe awantury, na skutek których p. Zofia wyjechała — niewiadomo z kim, dokąd i na jak długo. Okropne są szalejące nerwy panien, które zawsze mię przerażają.

Wieczorem układałem deklarację do gubernatora na założenie nowego pisma białoruskiego; będzie to koncesja zapasowa na wypadek zamknięcia przez władze „Naszej Niwy", na co się zanosi.

20 kwietnia / 3 maja. rok 1911. środa.

Chciałem dziś dostać się do sądu wojennego na sprawę berdańską, ale się dowiedziałem, że została odłożona na jakiś tydzień z powodu nie stawienia się „świadka" Fijałkowskiego, jednego z uczestników napadu berdańskiego, skazanego w poprzednim procesie w r. 1909 na karę śmierci, lecz ułaskawionego z zamianą kary śmierci na ciężkie roboty za usługi, wyświadczone władzom przez zdradzanie swych dawnych towarzyszy.

Większą część dnia dzisiejszego zajęty byłem księgami rachunkowemi Litewskiego Towarzystwa Artystycznego. Wieczorem spędziłem też parę godzin u Żmujdzinowiczów na układaniu rachunków bieżących tegoż towarzystwa. Z powodu świeżo zamkniętej V wystawy litewskiej i otwierającej się w sobotę wystawy prac Czurlanisa jest nawał pracy kasowej. Żmudna to praca i niezbyt ciekawa, ale poddaję się jej szczerze, bo cenię bardzo Litewskie Towarzystwo Artystyczne i działalność jego.

Poza tym resztkę wolnego czasu zużyłem na napisanie kilku listów bieżących, z których jeden do Elizy Komorowskiej, Julku [?], i na załatwienie jednego interesu adwokackiego.

Dziś Regina wyjechała już zapewne z Wilna, uwożąc też [illegible]. Pogoda jej sprzyjała.

21 kwietnia / 4 maja. rok 1911. czwartek.

Pisałem dziś w dalszym ciągu rozpoczęty przed kilku dniami referacik w sprawie ~~n~~ naszej projektowanej wystawy „wsi.” Z powodu nieobecności Ruszczyca w Wilnie zebranie komitetu wystawowego, które miało się odbyć pozawczoraj, odłożone zostało na ~~[illegible]~~ tydzień. Referacik, który mi polecono ułożyć, jakoś ciężko się posuwa. Kilka godzin pracowałem dziś nad nim, ale werwa literacka jakoś mi nie dopisywała. Mam wrażenie, że nie będzie ~~u~~ udatny.

Rozmawiałem dziś ze Studnickim. Ostatni № „Tygodnika Wileńskiego” został skonfiskowany. Wydawnictwo „Tygodnika” jest zachwiane – bokami robi i ledwie zipie. Właściwie gdyby się znalazła garstka ludzi sympatyków śród postępowców, można byłoby bodaj w obecnej chwili zagarnąć „Tygodnik” w swe ręce.

22 kwietnia / 5 maja rok 1911. piątek.

Zajęty dziś byłem studjowaniem ustawy wekslowej dla sprawy jednego z innych klijentów, niejakiego Sieleswicza z Szyty.

Wieczorem znów popracowałem trochę nad referacikiem do wystawy „wsi". Robota ta wciąż mi jakoś twardo, jak z kamienia, idzie. Nie mogę się jakoś rozpędzić i wpaść na ton właściwy. Sądzę, że to upał tak na mnie działa, pozbawiając mię jędrności.

Dowiedziałem się, że pan Stefan Budrewicz umarł w niedzielę już przed 10 dniami, w nocy z pierwszego na drugi dzień Wielkiej nocy. Żal mi szczerze staruszka, który mi był jak najbliższy krewny. Nazywałem go wujaszkiem, choć żadnego pokrewieństwa właściwie nie było. Umarł w wieku lat 86. Pochodził z powiatu wilejskiego, gdzie miał kiedyś majątek „Wincentów" w sąsiedztwie moich dziadów Tukałłów. W r. 1863 czy 64 z rozporządzenia Murawjewa majątek skonfiskowano. Potem p. Budrewicz był przez lat 10 czy kilkanaście na wygnaniu, wreszcie osiadł w Petersburgu, gdzie przemieszkał lat kilkadziesiąt i wreszcie w r. 1909 zamieszkał w Wilnie. Gdy mię Rodzice w r. 1892 oddali do szkół do Petersburga jako małego niespełna 12-letniego malca, u pp. Budrewiczów miałem opiekę zgoła rodzicielską, gorące i zacne serce, miłość i ciepłe ognisko. Do ukończenia szkół, to znaczy aż do r. 1901, zawsze święta i niedziele u kochanych staruszków spędzałem. Dla kochanej pani Budrewiczowej cios to okropny. Przeżyli staruszkowie ze sobą lat 62 (pobrali się w r. 1848 czy 1849) i kochali się do końca, jak 2 gołąbki, serdecznie.

23 kwietnia
6 maja
rok 1911.
sobota.

O godz. 7 wieczorem w mieszkaniu dr. Boguszewskiego odbyło się zebranie grona osób, zwołanych przez Bogowskiego (młodszego). Obecni byli: Bogowski, dr. Boguszewski, Łuckiewicze Iwan i Antoni, spółpracownik „Naszej Niwy" Mańkowski (student uniwersytetu Dorpackiego, bawiący w przejeździe w Wilnie), Witold Abramowicz i ja. Proszony też był od litwinów redaktor „Lietuvos Žinios" Stażewicz, ale przyjść nie mógł. Bogowski oświadczył nam propozycję następującą. Polska młodzież szkolna wileńska rozpada się, jak wiadomo, na 3 zasadnicze odłamy ideowe: „narodowców", „wyzwoleńców" i „postępowców". „Narodowcy" – endecy idą pod batutą dyktatury jednego człowieka, Leona Perkowskiego, który ma nad nimi wpływ wyłączny i posłuch ślepy. Mają oni swe pismo – „Pobudkę". „Postępowcy", których znam i o których już poprzednio wspominałem, – to są niepodległościowcy, socjaliści narodowi. Grupa „wyzwoleńców" przeszła w ciągu lat kilku przez ciekawą ewolucję, która jeszcze bynajmniej zakończona nie jest. Początkowo byli oni stowarzyszeniem ściśle katolickim, potem przeszli przez kierunek abstynencko-etyczny Lutosławskiego, dziś wyzwolili się od ścisłych ram tak katolicyzmu, jak lutosławizmu. Przedstawiają dziś oni społecznie kierunek ludowy (ludowcowy); z poprzedniej ewolucji pozostały u nich ślady, mianowicie ideał odrodzenia przez doskonalenie się wewnętrzne, podkreślanie czynnika etycznego w rozwoju społecznym i narodowym; są u nich tendencje antysemickie; klerykałami nie są, a nawet niejeden z nich są wyznawcami antyklerykalizmu; wszakże ponieważ w łonie ich jest garstka ścisłych katolików, więc przez wzgląd na nich kwestji religijnej i kwestji antyklerykalizmu nie tykają. W ostatnich czasach wytworzył się prąd – jeżeli nie do zlania się, to do skoordynowania się „wyzwoleńców" z „postępowcami" na stanowisku haseł ludowych. Owóż jednym z owoców tego zbliżenia się jest chęć tych dwóch odłamów młodzieży stworzenia własnego pisma, które w ich mniemaniu miałoby odegrywać tę rolę, którą przed wiekiem odegrywał w Wilnie organ szubrawców – „Wiadomości Brukowe". To znaczy: pismo te miałoby poruszać bieżące zagadnienia społeczne i kulturalne w kraju, reagować na rozmaite zapoczątkowania i t. d. Chcieliby oni utrzymać pismo w swoim ręku, a wszakże mieć do pomocy i porady kilku inteligentów. O tym właśnie z Bogowskim mówili i z tym go do nas skierowali. W każdym razie pismo te powinno być nie-endeckie i nie-esdeckie. Takie jest zastrzeżenie młodzieży. Na zebraniu naszym wypowiedziano się, że najwięcej chodziłoby raczej o przekształcenie tego pisma ze specjalnego organu młodzieży na organ ogólnointeligencki; najskrajniej do tego dążył Abramowicz. Postanowiliśmy wejść w kontakt bezpośredni z tą młodzieżą, urządzić wspólne zebranie z wybitniejszymi przedstawicielami „wyzwoleńców" i „postępowców" i omówić konkretnie sprawę. My ze swej strony zastrzegamy stanowisko krajowe i demokratyczne dla pisma. Młodzież ma w piśmie przewidziane ...

Mnie się zdaje, że biorąc od młodzieży inicjatywę i środki materjalne, nie możemy zbyt arbitralnie, jak chce Abramowicz i Iwan Łuckiewicz, pozgarniać pisma w swe wyłącznie ręce. Niechby pismo naprawdę pozostało pismem ściślej organem dla młodzieży; mając w piśmie udział pomocniczy, uzyskalibyśmy już przez to wpływ faktyczny, który by zapewne wzrastał siłą rzeczy, bo sama młodzież nie przestałaby kierować stroną pisma w kolegji niechby nie wiało im zresztą zagadnień i stosunków krajowych, ku pracy młodzieży właśnie. Takie pismo mogłoby chodzić w rodzaju „Wiad. Brukowych". A nawet mianowicie też ważną rzeczą jest nietylko przemawianie do dorosłej inteligencji, ale nadewszystko urabianie młodego pokolenia.

24 kwietnia / 7 maja. rok 1911. niedziela.

Dziś spędziłem bardzo pracowity i dobrze zapełniony dzień. Przedewszystkiem po dość wczesnym wstaniu [illegible] słoneczne ranki wypędzają mnie z łóżka — zaś załatwiłem do południa prywatną korespondencję i drobiazgi krzątaniny pokojowej. O południu poszedłem do Sądu na zwykłe niedzielne [illegible] ćwiczenia pomocników adwokatów z zakresu prawa cywilnego. W ćwiczeniach dzisiejszych niewielu udział brało. Obecni byli tylko: Powołocki, Jamont młodszy, Janulaitis, Andrejewski, stary Wismont, Wyszyński, Sołoman, Briańcew, Łapin młodszy, Burhardt i ja, oraz, w charakterze kierownika, stary p. Restytut Sumorok. Widocznie trwające od dni kilku niewiosenne upały odstręczają wielu kolegów od pracy, zwłaszcza niedzielami, gdy kto żyw w mieście — ciągnie hen w pole (do mnie się to dziś zastosować nie daje). Ćwiczenia już są na schyłku. Na przyszłą niedzielę wyznaczone ostatnie i tam ma być omówiona szczegółowo majówka zbiorowa, która ma zakończyć sezon ćwiczeń. Wybrano nawet „komisję" majówkową w osobach Janulaitisa, Briańcewa i Łapina.

Stamtąd poszedłem na wystawę Čurlanisa, gdzie wszakże nie miałem czasu na oglądanie dzieł tego niepospolitego artysty, bo zajęty byłem szczegółowym przyjmowaniem od pani Janowej Vileišisowej rachunków z poprzedniej wystawy. Stamtąd wróciłem do domu, zjadłem obiad i już więcej wcale na miasto nie wychodziłem. Maryńka z dziećmi wybrała się na wycieczkę na [illegible], a ja zasiadłem do pracy. Wpierw pozałatwiałem rozmaite sprawy rachunkowe w księgach „Lietuvių Dailės Draugijos", potym odrobiłem starannie 2 zaległe sprawy adwokackie, wreszcie już po herbacie zasiadłem do dalszego ciągu mego referaciku dla wystawy „wsi". Od wczoraj referacik ten płynie mi spod pióra raźnie i gładko. Wpadłem widocznie na dobre tory — piszę z łatwością, myśl funkcjonuje znakomicie — słowem zadowolony jestem. Nie wiem tylko, jak będzie wyglądać pierwsza część tego referaciku, bo naraz przez kilka dni nie trafiłem na ton właściwy.

25 kwietnia / 8 maja, rok 1911, poniedziałek.

Znów upał. Zakwitły drzewa owocowe w ogródku naprzeciwko okien moich. Śliczne mieszkanie mam. Z okien moich mam widok wiejski na nie zabudowane zielone góry Bouffałowe. Okna od południa, słońca i powietrza do syta. O 3-ej rano już się obudziłem i wstałem.
Otrzymałem od inżyniera Römera list z fotografią mej córeczki. Jak przewidywałem — na fotografii jest ona brzydka. To, co stanowi jej urok — wyrazistość i skupienie uwagi i myśli — na fotografii uwydatnione nie jest; ~~[illegible]~~ wprawdzie i na fotografii ~~[illegible]~~ dostrzec można te cechy, ale tu się one zamieniają w jakąś skamieniałą sztywność a przez to nie są naturalne. Uderza mnie na fotografii niezwykła powaga, jakby smutek tragiczny w tej twarzy dziecka. Doprawdy nie dziecinność twarzy i ten wyraz powagi, który już w naturze dostrzegłem, tu się potęguje do poziomu zasępienia. Ta barwa smutku na twarzy niepokoi mnie. Dlaczego to ma Ceśka i co to zwiastuje? Wolałbym dostrzec trochę więcej tej beztroski dziecięcej. Inżynier pisze, że Ceśka dojechała do Czystowian szczęśliwie i jest zdrowa. Jej świetne zdrowie fizyczne i jej znakomita budowa uspokajają mnie. Śliczne ma Ceśka na fotografii palce, długie, zgrabne. Może będzie miała rękę moją.
Byłem dziś u Nagrodzkiego, z którym się rozmówiłem w wiadomej sprawie.
Skończyłem mój referacik dla jutrzejszego zebrania komitetu wystawy „Wsi". Jest już prawie ukończony. Nie jestem pewny sukcesu na jutro, i to nie dlatego tylko, ~~[illegible]~~ że nie jestem w stanie zgadnąć, jak się spodoba naszemu komitetowi, ale też dlatego, że sam nie mam przeświadczenia wewnętrznego o jego wartości; a właśnie że zazwyczaj, gdy coś piszę, to sam jestem pod urokiem mojej własnej pracy i mam wrażenie jej głębi i trafności. Zobaczę jutro, jak inni ocenią tę pracę i zorientuję się w niej lepiej odemnie.
Wieczorem ~~[illegible]~~ Plott zrobił mi propozycję taką: w pewnej sprawie spadkowej ~~[illegible]~~ miałbym w maju pojechać do Holandii — do Amsterdamu a może i do Hagi — dla tajemnego wyśledzenia, jaka jest suma tego spadku. Właścicielkami tego spadku są dwie ubogie młode panny; sprawa jest mocno zawikłana; panny się związały z 2 panami wątpliwej uczciwości, gilsztejnami — Bolesławem Perkowskim i Brzostowskim, który zajmuje się realizacją tego spadku od ich imienia; umowa tych panien z tymi panami jest bardzo uciążliwa, oddające je w ręce tych panów, i jest podejrzenie, że ci panowie je oszukują i nie mówią prawdy o interesie spadkowym; owóż chodzi o tajemne skontrolowanie całego interesu na miejscu w Holandii, gdzie spadek ten się mieści. ~~[illegible]~~ Proponują mi tylko zwrot kosztów w kwocie zresztą bardzo skromnej, bo dają mi na pojechanie tam i z powrotem i na cały pobyt oraz poszukiwania, które mogą potrwać 2 tygodnie, 200 rubli oprócz kosztu paszportu. Oczywiście, że wraz z opłaceniem kosztów mojej misji ~~[illegible]~~ nie miałbym stąd zysku żadnego. Ale jazda do Holandii tak mi się podoba, przez się uśmiechała, że propozycję przyjąłem. Byliśmy z Plottem u tego pana, który bierze los tych panien do serca i który daje na podróż pieniądze. Zastrzegłem, że pojadę po 15 maja, bo na 15 maja chcę być w Petersburgu, gdzie się odbędzie zjazd koleżeński prawników, którzy ukończyli Szkołę Prawa w r. 1901. Właśnie dziś otrzymałem z Petersburga zaproszenie na ten zjazd i chcę w nim wziąć udział.

26 kwietnia / 9 maja rok 1911. wtorek.

Upał. Drzewa owocowe w pełnym kwieciu, [redacted] słowik śpiewa wieczorem w ogrodzie na górach wprost okien [redacted] moich. Bajeczny czas. Tęskno do wsi, do natury. Trzeba się będzie wybrać w tych dniach do kąpieli w rzece za Antokolem. Mam jeszcze ze 3 tygodnie stałego siedzenia w Wilnie, a w taką wiosnę piękną to się chce jeździć, być na wsi, gdzieś podróżować, wędrować. Cieszę się więc z góry na wszelkie jazdy — do Petersburga, do Holandii z [illegible], potem ewentualnie do Pleszczenic, do Bielcza nad Berezyną. Co za cudna być musi teraz Berezyna, co za rozkosz pływać po niej w mojej małej zwrotnej łódeczce.

O godz. 5 odbyło się u dra Boguszewskiego zebranie naszego „komitetu inicjatywy" wystawy „Wsi". Przybyli najczynniejsi członkowie komitetu: Ruszczyc, Żmujdzinowicz, dr. Boguszewski, Iwan Łuckiewicz i ja. Zdzisław Ludkiewicz i Jurewicz nie przyszli. Odczytałem mój referacik. Jak się spodobał — nie wiem. Zdaje się, że najbardziej trafił do przekonania Ruszczycowi i Żmujdzinowiczowi. Referacik został zaaprobowany; mają być dokonane tylko drobne [redacted] uzupełnienia i [redacted] w niektórych miejscach usunięcie paru drobnych wyrażeń, które mogą być niepoprawne z punktu widzenia władz rosyjskich. Ponieważ mój referacik ujmuje przeważnie kulturalne [redacted] i etnograficzne przesłanki naszego przedsięwzięcia wystawowego, więc polecono Boguszewskiemu napisać równolegle drugi, omawiający ściślej przemysł ludowy oraz praktyczne dla przemysłu tego korzyści wystawy. Oba referaciki razem będą stanowiły całość. Mają być one przetłumaczone na rosyjski i litewski i odczytywane jako komunikaty na całym szeregu zebrań towarzystw rolniczych, zjazdów i t.p., po czym [illegible]; jednocześnie też mają być odczytywane na zebraniach prywatnych, dla młodzieży i t.d. Mają one spopularyzować nasz projekt wystawy. Postanowiliśmy porozumieć się ściśle z [illegible] Wileńskiego [illegible] i z [illegible] Chrześcijańskim Towarzystwem Rolniczym i z ich udziałem uzyskać pozwolenie władzy na wystawę. Następnie do [redacted] nieoficjalnego komitetu [redacted] wystawowego wciągnąć przedstawicieli poważniejszych towarzystw rolniczych. Chodzi nam też o pozyskanie [illegible]

27 kwietnia / 10 maja roku 1911. Środa.

Upał. Dnie prześliczne płyną jeden po drugim, potęgując wiosnę, która już jest obecnie w pełni najbujniejszego rozkwitu. Przed oknem mojem mam fragment zamykający podmiejskich Łukiszek; są to ogrody i pola gór Bouffałowych, niezabudowane jeszcze, zielone, ale już ze wszystkich 4 stron dokoła oblane miastem, mianowicie ulicą Zawalną ze wschodu, Pohulanką z południa, Łukiszkami z zachodu i północy. Gdy przed laty kilkunastu Wilno się gorączkowo w tym kierunku rozrosło, góra Bouffałowa została wyspą [illegible] wsi w samym niemal śródmieściu. Dotychczas w charakterze takiej wyspy się utrzymała, ale teraz, gdy od roku zeszłego ruch budowlany rzeźko się szerzyć zaczął, góra Bouffałowa zostanie w pierwszym rzędzie przez miasto pochłonięta. Przekopanie wpoprzek góry Bouffałowej ulicy, łączącej ulicę [illegible] z Kaukazką, to znaczy Łukiszki z Pohulanką i z dworcem kolejowym, przyśpieszy zabudowanie nieszczęsnej góry Bouffałowej; zostanie skopana, na miejscu dzisiejszych pól, kwitnących drzew owocowych i śpiewu słowików wzniosą się kamienice dochodowe w polukaszkowym stylu. Smutny to koniec. Już się na razie przekopanie ulicy gotuje, teren pod pierwszą kamienicę, zwieńczającą zaleś góry [illegible] miastem.

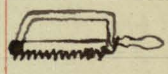

Wieczór — u mnie.

28 kwietnia / 11 maja. rok 1911. czwartek.

Zdaje się, że projekt jazdy mojej do Holandii utrwala się. Plott dziś oznajmił, że trzeba, abym w przyszłym tygodniu pojechał do Kowna, gdzie zostanie sporządzona plenipotencja dla mnie. Plenipotencja robi się nie w Wilnie dlatego, żeby się Perkowski i Dunostowski, których czynności mam właśnie kontrolować w Holandii, nie dowiedzieli o tym. Misja moja w Holandii będzie bardzo delikatna i uciążliwa, wymagająca wielkiej ostrożności i sprytu. Mając bardzo wątłą nić w ręku, będę musiał dotrzeć do samego kłębka, t.j. do wykrycia zawartości spadku, o który tu chodzi. Ale jazda do Holandii sama przez się tak mnie pociąga, że się decyduję na nią bez względu na „uciążliwość” zadania i „szczupłość” przeznaczonych na to środków.

Sprawy „Dailės Draugijos”, korespondencja, konferowanie z Krzyżanowskim w wiadomej sprawie wypełniły mi dzień dzisiejszy.

29 kwietnia
12 maja
rok 1911.
piątek.

Konferowałem z Biziśką, potym z braćmi Łuckiewiczami. Pilne są sprawy, wymagające ściślejszego porozumienia.

Pozatym dzień spędziłem na załatwianiu w domu bieżących spraw adwokackich. Wieczorem byłem u Klotta dla omówienia szczegółów i programu mej jazdy do Holandji. Zostałem u Klottów na herbatce. [skreślone] Smutne robi na mnie wrażenie układ życia Klotta. Jest to w gruncie człowiek ponad przeciętną miarę inteligientny i człowiek, który w swych aspiracjach [skreślone] sięgał ongi głębokich ideałów społecznych. Ale jego charakter słaby, tchórzliwy, do wygody łaknący, doprowadził go do sybarytyzmu duchowego, który strawił ostatecznie i wystudził [skreślone] te jego aspiracje młodości. Dziś jest to stylowy wygodniś, kryjący w sercu grób własnego ducha. Żonę też dobrał, która w nim dobiła [skreślone] cień ducha. Jest to osoba banalna, płytka, z pozoru dobra, ale nieskończenie mała i jałowa. Ideał p. Klottowej — to życie towarzyskie, z dawkowym konwenansem zaściankowo-prowincjonalnego, arystokratyczno-mieszczańskiego „beau-monde'u” wileńskiego. Marny ideał, [illegible] nie warty. Ale [illegible] została Janka, którego [illegible] naturalnie na tę drogę pchała. Dostrzegłem dziś, że Jankowi [illegible] to ciąży, ale już tak w bagienku ugrzązł, że ostatecznie dobrze mu z tym.

30 kwietnia
13 maja
rok 1911.
sobota

Byłem dziś chwilkę w sądzie wojennym na procesie bezdańskim. Weszliśmy do sądu razem z Zagińskim i natrafiliśmy akurat na przerwę w posiedzeniu sądowym. Zmieszaliśmy się z tłumem i z gronem obrońców, którzy wyszli z sali dla wypalenia papierosa, i razem z nimi weszliśmy do sali, nie legitymując się wcale. Sprawa toczy się przy drzwiach ściśle zamkniętych. Właściwie i dla adwokatury dostęp utrudniony. Oskarżeni — Świrski, Zakrzewski i Korakiewiczówna — siedzą w ławie oskarżonych dość swobodnie, rozmawiają między sobą i ze swymi obrońcami. Świrski jest do niepoznania zmieniony w porównaniu do tego, jakim był na pierwszym procesie przed niespełna 2 laty. Wtedy był nieprzytomny, miał wyraz obłąkany, z nikim nie rozmawiał, nikogo nie poznawał, jeno rzucał błędne spojrzenia dokoła w przestrzeń, kręcił się niespokojnie i raz po raz dłonią włosy gładził. Teraz zaś stoi, wzrok ma jasny, poznaje wszystkich, rozmawia z ożywieniem, z uśmiechem, twarz wyrazista, wzrok płonie i energicznym ruchem ogarnia całą salę; znać jednak ekscytację nerwową a ciągłe drganie głowy zdradza ~~[illegible]~~ w nim nerwowca. Świrski wydał mi się ładny z blaskiem natchnienia w twarzy. Zakrzewski jakoś się skurczył, zżółkł, ale ma tę samą energię ~~[illegible]~~ i żywość w wyrazie. Korakiewiczówna postarzała, źle wygląda. Obrońcy spodziewają się wystarać Zakrzewskiego; alibi jego jest dobrze udowodnione, obrona mocna, choć prokurator i dla niego żąda wyroku śmierci. Co do Świrskiego, to wyrok śmierci jest prawie pewny; jedyna nadzieja, — że się może uda wyjednać łaskę ułaskawienia przez Petersburg; w tym kierunku działa p. Piotrowa, bawiąca w Petersburgu i wszczynająca tam wszelkich dróg ratunku. Gdy się przerwa skończyła — wyszedłem, bo za ciężkie wrażenie na mnie robiła atmosfera stryczka i nie chciałem słuchać prokuratora, wzywającego śmierci dla żywych i pragnących żyć ludzi. Wieczorem byliśmy z Marynią na wieczorku białoruskim ~~[illegible]~~ w sali Polskiej. Wieczorek ten na dochód klubu białoruskiego, którego ustawa została świeżo przez władze zatwierdzona. Powstanie klubu białoruskiego jest dla białorusinów wybitnym zjawiskiem; działalność takiego klubu pełnie wzmoże napęd sprawy skonsolidowania się elementów białoruskich; będzie to początek teatru białoruskiego, stałej organizacji chóru śpiewackiego itd. i jednocześnie ośrodkiem białoruskiej propagandy kulturalnej. Wieczorek dzisiejszy pod względem dochodowym nie udał się, bo jest lato, upały, — tłok do lokalu zatuszkiej tego dnia śpiewy. Były odegrane 2 jednoaktówki w tłumaczeniu z Orzeszkowej i z Czechowa, deklamacja i śpiew chóru. Jednoaktówki nie odtworzyły charakteru białoruskiego; piękna była deklamacja Burbisa; chór pierwszy pieśń ludową ~~[illegible]~~ wyśpiewał pięknie, ale zupełnie niepotrzebnie i pod względem wykonania źle wyśpiewał jakiś utwór rosyjski Czajkowskiego.

Po obiedzie wybrałem się ze Stefusiem 1/14 maja.
za miasto do kąpieli w Wilji. roku 1911.
Żeby mieć wodę w rzece czystą, ru- niedziela.
szyliśmy w górę rzeki, to znaczy za
Antokol. Ponieważ dziś były właśnie
wyścigi konne w Pośpieszce, więc
w tramwajach antokolskich taki tłok,
że ledwo ledwo, po długim czekaniu,
zdobyliśmy sobie ze Stefusiem miej-
sce do jazdy. Za Antokolem, między
~~[illegible]~~ Wierszupką a Pośpieszką Ale-
ksandrowicza, skręciliśmy ze Stefu-
siem w bok i ścieżką poszliśmy do
Wilji. Wykąpaliśmy się dobrze. Woda
ciepła; dno tylko mieliśmy tak ka-
mieniste, że nam nogi raniło i prawie
uniemożliwiało chodzenie. W wodzie krótko
byłem; popluskałem się tylko przez
jakieś minut 4-5 i wyszedłem; pły-
wać nie próbowałem, bo prąd bardzo
wielki, a rzeki nie znam. Stefuś bro-
dził po brzegu, po kostki tylko; gdy
mu kazałem zanurzyć się po szyję i
zmusiłem do tego, — płakał, jak ma-
łe 3-letnie dziecko. Kąpiel podziałała na
mnie dobrze; czułem się jakoś jędrniej-
szy fizycznie, nogi nabrały jakby większej
sprężystości, skóra na całym ciele była
przyjemnie połechtana. Choć wolę kąpiel
w jeziorze, niż w rzece, — ze względu na ła-
twość pływania, to jednak uważam, że kąpiel w płyną-
cej, rzecznej wodzie działa na mnie dodatniej fizycznie,
niż kąpiel w wodzie stojącej. Pola na wsi teraz tak pachną,
jak najpiękniejsza perfumerja. Po powrocie do domu, zmęczony
po wczorajszym wieczorku białoruskim i po wycieczce — bardzo wcześnie położyłem
się spać.

Vivat! Sprawa berdańska zakończona 2 (15) maja
została pomyślnie. Wyrok Sądu wojennego roku 1911.
ogłoszony został wieczorem koło 10½. Poś- poniedziałek.
nieważ wyrok się ogłasza przy drzwiach
otwartych, publicznie, więc wprowadziłem
do Sądu Marynię. W sprawach, w których
jest wyrok śmierci, przykra jest cie-
kawość tłumu, żądnego sensacji. W cie-
kawości tej jest ślepa krwiożerczość, pod-
niecenie najniższych instynktów ludzkich.
A jednak zaprowadziłem Marynię umyślnie,
bo w naszych warunkach wyroki śmierci
w sprawach politycznych mają zgoła inne
znaczenie. Kształcą w nas one nienawiść
do tej przemocy krwawej, której niedość nagaj-
ki i kafas, – trzeba jeszcze katuszy wiesza-
nia wybranych. Nic tak nie kultywuje
nienawiści do wroga, do rządu, jak zet-
knięcie się bezpośrednie z takim chłod-
nym wyrokiem śmierci. To jest zarzewie
płonącego mściwego buntu, zapadającego
w głąb serca. Ale wyrok dzisiejszy był dobry
– oczywiście „dobry" tylko względnie do
tego, czym mógł być. Świrski skazany na
śmierć przez powieszenie, ale Sąd jedno-
cześnie postanowił poczynić starania
z własnej inicjatywy o złagodzenie mu ka-
ry; Zakrzewski i Horakiewiczówna uznani
winnymi niedoniesienia o gotującej się zbrodni,
o której wiedzieli, i skazani obydwoje na 20 lat
ciężkich robót. Dla Horakiewiczówny wyrok ciężki,
bo na poprzednim procesie miała 4 lata katorgi, teraz
zaś 20. Zakrzewski na poprzednim procesie był na
śmierć skazany, a choć teraz alibi jego było niemal
ustanowione, jednak prokurator wciąż się domagał
dla niego kary śmierci i ewentualność takiego wy-
roku nie była wykluczona. Dla Świrskiego rezultat dobry;
nie było ani chwilki wątpliwości, że otrzyma wyrok śmierci
i cała nadzieja polegała na wynikach akcji ratunkowej, pro-
wadzonej w Petersburgu przez p. Motzową w kierunku ułaskawie-
nia. To, że sąd sam postanowił prosić o złagodzenie kary Świrskiego,
dowodzi, że akcja ratunkowa wydała owoce. Była wielka [illegible] obawa,
[illegible] Świrskiego i niewątpliwie, że sędziowie wojenni nie odwa-
żyliby się w takiej sprawie prosić o ułaskawienie, gdyby nie mieli odpowiednich
wskazówek z góry. Sąd więc wiedział na pewno, że Świrski [illegible] nie będzie i że przez
to sprawa berdańska bez kary krwawej się obejdzie. A to jest działalność pani Motzowej.

3/16 maja. rok 1911. Wtorek

Od 2 dni chory jestem mocno na żołądek — widocznie skutki kolacji, spożytej na wieczorku białoruskim. Osłabia mnie to fizycznie, ale nie pozbawia sił do pracy. Wogóle od ~~przeszło~~ roku przeszło zdrowie moje trochę szwankuje. Dość często choruję, zwłaszcza na jakieś dolegliwości organów trawienia.

O godz. 5 popołudniu w mieszkaniu Boguszewskiego odbyło się posiedzenie naszego komitetu wystawy „Wici". Obecni byli: Ferdynand Ruszczyc, Boguszewski, Iwan Łuckiewicz, Jurewicz, ja i p. Turski z „Towarzystwa Rolniczego". P. Turskiego wciągnęliśmy do komitetu zamiast Zdzisława Ludkiewicza, który ze względu na brak czasu wycofał się. Boguszewski odczytał swój króciutki referacik o przemyśle ludowym, mający być uzupełnieniem mojego referatu, traktującego kwestię wystawy ze stanowiska historyczno-kulturalnego i etnograficznego. P. Turski odczytał nam referat p. Al. Szklennika, ~~[illegible]~~ dotyczący także kooperatywy przemysłu ludowego. Referat p. Szklennika, znanego działacza ruchu kooperatywnego, był wygłoszony na jednym z posiedzeń T-stwa Rolniczego i zawiera więcej statystyki a przeto ma dla nas wartość wys[illegible]. Postanowiliśmy porobić wyciągi z referatu p. Szklennika i złożyć je z referacikiem Boguszewskiego w jedną całość. ~~[illegible]~~ Ten referat będzie wespół z moim referatem odczytywany na posiedzeniach towarzystw rolniczych, kółek włościańskich i t.p. ~~[illegible]~~ Zrobienie wyciągów z referatu Szklennika i złączenia takowych z referacikiem Boguszewskiego poleciliśmy p. Turskiemu i Boguszewskiemu do [illegible]. Do druku też tak mój referat, jak ten referat zbiorowy o przemyśle ludowym, mają być przetłumaczone na litewski. O przetłumaczenie będziemy prosili Stacha [illegible]. Ponieważ 15 maja mają się odbyć zebrania t-stw rolniczych w Wilkiji, Mińsku i [illegible], więc postanowiliśmy już na tych zebraniach referaty nasze wygłosić i w tym celu porozumieć się z towarzystwami. Na wniosek p. Turskiego postanowiliśmy starać się o pozwolenie na urządzenie sekcji rzeczowej pod firmą sekcji ~~[illegible]~~ drobnego przemysłu, istniejącej przy Wil. T-stwie Rolniczym. Do sekcji tej mamy się ~~[illegible]~~ zapisać i przez nią oddziaływać. Na następne zebranie ~~[illegible]~~ naszego komitetu postanowiliśmy zaprosić do naszego grona p. Michała Brensztejna, jako etnografa i właściciela cennych zbiorów sztuki ludowej. Na mój wniosek postanowiliśmy zwrócić się do zarządów „Lietuvių Dailės Draugijos" i „Lietuvių Mokslo Draugijos" z propozycją, aby się one dołączyły do naszej akcji i ~~[illegible]~~ zgodziły się użyczyć swych zbiorów na wystawę „Wici" w Litwie etnograficznej. Zwrócenie się do tych zarządów polecono mnie. Zwłaszcza chodziłoby o „Dailės Draugijos", która urządziła już kilka wystaw z dziedziny sztuki ludowej i która przeto ma już pewne rzeczy gotowane i [illegible] przez nasz[illegible] tedy w guberniach suwalskiej i ~~[illegible]~~ kowieńskiej; trzeba więc poruszyć i zmobilizować dla naszej wystawy tą samą drogą, którą się gromadzi zbiory dla wystaw litewskich. W zakresie etnografji skuteczniej ~~[illegible]~~ byłaby pomoc „Liet. Mokslo Draugijos". Wogóle chodzi też o poruszenie projektu wystawy „Wici" na zebraniach towarzystw litewskich, inteligencji litewskiej i t.d. Następnie omówiliśmy [illegible] nauczycieli szkolnych; trzeba je wciągnąć koniecznie, w jaki sposób wciągnąć do pomocy naszej. Otóż trzeba będzie zwołać zebranie przedstawicieli poszczególnych kół [illegible], wyłożyć im naszą ideę, cele wystawy i opracować dla nich kwestionarjusz, jako instrukcję praktyczną dla gromadzenia zbiorów przez ~~[illegible]~~ czas wakacji.

4/17 maja. Rok 1911. Środa.

Dowiedziałem się o sensacyjnej nowinie: „Kurjer" zlewa się z „Słońcem". Układ o zlanie się już dokonany, samo zlanie się nastąpi zdaje się 15 maja. Dokładnie wszystkich szczegółów układu nie znam, ale zdaje się, że stopione pismo będzie miało kierunek „katolicko-narodowy", to znaczy będzie kompromisem ~~[illegible]~~ klerykalizmu z endecją. Kto kogo w tej spółce oszuka, kto nad kim górę weźmie, czy leitmotivem będzie klerykalizm czy nacjonalizm, — trudno wyrokować. ~~N~~ Ostatecznie nasza endecja, zwłaszcza na Litwie, ~~[illegible]~~ była zawsze bliska klerykalizmu; ~~[illegible]~~ klerykalizm z nacjonalizmem są to 2 sojusznicy na zasadzie formuły „ręka rękę myje" oraz wspólności wrogów do zwalczania. W stopionym piśmie na czele stanie Józef Hłasko i skład redakcji będzie złożony ze współpracowników „Słońca"; to znaczy, że i Zwierzyński i Bornsztejn wejdą do pisma; z redakcji „Kurjera" Baranowski otrzyma stanowisko redaktora petersburskiego, wyjedzie do Petersburga i będzie stamtąd kierował całym działem stołecznym a więc kroniką dumską, rozporządzeń i wniosków rządowych i t.d.; Ludwik Abramowicz wycofuje się, choć mu proponowano ~~[illegible]~~ pozostanie. Benedykta Hertza wylewają. Stopione pismo zachowa firmę „Kurjera". Zlanie się to jest dalszą konsekwencją tych układów między endecją a grupą realistów, które się toczyły w lutym i marcu w sprawie bloku wyborczego do Dumy na ~~[illegible]~~ punkcie wspólnej kandydatury z Wilna ~~[illegible]~~ Maciejewicza i Wróblewskiego. Stopionym mas... chcemy kompromisu są, zdaje się, dr. Dembowski i Hłasko, z udziałem szeregu innych osób. Dają się, że jest w tym także pomocna ręka kleru z Michalkiewiczem na czele; wogóle ~~[illegible]~~ polityka Michalkiewicza polega na zasymilowaniu klerykalizmu z nacjonalizmem. Tak w obozie litewskim jak polskim. Pomimo ostrej walki i nienawiści nacjonalistów polskiego i litewskiego, klerykalizm, dla którego względy narodowe są jeno narzędziem, staje u steru jednego jak drugiego nacjonalizmu i przez oba prowadzi solidarnie swoją własną misję i własną propagandę. To, co Michalkiewicz robi teraz z prasą polską, to samo zrobił już z „Viltis'em" i z pisemkiem litewskiem dla litwinów gub. wileńskiej w zespole z litewskim klerem. U litwinów klerykalizm już całkowicie podporządkował sobie nacjonalizm, zrobiwszy zeń ~~[illegible]~~ posłuszne narzędzie. Z prasą polską zrobiłby teraz to samo, ale będzie miał orzech twardy z Józefem Hłaską, który sam jest 6. wodzem i nie wypuści cugli z rąk nacjonalizmu. Dopóki będzie Hłasko, dopóty będzie zachowany charakter spółki; do ujarzmienia nacjonalizmu przez klerykalizm Hłasko nie dopuści.

Dla nas zlanie się „Kurjera" z „Słońcem" toruje drogę dla pisma postępowego. Przeciwko skondensowanemu blokowi klerykalizmu trzeba skondensować blok wolnościowy.

5 (18) maja. rok 1911. czwartek.

Rocznica moich urodzin. Skończyłem lat 31. Wchodzę w te lata wieku martwego, które trwają bez widocznej zmiany, jak woda stojąca, między bujnym wzrostem młodości a tęskniącym schyłkiem starości. W wieku młodym każdy rok ma swoją barwę, swój wyraz właściwy. W starości poszczególne lata także dość wyraźnie znaczą człowieka. Natomiast ten okres wieku pośredni, okres wody stojącej, — to jakaś masa bierna, dość jednolita, na przestrzeni od trzydziestki do czterdziestki i od czterdziestki potem do pięćdziesiątki; człowiek w ~~tych~~ tym okresie trwa w swojej pełni, ~~[illegible]~~ w jakimś prawie bez ruchu, ale już, już powoli zaczyna go toczyć schyłek i ku końcowi okresu pośredniego ~~—~~ zwiastuje już, niestety, zarody starości. Młodości moja, wiosno kochana — boli mnie, że się ulatniasz i że już mnie ~~[illegible]~~ porzucasz; z fatalizmem, którego nic nie zmoże, idę już w szeregi ~~[illegible]~~ środkowe, wyczekujące swej kolejki starości. Wprawdzie to jeszcze wiek życia mocnego, dojrzałego, ale smutno, że już wyżej ku szczytom rozkwitu drogi nie ma.

Wieczorem poszedłem do murów franciszkańskich na posiedzenie Zarządu Lit. T-stwa Naukowego („Lietuvių Mokslo Draugija") dla zakomunikowania Zarządowi temu o projekcie wystawy „Wsi" i zaproponowania wzięcia udziału pomocniczego w gromadzeniu zbiorów na wystawę. Ponieważ oprócz Basanowicza, Smetony i jeszcze jednego człowieka, którego nie znam, nikt inny nie przyszedł, więc posiedzenie do skutku nie przyszło. Następne posiedzenie wyznaczono na niedzielę. Wyszedłem więc, nic nie wskórawszy i straciwszy parę godzin czasu na próżne wyczekiwanie. Stamtąd, ponieważ miałem interes do Stacha Ładkowskiego, któremu miałem dać do przetłumaczenia na rosyjski referacik mój o wystawie „Wsi", poszedłem na „czwartek" do Tadeusza Wróblewskiego, gdzie wiedziałem, że Ładkowskiego zastanę. Ciekaw też byłem zobaczyć, jak teraz „czwartki" te wyglądają. Od jakichś 3 miesięcy nie brałem w nich udziału, bo miałem o wiele skuteczniejsze zebrania i zajęcia, a zresztą byłem już wielce tych „czwartków" zniechęcony, ponieważ rola Wróblewskiego nietylko że mi się nie podobała, ale mię poprostu obrzydzeniem przejmowała. Słyszałem od innych uczestników „czwartków", że w ogóle w ostatnich miesiącach całe zebrania te bardzo podupadły; jest to zrozumiałe zresztą, bo ludzie teraz się jakoś garną do ugrupowań czynniejszych, życie zbiorowe i zasporządkowania społecznego staje się treściwsze, a ta rola naszych „czwartków", która mogłaby zachować swą dodatnią wartość, mianowicie jako ~~[illegible]~~ neutralny teren towarzyski, na którym się ludzie, pracujący w rozmaitych zakresach a jednak spokrewnieni pewnym pokrewieństwem haseł wolnościowych, stykają dla wymiany zdań, ta rola, powiadam, została przez Wróblewskiego wykolejona. Wróblewski z zebrań czwartkowych zrobił teren dla osobistych popisów, dla wyzyskania ludzi, który mu hołdują jemu, i dla rozszerzania tym kultu, zdaniem jego, ma być mu hołdowników przyjaznych. A w skutku Wróblewski i swego nie dopiął, bo jeno zraził do siebie prawie wszystkich, prócz chyba naiwnego Janulaitisa i chytrego Folejewskiego, i praktyczny cel „czwartków" zmarnował.

Zastałem jednak dziś na „czwartku" sporo ludzi; byli mianowicie: Wróblewski, Dom. Rymkiewicz, Sorosiek, Domański, Bagiński, p. Bronisława Sawrońska (okazało się, że to dziś i jej także rocznica urodzin), Janulaitis, Ohurewski, Piłsudzki, Folejewski, Kryżanowski, Ładkowski, Michał i Wacław Biržiškowie i Bujnicki. Czas spędziłem dobrze, załatwiłem interes, który miałem do Ładkowskiego, pogawędziłem z Bagińskim i innymi. Wogóle panowała swoboda, która zawsze panuje w takich zebraniach, o ile ludzie sobie grupkami gawędzą; ~~[illegible]~~ jak tylko rozmowa robi się ogólna, to wnet Wróblewski paraliżuje wszelką swobodną myśl i zagarnia całą rozmowę sobą i swoją nienasyconą chęcią imponowania. Zdaje się, że i Wróblewski trochę swój błąd, ale nie zdaje, żeby potrafił się ~~[illegible]~~ poprawić i wygnać swej kapitalnej słabostki, tłoczącej dziś jego udział we „czwartkach".

7 (19) maja, rok 1911. piątek.

Po obiedzie poszedłem spacerkiem za miasto do Leoniszek dla przechadzki oraz dla odwiedzenia Władysława Rogowskiego, który tam ~~przez cały czas~~ na lato zamieszkał. W Leoniszkach na ziemi, należącej do miasta Wilna, mieści się szkoła ogrodnicza p. Józefa Pawłowicza (szkoła ta należy do ministerjum rolnictwa); Rogowski, przyrodnik i estęta, współpracuje w tej szkole przez czas wakacyjny, jako ochotnik. Spacer udał się dobrze; Rogowskiego i Pawłowicza zastałem, ponieważ wszakże byłem niewyspany a stąd senny, więc nie miałem dobrej werwy do gawędki. P. Pawłowicz zrobił na mnie dodatnie wrażenie; wyraz twarzy sympatyczny, człowiek pracowity i mający zapał do swej pracy; uważa się nietylko za fachowca, kształcącego takichże fachowców, ale nadto za pedagoga, kształcącego energję, wolę i inteligiencję swych uczniów; chodzi mu o wyrobienie z chłopców, który się u niego uczą, materjału społecznego, pracowników realnych, zdolnych do organizowania produkcji krajowej. Jest to więc nietylko ogrodnik, ale przedewszystkiem ideowiec, pedagog społeczny. Takim mi się przynajmniej wydał i z tego tytułu zyskał sympatję moją, choć jest w nim coś niedomówionego, coś jakby niedającego się wyłuskać, ~~~~ wskutek czego ma się wrażenie, że ~~~~ nie jest całkiem szczery. Ale może to tylko pozór; chciałbym w człowieku tym widzieć istotnie ideowca i to właśnie takiego, który wciela ideę w czyn; tacy są dla nas najpotrzebniejsi. Żałuję, że bawiłem u nich krótko i nie mogłem całego urządzenia szkoły i całej pracy obejrzeć. Z Pawłowiczem i Rogowskim wróciłem przez Antokol do Wilna.

Wieczorem byłem u Żmujdzinowiczów na zebraniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos". Od imienia „komitetu inicjatywy" wystawy „Wsi" zakomunikowałem zarządowi o projekcie wystawy i prosiłem o ewentualny współudział „Liet. Dailės Draugijos" w urządzeniu ~~~~ jej. Ponieważ w zarządzie „Liet. D. Dr." jest 2 członków komitetu wystawy „Wsi", — Żmujdzinowicz i ja — więc rzecz poszła gładko. Uznano, że wystawa taka jest pożądana i że w zasadzie „L. Dailės Draugija" będzie służyła pomocą i poparciem. Co do treści wszakże projektu wystawy, to Jan Vileišis ~~~~ wyrażał te zastrzeżenia, że to, co projektujemy [illegible] — ustanowienia wystawy, odtwarzającej ~~~~ całkowite wewnętrzne i zewnętrzne urządzenie chat i wiosek litewskich, w Wilnie powodzenia mieć nie może, bo Wilno jest samo za blisko wsi i że każdy, kto wyjdzie na przedmieścia Wilna, już wieś tę w naturze oglądać może, — bez pomocy wystawy.

7 (20) maja roku 1911. sobota.

W ostatnich dniach na wystawie dzieł Čurlanisa ujawniła się frekwencja żydów. Jest to objaw nowy zupełnie. Dotychczas na wystawach litewskich nie było wcale żydów; przez cały np. czas trwania V wystawy litewskiej, zamkniętej przed paru tygodniami zwiedziło wystawę może 2-3 żydów, pomimo że żydzi stanowią w Wilnie większość ludności kulturalnej. Widocznie pełne entuzjazmu artykuły artysty Antokolskiego o twórczości Čurlanisa, drukowane obecnie w „Siewiero-Zapadnom Kraje" poruszyły masę żydowską. Ten ruch niewątpliwie dostępu wzajemnego, który dzieli u nas ludność chrześcijańską miejską od żydowskiej, jest zjawiskiem dla kraju [illegible] bardzo społecznie i kulturalnie szkodliwym. I to bodaj że mur ten jest większy właśnie między inteligencją, niż między masą uboższej ludności chrześcijańskiej i żydowskiej. To też wszystko, co [illegible] osłabia mur ten, jest pożądane. Sztuka zaś jest właśnie tą sferą, która może stanowić podłoże dla zbliżania się i obcowania wzajemnego.

Na tle rozmowy, którą miałem dziś z Nagrodzkim a potem z Iwanem Łuckiewiczem, rodzi się u mnie projekt, który może uskutecznić sposobny. Niewątpliwym jest, że zlanie się „Kurjera" z „Gońcem" w jednolite martwe błotko klerykalno-nacjonalistyczne torują drogę dla postępowego pisma polskiego w Wilnie. Skądinąd wielką jest potrzeba, zwłaszcza obecnie, w związku ze spotęgowaniem się organizacji klerykalnej, rozpanoszeniem się nacjonalizmu polskiego i litewskiego i zakusami nacjonalizmu rosyjskiego w postaci rozmaitych „Białoruskich Życie" — znalezienia stałego wyjścia dla propagandy demokratycznej. Litwini robią swoje, białorusini swoje, a sojusznikiem ich i towarzyszem broni powinni być demokraci polscy. Przeciwko blokowi klerykalizmu, nacjonalizmu i całej swojej czarnej powinien stanąć solidarny litewsko-białorusko-polski blok demokratyczny. Trudno pismo uskutecznić, nie dla braku pieniędzy, ale jeszcze tymczasem dla braku ludzi i spójni między niemi. Brak też organizatorów. Z czasem to przyjdzie i jest niewątpliwie, że postęp w tym kierunku jest. Ale zanim się na pismo stałe zdobędziemy, należałoby może już dziś zabrać głos i wypowiedzieć się zbiorowo w rzeczach zasadniczych kwestji krajowych. Byłaby to jednodniówka; wydaje mi się ona bardzo na czasie właśnie teraz, gdy przez zlanie się „Kurjera" z „Gońcem" utrwala się martwa cisza w prasie, wytworzona się pozór, że poza tą ciszą niema nic. Otóż trzeba właśnie wykazać, że jest coś, co kiełkuje i pragnie żyć. Jednodniówka taka byłaby zarazem gońcem próbnym, kto wie czy nie zwiastunem pisma. Dobrać należałoby grono ludzi, którzyby z góry rozdzielili między sobą główne zasadnicze tematy, w których zakresie wypowiedzenia się jest właśnie najkonieczniejsze. Zaangażować do tej jednodniówki należałoby może np. następujących ludzi: ja, Witold Abramowicz, Ks. [illegible]gunowski, Władysław Zagórski, Antoni Łuckiewicz, Jeleński z „Naszej Niwy", może Sławiewicz i Domański. Wydawnictwo mógłby się podjąć Nagrodzki, jako właściciel „Kultury" (księgarni) wespół z paru innemi osobami. Trzeba o tym pomyśleć. Czas jest bardzo ostateczny.

8/21 maja. rok 1911. niedziela.

Helcia wyjechała już dziś do Bohdaniszek na wakacje; przeszła bez egzaminów z klasy I do II i dostała 2 nagrody: jedną ogólną za nauki, drugą specjalną za rysunek. Byłem dziś z wizytą u bawiących w przejeździe w Wilnie stryjostwa Janów Römerów. Stryj Jan jest obecnie patryjarchą rodu naszego, najstarszy wiekiem z Römerów, liczy 82-gi rok życia. Jest mocno głuchy, trochę zdziecinniały, chociaż fizycznie ma się jeszcze względnie nieźle. Jest to brat nieboszczyka Józefa Römera, ojca Witolda a przeto teścia Maryni i rodzonego dziadka Helci i Stefusia. Choć pokrewieństwo jego z nami dalekie, bo jest on prawnukiem naszego wspólnego przodka Stefana-Jerzego Römera, wypadającego dla mnie ~~[illegible]~~ przez inną linię pra-pra-pradziadem, jednak ma typową twarz Römerowską i typowy charakter Römerowski. Ród nasz ma widocznie wybitną ~~[illegible]~~ indywidualność, skoro typ rdzenny przez tyle stuleci i w tylu rozgałęzieniach nie zaciera i raz wraz się powtarza, odtwarzając wciąż pokrewne rysy. Takiem to jest podobieństwo moje do Eugenjusza Römera, podobieństwo Maryni do ciotki Maryni Sewerynówny i do Hełenki malarki i t. d.. U stryja Jana dostrzegłem wielkie podobieństwo charakteru do mojej żony Reginy, która jest Römerówną i po ojcu Edwardzie i po matce Czechowskiej z domu, rodzącej się z Römerówny, siostry stryja Bolesława. Stryj Jan ma te same zasadnicze cechy, co Regina: jest ugrzeczniony dla wszystkich obcych, stały wobec nich i jak dziecko miękki i ~~[illegible]~~ zawsze jakiś uśmiechnięty, a natomiast dla swoich jest ciężki, kapryśny, despotyczny.

O godz. 8½ wiecz. poszedłem na zebranie zarządu „Lietuvių Mokslo Draugijos.” Obecni byli dr. Basanowicz, dr. Antoni Vileišis, Willmowicz, Kriščiukaitis, Jan Vileišis i redaktor Antoni Smetona. Zakomunikowałem zarządowi od imienia komitetu wystawy „Wsi” o naszym projekcie i programie wystawowym i złożyłem 3 propozycje: 1) aby ~~[illegible]~~ „Liet. Mokslo Draugija” udzieliła wystawie swe zbiory etnograficzne, 2) aby na dorocznym zebraniu „Mokslo Draugijos” w lipcu pozwoliła na odczytanie po litewsku referatu o projektowanej wystawie „Wsi” oraz odpowiedniego kwestjonarjusza dla zbierających eksponaty i 3) aby ewentualnie przyczyniła się w jakikolwiek sposób do tej wystawy przez poparcie jej i pomoc w zorganizowaniu [illegible] zbieraniu materjału wystawowego. Zarząd odniósł się do ~~[illegible]~~ mej propozycji bardzo przychylnie, uchwalił wziąć udział w wystawie w charakterze wystawcy, ewentualnie też na własną rękę zorganizować zbieranie materjału i wydać odpowiednią odezwę, o czym w przyszłości szczegóły się rozważy i z nami się skomunikuje, i wreszcie uchwalił wpisać do porządku dziennego dorocznego zebrania referat w sprawie wystawy „Wsi”. Wogóle propozycja nasza zyskała całkowitą aprobatę. Wszyscy wskazali członkowie zarządu wyrazili życzenia, abym referat o wystawie na dorocznym zebraniu odczytał ja osobiście. Tłomaczyłem się, że mi to trudno będzie, bo choć to będzie referat mój własny, ale w tłomaczeniu litewskim trudno mi będzie czytać, bo nie znam biegle tego i poprawnie tym językiem. Nalegali wszakże koniecznie, abym czytał własnoręcznie [illegible]

Z zebrania zarządu „Mokslo Draugijos” poszedłem do Nagrodzkiego dla pomówienia z nim o naszym projekcie wydania zbiorowej jednodniówki postępowej. Nagrodzki wolałby, aby się zabrać do wydawnictwa pisma, ale gdym mu przedstawił układ takiej jednodniówki, która by była zbiorkiem ~~[illegible]~~ treściwych artykułów na najaktualniejsze tematy w oświetleniu demokratycznym, wziął to za przyjęcie i nie zależnie od dalszych projektów pisma periodycznego, nie wydawnictwa jednodniówki takiej podjąć. Wobec tego na wtorek zamówienia zebrać grono [illegible], którzyby do udziału w tej jednodniówce wciągnąć pragnę. Obiecał, że księgarnia „Kultura” nie zapłaty [illegible]

9 (22) maja
rok 1911.
poniedziałek

Papa przyjechał dziś do Wilna, wezwany przez stryjenkę Ja-nową Römerową dla wywarcia wpływu na stryja Jana, aby zmienił testament, krzywdzący starszego syna Włodzimierza a faworyzujący młodszego — Wacława. Zdaje się jednak, że nic Papa nie wskóra.
Zamknięta została dziś wystawa dzieł Čurlanisa. W ostatnich dniach frekwencja wystawy bardzo się zwiększyła — zwłaszcza licznie zaczęli odwie-dzać wystawę żydzi. Rachunków wystawowych jeszcze nie zamknęliśmy, ale zdaje się, że defi-cytu, którego się w pierwszych dniach obawiali, nie będzie.
Przeczytałem w „Viltis'ie" odpowiedź redaktora Smetony na mój artykuł o zatargu polsko-lite-wskim, drukowany w „Lietuvos Žinios". W artykule tym omawiałem dzieje niedawnej odezwy postępowców polskich w sprawie zatargów zimowych, któ-rych bohaterami byli ks. Michałkiewicz, ks. Tumas, ks. Czerniawski etc.. Wykazywałem potrzebę soli-darności demokracji polskiej w kraju z litewską, opierając się na tożsamości społecznej a nawet i kulturalno-etnicznej ludu naszego, czy to po litewsku czy po ~~litewsku~~ polsku mówiącego. Otóż Sme-tona w odpowiedzi na ten mój artykuł powiada, że skoro uważam lud nasz za społeczność jednolitą, nie ~~—~~ separując mówiących po polsku od mówią-cych po litewsku, to będąc konsekwentny, powi-nienem uważać ruch narodowy litewski za ruch sztuczny, stwarzający fałszywe rozdwojenie. Powia-da więc, że moje zapatrywania są identyczne z zało-żeniami endeków, jeno że endecy wyciągają z nich konsekwencje logiczne, ja zaś przed konsekwencjami się cofam. Ale któż inny, jak nie nacjonaliści litewscy, stale głosił dotychczas, że właściwie polaków na Litwie niema, jeno są „polacy" w cudzysłowie, t. j. tacy sami litwini, jeno wyna-rodowieni przez agitację polską od narodu oderwa-ni i którzy muszą znów się z narodem litewskim zlać. Teraz zaś oto wódz nacjonalistów Smetona, dla polemiki ze mną, porzuca teorję o „polakach w cudzysłowie" i głosi o całkowitym rozdziale mówiących po polsku od mówiących po litewsku. Paradni są ci nacjonaliści! W moich ustach stwier-dzenie pokrewieństwa społecznego i kulturalnego, zachodzącego między różnymi grupami języko-wymi w kraju, a zwłaszcza grupą językową polską a litewską, budzi podejrzenia ze strony nacjonalistów, gdy tymczasem sami oni nie uznają nawet odrębnego istnienia polaków w Litwie. Każą polakom tym być litwinami, a gdy ci o swym pokrewieństwie z li-twinami mówią, to się na nich rzucają. Z moskalami i rusyfikatorami z gatunku „Nowoje Wremia" i t. p. Łotoniewi-czów bratają się w porozumieniu zakulisowo niejako konszachty wiążą, ~~—~~ traci zaś świadomie mówiących po polsku, tępią i zwalczają, ~~———~~ to zabraniając im być polakami, to znów ograniczając się do nich mówiąc chińskim. Napisałem do „Lietuvos Žinios" krótki artykulik w odpowie-dzi Smetonie.

Wieczorem byłem na I inauguracyjnym zebraniu członków I klubu białoruskiego w lo-kalu „Ruty". Klub ten zapowiada się bardzo sympatycznie. Dla ruchu białoruskiego klub ten będzie miał wielkie znaczenie w kierunku skonsolidowania elementów białorus-kich w Wilnie. Powstanie ruchu białoruskiego uważam za najskuteczniejszą przeciwwagę rusyfikacji i centralizmu państwowego. To droga, którą kraj nasz się wyzwoli od zachłanności wszechruskiej i uratowany zostanie dla kultury zachodnio-europejskiej. ~~—~~ Wpisałem się ~~—~~ na członka klubu tego i wybrany zostałem wespół ze starym Łuckiewiczem, Stępniewskim i inżynierem Prozorowym do komisji rewizyjnej. Po zebraniu odbyły się deklamacje białoruskie, śpiew chóru, tańce. W klu-bie białoruskim bierze udział dużo młodych i pięknych panien — białorusinki kocham, aż żal, że nie mam lat 20.

10/23 maja rok 1911. Wtorek.

O godz. 6 wiecz. w mieszkaniu Boguszewskiego, w nieobecności gospodarza, odbyło się zebranie komitetu wystawy „Wsi". Obecni byli: Ferdynand Ruszczyc, Turski, Iwan Łuckiewicz, Władysław Rogowski i ja. Ja zdałem sprawę z moich pertraktacji z zarządami „Lietuvių Mokslo Draugijos" i „Lietuvių Dailės Draugijos". Ruszczyc zakomunikował, że rozpoczął pertraktacje z prezydentem miasta Wilna p. Michałem Węsławskim w sprawie udzielenia nam przez miasto terenu pod wystawę, mającą stworzyć na przyszłość stały ogród etnograficzny. Pertraktacje te są na dobrej drodze. Swoją drogą wybór terenu pod wystawę nastręcza trudności. Za najlepszy teren uznalibyśmy góry między Antokolem a Zarzeczem, ale stanowią one własność kapituły — nie wiemy, czy się je uda pozyskać. Rogowski bardzo obstawał za Zwierzyńcem lub Markuciami, ale to za wielka odległość od miasta i zła komunikacja. Łuckiewicz proponował teren gdzieś na Bakszcie, Ruszczyc zwracał uwagę na Karolinki za Zwierzyńcem. Odłożyliśmy to na później. Postanowiliśmy wpisać się do sekcji drobnego przemysłu przy Towarzystwie Rolniczym i w zebraniu na posiedzeniu tej sekcji postawić wniosek naszej wystawy i wniosek ten, jako wniosek sekcji, przedstawić w poniedziałek na ogólnym zebraniu Towarzystwa z tym, aby załatwienie szczegółów wykonania polecić sekcji łącznie z Radą Towarzystwa. Następnie ja się podjąłem zreferować o wystawie „Wsi" na majówce litewskiej tradycyjnej w Zawłach, aby zachęcić młodzież litewską do pracy nad gromadzeniem zbiorów przez czas wakacyjny. Co do młodzieży wileńskiej, to Rogowski podjął się zwołania zebrania przedstawicieli rozmaitych frakcji tej młodzieży na drugą niedzielę; na zebraniu tym mamy odczytać młodzieży referaty nasze o wystawie dla zachęcenia jej i udzielić wskazówek praktycznych co do gromadzenia zbiorów. Ułożenie kwestjonarjusza dla zbiorów polecono mnie wespół z Michałem Brensztejnem.

Wieczorem w mieszkaniu Witolda Abramowicza zebraliśmy się dla omówienia projektu jednodniówki. Przyszli Wit. Abramowicz, Iwan i Antoni Łuckiewiczowie, Wład. Rogowski, Budny i ja. Poco Abramowicz wciągnął Budnego — nie wiemy. Ładna to figurka i do niczego nam niepotrzebna. Tematy dla jednodniówki rozdzieliliśmy między siebie tak: ja — nacjonalizm rosyjski w kraju naszym i akcja stołypinowska; Wit. Abramowicz — gospodarka miejska w Wilnie; Wł. Rogowski — filantropja, opieka, dziennik; Ant. Łuckiewicz — robota ludowa w kraju, jej stan obecny i zadania; Iw. Łuckiewicz — towarzystwa naukowe i artystyczne w kraju, ich zadania, krytyka ich działalności. Termin wydania jednodniówki — sierpień. Postanowiliśmy dobrać jeszcze kilku ludzi, np. Boguszewskiego, Jeleńskiego, Józefa Bohowskiego, Wandalina Łuckiewicza, Turskiego.

Rogowskiemu dałem dziś kankle litewskie, które przywiozłem specjalnie dla niego z Bohdaniszek po świętach Wielkiejnocy. Przyrzekłem mu je na całe lato; cieszył się z nich, jak dzieciak. Drugi raz egzemplarz kanklów, wykonany jeszcze w Bohdaniszkach przez stolarza Bobrowskiego, ale gorszy od pierwszego, szczęśliwie mój Stefuś zarobił Rogowskiemu.
W sprawie berdauskiej przyszła wiadomość o ułaskawieniu Świrskiego. Chwała Bogu! Karę śmierci zamieniono mu na bezterminową katorgę. Wyrok 20 lat katorgi dla Zakrzewskiego i Horakiewicza [illegible].

11 (24) maja. rok 1911. środa.

Z Papą składaliśmy dziś wizytę pp. Edwardostwu Swolkiewiczom i Adalkostwu Bohdanowiczom. Papa nic oczywiście nie wskórał w sprawie zmiany zapisów Józefa Römera dla Szyrmów; wobec tego Papa jutro wraca do Bohdaniszek.

Otrzymałem list od Romualda Chełchowskiego, jednego z arbitrów w sprawie szachownicy Mamylty i Starynek, że dopiero na 5 czerwca arbitrowie wyznaczyli swój wyjazd do majątków dla dokonania oceny. Dopiero więc około 15–20 czerwca będzie się mógł odbyć zjazd działowy spadkobierców ś.p. Babuni Zuzanny Tukałłowej. Dla mnie ta data zjazdu jest wygodna, bo po powrocie z Petersburga będę miał cały miesiąc czasu — koniec maja i pierwszą połowę czerwca — dla urzeczywistnienia podróży do Holandii. Zaczynam się tylko obawiać, czy aby sam projekt tej podróży nie upadnie, bo ta panna, z której siostrą mam jechać i która miała się zgłosić do Hlotta dla omówienia szczegółów naszej jazdy i dla zawiadomienia mnie o planie połączeń, nie daje dotychczas żadnego znaku życia.

W drodze powrotnej z Petersburga mam zajechać po Mamę do Bohdaniszek, a 25 b.m. mam do Wilna przyjechać z Elwirą na spodziewany w początku czerwca połóg!

12 (25) maja. rok 1911. czwartek.

Wieczorem zebraliśmy się na herbatce u Nagrodzkiego: — Krzyżanowski, Abramowicz Witold, Iwan Łuckiewicz, ja, p. Wandalin Szukiewicz i sam gospodarz, Zygmunt Nagrodzki. Zeszliśmy się nie dla żadnego zebrania ani dla omawiania jakiejkolwiek poszczególnej kwestji, jeno tak sobie, dla pogawędzenia, spędzenia wieczorku i dla zbliżenia się z p. Szukiewiczem. W toku rozmowy przy herbatce wypłynęła kwestja pisma postępowego. Nagrodzki, który stale do pisma takiego tęskni i ciągle myśli o nim, wszczął, szukając okazji do założenia takowego, pierwszy dziś tę kwestję podniósł. Uważa bowiem Nagrodzki, że zlanie się „Kurjera" z „Gońcem", mające być uskutecznione w lipcu, nastręcza właśnie świetną okazję dla powstania pisma niezależnego, postępowego, stojącego na stanowisku demokratycznym, krajowym. Wszyscy my zresztą to samo myślimy, jeno że brak kogoś, któryby mógł wziąć na siebie sprężystą akcję zorganizowania. Urządzanie zebrań, wciąganie grona doradców — wytwarza jeno niekończące się dyskusje na talmudyczny temat o kierunku pisma, przez co sprawa ugrzęźnie, odrazu w rozwałkowywaniu frazesów i ani o jotę do celu się nie zbliża. Doświadczyliśmy to zaiste dobrze. Od r. 1908 po kilka razy z rzędu rodził się projekt pisma, zwoływały się zebrania w tym celu, rozpalał się słomiany ogień i — gasł w jałowych dyskusjach. Trzeba, żeby inicjatywę wziął ktoś jeden, sam, żeby plan ułożył i żeby następnie wciągał ludzi sobie do pomocy, ale już do planu konkretnego i wprowadzonego w ruch. Tak my wszyscy też rozumiemy i tak też ją Nagrodzkiemu wytłumaczyliśmy, z czym się on zgodził. Nagrodzki się upewnił, że jakby się podjął ideowego kierownictwa pisma, a gdyby na to przystał, odmawiając jeno podpisu jako redaktora urzędowego, to Nagrodzki oświadczył, że wobec tego podejmie się zorganizowania pisma. Ma to być tygodnik dość popularny. Nagrodzki ma zaraz wnieść podanie o koncesję. ~~Koncesja~~ Podanie ma być wniesione od imienia Dr. Boguszewskiego, o ile się on na to zgodzi. Na sekretarza redakcyjnego zaproponowaliśmy Jeleńskiego (z „Naszej Niwy"). Co do zgromadzenia potrzebnych na pismo środków — Nagrodzki jest dobrej myśli.

Po powrocie późno w nocy do domu zastałem kartkę od Klotta, iż klientka jego, panna Brandówna, w której interesie mam do Kowna jechać, zgłosiła się do niego i chce jechać ze mną jutro rano o g. 9 do Kowna dla wypisania plenipotencji na imię moje. Dziwo to z babami mieć do czynienia! Przez kilka tygodni nie daje znaku życia, aż wtem jedna jak z procy wystrzelił. Jakbym nie innego nie miał do roboty, jak tylko czekać aż jej strzeli do głowy jechać. Od pierwszego dnia maja byłem gotów jechać do Kowna i czekałem wypisania się, a gdy właśnie mam jutro w południe jechać do Petersburga, to wtedy się zjawia ta panna, aby o g. 9 rano do Kowna jechać. Chyba że pod tym tylko warunkiem mogę jechać do Kowna, że o 5 popołudniu już z Kowna wyjadę via Petersburg.

13 (26) maja rok 1911. piątek.

Wstałem o godz. 7 rano i zaraz, ~~po~~ po spakowaniu rzeczy, pojechałem z rzeczami do Złotta. Zastałem już tam pannę Brzostówną. Bryn jej przedstawił, że mogę zabawić w Kownie dla jej interesu tylko do g. 5 popołudniu, i gdy się panna dowiedziała, że jadę do Petersburga, zmieniła projekt i już o Kownie słyszeć nie chciała: w poniedziałek sama przyjedzie do Petersburga i tam załatwimy wszystkie formalności plenipotencji, która musi być przez prezesa sądu potwierdzona a następnie poświadczona przez konsula holenderskiego.

Wobec tego, że projekt jazdy do Kowna upadł, o popołudniu wsiadłem do pociągu, idącego do Petersburga. Jechałem cały czas sam, nikogo znajomego nie spotkałem. To też mogłem sobie czytać do syta, przyglądać się drodze i oddawać się rozmyślaniu o krajach, przez które przebiegałem. Oto piękna wyspa urwistych malowniczych okolic podwileńskich. Oto dalej piaski nowowilejskie aż pod Święciany. Tam między Święcianami a Ignalinem kraj się zmienia; nastają moje rodzinne pagórki, faliste ~~doliny~~ dolinki, gęsto usiane większymi i mniejszymi oczkami jezior — a są też jeziora wielkie i wielkie ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ przestrzenie wód. Kraj kochany, piękny, wesoły. To przejeżdżamy przez Litwę jeziorową, dalej przez wąski skrawek Semigalji, przecinamy Dźwinę i pędzimy przez Inflanty. Wciąż to kraj jednolity, ten sam typ krajobrazu i ziemi. ~~Infl~~ Dziedzictwo plemienia litewskiego w ~~ostatecznie~~ rozgałęzieniu na Litwinów i Łotyszów. Inflanty ~~[illegible]~~ między Dyneburgiem a Rzeżycą mają krajobraz o skali piękniejszej od naszego. Za Mierzą dopiero krajobraz się wydatnie zmienia; tu zaczyna się [illegible] na równinę [illegible]. Wraz z krajobrazem zmienia się [illegible] i gatunek ziemi i klimat. Od [illegible] roślinność już uboższa, liście na drzewach jeszcze nie w pełni rozwinięte.

Przed samym Pskowem położyłem się spać. Noc blada; jeszcze nie biała, jak w Petersburgu, ale zmierzchowa, jasna. Choć nie lubię Petersburga, ale gdy do niego jadę, budzą się we mnie jakieś tęskne wspomnienia lat dziecinnych i młodocianych. Ma to swój urok.

14 (27) maja. rok 1911. sobota.

Obudziłem się już przed samym Petersburgiem. Szpetne widoki okolic petersburskich, bagna, wątła flora, groble usypane na dzikich trzęsawiskach, a w tym pędzący po szosie śród tego pustkowia automobil, zwiastun cywilizacji, — oto dziwaczny wstęp do tego dziwacznego miasta. Cywilizacja środowiska wielkomiejskiego bez pracowitego podłoża kultury. W śródmieściu komfort, przepych, okazałe wystawy magazynów, pałace, magazyny, kawiarnie i kabarety na wzór paryski; a dokoła pustkowie, najpierwotniejsza dzicość barbarzyństwa. Miasto wyimowe, dziwnie usadowione, jakby sztucznie wmurowane [?] ciągłości przestrzeni. Wjazd do Petersburga od dworca Warszawskiego, wzdłuż wybrzeży Fontanki, — brzydki. Spodziewałem się, że mnie na dworcu spotka Stanisław Siedlecki [?]. Nie zastałem go wszakże, więc wprost z dworca zajechałem na ul. Karawanną do mego kolegi - prawowiedca [?] Serke. Zaraz też z Serke ruszyliśmy na poszukiwanie lokaty dla mnie. Zainstalowałem się ostatecznie w „chambres-garnies" — „Belle-vue", wejście z Newskiego naprzeciwko pałacu Aniczkowskiego na rogu ul. Karawannej. Pokój duży, o 2 oknach, z widokiem na Newski i na pałac Aniczkowski, — 3 ruble na dobę. Poszedłem z Serke do kawiarni na ranne śniadanie, stamtąd pojechałem odwiedzić Szyszka [?], który zdaje tu egzamina na świadectwo z 4 klas, potem do wujostwa Wołodkowiczów, zainstalowanych w lecznicy prywatnej. Po obiedzie, który spożyłem w jednej z lepszych restauracji przy ul. Sadowej [?], pojechałem z dworca kolei Fińskiej do letniska podmiejskiego Pargołowo (po fińsku Pargala) do Siedlecki [?], który tam na lato zamieszkał. Siedleckiego [?] z żoną jego zastałem. Jest to stadło z „Gazety Wileńskiej": Siedlecki [?] był w „Gazecie" współpracownikiem, obecna zaś jego żona, pani Jadwiga Chróściel [?]-lewska, była korektorką. Tam się oni poznali, tam się między nimi stosunek zawiązał, który się następnie utrwalił w pożyciu małżeńskim, aczkolwiek formalnego ślubu nie brali. Chróściel [?]-lewska-Siedleckowa [?], osoba dość nudna, małostkowa, głupia. Przyczepiła się do niedołęgi Siedleckiego [?] i trzyma go jak w kleszczach. Ostatecznie sprytu ma dość, aby Siedleckiego [?] tak twardo w łapach trzymać. Oboje Siedleccy [?] cieszyli się z mej wizyty i gościnnie mnie podejmowali. Wieczorem pojechaliśmy z Siedleckim [?] do Petersburga. Byliśmy na kolacji w ogródku letnim „Buff", a stamtąd wstąpiliśmy do mego mieszkania, gdzie też i Siedlecki [?] przenocował.

15 (28) maja roku 1911. niedziela

Rano byłem u Seske, stamtąd przez telefon umówiłem się spotkać przy śniadaniu o godz. 12½ w restauracji Leipera z drugim kolegą moim prawowiedem Tkaczenką. Spotkanie to było miłe, upłynęło na wesołej gawędce. Seske i Tkaczenko to jedyni moi koledzy-prawowiedzi, którzy z przekonań należą do lewicy, są esdekami. Ale Seske to człowiek idei, szczery wyznawca określonych przekonań, choć nie jest i nie będzie nigdy człowiekiem czynu; jest to natura kontemplacyjna raczej, niż twórcza, choć głęboka i szczera. Tkaczenko, choć niby esdek w zasadzie, ale z gruntu typowy filister, ceniący wygodne życie i daleki od idei; należy do kategorii „dobrych znodeń"; likwiduje całkowicie swoją ideowość młodzieńczą i nie kryje się z tym. Ten człowiek sam się za życia do archiwum układa. Ze śniadania tego pojechałem do Pargała do Siedwitty, gdzie mnie czekano z obiadem i gdzie przez samą grzeczność zjeść musiałem. Stamtąd [redacted] wróciłem do Petersburga i na godz. 7 pojechałem na nasz prawowiedzki obiad koleżeński, urządzony z okazji 10-lecia ukończenia przez nas szkoły prawa. Obiad odbył się w restauracji Ernesta na prospekcie Kamiennoostrowskim. Z kolegów naszych obecni byli na obiedzie następujący: Skrypicyn, Tkaczenko, Protopopow, Pieczkowski, Monzoff, baron Sraevelnitz, książę Golicyn, Plaksin, Bekarzynski, Jakimowski, Sorianow, Sizetti i ja. Oprócz nas obecny był też nasz były guwerner klasowy, p. Wasilij Jeromimowicz Sobolewski. Z ciekawością przyglądałem się tym ludziom. Przyglądałem ich przez lat 10 [redacted] dziećmi niemal, wprost z ławy szkolnej, a oto teraz każdy z nas ma kawał życia za sobą i jest w ten lub inny sposób przez życie urobiony. Ostatecznie zresztą w każdym utrzymały się te same zasadnicze cechy charakteru, nie jako szkielet duchowy, które miał przy ukończeniu szkoły. W szczególności o każdym zanotuję co następuje: Skrypicyn taki sam dobroduszny, pewny siebie i spokojny, dużo zdrowego rozsądku, trochę przebiegłości, ale w gruncie uczciwy, wrażliwy na uczciwość u innych, prawdomówny, ceniący rycerskość. Jest to człowiek normalny i wystarczający sam sobie. Nie poszedł drogą karjery służbowej, stał się człowiekiem od interesów, businessmanem. Sorianow też porzucił oddawna karjerę urzędniczą, [redacted] objął gospodarstwo w majątku, poprzednio jest zajmowaniem kultury rolnej, poza tym oddaje się działalności społeczno-kulturalnej w ziemstwie. Wyszedł z niego dzielny i wytrwały człowiek, pracowity i sympatyczny. Ten dał więcej, nawet, niż obiecywał, bo choć [redacted] nigdy nie był banalnym i zdawkowym, jednak był trochę lekkoduchem. Jest on jednym z bardzo niewielu z naszych kolegów, który stworzył sobie trwałą [redacted] i jest [redacted] w małżeństwie szczęśliwy. Komarow po śmierci ojca redaguje dziennik „Swiet". Jest to organ nacjonalistów, choć niby nie urzędowo partyjny, ale faktycznie lub organ. Choć przekonania i ideały Komarowa są wprost antytezą moich przekonań i ideałów, to jednak cenię w nim to, że jest to człowiek żywy, który wie, czego chce i odpowiedni do miejsca. Inteligencja nie wielka, wprawdzie [redacted] kierunek jego działalności jest może szkodliwy, ale [redacted] osobiście wolę takiego człowieka, niż wyjętego biurokratę.

Protopopow, Golicyn, Jakimowski, Sizetti — typowi biurokraci. Różnią ich pewne odcienie, stopień uczciwości i zręczności, ale ostatecznie są to posłuszni służbiści, urzędnicy. Plaksin jak był błazenem, obłudnikiem i całkowitym zerem — takim został. W mojej opinii jest to jedna z najpodlejszych osobistości. Bekarzynski — stary w przekonaniach; jest to nie tyle biurokrata, ile wyrafinowany światowiec, elegant, punktualny i dżentelmen, lubiący się w swym zawsze, skorupie, w dostosowaniu przy wypowiadaniu wymogów etykiety i towarzyskich wersji kompromisów ze stosunkami. Pieczkowski to człowiek straszliwy. Sraevelnitz choć urzędnik, ale jak zawsze w szczytem honoru uczciwy, prosty, szlachetny, w zasadach pewny.

16 (29) maja.
rok 1911.
poniedziałek.

Choć po wczorajszym obiedzie prawowiedskim by-
łem zmęczony, położyłem się koło godz. 3 i miałem
trochę w czubku, jednak wstałem dziś względnie
wcześnie, bo koło godz. 9. Na godz. 10 bowiem miałem
wyznaczone spotkanie z panną Brandtówną, która
tu przyjechała umyślnie z Wilna dla załatwienia
tu plenipotencji na moje imię dla mej podróży
do Holandji. Zaszliśmy z nią do Isaczenki, który
towarzyszył nam do rejenta; rejent sam się pod-
jął załatwienia wszystkich formalności z po-
twierdzeniem plenipotencji w konsulacie
holenderskim. Wobec tego sprawa ta nie zajęła
mi dużo czasu. Następnie załatwiałem następnie
interesa moje w Senacie i w konsystorzu katoli-
lickim, co, łącznie z obiadem, zajęło mi czas
do godz. 4 popołudniu. Okropny jest ten Pe-
tersburg ze względu na olbrzymie przestrzenie,
które pochłaniają mnóstwo czasu przy załatwia-
niu interesów. Znużony już jestem Petersbur-
giem. Upały szalone, jak gdzieś na południu,
ścisk i ruch całodzienny, niewyspanie, tryb
życia rozlatany, jak w jakimś omnibusie.
Cieszę się, że jutro wyjeżdżam do Wilna. Skwar,
duszno, nigdzie cienia drzew, nigdzie spokoju.
Petersburg – to olbrzymia [illegible] przytłaczająca masa
kamienia; roślinności brak aż do tęsknoty. A
dokoła brzęczenie trąbek automobilów, turkot
powozów, dzwonki tramwajów elektrycznych. Ruch
wielki, ulice [illegible] szerokie, jak chyba nigdzie,
ale wskutek braku roślinności ma się wraże-
nie ciasnoty i duszności. Jedyna wielka i
majestatyczna rzecz w naturze Petersburga –
to przepiękna Newa, zwłaszcza w noc białą.
Około godz. 6 grono naszych kolegów-prawowiedów
zebrało się [illegible] w zakładzie fotograficznym Be-
rezowskiego dla uwiecznienia na grupie nas-
szego zjazdu obecnego. Przybyli tylko: Skrypi-
cyn, baron Graevenitz, książę Golicyn, Isaczenko,
Jakszyński, Protopopow, Komarow, Siretti, Sos-
niakow i ja. Sfotografowaliśmy się i rozeszliśmy
się. Byliśmy wszyscy trochę wyczerpani po obie-
dzie wczorajszym, więc nie [illegible] by-
liśmy do gawędki usposobieni. Zjazd ten dość
nam zaciążył; szkoda, że śmy się nie spotykali
gromadnie przed obiadem. Na obiedzie bowiem
[illegible] byliśmy podchmieleni, więc obcowanie nasze
było z natury rzeczy zbyt chaotyczne, za mało poważne, dziś za-
jesteśmy zmęczeni, a przecież jutro się wszyscy przyjezdni rozjeżdżają.
Żałuję, żem nocował w wszystkich wrażeniach moich przyjaciół Wrzosowskiego
i Kołowiczma. Wrzosowski się brał zajęciem nie mniej błahego, bo mieszka w
Petersburgu, Kołowicz jest gdzieś zagranicą bardzo chory, podobno umierający.
O godz. 11 m. 15 wyjechałem do Wilna pociągiem pośpiesznym. Wobec tego, że
otrzymałem w Petersburgu list z Bohdaniszek, że Haldzia chora i bodaj nie wyjechała,
i że Mama nie jedzie teraz do Wilna, zmieniłem mój plan pierwotny
wyjazdu do Bohdaniszek i jadę prościutko do Wilna.

1/14 (30) maja. rok 1911. wtorek.

O godz. 7 rano obudziłem się w wagonie już za Kolsówką. Pociąg biegnie szybko, cieszę się z powrotu do Wilna. Chociaż rad jestem z pobytu w Petersburgu, jednak dłużej w nim być nie chciałem, bo miasto to mnie nuży i samo przez się sympatyczne nie jest. Już oto z pociągu dostrzegam pagórki i jeziorka inflanckie, widzę mój kraj rodzinny, malowniczy i wesoły. W przedziale wagonu razem ze mną siedzi dwóch podróżnych. Obaj jadą z Petersburga, obaj łatwi do gawędki. Po zdaniu z kilku słów zamienionych widzę, że są to ludzie inteligientni i towarzyscy. Jeden starszy, mówiący po rosyjsku, ale widocznie Żyd. Drugi ma typową twarz moskiewską, włos płowy, bródka ryżawa, cera twarzy gąbkowata, wymowa trochę szepleniąca, wzrostu małego na krótkich nóżkach, akcent rdzennie rosyjski; brzydki, ale ruchliwy, ciekawy, skory do rozmowy. Póki ten drugi spi, zaczynamy rozmowę z pierwszym. Od razu z kilku zdań dostrzegam, że mam przed sobą inteligientnego Żyda, geszeftsmana czyli „homme d'affaire”, jak mówią Francuzi; pan ten ma świetne uświadomienie polityczne, jakie mają zazwyczaj ludzie pozytywni, zajęci interesami realnymi; wyraźnie charakteryzuje reakcję, rządy Stołypina, widzi jałowość programu narodowego, konieczność przewrotu. Rozmowa z nim sprawiła mi wielką przyjemność. Był to jakiś mieszkaniec Białegostoku, przedstawiciel Banku Tulskiego na gubernię grodzieńską. Pod Wilnem dopiero rozpocząłem rozmowę z drugim towarzyszem podróży. Spostrzegłem, że to nie moskal przyjezdny, ale mieszkaniec Wilna, znający dobrze kraj i stosunki, znający też dzieje kraju, obecne spory i walki polityczne oraz narodowościowe i t. d. Z uwagi spostrzegłem, że to publicysta i z pewnych oznak domyśliłem się, że to jest głośny dziś u nas p. Sołowiewicz, redaktor „Biełorusskoj Żizni”, wódz nowego kursu nacjonalizmu rosyjskiego, najskrajniejszego dziś w kraju kierunku, operującego pod maską ofensywy białoruskiej i prawosławno-demokratycznej. Jakoś przy pożegnaniu, gdyśmy się sobie wzajemnie przedstawili, okazał się on istotnie Sołowiewiczem. Nie wiem, czy on wie, kto ja jestem i że to ja przeciwko niemu już wystąpiłem w prasie. Nieraz się jeszcze przeciwko sobie zapewne spotkamy, bo kierunek Sołowiewiczowski wymaga mojego zwalczania jak najenergiczniejszego przeciwdziałania. Jego działalność polega na szczepieniu centralizacji państwowej i głębokiej rusyfikacji naszego kraju. W rozmowie Sołowiewicz robi wrażenie sympatyczne. Człowiek inteligientny, myślący, badający uważnie stosunki krajowe, dość gładki w rozmowie. Z tego, co widzę i co wiem o jego działalności, to nie jest człowiek czysty.

O południu przyjechałem do Wilna. Nic już dnia tego w Wilnie nie robiłem.

18 (31) maja. rok 1911. środa.

Spotkała mię przykrość, o której dziś się od Zmujdzinowicza i Iwana Łuckiewicza dowiedziałem. Jak już wspominałem, nasz komitet wystawy „Wsi" za radą p. Turskiego postanowił, aby wszyscy członkowie naszego komitetu wstąpili na członków sekcji [illegible] go przemysłu przy Wileńskiem Towarzystwie Rolniczem, aby następnie ~~[illegible]~~ zabrać się do urządzenia wystaw pod firmą tej sekcji; ułatwiłoby to nam uzyskanie pozwoleń na wystawy od władz i zyskanie subsydjów rządowych. Otóż w niedzielę ubiegłej odbyło się posiedzenie tej sekcji. Zgłoszone zostały nasze kandydatury. W posiedzeniu sekcji brało udział 8 osób — nie wiem dokładnie, kto mianowicie, wiem tylko, że brali udział: p. Hilarowa Łęcka, p. Anna Mohlówna, p. Hipolit Korwin-Milewski, jako prezes, p. Jeleńska-Dmochowska, zapewne, (?) tu adwokat Łysymont?, jako sekretarz sekcji. Otóż wszyscy inni z naszego komitetu wystawy „Wsi" zostali przyjęci przez balotowanie, tylko ja zabalotowany zostałem: otrzymałem 4 głosy za i 4 przeciw, lecz głos prezesa przeciw — przeważył. Podobno zaciekle agitowała przeciwko przyjęciu mnie p. Hilarowa Łęcka, której zresztą wcale nie znam. Dlaczego głosował też przeciw mnie Milewski, nie rozumiem. Powodem miał być mój stosunek do żony i zerwanie przezeń małżeństwa. Ciekawe, że takie panie decydują o tych rzeczach na podstawie plotek, nie znając istoty stosunków. Dla mnie ten fakt zabalotowania jest ciosem dotkliwym. Znów oczywiście poderwało się echo ciężkich moich przejść rozstrojowych. Nie wątpię też, że ~~[illegible]~~ opinja czułliwych pań dewotek o mych przekonaniach polityczno-społecznych odegrała tu także rolę; zbyt jaskrawą mam [illegible] w obozie szlachecko-konserwatywnym. Na fakt ten nie mam sposobu reagować, bo skoro kandydaturę mą zgłaszałem, przez to samo sam się dobrowolnie balotowaniu i wszelkim konsekwencjom takowego poddałem. Nie róźnimy, niestety, mam wysłaną drogę w mym życiu, ale z drogi mej nie cofnę się z woli przekory. Gdy Łysymont? oświadczył członkom naszego komitetu, że mnie nie przyjęto, wszyscy, jak jeden mąż, z Zmujdzinowiczem na czele oświadczyli, że się z sekcji wykreślają na znak protestu. Więc to pozostała ta [illegible] mnie pocieszającego.

P. Biedziński? był dziś u mnie z wizytą Eugienjusz Römer. Wizyta ta jest już zamanifestowaniem, że wszystkie dawne nieporozumienia między nami zlikwidowane i że stosunek nasz wrócił do równowagi. Eugienjusz był serdeczny — uściskaliśmy się po kilkakroć. O córeczce mej Eugienjusz przyniósł wieści dobre. Regina odesłała mi przez Eugienjusza [illegible] perłę i bursztyn?, paciorek, które ongi otrzymała od [illegible].

W „Viltis" jest ukazała się odpowiedź redaktora [illegible] na mój artykuł w „Lietuvos Žinios"; ~~[illegible]~~ artykuł ten — to [illegible] napaść na mnie, skierowana ad personam.

19 maja / 1 czerwca rok 1911. czwartek.

Wciąż jestem pod przykrym wraże-
niem tego afrontu, który mi zro-
biono przez nieprzyjęcie mnie do
sekcji przemysłu drobnego przy To-
warzystwie Policyjnym. Intrygan-
biorący się czują. W sumieniu mo-
im nie wiele wprawdzie waży sąd
kumoszek-dewotek, które na
podstawie plotek i obmowy
ferują wyroki na ludzi, ale
bądźcobądź fakt taki, zdoby-
wając pewien rozgłos, szkodzi
ogólnie mej opinji i cień
rzuca na moje czyste imię.
Oto są owoce przesławnego dzie-
ła stryjenki Bolesławowej Dö-
marowej i Eugienjusza. W su-
mieniu mém czysty się czu-
ję w myśli sprawach uczciwo-
skich; wiem aż nadto dobrze, że
oboje z Reginą padliśmy ofia-
rą tej zięciowej intrygantki,
pani Elizy Kowalskiej. Da Bóg,
że przyjdzie chwila, gdy córka
moja, jako już dziewczę dojrzałe, zro-
zumie to, co było tragiedją jej rodziców.
Chwili tej czekając i wierząc, że plama, którą mię zbru-
kać usiłowano, będzie w świadomości tego dziecka i
przez jego umiłowanie i miłość, że nigdy zmazana. Otworzył
córka nazbyt na niej przeszłość — niech zrozumie niewczesną
ukochanego ojca.

20 maja / 2 czerwca roku 1911. piątek.

Po obiedzie poszliśmy z Marynią z wizytą do stryjenki Fryderykowej Römerowej. ~~[illegible]~~ Od czasu zajść zeszłorocznych, gdy nasze stosunki z dostojnymi Römerowskimi się zepsuły, Marynia nie bywała wcale w domu stryjenki Fryderykowej. Teraz po pogodzeniu się mojem z Eugieniuszem, gdy już i ja byłem z wizytą u stryjenki i Eugieniusz był u mnie porewizytować, upadła racja do niebywania Maryni w tym domu. Stosunki rodzinne muszą wrócić wreszcie do równowagi, niezależnie od tego, czy mamy większe czy mniejsze sympatje do poszczególnych członków naszej rodziny. Chciałem, żeby moja wizyta u Eugieniusza była połączona z wizytą Maryni u jego matki. Stryjenki wszakże w domu nie zastaliśmy, a Eugieniusz już z Wilna wyjechał. Zostawiliśmy więc tylko nasze bilety. Korzystając z okazji zaszliśmy stamtąd do Teściowej mojej, p. Edwardowej Römerowej, którą w domu zastaliśmy. Teściowa miała niedawno list od Reginy; Cesia zdrowa, rozwija się dobrze; Regina jeszcze jej nie odstawiła, choć ma już je kaszki i jajka; zjada czasem po 3 jajeczka dziennie. Regina najmuje w Cytowianach w miasteczku domek od Eugieniusza; ma 6 pokoi, ma duży ogród koło 1 dziesięciny ziemi, w tym sad owocowy i ogród warzywny; za sad owocowy można wziąć czasem do 60 rb. arendy; Regina utrzymuje krowę, hoduje ptactwo. Za dom z ogrodem i z dodatkiem 4 sążni drzewa rocznie Regina płaci Eugieniuszowi 200 rb. dzierżawy.

Wieczorem napisałem odpowiedź na ostatnią napaść na mnie redaktora Smetony w „Viltis". Odpowiedź tę dam do „Lietuvos Žinios". Środki polemiczne, jakich się Smetona w walce ze mną chwyta, są wstrętnie demagogiczne. Wyrzuca mi urodzenie szlacheckie, „pańskie-podpana", i t. p.. Mają to być argumenty, ~~[illegible]~~ świadczące o tym, że przekonania moje są niedemokratyczne. Dalej Smetona w drodze insynuacji wmawia we mnie, że rzekomo jestem ~~[illegible]~~ przeciwnikiem reagowania litwinów na wynarodawianie ich przez polonizację. Wreszcie stara się wpoić w swych czytelnikach podejrzenie o mnie, jako o rzekomym agencie szlacheckim, który, biorąc lud na lep słodkich słówek, szuka sposobów utrzymania ludu w zależności ormal że nie pańszczyźnianej od szlachty i polaków. W odpowiedzi mej wykazuję nicość uciągaczej i prawdziwej argumentacji demagogicznej p. Smetony i podkreślam kapitalne zdrady nacjonalistów litewskich względem ~~[illegible]~~ demokracji ~~[illegible]~~ mianowicie paktowanie z rządem i z centralistycznym carosławnym nacjonalizmem rosyjskim.

21 maja / 3 czerwca. rok 1911. sobota.

Fotografję mej córeczki mam na biurku przed sobą; kazałem ją oprawić w ciemne ramki koloru wiśniowego; kolor ten bowiem zdaje mi się najlepiej pasować do poważnego skupionego wyrazu twarzy dziecięcia. Im więcej się mej Cesce przyglądam, tym bardziej zdaje się w niej dostrzegać podobieństwo do mnie; gdy patrzę na fotografję zbliska i dostrzegam szczegóły twarzy, widzę podobieństwo do Reginy; lecz całość twarzy, całość wyrazu, zwłaszcza w tym skupieniu, które jest na fotografji uwydatnione, robi na mnie wrażenie wielkiego i istotnego podobieństwa do mnie. Fotografja ta coraz więcej mi się podoba. Nie mam zresztą nic przeciwko temu, żeby miała i do Reginy była podobna; wszak i Regina ma własne w sobie i niewątpliwie ma pewne cechy dodatnie, które mogą w zupełności rozstrzygać na rozwój i na przekazanie takowych dziecku.

Stefuś zdaje obecnie egzamin do klasy wstępnej w II gimnazjum rządowym; zdał już z polskiego dobrze na piątkę; dyktację rosyjską miał, jak sam mówi, łatwą, i supponuje, że napisał dobrze, bez wielkich błędów. Dziś zdawał z rosyjskiego ustnego. Biedny Stefuś wygląda bardzo mizernie, wyczerpany nauką i egzaminami, znerwowany; pod oczami ma sińce olbrzymie, blady, [illegible]. Takie egzamina konkursowe — to rzecz fizycznie i moralnie dla dzieci. Choć Stefuś jest roztargniony, wciąż się stara od nauki do zabawy odrywać, nie bardzo [illegible], ale ponieważ jest wrażliwy bardzo z natury i nerwowy, więc się te egzamina bardzo na jego zdrowiu odbijają. Biedne dziecko! Przyjmą tylko. Zdających jest 90, wakansów — tylko 40, a Stefuś nie umie biegle władać językiem rosyjskim.

Widziałem się dziś z [illegible] w sądzie. Okazuje się, że prawdopodobnie moja jazda do Holandji nie dojdzie do skutku. Ten pan Nowicki, który interesuje się losem [illegible], i który dawał pieniądze na moją jazdę do Holandji w ich interesie, teraz się cofa i prawdopodobnie się cofnie. Żałowałbym bardzo tej niedoszłej pięknej podróży.

22 maja.
4 czerwca.
rok 1911.
niedziela

Otrzymałem ~~wiadom~~ lakoniczną wiadomość od panny Kochanowskiej z Paryża, że Stach Sierszyński umarł u rodziców swych w Ouarville pod Paryżem. Wiadomość ta podziałała na mnie przygnębiająco. Stach Sierszyński był jednym z najbliższych, najserdeczniejszych przyjaciół moich. Jest to dla mnie cios nader bolesny. Choć nie widziałem się ze Stachem od r. 1908, ale do ostatka stale z nim korespondowałem i stosunek nasz utrwalił się w przyjaźni niespożytej. Wiedziałem, że Stach jest suchotnikiem, ale ani mi przez myśl nie przeszło, że jest z nim tak źle. Oto jeszcze jedna tragiczna młoda śmierć, tamująca życie zdolnego, wybitnego człowieka, a dla mnie osobiście śmierć jednej wielkiej szczerej przyjaźni.

Spodziewaliśmy się dziś przyjazdu Elwiry Mieczkowskiej, która miała odprowadzić do Wilna Kotunię(?) Truszanowską, jadącą stąd dalej na kurację do Pieszczan w Węgrzech z dwiema córeczkami — 10-letnią Jórią(?) i 4-letnią Hasią. Byliśmy z Marynią na dworcu, aby spotkać całą tę gromadkę familijną, ale nie przyjechały.

Wieczorem w mieszkaniu Ferdynanda Ruszczyca na Zarzeczu odbyło się liczne zebranie młodzieży szkolnej, zwołane przez nasz komitet wystawy „Wsi" dla zainteresowania młodzieży projektem wystawy i zachęcenia jej do gromadzenia ~~[illegible]~~ przez czas wakacyjny zbiorów etnograficznych, przemysłu i rękodzielnictwa ludowego. Młodzieży zebrało się koło 30 osób obojga płci z rozmaitych kółek i grup. Z członków naszego komitetu obecni byli: Ruszczyc, dr. Boguszewski, Iwan Łuckiewicz, Narski(?), Jurewicz, Władysław Rogowski(?) i ja. Zebranie zostało zagajone przez odczytanie przeze mnie kilku ustępów z mojego referatu o wystawie; następnie Boguszewski dodał słówko o zadaniach wystawy w stosunku do przemysłu ludowego, i potem Łuckiewicz, Ruszczyc, Boguszewski i ja udzielaliśmy wskazówek praktycznych co do gromadzenia zbiorów. Zdaje się, że młodzież się zainteresowała. Za podstawę dla zbierających przyjęliśmy kwestjonarjusz ~~[illegible]~~ etnograficzny, opracowany ongiś przez prof. Kopernickiego z udziałem Kolberga i Baranieckiego. Układ systematyczny tego kwestjonarjusza jest doskonały, tylko przykłady, które są w nim do każdego działu zastosowane, są ~~[illegible]~~ wzięte z etnografji galicyjskiej, a przeto niezupełnie pasują do naszego kraju; zastosowanie tej praktycznej części wskazówek kwestjonarjusza do warunków etnograficznych naszego kraju poleciliśmy Brensztejnowi, jako znawcy etnografji litewskiej, i Iw. Łuckiewiczowi, jako ~~[illegible]~~ znawcy poniekąd etnografji białoruskiej.

Muszę zanotować, że incydent z nieprzyjęciem mnie do sekcji drobnego przemysłu przy Wileńskiem Towarzystwie Rolniczym nietylko że nie zaszkodził sprawie naszej wystawy, ale nawet jej nawet(?) pomógł. Przedewszystkiem ci, którzy wyszli z komitetu wystawowego, bardzo pięknie się w stosunku do mnie zachowali, stając murem solidarnie przy mnie z wielkim taktem i delikatnością oraz ze szczerym dla mnie uznaniem. Incydent ten wytworzył już pewną legendę dokoła sprawy naszej wystawy i zainteresował nią wszystkie koła. Teraz już nie my tylko szukamy dróg do realizacji naszej wystawy, ale już do nas się z propozycjami zwracają i szukają nas. O propozycjach tych wspomnę we czwartek na [illegible] posiedzeniu naszego komitetu.

23 maja
5 czerwca
rok 1911.
poniedziałek.

Raniutko o godz. 6tej zostałem obudzony przez jakieś obfite pocałunki. Nie rozumiejąc jeszcze dobrze, o co chodzi, zacząłem też sam na pocałunki te pocałunkami odpowiadać, aż się dopiero w toku tych nieoczekiwanych czułości ~~[illegible]~~ spostrzegłem, że to Elwira stoi nade mną i tak się wita serdecznie. Przyjechała dopiero co wprost z pociągu. Przyjechała biedaczka dla odbycia tu u nas tym niestosownie połogu, którego się w początku czerwca spodziewa. Jest już przed samym rozsypaniem się, gruba, niekształtna, wygląda źle, ~~[illegible]~~ postarzała, mizerna, cera pożółkła – jak zwykle w ostatnich okresach ciąży. Spłakała się Elwira na wieść o śmierci Stacha Sierszyńskiego; kochali się oni kiedyś w r. 1905 w czasie bytności Stacha w Bołdaniszkach i do końca zachowali o sobie nawzajem serdeczną pamięć i głęboki sentyment na dnie serca.

O południu Elwira, Marynia i ja pojechaliśmy na dworzec kolejowy dla przywitania i zarazem pożegnania przejeżdżających przez Wilno w drodze z Petersburga za granicę wujostwa Wołodkowiczów. Ciocia Luca z doktorem wiozą chorego wuja Józefa Wołodkowicza gdzieś do Westfalji. Na dworcu zebrały się też dzieci wujostwa, które przybyły umyślnie dla pożegnania chorego ojca; byli tam państwo Zuńka Chełchowska z mężem, Ludwiś Wołodkowicz, Zanio Wołodkowicz i Marynka Wołodkowiczówna. Pożegnanie było smutne i sprawiało przygnębiające wrażenie. Wuj Wołodkowicz bardzo ciężko chory na serce, wygląda okropnie, jak widmo, postarzał ~~[illegible]~~, posunął się, ~~[illegible]~~ napoły już trup. Prawie że jest bezwładny, z wielkim trudem się porusza; w przygasłych oczach znać niepokój i mękę; prawie że już nie mówi, ale musi mieć się okropne katusze niepokoju o życie. Kto wie, czy już wróci z tej podróży zagranicznej. W ciągu tych kilku miesięcy z dnia na dzień z piorunującą szybkością traci siły i chyli się ku dołowi. Niezbyt to jeszcze stary człowiek, lat za 60. Był silny i fizycznie zdrowy, jak dąb, a choroba ta, która dawniej u niego wartowała od dawna, powaliła go teraz jednym ruchem. Tym mniej zresztą ocaleje go.

Po obiedzie, gdy u nas byli Chełchowscy i Marynka Wołodkowiczówna, przyjechała do nas z rewizytą stryjenka Zygmuntowa Römerowa z synem Stasiem. Rewizyta ta, oddana we 2 dni po naszej wizycie z Marynią, wskazuje dość wyraźnie, że ze strony Zygmuntowskiego domu Römerów wszelkie nieporozumienia i kwasy między nami poszły w niepamięć i że tam jest szczera decyzja nawiązania z nami normalnych stosunków rodzinnych. Ze Stasiem wszakże, który do niedawna tendencyjnie się nie witał ze mną i z Marynią, stosunek zachował się chłodny; nie całowałem się z nim a Marynia ani słowa do niego nie przemówiła. Jest to szczeniak-arogant, któremu długo jeszcze nie zapomnę jego zachowania się względem nas. Nie brałbym mu tego za złe, gdyby nie właśnie ta jego arogancja, zarozumiałość i buta, które go w ogóle cechują, a które uwydatniły jaskrawie ~~[illegible]~~ w stosunku do nas.

~~[illegible]~~

Po wieczór miałem przykre zajście z kucharką naszą Agafją Dworzysówną. Musiałem się na nią pogniewać za pewną rzecz, a ona to tak do serca wzięła, że się obraziła; zapłakała rzewnie, zaczęła krzyczeć, płakać spazmatycznie i wreszcie pakować swe rzeczy. Szkoda mi jej, bo to dziewczyna poczciwa, uczciwa, jeno histeryczka i kapryśnica. Przywiązałem się do niej i cenię ją, ale cóż na histerję poradzić. Nie dziw, że jutro by się to samo powtórzyło.

Wieczorem byłem ze Stefuskiem w cyrku. Cyrk obecny bardzo dobry. Znakomicie gimnastycy ~~[illegible]~~ napowietrzni, dobry klown, dobra jazda konna. Środkiem atrakcji są występy znakomitego Durowa, demonstrującego tresowane psy, ~~[illegible]~~ foki, słonia i inne zwierzęta. Stefek zachwycony.

24 maja / 6 czerwca rok 1911. wtorek.

Popołudniu przyjechała do Wilna Marynia, którą odprowadził z Bohdaniszek lokaj Żariniewicz. Mama już teraz przez czas Elwiry w Wilnie zabawi. Przedewszystkiem będzie Mama czuwała przy połogu Elwiry; wczoraj Elwira była u doktora Maciejowskiego, który określił ~~[illegible]~~ termin połogu na czas między 5 a 10 czerwca. Po połogu Elwiry Mama zostanie jeszcze w Wilnie przez czas jakiś, bo między 15 a 25 czerwca ma się odbyć zjazd działowy spadkobierców ś.p. Babuni Zuzanny Tukałłowej. Zwarto teraz i ludno w naszym zazwyczaj cichym mieszkaniu. Mama, Elwira, Marynia, Stefuś i ja, a poza tym ~~[illegible]~~ naszej służby 4 osoby, bo oprócz naszych służących Anusi i Ewki jest Żariniewicz i służąca Elwiry Werusia. Nasza Anusia, która już wczoraj, po kłótni ze mną, zapowiedziała, że rzuca służbę i wyjeżdża, dziś, gdy złość minęła, zaczęła mnie przepraszać i oznajmiła, że zostaje nadal.

O Stefusiu dowiedziała się dziś Marynia, że nie zdał egzaminów do klasy następnej. ~~[illegible]~~ Dostał piątkę z religii, trójkę z dyktanda rosyjskiego i 2 dwójki — z rosyjskiego ustnego i arytmetyki. Właściwie główny powód, dla którego Stefuś zdać nie mógł, — to brak wprawy we władaniu językiem rosyjskim.

Wieczorem zaprowadziłem Żarinisia do cyrku. Cyrk obecny jest dobry. Niektóre numera są wprost świetne. ~~[illegible]~~ Ćwiczenia gimnastyki napowietrznej są wprost po mistrzowsku wykonane. Nigdzie równie dobrych nie widziałem. ~~[illegible]~~ Słynny klown-artysta Durow demonstruje bardzo ciekawe sztuki tresowanych zwierząt, sypiąc przy tym jak z rękawa ostre żarciki, dowcipy i kalambury na aktualne tematy polityczne, zaprawiając je złośliwą i ciętą satyrą istniejących w Rosji urządzeń i wypadków.

25 maja / 7 czerwca. Troki 1911. Środa.

Odbyła się majówka adwokacka w Trokach. Część adwokatów wyruszyła do Trok o g. 9 rano, reszta – i ja w tej liczbie – wyjechaliśmy z Wilna pociągiem o południu. Ogółem wzięło udział w majówce przeszło 30 adwokatów, mianowicie: Kryżanowski, Kazimierz Suworow, Maksymiljan Maliński, Bądzkiewicz, Kruszewski, Kłokocki, Jan Vileišis, Kroszowski, Kmitko, Klott, Dworchowski, Powstocki, Janulaitis, Stajewski, Kortowski Juljusz, Kortowski Zygmunt, Węckowicz, Homan, Wyszyński, Soloman, Tiomkin, Jasmont młodszy, Wacław Biržiška, Łapin młodszy, Bagiński, Burkhardt, Salamontowicz, Parczewski, Andrzejewski, ja i jeszcze paru, których nie pamiętam. Z tych nas, którzyśmy przyjechali później, wyruszyło z Landwarowa do Trok powozami i bryczkami, kto jak mógł. W Trokach kilkunastu z nas wyruszyło zaraz łódkami na wyspę z ruinami zamku, a reszta została jeszcze w miasteczku. Pogoda była zmienna, wiatr szalony, chmury gęsto zasnuwały niebo, to znów, rozpędzone wiatrem, odsłaniały słońce; chwilami przebiegał kroplisty deszcz, chwilami znów się wypogadzało. Gdyśmy w 2 łodziach dopływali do wyspy, wiatr się zerwał z wysoką falą; wysiedliśmy z wytężeniem, wylądowaliśmy; zaczął padać wielki gęsty deszcz; część się schroniła w krzaki nadbrzeżne, część ruszyła wgłąb wyspy ku ruinom zamku, by w niej schronienie znaleźć; w tym, gdy gromadka z kilku osób przechodziła koło wielkiej baszty zamkowej nadbrzeżnej, świeżo właśnie restaurowanej i otoczonej wysokim na kilka pięter rusztowaniem, nagle gwałtowna fala wichury szarpnęła rusztowaniem; z nieopisanym łoskotem oderwała się cała jedna ściana rusztowania i zwaliła się z trzaskiem na ziemię; szczęściem, że wszyscy wyszli cało, ale o mały włos nie było katastrofy; Kryżanowski uszedł z życiem tylko dzięki temu, że zdążył uciec, bo był właśnie pod rusztowaniem, które runęło też, tuż za nim uciekającym. Przygoda ta mogła być bardzo smutna. Jezioro szalało, fale biegły skłębione, białe od piany, rozrzucając bryzgi piany z falami pędzonymi, jak kurzawę, nad tonią wód. Vileišis z Solomanem, których łódź spóźniona został na pełnym jeziorze w łodzi, nie byli w stanie stawić oporu i, walcząc jeno o utrzymanie równowagi, popędzeni zostali do jakiegoś obcego brzegu, skąd dopiero piechotą do Trok wrócili. Gdy się wichura uspokoiła nieco, przyjechał do nas na wyspę Powstocki, jako goniec z Trok, z oznajmieniem, żeśmy wracali, bo reszta nie przyjedzie ze względu na pogodę, a więc rozerwania się alkoholem, aktualności i tak dalej odbędzie się nie na wyspie, jak supponowano, ale w samych Trokach. Wróciliśmy. Czas upłynął dobrze. Piliśmy, jedliśmy, gawędziliśmy, spacerowaliśmy po ogrodzie miejskim i po pięknej pilkalni nad jeziorem, potem znów pojechaliśmy łódkami po jeziorze do ruin wyspowego zamku, do Zatrocza i t. d. Ja przez ten czas zaszedłem do fary dla obejrzenia naszej grobowej kaplicy Römerowskiej, w której może kiedyś i moje ciało spocznie na wieki. Do Wilna wróciłem z częścią towarzystwa pociągiem o godz. 9 wiecz.

26 maja / 8 czerwca roku 1911. czwartek.

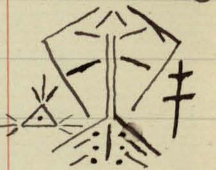

Południowym pociągiem wyjechał do Bohdaniszek na wakacje letnie Stefuś; ~~[illegible]~~ odwozi go Kazimierz.
Elwira przez większą część dnia czuła bóle wewnętrzne; niewiadomo, czy to są bóle żołądkowe czy już może pierwsze zwiastuny zbliżającego się połogu.
O godz. 6 po obiedzie w mieszkaniu dr. Boguszewskiego odbyło się zebranie komitetu wystawy „Ziemi". Obecni byli: Ferdynand Ruszczyc, p. Turski, Boguszewski, Iwan Łuckiewicz, Władysław Zahorski, p. Józef Pawłowicz — założyciel i kierownik szkoły ogrodniczej w Leoniszkach, i ja. Omawiana była kwestja, gdzie byłoby najstosowniejsze miejsce dla wystawy, oraz druga ważna kwestja, pod jaką firmą ma być wystawa otwarta. P. Pawłowicz proponował urządzenie wystawy w Leoniszkach, my wszakże uważamy, że toby było za daleko, i ~~[illegible]~~ nie wyrzekamy się Altanji, t.j. gór za Wilejką w kierunku Antokolu; Altanja należy do kapituły; z wykupieniem jej przez miasto będzie wiele kłopotu, — niewiadomo pewność, czy się to w ciągu jakiegoś roku da uskutecznić, ale toby niewątpliwie było najbardziej pożądane. Ruszczyc bardzo za tem obstaje i to nietylko ze względu na naszą wystawę, ale przedewszystkiem ze względu na ocalenie tych gór prześlicznych od rozparcelowania i zabudowania ich przez banalne i szpetne wille letniskowe, co się ostatecznie w przyszłości stać może, jeżeli miasto nie wykupi gór zawczasu. W sprawie więc pozyskania Altanji Ruszczyc ma odbyć konferencję z prezydentem miasta Wilna p. Michałem Węsławskim. Co do drugiej kwestji, to postanowiliśmy ~~[illegible]~~ nie korzystać wcale z pośrednictwa jakichkolwiek istniejących towarzystw czy sekcyj, od których otrzymaliśmy oferty, lecz wprost założyć na własną rękę nowe towarzystwo popierania drobnego przemysłu z tym, żeby już te towarzystwo urządziło wystawę.
Im bardziej poznaję Ruszczyca, tym więcej mam dla niego uznania i tym więcej dostrzegam w nim cech, robiących zeń doskonały materjał na obywatela i działacza. Jest [illegible], ma wiele taktu i równowagi, a nadewszystko ma zmysł ciągłości w dziedzinie zbiorowej; umie dostrzec i ocenić względną wartość tak ludzi, jak istniejących instytucyj i wytworów takowych rozumnie i [illegible] z ich naturą, jak się przejawia w poszczególnych faktach i działaniach.

2 maja
[illegible]
rok 1911.
piątek.

Podjęta przez Nagrodzkiego inicjatywa założenia tygodnika postępowego napotyka na razie tę przeszkodę, że nie można znaleźć człowieka, któryby się podjął t. zw. „sitz-redaktorstwa", t. j. któryby podpisywał pismo, jako redaktor urzędowy, odpowiedzialny. Boguszewski, na którego początkowo liczyliśmy, odmówił, bo stara się o zatwierdzenie rządowe na jakąś posadę w klinice, którą otrzymał, i nie może więc narażać się rządowi. Zgodził się podpisywać pismo Władysław Bogusławski, ale ten dopiero w grudniu ukończy 25 lat (wiek ten jest niezbędny dla prawa wydawania i redagowania pisma). Szukamy więc kandydata w dalszym ciągu. Nagrodzki tymczasem krząta się nad zorganizowaniem materjalnego stanu pisma. Wczoraj rozmawiałem o tym piśmie z Trzaskowskim, który proponuje, aby pismo wychodziło równolegle w 2 językach, polskim i rosyjskim. Dla mnie to niedogodne, bo 1) psychologja czytelników polskich jest inna, niż czytelników rosyjskich lub żydowskich (i tematy muszą być nieco inne i sposób ich wyłożenia inny), 2) endecy i w ogóle przeciwnicy nasi mieliby przeciwko nam atut w ręku, posądzając nas o szerzenie rusyfikacji [illegible], 3) ja sam też uważałbym pismo z tekstem w 2 językach, z których jeden rosyjski, za niezręczne, bo w naszych warunkach język urzędowy, rosyjski, jest na razie razem centralizmu państwowego i dominacji wschodu i barbarzyństwa. Trzaskowskiemu bardzo zależy na tym, aby znaleźć jakąś formę dla wydawania tej lewicowego, szczerze demokratycznego i krajowego pisma również rosyjskiego, i gdy [illegible] wszakże na względy przeciwko [illegible] pismu przedstawił, zrozumiał je. Gdyby powstały takie czy podobne pisma rosyjskie, jako osobne, byłyby one wszystkie bardzo dla nas dobre i ja sam bym chętnie wziął w nich udział w postaci współpracownictwa.
Mówił mi Herbaczewski, że w „Viltis'ie" znów był artykuł polemiczny w stosunku do mnie i bardzo ostry. Krytyczna [illegible] nie może więc zawsze jakiegoś kozła ofiarnego do szczucia i gnębienia. Artykułu tego nie czytałem. [illegible] i na „Liet. Žinios" [illegible] za to, że [illegible] swoje artykuły [illegible] „Liet. Žinios" zarzut, że są przekupione na rzecz polskie (?!?).

28 maja
10 czerwca
rok 1911.
sobota.

Spotkałem się dziś w cukierni Sztrala na prospekcie z Ludwikiem Abramowiczem, moim dawnym współpracownikiem z „Gazety Wileńskiej” a obecnie od lat kilku współpracownikiem i członkiem redakcji „Kurjera”. Przedewszystkiem dowiedziałem się od niego o ciekawej kombinacji matrymonjalnej. Ludwik Abramowicz żeni się z Helą Ochenkowską. Ludwik rozstał się już ze swą żoną, Salamonowiczówną z domu (córką p. Ludwika Salamonowicza z Gudziszek, dawniejszego sąsiada bohdanowskiego) i dla ożenku z Helą, ponieważ w kościele katolickim rozwodu dostać nie może, przyjmuje wyznanie kalwińskie. Hela Ochenkowska, która też rozwodu w kościele katolickim otrzymać nie może, urządza się w sposób następujący. Mąż jej obecny, Ochenkowski, przyjmie kalwinizm i otrzyma rozwód kalwiński; wtedy wobec kościoła kalwińskiego małżeństwo Ochenkowskich będzie rozwiązane, i Hela, nie zmieniając osobiście wyznania, weźmie ślub z Ludwikiem Abramowiczem w kościele kalwińskim. Projekt ten zachowuje się jeszcze w sekrecie. Nawet matka Heli, stryjenka Alfredowa Römerowa, nie jest dotychczas wtajemniczona w te plany. W całej tej kombinacji jedno mi się tylko nie podoba – to, że Hela, zamiast sama zmienić wyznanie, uzyskuje zmianę takowego od męża (tego że w drodze przekupstwa); biorąc ślub kalwiński, Hela przez to samo popełnia wykroczenie przeciwko katolicyzmowi, więc pocóż to pozorne zachowanie katolicyzmu. Skądinąd współczuję Heli; wiem, co za gwałt się przeciwko niej podniesie, co za potępienie i [illegible] w rodzinie i we wszystkich kołach „dobrze myślących”. A Hela ma wszak takie samo prawo do życia, miłości i szczęścia, jak wszyscy inni; jest młoda, piękna jeszcze, pełna życia, zdolna, inteligentna, a samotna i zwichnięta przez niefortunne małżeństwo, które jest dla niej kulą u nogi. Czyż kuli tej nie należy zrzucić, gdy się jej miłość i życie uśmiecha, o ile w tym [illegible] nie gra.

Ponadto rozmawiałem z Ludwikiem Abramowiczem o sprawach dziennikarsko-społecznych i o jego projektach w tej dziedzinie. Z powodu fuzji „Kurjera” z „Gońcem”, która się dokonała i która od 1 czerwca zrealizowana zostanie, L. Abramowicz wycofał się z redakcji „Kurjera”, nie godząc się na dokonywany kompromis. Teraz jedzie on do Warszawy i chce tam próbować uskutecznić następującej kombinacji: zawrzeć układ z redakcją „Kurjera Porannego” w celu otwarcia filji redakcyjnej tegoż pisma w Wilnie; zostałaby w Wilnie zorganizowana redakcja lokalna „Kurjera Porannego”, którąby do tegoż pisma dla prenumeratorów z Litwy dodawała specjalny „Dodatek Wileński”. Kombinacja ta, jak mi się zdaje, do skutku nie dojdzie. „Kurjer Poranny” jest zanadto stronniczym pismem warszawskiem, aby się mógł on zaaklimatyzować.

29 maja / 11 czerwca / rok 1911. / niedziela.

Po obiedzie ruszyłem pieszo aż na Pośpieszkę, gdzie wyznaczone były na dzień dzisiejszy wzloty na aeroplanie ~~[illegible]~~ znanego ~~[illegible]~~ lotnika rosyjskiego Utoczkina. Dzień był wietrzny i dżdżysty, ale było zapowiedziane, że wzloty w każdym razie, bez względu na pogodę, uskutecznione będą. Ponieważ widziałem zeszłoroczne wzloty jesienne w Wilnie lotników Haber-Włyńskiego i de-Campo-Scipio, więc miałem już pewną skalę porównania, podług której oceniałem wzloty dzisiejsze. Otóż wrażenie moje było o wiele słabsze od zeszłorocznego. Utoczkin wprawdzie podobał mi się przez swą imponującą zimną krew, pewność siebie i znakomitą umiejętność podnoszenia się i zwłaszcza ~~[illegible]~~ wylądowywania, ale wzloty jego były krótkie i nie przewyższały jakichś kilkudziesięciu metrów wysokości. Ogółem Utoczkin wzniósł się 5 razy. Wiatr targał aeroplanem i chwiał go dość silnie. Z pierwszego razu Utoczkin latał bardzo nisko i ~~bardzo~~ króciutko; trzeci raz wzniósł się trochę wyżej i ~~zrobił 3 koła~~ okrążył trzykrotnie aerodrom. Zapowiedziane były wzloty z pasażerami — po 100 rubli od osoby. Otóż na aerodromie wystąpiła młoda kobieta, ubrana w obcisłą czarną suknię z białym przodem, elegancka, w olbrzymim kapeluszu, piękna, brunetka, piękne usta i wyraziste oczy, typ francuski. Zaczęła pertraktować z Utoczkinem, który wpierw się wahał i odradzał jej ze względu na wiatr, lecz wreszcie się zdecydował. Piękna elegantka, lornetowana ze wszech stron, budząca sensację, przeszła przez olbrzymi teren aerodromu i ulokowała się na aeroplanie za Utoczkinem, trzymając się pleców jego. Wprawiono w ruch propeller; motor zaturkotał, rozległ się miarowy łoskot propellera, aeroplan pobiegł i wzniósł się ~~[illegible]~~ w górę; lot wszakże zbytnio przeraził pasażerkę, która, skarżąc się na szum w uszach, poprosiła Utoczkina o wylądowanie; lot trwał nie więcej nad 1½ – 2 minut, z jednego końca aerodromu na drugi. Młoda i piękna pasażerka jest podobno Francuzką, ale mówi też po polsku; jest kokotą w wyższym stylu, — „femme galante”, — ma się dostać do [illegible]. Zrobiła sobie tym lotem reklamę, która jej zwróci stokrotnie ~~[illegible]~~ sturublówkę zapłaconą Utoczkinowi (~~[illegible]~~ pono zresztą z kieszeni jednego z adoratorów). Bądźcobądź zuch-dziewczyna! Kokoty — to lud bądźcobądź dzielny, wrażliwy, ceniący wielką sensację i decorum; mają dużo odwagi, zamiłowania do lekkomyślności, ~~[illegible]~~ a przez to garną się do nowych rzeczy, są adeptkami ryzykownych sportów. [illegible] to duch, któremu zaiste „wiara potrzebna”; ale jest w nich zręczność, giętkość, [illegible] [illegible] [illegible] plotkarek. [illegible] latał jeszcze jeden pasażer, Abramowicz, ale też krótko. Wogóle więc wzloty mię nie interesowały — sam proces lotnictwa, nie drobne eksperymenty z pasażerami.

O północy wyjechałem z Wilna na Mińsk. Jadę do Pleszczenic do cioci Tyszkiewiczowej.

30 maja / 12 czerwca rok 1911. poniedziałek.

Rano o godz. 7 przyjechałem do Mińska. Przez całą noc prawie źle spałem, bo wagon był pełny, jak zawsze między Wilnem a Mińskiem. Pół leżąc, pół siedząc przedrzemałem od Wilna do [illegible], a dalej już nie próbowałem spać. To też w Mińsku zajechałem do hotelu i położyłem się do łóżka. Wyspałem się do południa. Po obiedzie, zaopatrzony przezornie w prowizję na drogę, o godz. 3½ wyjechałem z Mińska pocztowymi końmi na Łohojsk. Drogę miałem długą przed sobą: do Łohojska koło 44 wiorst. Parokonna bryczka pocztowa, trzęska, potoczyła się ~~[illegible]~~ z łoskotem po szkaradnym bruku mińskim i het dalej po piaszczystych lub wyboistych traktu łohojskiego. Siedzenie niewygodne na sprężynach, ale przywykłem na złamanych, zbytnio oparcie o twarde deski poręczy, służące do ~~[illegible]~~ tradycyjnego nakładania siniaków na kości pacierzowej podróżnego. Woźnica, białorusin-katolik, rodem z pow. wilejskiego, młody chłopak 19-letni, sympatyczny, chętny do rozmowy, choć ciężko myślący i niezbyt sprytny. Przez pierwszą połowę drogi, do Środka, wymijaliśmy ciągle liczne furmanki włościańskie, wracające z kierunku z Mińska. W Środku daliśmy koniom wypocząć — popasaliśmy przeszło godzinę. Przesiedziałem przez ten czas w karczmie, przypatrując się wesołej zabawie zebranych tam i mocno podochoconych włościan. Grano na skrzypcach, śpiewano trochę, tańczono, starsi [illegible]dzili przy wódce za stołem, młodzież się garstkami i parami dobierała, po kątach kwitł naiwny flirt i ściskanie dziewcząt. Mowa białoruska, dość dobrze w tej okolicy zachowana, panuje tu wszechwładnie i nawet niektórzy polacy drobnoszlacheckiego stanu, których w Środku spotkałem i którzy wobec mnie silili się na poprawną polszczyznę, między sobą mówili li tylko po białorusku. Za Środkiem w kierunku Łohojska coraz mniejszy ruch na gościńcu. Zresztą dzień już się miał ku wieczorowi. Wygląd okolicy przypomina mi już typowo borysowskie strony; charakter miejscowości ten sam, co koło Zawiszyna, Chotajewicz, Pleszczenic, Dziedziłłowicz, Mściża. Powierzchnia ziemi falista, ale nie pagórkowata, jak u nas, jeno jakby rozchwiana w długich stopniowych spadkach i wzniesieniach, przestrzenie widoków rozległe. Ziemia to gliniasta, to piaszczysta. Lasy piękne, wysokość drzew wybitna. Sosna, czasem jodła, brzoza, czasem piękny las osinowy. Stare małe kapliczki i cerkiewki drewniane, mniej lub więcej zaniedbane, tulące się gdzieś na starych mogiłkach wiejskich lub na pagórku śród drzew, ślicznie zdobią krajobraz. Dziedzińce dworków, tam het gdzieś wioska z ubogiemi chatami, prawie że naga bez drzew, w lesie też ~~[illegible]~~ — uzupełniają charakter kraju. Ale otóż i Łohojsk, ongi miasto [illegible] dzielnicy sięgający, dziś mała upadająca mieścina żydowska z bardzo ubogim kościołem. Ze względu na czas późniejszy zanocowałem w Łohojsku.

31 maja / 13 czerwca. rok 1911. wtorek.

Żołojsk. Blisko od Mińska a już przecie taka głucha, taka głęboka prowincja. Odległość od kolei żelaznej utrzymuje cechy patrjarchalne miasteczkowej prowincji. Cicho, [illegible] żadnej, jakaś senność i ociężałość dokoła; kramiki żydowskie ubogie, miasteczko i mieszkańcy wegietują raczej, niż żyją. W dużej karczmie czy też zajeździe, w którym się zakwaterowałem, brud i ta sama cecha ociężałości. Gruby brudny żyd-gospodarz siedzi w drewnianym fotelu, [illegible] podrywa się rzadko i głosem sennym, zażywa wciąż tabaki i stąd ma od nosa do ust smugę jakiejś czarnej lepkiej cieczy, która mu pokrywa wąsy; gospodyni - żydówka dobrej tuszy także powolna, ociężała; służąca - białorusinka jakaś gburowata, tępa, nieokrzesana, jak w dzikiej puszczy; w ogólnej izbie stół, stołki, pełno ludzi próżnujących, gapiów, parę szaf odwiecznych, wielki ścienny zegar wiszący; w moim pokoju stół pokryty dziurawą serwetą, 2 kanapy i kilka miękkich krzeseł z pokryciem wytartym, płóciennym, nieopisanie brudnym; łóżko z olbrzymią poduszką i brudną, lepką od brudu kołdrą. Wrażenie takie, jakgdyby się bieg czasu zatrzymał; nikt się nie śpieszy, każde poruszenie odbywa się powoli, z wielkiem zastanowieniem się; czasu widocznie tym ludziom i tym [illegible] aż zanadto dużo, a interesów zamało. Pewną nerwowość, pewien niepokój [illegible] wprowadzają do tej sennej i zbyt zrównoważonej atmosfery jeno 3 wnuczki gospodarza zajazdu, 3 młode i piękne żydówki, ale też jeno przelotnie się ukazują. Moja obecność wywołuje sensację w zajeździe i miasteczku; skąd jadę, dokąd jadę, poco jadę, com za jeden. Ciekawe twarze zaglądają przez drzwi do mego pokoju; jestem przedmiotem obserwacji, uwagi, szeptów. Każdy rad zaspokoić swą ciekawość, swe pragnienie nowin i sensacji, rad mię zaczepić słówkiem dla wywołania rozmowy. Tak samo setki [illegible] ciekawych oczu śledzi każdy mój ruch już nietylko w zajeździe, ale też na ulicach miasteczka. Ponieważ rano nie dostałem koni, więc wyjazd z Żołojska musiałem odłożyć do popołudnia, a tymczasem ruszyłem na spacerek; poszedłem jakąś drogą między cerkiewką i kościołem do lasu, potym doszedłem gościńcem pleszczenickim i drogą dworską do dworu. Oglądałem krzyż przydrożny, z [illegible] obwieszony przepaskami w postaci fartuszków, podług zwyczaju białoruskiego. Parę takich fartuszków z krzyża zdjąłem i zabrałem. Zwyczaj to u Litwinów nieznany i niepraktykowany, a natomiast powszechny na Białej Rusi. Sądziłem, że to są poprostu kawałki perkalu czy płótna, ale się przekonałem, że przepaski te są specjalnie przyrządzane, mają u dołu i z boków wycięcia lub imitację koronki z wyciętemi okienkami w postaci krzyżyków i mają na froncie naszyty krzyż z dwóch kawałków jakiejkolwiek tkaniny.

Z Żołojska wyjechałem dopiero koło godz. 4 najętą jednokonną furmaneczką żydowską. W Pleszczenicach stanąłem koło godz. 8 wiecz. Oprócz cioci Kasi Tyszkiewiczowej i starego rezydenta księdza Hacewicza, profesora Chołajewskiego, zastałem też niespodziewanie córkę cioci, moją cioteczną rodzoną siostrę Marylę O'Rourke'ową, która przed paru dniami do matki przyjechała.

1 (14) czerwca
rok 1911.
środa.

Czas w Pleszczenicach płynie monotonnie. Z Ciocią i Marylą widzę się tylko przy rannej herbacie, obiedzie i herbacie wieczornej. Resztę czasu mam do mojej wyłącznej dyspozycji, to znaczy, że jestem zostawiony sam sobie. Ciocię zastałem w dobrym zdrowiu; chociaż noga Ciocię boli, ale chodzić trochę może. Ciocia Kasia Tyszkiewiczowa, wdowa po Witoldzie Tyszkiewiczu, rodzona siostra Papy, niegdyś sławna pięknością, której ślady wyraźne w przepięknych rysach zachowały się dotychczas, liczy obecnie 64–65 lat. W małżeństwie była nieszczęśliwa; mąż jej, Witold hr. Tyszkiewicz, którego nie znałem wcale, był człowiekiem podobno bardzo zepsutym, rozumnym i zdolnym, ale z Ciocią nie kwadrował; Ciocia, osoba nieskazitelnie prawa, szczera, ulana z jednej bryły, ale umysłowo ograniczona i nie mająca w sobie nic giętkości, nie była stworzona na małżonkę dla człowieka kulturalnie wyrafinowanego, jakim był jej mąż Witold. Pożycie małżeńskie było dla obojga nieszczęśliwe. Witold Tyszkiewicz zaczął zdradzać Ciocię w miłostkach, potem się rozchorował umysłowo, — zdaje się, że na skutek syfilisu, — i wkrótce zresztą umarł. Ciocia została z dwojgiem dzieci: starszą Marylą i młodszym Józiem. Ciocia nie miała daru do wychowywania dzieci. Młoda, niepospolicie piękna, zresztą tak samo, jak Papa, zmysłowa, ciocia Kasia wciąż miała konkurentów do nowego małżeństwa, z których wymienię stryja Alfreda Römera i obecnego szwagra mego Czesława Pruszanowskiego. Ciocia miała przed sobą otwartą drogę do miłości i szczęścia. Ale mieszczańsko pobożna, drobiazgowo wprost wierząca, pełna naiwnej prostoty i płynącego stąd doskonałego hartu ducha, ciocia przetrwała okres pokusy i powtórnie zamąż nie wyszła. Ukochała dzieci, choć, jak wspomniałem, daru pedagogicznego nie miała. Wykształcenie i kultura towarzyska Maryli były zupełnie zaniedbane; ale zalety przyrodzone charakteru Maryli, nietknięte sztuką pedagogiczną, zrobiły z niej kobietę zacną i gruntowną. Maryla pod względem wykształcenia i inteligencji stoi na poziomie bardzo niskim, jest gąską, tępą, cichą, pokorną, ale jest z gruntu szczerze prawą, prostą, hartowną i ma w sobie niezgłębiony spokój. Jest pobożną i cnotliwą w sposób zupełnie niekrytyczny, — że tak powiem — mechaniczny. W młodzieńczych latach wierzyła w idealistyczną miłość, ale gdy ta się dla niej nie zrealizowała, wyszła w roku 1897 zamąż, mając już lat koło 30, przez wyswatanie — za hr. Karola O'Rourke, człowieka bogatego, ale miernego, rozpieszczonego, rozkochanego li tylko we własnej wygodzie. Dzieci nie mają, bo miękkość i wygodnictwo Karola pozbawiły go tężyzny męskiej. Karol, gładki i znakomicie wyszlifowany kulturalnie, jest w gruncie zimnym i wyrafinowanym egoistą i bezwzględnym despotą dla żony. Trafił też na kobietę wprost idealnie pokorną, która jest dlań nieograniczenie uległą. Maryla jest nie żoną, ale literalnie niewolnicą Karola, a niewolę tę dźwiga dobrowolnie. Syn Cioci Kasi a brat Maryli, Józio Tyszkiewicz, był degeneratem i nawet idiotą. W r. 1900 czy 1901 umarł z tyfusu w wieku lat 24, osierocając biedną matkę.

2 (15) czerwca
rok 1911.
czwartek.

Długość dnia w Pleszczenicach równa się coś najmniej jakimś 3 dniom w Wilnie. Czas wlecze się bez końca. Wstaję między godz. 9 a 10. Pierwszą czynnością po wstaniu jest wysłuchanie mszy świętej, którą odprawia w kaplicy domowej x. Ancewicz, proboszcz Chotajewicki, rezydujący stale u cioci w Pleszczenicach. Potym herbata wspólna. Po herbacie koło godz. 11 wszyscy się rozchodzą. Xiądz śpieszy do swych apartamentów, ciocia Kasia z Marylą — do swoich. Ciocia Kasia jest dla mnie bardzo serdeczna, bardzo się cieszy z mojej obecności i wdzięczna mi za przyjazd, ale po swojemu. Szczerość cioci nie może podlegać wątpliwości, bo wogóle jest to osoba, która nie umie kłamać i udawać i jest pełna nieskazitelnej prostoty i prawdy. Ale ciocia, właśnie wskutek tej swojej bezwzględnej szczerości, nie umie się zmusić do jakichkolwiek pozorów, nie umie niczego udawać, a ponieważ jest samotnicą i przywykła zamykać się w sobie, więc też nie zmusza się do konwencjonalnej towarzyskości i trybu życia swego nie zmienia dla jakiejś wymuszonej uprzejmości dla mnie. Ciocia, tak samo jak Papa, posiada pewien charakter zamknięty, niezdolny do manifestacyjnego uzewnętrzniania swych uczuć; w charakterze tym jest zupełny brak ekspansywności, pomimo że z natury jest skłonność do dobrego humoru, do pogodnej żartobliwości; w zakresie natomiast najgłębszych uczuć osobistych jest zupełne zamknięcie się w sobie, odcięcie się od świata murem chińskim dumnej rezygnacji i głębokiego skupiania się wewnętrznego. Te cechy ma ciocia w stopniu o wiele większym, niż Papa, choć właściwie dla obojga jest to cecha wspólna. Odkąd zaś ciocia zaczęła głuchnąć, ta jej skłonność do samotności zaczęła się coraz bardziej potęgować. Głuchota sama przez się stanowi ciężką przeszkodę do obcowania z ludźmi, to też obcowanie te i dłuższa rozmowa męczy ciocię. Osobiste zaś nieszczęścia cioci, śmierć dorosłego syna, rozstanie z córką, która jest ślepą sługą męża-kapryśnika i samoluba, a która przez to musi iść za mężem nie zaś za matką, — spowodowały, że ciocia ostatecznie od świata się zamknęła i zabarykadowała w swojej pustelni samotniczej. Poza herbatą więc i obiadem nie widuję cioci wcale; cały czas ciocia spędza w swoich pokojach wewnętrznych. Maryla, która przyjechała do matki na dni kilka, spędza cały czas przy cioci, — i jej więc także nie widuję wcale; zresztą Maryla jest nieśmiała i z natury nietowarzyska a bardzo bierna, więc lubi siedzenie cicho z ciocią przy robocie i rada uniknąć próżnej rozmowy. Na obiad znów się wszyscy schodzimy o godz. 3 i zaraz po obiedzie rozchodzimy się aż do herbaty, która ma miejsce o godz. 9 wieczorem, a o godz. 10 wszyscy się rozchodzą na spoczynek nocny.

3 (16) czerwca rok 1911. piątek.

Maryla wyjechała dziś rano z Pleszczenic. Skończył się jej „urlop", który miała od męża, więc wyjechać musiała. Ciocia Kasia była zasmucona i zgryziona wyjazdem Maryli, prócz tego cierpiała na ból głowy, toteż była w złym humorze. Robiła mi ostre wymówki za to, że na przyszły czwartek wyznaczyłem klientowi termin w interesie w Wilnie, wobec czego będę musiał terminowo z Pleszczenic wyjechać. Gniewała się nie za mój wyjazd, lecz za to, że „nie szanuję dnia świątecznego" i na święto wyznaczam interes, bo we czwartek wypada dzień Bożego Ciała; życzyła, aby interes mi się nie powiódł!

Dzień upłynął samotnie i nudno. Czytałem, pisałem listy. Przedwczoraj pogoda była piękna, toteż mogłem korzystać ze spacerów, wczoraj pogoda była jeszcze znośna, więc trochę znów spacerowałem a resztę czasu przeważnie na ganku spędziłem; dziś natomiast deszcz padał i powietrze bardzo ostygło, więc ani spaceru nie miałem ani nawet na werandzie siedzieć nie mogłem; musiałem siedzieć w moim ponurym ciemnym pokoju, nudnym i posępnym, jak cały dwór pleszczenicki. Szkoda mi tej możności spaceru, [illegible] chcę bowiem skorzystać z pobytu tutaj i trochę etnograficznych przedmiotów lokalnych zebrać; wczoraj jedną przepaskę z krajki zdobyłem — mniej ciekawą od łohojskich; kupiłem też 2 trąby pasterskie, korą brzozową oplatane. Mam w Bohdaniszkach jedną taką trąbę z powiatu bobrujskiego, bardzo długą i prostą; te zaś tutejsze mają kształt rogu lub fajki — są krótsze, ku [illegible] końcowi w półkole wygięte. Chciałbym jeszcze dostać wyroby rzeźbiarskie z drzewa, figurki Chrystusa albo laski rzeźbione lub coś innego; wiem o jednym takim domorosłym lokalnym rzeźbiarzu drewnianym w [illegible] o 3 wiorsty od Pleszczenic; wybieram się do niego, ale deszcz mi przeszkodził.

Po obiedzie kilka godzin spędziłem u księdza; był tam u niego [illegible], syn [illegible] tutejszego, urzędnik z Turkiestanu na urlopie, i [illegible], [illegible]. Przekonałem się. Ksiądz na przyjęcie tutejszych panów [illegible] był zaopatrzony.

4 (17) czerwca.
rok 1911.
sobota.

Ciocia Rasia dziś, gdy nie ma Maryli, o wiele więcej rozmawiała ze mną. Po obiedzie kilka godzin spędziłem z ciocią. Opowiadała mi rozmaite szczegóły z czasów swej młodości, dawne stosunki rodzinne i t. d.. Ciocia była dziś w fazie rozdawnictwa upominków. Przedewszystkiem dała mi 25 rb. tytułem zwrotu kosztów podróży do Pleszczenic. Dla Elwiry posyła ciocia przez mnie kołyskę starą, w której wypiastowała niegdyś swe dzieci, Matylę i nieboszczyka Józia. Kołyska ta, choć niebrzydka, jest już dziś starym gratem, mocno uszkodzonym i rozsypującym się w gruzy. Elwirze jest niepotrzebna; Elwira prosiła mnie, abym się od brania tej kołyski pod jakimkolwiek pozorem wykręcił, ale ciocia tyle serca wkłada w tę kołyskę, którą uważa za pamiątkową, że ~~nie mogłabym być okrucieństwem~~ nieprzyjęcie jej byłoby okrucieństwem; ciocia byłaby tym boleśnie dotknięta. Zabiorę więc ją. Dalej ciocia darowała dla mojej córeczki serwetkę ~~[illegible]~~ pamiątkową, wykonaną przez ciocię własnoręcznie z kawałków materji jedwabnej z sukien cioci; w środku zaś serwetki jest wszyty kwadrat z materji jedwabnej z sukni prababki mojej Racheli z de Frezesów Michałowej Römerowej. Dla Gieni Maryni ciocia posyła kupę starych drobiazgów z lat dziecinnych Józia Rynkiewicza. Dla mnie osobiście ciocia darowała kilka rzeczy: ładny, ołówkiem wykonany, ~~portret~~ niewielki portret pradziada mego Michała Römera; portret ten pochodzi ze zbiorów Rafała Śliźenia, którego synowie darowali go kiedyś cioci; podług tradycji rodzinnej Śliźeniów portret ten przedstawia pradziada Michała; pradziad przedstawiony tam w młodym, ale już dojrzałym wieku; wykonanie portretu piękne; ramy drewniane, oszyte materją ozdobną w kwiaty, wdzięcznie wyglądające. Dalej dała mi ciocia, znając mój gust do wyrobów ~~[illegible]~~ ludowego przemysłu krajowego, parę lichtarzy glinianych w postaci niedźwiadzi; lichtarze te były podobno wykonane przez garncarza (poliwnika) miejscowego z pod Ziembina; zastanawiam się wszakże, czy ciocia się nie myli i czy nie są one roboty fabrycznej. Dała mi ciocia kupkę książek, przeważnie mało wartościowych (śród nich jest jeden tomik poezji Rydla ilustrowanych przez Wyspiańskiego, wydanych w r. 1898, gdy jeszcze Wyspiański był prawie nieznany). Oprócz tego kilka książek ~~[illegible]~~ starych dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie. Dalej dała ciocia garnuszek gliniany i kilka sprzączek i bransolet bronzowych, wykopanych w cmentarzyskach (t. zw. kurhanach) starożytnych z epoki bronzowej; kurhany te są w lesie między Pleszczenicami a Ruchną, o jakąś niespełna [illegible] wiorstę od Pleszczenic; ozdoby bronzowe, acz dość pospolite, są bardzo ~~[illegible]~~ ładne; ciocia pozwoliła częściowo oddać je do T-stwa Przyjaciół Nauk, częściowo dla siebie zachować. Oprócz tego dała drobiazgi dla Elwiry i dla Maryni. Wreszcie darowała mi ciocia tarantas, czyli dużą na 4 osoby „linijkę", zrobioną kiedyś dla cioci w bobrujskich stronach. Ten wszakże stawia ciocia warunek, abym tarantas ten prędko zabrał.

(18) czerwca. rok 1911. niedziela.

Znów dziś czytałem przeważnie i pisałem listy. Chodziłem też trochę na spacer; pogoda już lepsza, słońca więcej, ale jeszcze chłodek trwa. ~~Chodziłem~~ Wszystkie spacery w Pleszczenicach — po lesie; pora lasem przeważnie piaski, roślinność i zboża ubogie; tylko łąka nad przepływającym przez Pleszczenice strumieniem bujna i kwiecista, a zresztą roślinność licha, wątła, sucha. Zato lasy sosnowe piękne. Drzewa wysmukłe, prościutkie, strzelające wysoko pod niebiosa; przestrzenie lasów olbrzymie. Zwierza w lasach tutejszych dużo; z grubszych okazów są wilki, łosie. Do niedawna jeszcze były niedźwiedzie, ale teraz już bardzo rzadkie, bo choć lasy niepowycinane w pień, ale znacznie przerzedzone ~~i wyc~~ na wielkich przestrzeniach; krainą niedźwiedziów są obecnie w tych stronach dziewicze lasy borysowskie i zapewne dziedziłowickie (choć mówią, że te ostatnie po bankructwie ~~o~~ ostatniego dziedzica Dziedziłowicz, Śliźnia, uległy zniszczeniu). Ciekawą, choć zapewne przesadną opowieść o wilkach i niedźwiedziach w tutejszych lasach między Łohojskiem a Pleszczenicami ~~słyszałem~~ przed laty kilkudziesięciu — słyszałem od woźnicy-żydka, który mię tu przed kilku dniami przywiózł. Jechał podobno razu jednego ojciec tego żydka z Łohojska do domu, a mieszkał w Wołosie; otóż, jadąc przez las, widzi taką scenę: kilka wilków rzuca się zaciekle na ogromnego niedźwiedzia, ten zaś, broniąc się od nich, trzyma w przednich łapach wyrwany drewniany krzyż przydrożny, którym macha dokoła, rażąc napastników. Żyd struchlały, nie mogąc już zawrócić, ~~pro~~ mija tę grupę; aż oto niedźwiedź ~~o~~ wskakuje do wozu ż., siedząc odwrócony wstecz, ~~i~~ macha dalej krzyżem, odganiając gromadę wilków, ~~które~~ które wciąż pędzą za wozem. Drżący z przerażenia żyd pędzi do miasteczka, wjeżdża do swej zagrody z całą tą zgrają zwierząt; zaalarmowani krewni dziedzica, postawa zawiadomić [illegible] Pana Tyszkiewicza, który wnet przyjechał i ubił zamknięte w stodole zwierzęta.

Po obiedzie odbyłem długi i miły spacer. ~~Niedaleko chodziłem, ale~~ Nie tyle właściwie chodziłem, ile raczej używałem sobie swobodnie wsi. Pięknym lasem sosnowym przeszedłem się do wsi Budni; po drodze w lesie paliłem w kilku miejscach darń z mchu. Zabawa z ogniem jest moją ~~ale~~ ulubioną namiętnością od najwcześniejszego dzieciństwa. Zawsze miałem i mam pociąg nieprzezwyciężony do ognia i do wody. Co za piękne widowisko przedstawiać musi pożar lasu! W miejscowości tutejszej, na piaskach, śród mchu suchego i lasu sosnowego, którego odpadki, przepojone żywicą, obficie zalegają ziemię, wystarczy położyć na darni zapaloną zapałkę lub żarzący kawałek próchna, aby ogień się zaczął natychmiast rozchodzić coraz szerszym kołem po ziemi. Ogniste koło się szybko rozrasta i oto już początek pożaru.

6 (19) czerwca. rok 1911. poniedziałek.

Na stawie na rzeczce Dziwinosie przy młynie Budniańskim chciałem przejechać łódką, ale jedyna łódeczka, którą znalazłem, nie wzbudziła we mnie zaufania. Jest to tak zwana „duszehubka”; to jest raczej koryto, wydrążone w jednolitym pniu drzewa, czyli łódka; trzeba w niej ~~[illegible]~~ płynąć stojąc, wiosłując jedynym wiosłem; na taką podróż ~~się~~ nie zdecydowałem się.

Wracałem częściowo lasem, częściowo przez piękną kwiecistą łąkę w dolinie strumienia plaszczewickiego, zwanego Natkinia. Prześliczna jest ta dolina, ~~[illegible]~~ biegnąca pasem śród 2 ścian wyniosłego lasu sosnowego, zarosła bujną wysoką trawą w kwiecie, soczystą i miękką, z wąziutką krętą taśmą strumienia pośrodku; bujna roślinność wilgotnej łąki ~~[illegible]~~ stanowi śliczny kontrast z suchą twardą roślinnością piasków dokoła i lasu sosnowego; zapach kwitnącej łąki, strumyka i licznych bagienek miesza się z wonią roztopionej w słońcu żywicy sosnowej; derkacze wołają się na łące, słychać plusk żabek, poważny bocian się przechadza. Zbierałem w lesie po kilkakroć dziewalające się gałęzie sosnowe z uschłemi igliczami, które paliłem następnie na strumieniu wiatru; śliczna iluminacja, pełna skier i bujnego wybuchowego ognia! Wracając, słyszałem śpiew z córek rodzy plaszczewickiego pana [illegible]. Śpiewały jakieś [illegible] pieśni ukraińskie, a las sosnowy potęgował całą [illegible] głosów [illegible] dziewcząt [illegible] ognia! Jeśli wiosna jest kwiatem natury, to dziewczyna w wiośnie życia jest kwiatu tego kwiatem.

Na Boga — dlaczego nie mam lat 20!

7 (20) czerwca, rok 1911. Wtorek.

O godz. 1 po południu przyszła z Wilna od Stefana Mieczkowskiego depesza, że u Elwiry urodziła się szczęśliwie córeczka. A więc już żadna z mojego rodzeństwa nie jest bezdzietna. Mała urodziła się zapewne tej nocy, — depesza wysłana z Wilna o godz. 11 m. 10 przed południem. Jest to 16-ty potomek naszego rodzeństwa a wszystkie dzięki Bogu dotychczas żywe. Zróbmy rekapitulację ogółu naszych potomków: #1 — Hektor Komorowski urodzony w r. 1892, #2 — Julo Komorowski ur. r. 1893, #3 — Elizka Pruszanowska ur. r. 1893, #4 — Henryś Wołłowicz ur. r. 1894, #5 — Sienio Pruszanowski ur. r. 1895, #6 — Mała Pruszanowska ur. r. 1897, #7 — Helcia (Ewa) Römerówna ur. r. 1898, #8 — Zitka Komorowska ur. r. 1898, #9 — Irka Pruszanowska ur. r. 1899, #10 — Stefuś † Römer ur. r. 1900, #11 — Zosia Pruszanowska ur. r. 1901, #12 — Basia Pruszanowska ur. r. 1907, #13 — Felusia Komorowska ur. r. 1908, #14 — Stasia Pruszanowska ur. r. 1909, #15 — moja córeczka Cesia † Römerówna ur. r. 1910 i wreszcie #16 — dzisiejsza mała Mieczkowska. Czy listę tę uważać można za wyczerpaną — niewiadomo: jeszcze młodzi jesteśmy, a więc kropki na zamknięcie nie stawmy. Niewiadomo jeszcze, co przed nami. Wiek XX, zaczynając od r. 1901, przyniósł nam, jak z listy powyższej widać, same dziewczynki.

Ciocia Józia dała mi dziś do przejrzenia całe stosy starych dokumentów i papierów Pleszczenickich, głównie z wieków od początku wieku XVII do połowy XIX. Zaledwie kilka plik takowych zdołałem przejrzeć. Ciekawe są, ale tylko powierzchownie je przeglądałem. Szkoda, że mi ich ciocia wcześniej nie pokazała, bo już jutro z Pleszczenic wyjeżdżam. Papiery te wszakże są przeważnie dokumentami bądź sądowymi, bądź gospodarczymi (akta, oznaczenia trybunałów, kontrakty, kwity, obligi, upraszania, rachunki, listy gospodarcze). Są niewątpliwie ciekawe, ale zużytkowanie ich wymagałoby olbrzymiego nakładu czasu i pracy. Co do mnie wolałbym mieć w ręku listy prywatne, raptularze, pamiętniki etc., ale tych tu nie ma. Ciocia mnie zaprasza, abym kiedyś specjalnie dla tych dokumentów przyjechał. Na dokumentach tych są ciekawe pieczęcie, stemple etc.; starsze dokumenta z w. XVII pisane są pismem słowiańskim, po rusku.

Od p. Pacewicza otrzymałem dziś w darze instrument muzyczny dęty w rodzaju fletu, z drzewa, wyrobu włościanina miejscowego; flety te, wyrabiane przez sam lud, są ~~[illegible]~~ przez lud tutejszy pospolicie używane. Wieczorem dziś po gorących dniach ciepły aromatyczny deszcz. Noc odurzająca.

8 (21) czerwca rok 1911. Środa.

Rano, po mszy św., odprawionej w kaplicy domowej pleszczenickiej, i po śniadaniu, wyjechałem z Pleszczenic końmi na Borysów. Jechałem razem z xiędzem proboszczem Pacewiczem. Xiądz Pacewicz jest proboszczem w Chotajewiczach, ale ponieważ kościół tameczny jest dopiero od lat kilku przez rząd do użytku kultu zwrócony i plebanji nima dotychczas wcale, więc proboszcz mieszka u cioci Zosi Tyszkiewiczowej w Pleszczenicach. Dla cioci, która jest zupełnie samotna, towarzystwo księdza, którego lubi i szanuje, jest bardzo pożądane. Chodzą wersje, że xiądz Pacewicz korzysta ze swego wpływu na ciocię, osobę nieskończenie pobożną, i że wyzyskuje ją dla swych własnych ofiar kościoła celów. Nie przekonałem się wszakże o tym, a nawet wręcz temu nie wierzę. O ile poznałem x. Pacewicza, jest to człowiek uczciwy, nie-chciwy, oddany szczerze pracy duchownej i poniekąd kulturalnej nad parafjanami. Jest sprytny, obrotny, żywy, trochę skory po jezuicku do interesów, kształcony, ćwiczeniem usposobiony, wykształcony, ale nie nadużywający swego stanowiska u cioci. Na mnie zrobił on wrażenie dodatnie. Że ciocia, jako parafjanka gorliwa i bardzo pobożna, a bogata, wspiera ubogi kościół Chotajewicki, dopiero z gruzów powstający — nic naturalniejszego. Ale stąd do wyzysku daleko. Przyszłość pokaże, jaka jest rola xiędza Pacewicza w stosunku do cioci. Probierzem będzie testament cioci.

W jeździe do Borysowa — 8 mil drogi! — miałem w osobie x. Pacewicza miłego i ożywionego towarzysza. Około godz. 1 przyjechaliśmy na popas do miasteczka Ziembina, w połowie drogi z Pleszczenic do Borysowa. Najniespodziewaniej w świecie spotkałem w Ziembinie w zajeździe żydowskim mego siostrzeńca Henrysia Wołłowicza, jadącego z Borysowa do majątku Łuski jego ciotki panny Marji Wołłowiczówny i popasającego w Ziembinie, jak ja. Serdecznie się ucieszyłem z tego zaimprowizowanego spotkania. Spędziłem godzinkę na serdecznej gawędce z Henrysiem, którego szczerze kocham. Henryś zdał egzamin do klasy VI w gimnazjum w Borysowie; zmizerniał trochę, trochę wyrósł, ale wygląda dobrze, przystojnie. Jedzie teraz na tydzień do Łusek do ciotki, a potym ma jechać do ojca swego, Józefa Wołłowicza, do Kaługi na resztę wakacji.

Z Ziembina do Borysowa droga się przeważnie wije krętemi zygzakami wzdłuż doliny rzeki Berezyny. Przejeżdża się w pobliżu wioski Studzionki, sławnej w historji od czasu straszliwej katastrofy przejścia Wielkiej Armji Napoleońskiej przez Berezynę przed 100 laty. Co za bajecznie piękne są tu olbrzymie przestrzenie łąk zielonych nad Berezyną! Co za trawa, co za przepych roślinności! Dziewiczy to kraj, lasów niepokalanych, łąk dziewiczych. Sosna, smoła, stogi siana i wódka z gorzelni — oto produkty kraju! Z Borysowa pojechałem koleją do Mińska, gdzie zanocowałem.

9 (22) czerwca. rok 1911. czwartek.

Przyjechałem do Wilna koło godz. 2-ej po południu. W mieszkaniu moim zastałem Elwirę już w stanie rekonwalescencji po połogu; chora jeszcze, ma zwłaszcza coś w płucach, jakiś silny bronchit, ale zdaje się, że żadnych osobliwych komplikacji nie ma. Doktor Maczewski przychodzi do Elwiry codzień, akuszerka bawi stale, Mama też czuwa. Stefan Mieczkowski również w Wilnie bawi. Mała córeczka Elwiry, która będzie się nazywać Helena, urodziła się w poniedziałek 6 b.m. o godz. 9 wieczorem. Przyszła na świat w moim gabinecie; jako urodzona w gabinecie adwokackim, będzie musiała być wymowną — tak się jej to wróży. Mała jest b. cicha; jest drobniutka, ważyła coś koło 7 funtów; leży spowita i tylko jej miniaturową główkę widać. Czy będzie ładna czy brzydka i do kogo podobna — to jeszcze określić niepodobna. Gdym się jej przypatrywał, robiła na mnie wrażenie [illegible]; będzie miała, zdaje się, wyraz wesoły i ładne ciemne oczęta. Niech się jej życie pięknie i szczęśliwie ściele!

Nic już dziś przez resztę dnia nie robiłem. Pod wieczór musiałem pojechać na dworzec kolejowy po mój bagaż, który ani razem ani potem następnym pociągiem do Wilna nie przybył. Przywiozłem rzeczy, rozpakowałem je, a napisałem jeszcze list do Wuja Ignacego Bukatty, wzywając go powtórnie na 15 b.m. na zjazd dzielczy, — i na tym dzień mój zeszedł.

10 (23) czerwca
rok 1911.
piątek.

Pociągiem o godz. 2 giej przyjechała z Bohdaniszek Marynia. Mieszkanie nasze jest teraz przepełnione po brzegi. W każdym pokoju, w każdym kątku ktoś się gnieździ. W gabinecie moim leży Elwira, przy niej dziecko i akuszerka; w jadalnym pokoju – Mama; w sypialnym lokuje się Marynia; ja zalokowany jestem prowizorycznie w salonie; w byłym pokoju p. Zorzaka, który już z Wilna wyjechał, mieszka Stefan; w kuchni 2 służące. Uważam, że Elwira jest jeszcze dość poważnie chora; jej stan nerwowy bardzo zły; wciąż się o byle co porusza, bierze głęboko do serca jakieś najbłahsze drobiazgi, sprzecza się ze Stefanem aż do łez, jest wojowniczo w stosunku do Mamy usposobiona. Stan taki jest zły tak dla niej, jak dla dziecka, które karmi.

Natura kobiet, a zwłaszcza umysłowość i moralność życiowa naszych pań z tak zwanej wyższej sfery towarzyskiej, budzi we mnie nieraz głęboki niesmak. Kobiety są w ogóle przeważnie małostkowe, ciasne, czepiające się formułek i byle jakiej zdawkowej recepty życiowej, którą z wielką emfazą do godności „zasad” podnoszą. Poza tym kochają się w złośliwej obmowie, lubują się w szarpaniu cudzej czci, w sensacyjnych plotkach, dających możność szarpania opinii bliźniego po światowisku. Cechy te w naszych paniach „wyższego” towarzystwa, bardzo przypominającego środowiska małomiasteczkowe, są posunięte do kresów. I najczęściej złośliwość i obmowa idą w doskonałym zespole z religijnością i dewocką bigoterią. Cechy te ma w bardzo dużym stopniu Mama a jeszcze w większym Marynia, ponieważ że ulega ona swoją skądś lepszą zaletą. Ulubionym teraz tematem obmowy jest dla nich Hela Ochenkowska. Na takiż dziesiąty temat wpadły w stosunku do mariawitów. Nie zachwycam się wcale mariawityzmem, ale ta nietolerancja, ta gotowość utopienia ich w łyżce wody, którą wykazują prawowierni katolicy, jest wstrętna. Dy... Mama się oburza na mariawitów, wiem, że jest głęboko szczera. Ale Mama i Marynia mają zbyt dużo subtelności, aby nie widzieć, że w ruchu mariawickim, odrzuciwszy rozumie te ich cechy ujemne (nie gorsze wszakże niż u katolików), jest głęboki i szczery pęd do szukania prawdy, jest tęsknota do czystych źródeł religijności. Szczerość inicjatorów, którzy nie s... konieczności wszystkich tego rzeczy jest przecież tak wielka, że śmiało i ...telnie stawią opór grozie potęgi katolicyzmu, wiedząc, na jakie nieznośne szykany i prześladowania się narażają. Ale takie osoby, jak Mama, nie rozumieją w ludziach ofiar i prawdy; chodzi im o pozór, o formalną zgodność z potęgą i dominującą siłą, jaką jest klerykalizm katolicki. U Maryni zaś chodzi li tylko o zamiłowanie do złośliwej sensacji i plotkarskiej obmowy.

Zjazd dzielczy spadkobierców ś. p. Babuni Zu- 11 (24) czerwca.
zanny Tukałłowej wyznaczony był pierwotnie rok 1911.
w porozumieniu z Chełchowskim, jako jednym sobota.
z arbitrów, na 15 b. m.. W maju jeszcze uprzedzi-
łem o tym terminie wszystkich spadkobierców i
ewentualnie ich pełnomocników. Wczoraj zaś,
po powrocie mojm do Wilna i przekonawszy
się, że przeszkód do zjazdu tego w terminie wska-
zanym nie ma, wysłałem znów listy do wszy-
stkich, ustalając ostatecznie ten termin. Wczo-
raj atoli otrzymałem depeszę od Chełchowskiego
z zawiadomieniem, że arbitrowie ogłoszą nam
swą rezolucję w sprawie szacunku dóbr dopiero
21 b. m.. Wobec tego zmuszony byłem znów za-
siąść od rana do listów, odwołując poprzedni
termin i przenosząc zjazd z 15 na 28 b. m..
Powziąłem projekt wyjechania wobec tego do
Bołtaniszek do 19 lub 20 czerwca. Wprawdzie miałbym
tu przez ten czas parę interesów do załatwienia,
ale ostatecznie zdawało mi się, że mógłbym bez
szkody dla takowych wyjechać. Wyjazd nęcił
mię zwłaszcza z tego względu, że po drodze mógł-
bym zboczyć do Szawel, gdzie właśnie [illegible]
odbędzie się tradycyjna doroczna majówka li-
tewska. Na majówce tej zbiera się zazwyczaj
wielka ilość młodzieży kształcącej się litewskiej
i postępowa inteligencja litewska. Chciałbym
skorzystać z tej okazji, aby zaagitować mło-
dzież litewską w sprawie [illegible] naszej projekto-
wanej wystawy „Wil" i zachęcić ją do organizowa-
nia zbiorów przez czas wakacyjny. Materiał po-
mocniczy młodzieży tej byłby dla wystawy niepośled-
niejszy. Młodzież litewska, z ludu przeważnie
pochodząca a już zaprawiona do badań etnogra-
ficzno-porządkowych dzięki miesięcznikowi
„Aušrinė", który rozwinął czynną pracę w tym
kierunku, lepiej niż ktokolwiek bądź inny zdo-
łałaby dotrzeć do samego rdzenia skarbnicy kul-
tury i etnografji ludu litewskiego. Miałem
wprawdzie pewne skrupuły co do mojej obecności
na licznym zgromadzeniu litewskiem, bo
nie chciałbym, aby się wydawać mogło, że się
litwinom narzucam. W ostatnich czasach [illegible]
nacjonalistyczne litewskie pismo „Viltis", na
tle polemiki ~~[illegible]~~ prasowej między mną a
redaktorem „Viltis" ks. Tumasem, ukuło w stosunku
do mnie zarzut, że jestem czymś w rodzaju agenta
intrygi polskiej, jakoby przedstawicielem przebiegłej i wyrafino-
wanej szlacheckiej polonizacji. Publicyści nacjonalistyczni
litewscy i Bublisiowie starali się zrobić ze mnie straszydło na
litwinów, coś w rodzaju strachu na wróble. W takiej chwili i w tych
warunkach mój przyjazd na majówkę litewską mógłby się wydawać na-
rzucaniem się, tym bardziej że sobie wciąż swoje ględzę o tym, że na
gruncie demokratycznym spółżycie i spółpracownictwo wszystkich
elementów równonarodowych w kraju jest nietylko możli-
we, lecz też pożądane i konieczne, i takowe już się zaczyna.
Z nacjonalistami zaś, czy to polskimi czy litewskimi, ze szlachtą
jako klasą, i z klerem, spółpracownictwo dla demokratów jest
niemożliwe nigdy!
Ostatecznie wszakże wobec wzgląd na bieżące interesy moje w Wilnie, zaniechałem
jazdy do Szawel i Bołtaniszek. Napisałem tylko do p. Butkiewiczowej,
która bawi w Szawlach, prosząc, aby ona tam zajęła się sprawą wystawy „Wil" wobec zgromadzonych Litwinów.

12 (25) czerwca
rok 1911.
niedziela.

Mówił mi dziś Stażewicz, że podług otrzymanych z Paryża informacji zmarły mój przyjaciel Stach Sierszyński przeznaczył swoje zbiory litewskie Litewskiemu Towarzystwu Naukowemu, mianując mnie wykonawcą swej woli. Podobno z innych stron robią się starania o pozyskanie zbiorów tych dla jakichś innych instytucji. Zbiory Stacha muszą być ciekawe i cenne. Wiem, że gromadził i przechowywał starannie wszelkie archiwa, korespondencję, akta towarzystw emigracyjnych etc. Miał dużo i starannie utrzymywaną bibliotekę. Z wielką chęcią zająłbym się posegregowaniem, zużytkowaniem i wogóle losem tych zbiorów. Dotychczas wszakże nie zostałem przez nikogo zawiadomiony dokładnie o tym, że Stach mnie zlecił wykonanie swej woli, a zresztą i treści woli Jego nie znam. Będę czekał odpowiedniej instrukcji od rodziców Stacha, jeżeli istotnie to się prawdą okaże. Z wielką czcią dla pamięci Tego, którego całe życie było, jak bieg strzały, wytężone w jednym prostym kierunku ku ideałowi sprawiedliwości i wolności i który płonął jednolitym ogniem miłości dla Polski i Litwy, zajmę się spuścizną Jego, by dzieło Jego życia i Jego najszczytniejszej spuścizny zmarnowane i rozproszone nie zostało. Napisałem do rodziców Stacha list współczucia i boleści z powodu Jego śmierci; zobaczę, co mi doktorostwo Sierszyńscy odpiszą.

Dziś odbyła się w Wilnie doroczna uroczysta i wielka procesja Bożego Ciała po ulicach miasta. Przyglądałem się pochodowi procesji z okien biblioteki „Znania” przy ul. Świętojerskiej wespół z Duckiewiczami, Bukisem, Boguszewskim i innymi. Piękny pochód. Symbolika kościoła katolickiego, uplastyczniona w tym okazałym pochodzie, jest niezmiernie bogata, piękna i wspaniała. Głębokie wierzenia stuleci, tęsknoty i najgłębsze pragnienia i przeczucia całych zastępów narodów i pokoleń ludzkich są wzięte w tej mistycznej i bujnej a tak subtelnej symbolice. Emblematy, stroje, sztandary, ozdoby – wszystko ma w tym wielkim systemacie symboliki właściwe uzasadnienie i stanowisko współrzędne. Piękniejszego urzeczywistnienia religii nad katolicyzm i głębszego – chyba niema.

Po obiedzie pojechałem ze Stefanem Mieczkowskim za Antokol, a stamtąd pieszo ruszyliśmy wzdłuż Wilji aż pod Trynopol. Vis-à-vis Trynopola wykąpaliśmy się w rzece w pięknej pozycji. Lasy, wzgórza rozlegle, dno piaszczyste. Upał niesłychany i [illegible] brzegi. Wilja wzbroś zapełniona, kąpiący się mężczyźni, kobiety, piękne wysmukłe ciała, dziewczęta, dzieci. Z piasku wzgórza, woda ciepła, w niej ryby [illegible], rzeki wartki, na rzece: potym zaszliśmy na kolację do Klimaszewskiego, który w pobliżu ma letnie mieszkanie.

13 (26) czerwca rok 1911. poniedziałek.

Znowu od 4 dni upały szalone, większe nawet od wszystkich poprzednich. Słońce piecze żywym ogniem, człowiek cały skąpany w pocie. W mieszkaniu naszym upał jeszcze większy, niż na dworze, bo ciepło i w dodatku duszno. Ze względu na Elwirę, wciąż jeszcze w łóżku leżącą, i ze względu też na Mamę niemożna robić przeciągów. Mama siedzi przykuta do fotelu, dusi się i skarży w swej tuszy ogromnie i omal że się nie roztapia w pocie. Pod wieczór się tylko ożywiła, gdy przyszła ciocia Masia Bohdanowiczowa i ciocia Hydalka Świdówna ze swą przyjaciółką Biesią. Mała córeczka Elwiry chowa się dobrze; miłe to i ładne dzieciątko z wesołym wyrazikiem twarzy; oczko jej tylko coś boli od dni paru; powieka wybrzękła dość mocno, że jej otworzyć nie może. Elwira ma się dobrze, ale Tatko się rozdrażnia, a Stefan bywa czasem dla niej przykry, robi jej wymówki; wieczorem nawet ostro się ze Stefanem posprzeczali, tak że Elwira aż omal że spazmów nie dostała. Elwira kocha Stefana i nerwowo się go trzyma, bojąc się by on, nałożony od niej, nie zniechęcił się jakoś i nie oderwał. W każdym razie dziecko będzie odtąd mocnym łącznikiem w ich małżeństwie.

Będąc dziś w sądzie, zagadnąłem kolegę-adwokata Homana w sprawie udzielenia przezeń swego podpisu na redaktora odpowiedzialnego w piśmie projektowanym przez Nagrodzkiego. Homan już się był gotów zgodzić, gdy Witold Abramowicz, któremu o tym wspomniałem, oznajmił, że on się funkcji redaktora odpowiedzialnego podejmie. Tym lepiej, bo jest to człowiek bardziej wyklarowany od Homana i człowiek z naszej paczki. Poszliśmy z W. Abramowiczem zaraz do Nagrodzkiego, aby mu o tym zakomunikować. Wobec tego już w tych dniach wniesiona zostanie deklaracja do władz gubernialnych o zamierzonym wydawnictwie. Tygodnik ma otrzymać tytuł „Przegląd Wileński". Mam nadzieję, że tym razem pismo istotnie do skutku dojdzie. Otrzymałem też dziś list od Jeleńskiego, że w zasadzie zgadza się na propozycję zostania sekretarzem w redakcji pisma.

14 (27) czerwca rok 1911. wtorek.

Moja córeczka, Cesia, skończyła dziś 11 miesięcy. Zapewne już chodzi i mówić probuje. Ciekawa rzecz, kiedy i w jakich okolicznościach ją ujrzę. Chyba że to nieprędko, niestety, nastąpi, za jakieś lat kilka może...

Stefan Mieczkowski wyjechał dziś z Wilna do siebie, do Bobestowa. Elwira zabawi w Wilnie jeszcze parę tygodni.

Pożycie małżeńskie Elwiry ze Stefanem zdaje się jest bardzo ciężkie. Elwira kocha Stefana uczuciem ~~?~~ jakimś gorączkowym, niespokojnym, zaprawionym szczyptą histerji; jest zazdrośna, trzyma Stefana przy sobie, śledzi każdy ruch jego, trawi się niepokojem i bolesną troską o jego miłość. Jako starsza od Stefana ~~?~~ ~~lat~~ o lat 7 (Elwira ~~teraz~~ ma lat 35, Stefan — ± 28-29) i już starzejąca potrochu, nie posiada pewności siebie i boi się, aby jej się miłość młodego Stefana nie wymknęła. W stosunku do Stefana Elwira używa taktu: ~~?~~ męczy go, ~~?~~ dusi swą miłością wybuchową, scenami wyrzutów, sprzeczek nerwowych o byle co, to znów żalem i serdecznością. Stefan się przy niej nudzi, nie ma równowagi i spokoju; gorączkowy stosunek Elwiry do niego ~~działa~~ pozbawia go pogody. Stefan zachowuje się wobec niej z rezerwą, stara się nie drażnić, a gdy się czasem uniesie i da folgę ~~?~~ duszącym go wewnątrz uczuciom, to wybucha sceną bardzo boleśnie. Stefan nie może być wobec Elwiry szczery, nie może się swobodnie wypowiadać. Kocha on Elwirę, ale stosunek taki widocznie mu bardzo ciąży. Rad, gdy ucieknie z domu, gdy się od Elwiry wymknie. Ciągły ten stan nieszczerości w pożyciu codziennym musi działać na Stefana deprymująco. Jest to nędzne piekło domowe. Biedni ludzie. Elwira ma charakter despotyczny, twardy; jest prawa, rzetelna, głęboka, ale ciężka do współżycia i w dodatku nieszczęśliwa w tym ciągłym gorączkowym niepokoju miłości. Nie umie ona się nagiąć do Stefana, nie umie go czymś zainteresować ani sama się przejąć tym, co on lubi i czegoby chciał. Słowem — oboje mają ciężkie życie przez jednostronny zbytek uczucia

15 (28) czerwca. rok 1911. Środa.

Zająłem się ostatecznym uporządkowaniem rachunków „Lietuvių Dailės Draugijos" z dwu wystaw ostatnich: V wystawy litewskiej i wystawy pośmiertnej Čiurlionisa. Zakończenie tych rachunków zajęło mi, przy innych zajęciach, kilka dni czasu. Najwięcej zagmatwane są rachunki z wystawcami za obrazy sprzedane, zwłaszcza w zakresie działu sztuki ludowej, gdzie chodzi o mnóstwo drobnych szczegółowych sumek, od których trzeba odtrącać procent komisowy na rzecz „Dailės Draugijos".

Wieczorem u Tadeusza Wróblewskiego odbyło się zebranie, zwołane przez Bagińskiego i Ładkowskiego w sprawie zorganizowania i usystematyzowania wykładów dla młodzieży na przyszły rok szkolny. Uczniowie z kółka postępowego prosili podobno o to Bagińskiego. Uznali oni, że taki sposób wykładów i odczytów, jaki się praktykował dotychczas, — mianowicie sporadyczne i przygodne zapraszanie odczytowców, nie odpowiada potrzebom młodzieży. Młodzież chce przeto nawiązać stały ściślejszy kontakt z tą inteligencją postępową, która mogłaby prowadzić robotę odczytową systematycznie. Na zebraniu dzisiejszym, zwołanym w tym celu przez Bagińskiego, obecni byli: Tadeusz Wróblewski, Tiomkin, Domański, Boguszewski, Ładkowski, pani Ławrońska, Janulaitis, Bagiński i ja. Zaproponowałem, czy nie byłoby dobrze, aby tworzące się koło odczytowe dla młodzieży zgrupowało się przy istniejącym legalnym towarzystwie międzynarodowym „Лига Образованія", mającym w Wilnie oddział z sekcjami narodowościowemi, którego zarząd składa się z ludzi postępowych. W celu nierozpraszania sił uważaliśmy to za pożyteczne, chociaż oczywiście takie koło odczytowe musiałoby przy „Lidze Obrazowanija" funkcjonować nieoficjalnie, bo w zakresie odczytów społecznych i wszystko w nielegalnych kółkach młodzieży robota musi być prowadzona w postaci niejawnej. Uznano wszakże, że to będzie niedogodne, choć w zasadzie może być kontakt między naszym kołem odczytowym a „Ligą". Z osób więc, obecnych na dzisiejszym zebraniu, — śród których, nawiasem mówiąc, prócz mnie i Boguszewskiego, byli sami cadecy, — utworzyliśmy koło odczytowe, do którego wpisaliśmy jeszcze Michała Biržiškę, Łarosiaka, Władysława Bogusławskiego, dr. Kiewlicza, i na moją propozycję — Własowa z „Naszej Niwy" Kraskowskiego (ci dwaj wykładaliby po rosyjsku), Jeleńskiego. Antoniego zaś Łuckiewicza i Witolda Abramowicza, których także proponowałem, nie przyjęto. Następnie zanotowano, z jakiego zakresu każdy z nas mógłby się podjąć wykładów i odczytów. Wybrano wreszcie komisję z 4 osób, do której weszli: Bagiński, Janulaitis, dr. Boguszewski i ja. [illegible] to komisja wykreowana. Zadaniem jej będzie porozumiewanie się z odczytowcami, wypracowanie tematów, rozkład i ustalanie odczytów w porozumieniu z [illegible], słowem — kierowanie całą pracą i nadanie jej charakteru systematycznego i ciągłego.

16 (29) czerwca
rok 1911.
czwartek.

Łuckiewiczowie są wściekli, że do wczorajszego zebrania koła odczytowego dla młodzieży, zwołanego przez Bagińskiego, nie zaproszono ich wcale i że w ogóle w całym tym przedsięwzięciu całkowicie ich pominięto. Uważają, że to jest intryga esdecka a nawet że się w tym objawił nekoniuświadomy bojkot białorusinów. Władysław Bogowski, który też na zebraniu wczorajszem zaproszony nie był, choć został wpisany na listę odczytowców, piorunuje także na przedsięwziętą robotę. Bogowski dużo działał śród młodzieży, to też chodziłoby mu bardzo o to, aby nadal nie tylko się w charakterze odczytowca z młodzieżą stykać, lecz stać u steru kierownictwa. W tymczasem do komisji, która ma objąć ster w pracy nad młodzieżą, jego nie wybrano. To też Bogowski w Łukowie [illegible] z Łuckiewiczami zapowiada, że będzie całe te przedsięwzięcie esdeckie zwalczać i że je udaremnić potrafi, korzystając ze swych stosunków i wpływów śród młodzieży. Ja wszakże stanowisko takie uważam za złe. Choć rzeczywiście akcja, przedsięwzięta wczoraj, wychodzi od esdeków i choć niewątpliwie pewne tendencje propagandy esdeckiej będą miały miejsce, choć dalej uważam za złe to, że zebranie wczorajsze arbitralnie i dowolnie odrzuciło kilku proponowanych kandydatów na odczytowców, co nie powinno być zrobione, bo trzeba od każdego brać to, co on dać może, a nie usuwać go z góry kierując się uprzedzeniami, jak to miało miejsce z Wit. Abramowiczem, Żyłtem i zwłaszcza Ant. Łuckiewiczem, jednak do komisji, na równi z 2 esdekami weszło 2 nie-esdeków, Bogusławski i ja, co jest w każdym razie charakterystyczne, bo całe zebranie, prócz nas dwóch, z samych esdeków się składało, a i białorusinów jako takich nie pominięto wcale, bo Własowa i Jeleńskiego na listę odczytowców wpisano. Nie przeczę, że zebranie wczorajsze miało pewne wady — mianowicie działalność zaprojektowana była wadliwie planowo i zespół arbitralnie utworzony, ale bojkotowanie tego przedsięwzięcia uważałbym za błędne. Przeciwnie, ja sądzę, że nasza komisja od pierwszego funkcjonowania [illegible]. Zawiązek [illegible] trzeba przy niej trwać i doskonalić go, pierwszym punktem [illegible] roboty. Naszym zadaniem w komisji będzie nagiąć tę robotę do istotnych potrzeb młodzieży w związku z warunkami krajowemi; przystosowanie młodzieży do warunków krajowych, aby z niej wyszli nie tylko ludzie oświeceni i uspołecznieni ogólnikowo, lecz uspołecznieni konkretnie, jako obywatele tego kraju, — to pierwsze i główne zadanie przedsięwziętego planowego oddziaływania na młodzież. Nagół esdecy tej konkretnej krajowości nie rozumieją, są oni zbyt ogólnikowi, zbyt doktrynerscy, ale w naszej komisji zasiądą, prócz nas z Bogusławskim, także [illegible], którzy na krajowość czulsi: Bagiński i Jurewiczówna. Zamiast obalać, trzeba doskonalić.

168. Otrzymałem dziś list od p. doktorowej Motrowej z Zagórza, która udziela mi wiadomości o szczegółach śmierci Stacha Sierorzyńskiego i wspomina, że Stach wydał rozmaite rozporządzenia przedśmiertne co do losów rozmaitych papierów i aktów, przechowywanych się w jego zbiorach, między innymi polecił zajęcie się aktami, dotyczącemi wystąpienia Papierzyńskiego i wydania takowych. Akta te, jak wiem, mają wielkie znaczenie w sprawie Papierzyńskiego i stanowią cenny materiał do rewelacji, które w obecnych czasach wykryły wiele nadużyć w gospodarce niemoralnej i w związku z tym sprawy dotyczące „Skarbu Narodowego”. W tym listy i papiery Henryka Kulczyckiego, jednego z twórców instytucji Papierzyńskich. Kampania, prowadzona przez publicystykę polską w celu zdyskredytowania tych skandalicznych „stajni Augiaszowych” i jakiemi się stały te ciemne w zatorzeniu instytucje narodowe, znajdzie w papierach tych znakomity materiał. Że Stach miał polecić zlikwidowanie tych aktów, wiem o tym także od zamieszkałego w Wilnie ciotecznego-rodzonego brata Stacha, redaktora „Tygodnika Polskiego” Zdzisława Dudzińskiego, któremu już o tych stary Sierorzyński pisali. Będę więc czekał odpowiedniej treści tych instrukcji od starych Sierorzyńskich. Tymczasem trzeba będzie zapoznać się dobrze z całą kampanią publicystyczną w sprawie Papierzyńskiego, aby się zorientować, z jaką grupą wejść w pertraktacje co do wydania tych aktów. Trzeba będzie zapewne nawiązać rokowania albo z grupą „Sońca” warszawskiego, t. j. z tak zwaną „frondą” endecką, albo z publicystą Sprawozdań i jego grupą, albo ewentualnie z „frakcją” PPS-u. Te 3 grupy są, zdaje się, najbardziej w tej kampanii zainteresowane i najczynniejsze w tej sprawie. Skorzystam do Studnickiego Wacława i poproszę go, aby już prywatnie od siebie wybadał grunt w grupie „Sońca” w tej materii.

Po wieczór był u mnie redaktor „Lietuvos Žinios” Staniewicz. Opowiadał mi o wyłaniających się perspektywach wyborczych u litwinów na przyszłe wybory (w r. 1912) do IV Dumy. Sprawa ta była omawiana na zebraniach specjalnych lewicy litewskiej na majówce kowelskiej. W gub. suwalskiej demokraci litewscy utrzymują nadal kandydaturę posła Bułata. W obozie klerykalnym litewskim jest wielkie niezadowolenie z Bułata i chęć przeciwstawienia mu innej kandydatury, ale dotychczas jeszcze klerykali nie mogą się porozumieć co do osoby swojego kandydata. Demokraci uważają za pewne zwycięstwo Bułata. Najwybitniejsi i najaktywniejsi z przyszłych wyborców litewskich z inteligencji lewicowej, jak dr. Srimes, dr. Staugaitis, dr. Kudirka, nawet dr. Basanawicz, będą niewątpliwie na Bułata głosować. Oprócz tego litwini porozumieli się z grupą dominującą wyborców polskich w osobie przywódcy polaków, adwokata Stanisławskiego z Suwałk; polacy, którzy w poprzednich wyborach w suwalszczyźnie wstrzymywali się od głosowania na litwina, obiecali teraz stanowczo poprzeć wybór Bułata. Ciekawe są perspektywy w Kowieńskiej. Tam ze strony demokratów litewskich wysuwają się kandydatury poselskie Slażewicza, który ma cenzus w kowieńskim miasteczku, i mojego kolegi paryskiego i zarazem sąsiada bołdaszyńskiego Józefa Petrulisa (pochodzi z zamożnej rodziny włościańskiej z wioski Szydowo pod Rogowem, ma wyższe wykształcenie zagraniczne, pracuje w dzienniku kontora litewskim w Wilnie). Demokraci litewscy łączą się na wyborach tuczyli z żydami przeciwko ziemianom i księżom. Klerykali litewscy chcą w gub. kowieńskiej wystąpić z własnemi kandydatami, zawierając blok z kurją ziemiańską przeciwko żydom i demokratom. Domniemanymi kandydatami klerykałów są: p. Yčas (kalwin, ukończył uniwersytet w Tomsku, człowiek światły zresztą, na którym, podług opinji demokratów, klerykali by się zawiedli) i adwokat Tumenas z Poniewieża (człowiek młody, ale niezbyt zdolny, powolny, mądry, niedołęga, ograniczony, klerykał ciasny, choć człowiek niewątpliwie szczery). Sytuacja wyborcza w gub. kowieńskiej jest dla demokratów niepewna. Podług obecnej ordynacji wyborczej stosunek sił polsko-ziemiańskich do żydowsko-litewsko-włościańskich wyraża się w cyfrze, jak 37 do 38; więc jeden głos w gremium wyborczym zostanie decydującym od głosowania na korzyść ziemian, a jeśli demokraci pomogą porażkę. Z tego względu akcja wyborcza klerykałów w sojuszu z ziemiaństwem może z łatwością tam jeden lub nawet parę głosów włościańskich odciągnąć. Wszystkie wybory już zaczynają elektryzować ludzi i wytwarzać konstelacje sojuszów.

Wieczorem byłem u Żmujdzinowiczów na zebraniu zarządu „Lietuvių Dailės Draugijos”. Z członków zarządu obecni byli: Żmujdzinowicz, Żmujdzinowiczowa, Jan Vileišis i ja, oprócz tego obecni byli przygodnie: malarz Kalpokas i Tadeusz Iwanowski. Malarz Kalpokas po długich studjach zagranicznych przyjechał wreszcie wprost do Wilna z Monachjum; zamierza stałe osiąść w kraju; ciekawy to człowiek, włościanin, wrażliwy bardzo, kochający życie nieraz, swobodne, nieukładający się w ramach spokojnego konwencjonalnego bytowania filisterskiego; lubi prostotę i jest bliski naturze; jest człowiekiem religijnym ewangielicznie, czytuje regularnie

[right margin, written vertically:]

zatapia się w systematycznej lekturze biblji. Na zebraniu omawialiśmy przeważnie 2 sprawy: sprawę wydania reprodukcji [illegible] krzyżów litewskich z rysunków malarza Jarosiewicza i sprawę pozyskania dla „Dailės Draugijos” dzieł Čiurlionisa. Malarz Jarosiewicz, autor rysunków krzyżów litewskich, zgodził się na propozycję wydania albumu takowych. Warunki honorarjum autorskiego, jakie mu wypłacimy, mają być z czasem wspólnie omówione. Album ta będzie piękną przyczynką do litewskiej sztuki zdobniczej i do motywów stylu litewskiego. Zamierzamy ogłosić opłatę prenumeraty na albumy te w cenie takiej, aby już sprzedać po wydaniu, i to mogą z prenumeraty zebrać trochę pieniędzy na koszta wydania, aby tyle więcej wydać kosztem bezpośrednio z kasy Towarzystwa. Album ta będzie też przez T-stwo zwiastowana jako premium dla członków na rok bieżący. W sprawie pozyskania obrazów Čiurlionisa, niestety, nic się zrobić nie daje. Choć wola jego była wyraźna, aby prace jego zostały w posiadaniu wieczystym własnością Narodu Litewskiego, jednak urzędowego testamentu nie było, a wdowa teraz chce teraz nie z ręki wypuszczać, wiedząc, że galerja dzieł tego artysty może być znaczniejszym funduszem. Młodzież litewska zainicjowała składkę narodową na zakup dzieł Čiurlionisa, ale cóż składka taka znaczy wobec olbrzymiej ceny tej galerji. Čiurlionisowa obiecuje niby złożyć obrazy nieraz w depozycie w „Lietuvių Dailės Draugijos”, przyjmujemy te, których nie sprzedawać. Ale i to niebardzo pewnie wygląda. Wdowa chodzi przeciw stałym wyciąganiom zaś o rok i następnie o zachowanie pozorów jedynej interpretatorki twórczości nieboszczyka. Nieszczęśliwa to kobieta.

17 (30) czerwca
rok 1911.
piątek

18 czerwca / 1 lipca, rok 1911, sobota.

Dzień dzisiejszy spędziłem u Witolda Abramowicza na wsi pod Wilnem. Wit. Abramowicz od lat już 5 spędza lato w majątku Karoliszkach o 3 wiorsty od stacji Bezdany, gdzie najmuje domek i kawał ziemi pod ogrody. Z Wilna wyjechaliśmy z Abramowiczem o południu i wkrótce stanęliśmy w Bezdanach. Tam już czekał na nas konik Abramowicza, który nas dowiózł bryczką do Karoliszek. Same Bezdany leżą w pozycji brzydkiej, piaszczystej. Droga prowadzi przez nędzne piaski w kadłubowate szczątki zdewastowanego lasu sosnowego, przedstawiającego smutny widok zniszczenia i rabunkowego wyzysku. Dalej zjeżdża się w parów głęboki w dolinę Wilji, przecięty wąwozikami dość malowniczych dopływów rzeczek Bezdanki i Bezdanówki. Tu już widok piękniejszy: faliste wzgórza, łąki trawiaste, wąwozy, wody Wilji i dopływów, laski drzew liściastych, na lewo horyzont zamknięty gęstą i szeroko rozciągniętą ścianą pięknego sosnowego lasu rządowego, naprzeciwko piękna perspektywa wzgórz za rzeką. Karoliszki położone nad samym brzegiem Wilji, która płynie wartką wstęgą śród zarośli po obu brzegach. Grunt naogół piaszczysty, ale obfitość wody w dolinie urozmaica roślinność i sprawia bujniejszy rozkwit natury. W Karoliszkach zastałem żonę Witolda Abramowicza, sympatyczną i naturalną, i bratową jego, p. Marjanową Abramowiczową z córeczką lat kilkunastu. Spacerowaliśmy z Abramowiczem, kąpaliśmy się w Wilji, rozmawialiśmy z paniami, zajadaliśmy truskawki i poziomki. Tak mi cały dzień zeszedł, wieczorem zaś koło godz. 11 wróciłem do Wilna.

[illegible]

170. Widziałem się z Nagrodzkim. Sprawa wydawnictwa tygodnika jest w toku. Dotychczas zadeklarowano już udziałów na prawie 1300 rubli, w tej liczbie Knyziankowski i Nagrodzki po 300 rb., inni na mniejsze sumki, po 100 i mniej rubli. Kapitał wydawniczy ma być zebrany do wysokości 5000 rb.. Ale Nagrodzki jest dobrej myśli i powiada, że już wątpliwości o powstaniu tygodnika nie ma, że to już rzecz zapewniona. Dotychczasowe udziały zebrane zostały bez żadnego wysiłku; właściwie to, co wzięto dotychczas, to już samo wpadło do ręki. Z tych osób, do których się dotychczas Nagrodzki zwracał po udziały, nikt nie odmówił; niektóry aż uściskali Nagrodzkiego z radości, że powstanie wreszcie pismo postępowe. Teraz zaś trzeba będzie więcej wysiłku, aby zbierać udziały i poza Wilnem. W tych dniach właśnie redaktor „Naszej Niwy" Własow jedzie w Mohylowskie, który do Sordziatkowskich; polecimy mu pomówić z Konstantym Sordziatkowskim, zaangażować jego do udziału i poprosić go o pozyskanie dla nas więcej udziałów w Mohylowszczyźnie. Do Mińska wydelegujemy zapewne Witolda Abramowicza, aby się tam porozumiał z inteligencją postępową, jak np. z adwokatami Zagórskim, Piotrusiewiczem, Dembickim, Iwaszkiewiczem, aby oni sami udziały wzięli i zaagitowali szerzej w Mińszczyźnie. Słowem – trzeba będzie poruszyć prowincję. Nagrodzki chce rozpocząć wydawnictwo od 1 września, ja zaś radzę od 1 października. Umówiłem się z Nagrodzkim, że za pracę redaktorską będę brał po ~~…~~ 40 rb. miesięcznie (jest to pensja bajecznie niska, ale musimy bardzo oszczędnie pracować); Jeleński, jako sekretarz redakcyjny, którego pracę musimy mieć zapewnioną całkowicie, aby nie był zmuszony zarabiać poza pismem, ~~…~~ ma pobierać po 60 rb. miesięcznie. Zdecydowaliśmy się zaprosić do stałego współpracownictwa Benedykta Hertza, jako stałego felietonistę i ewentualnie kierownika działu literacko-sprawozdawczego. Co do Hertza, to się wahałem długo, bo jego udział do niedawna w „Kurjerze" i artykuły wsteczne, które pisywał, będąc w istocie niby socjalistą, zraziły mię do niego; pod względem ideowym jest to kabotyn skończony, zero, ale zdolności ~~…~~ publicystyczne i talent literacki ma wybitne, a to nam niezbędnie potrzebne, zwłaszcza że innego felietonisty mieć nie możemy, a felietony są w tygodniku naszym konieczne. Do kierownictwa ideowego Hertz dopuszczony nie będzie. Na korespondenta warszawskiego stałego chcę zaprosić Ludwika Abramowicza, który po wystąpieniu z redakcji „Kurjera" pojechał do Warszawy i tam się do dziennikarstwa warszawskiego wciągnie. Jako dziennikarz, będzie on w bezpośredniej styczności z prasą i z życiem publicznym Warszawy, a jako wilnianin i do niedawna publicysta wileński, będzie dobrze znał Wilno i wiedział, co nasz publiczność interesować będzie.

10 czerwca / 2 lipca. rok 1911. niedziela

Muszę tu nadmienić o jednej rzeczy, która mi bardzo na sercu leży. Poznałem biedną młodą dziewczynę, Łotewkę, prostytutkę zamkniętą w domu publicznym „u Cioci Sołatek" na Bakszcie. Dziewczyna młoda, ma lat 19–20, nazywa się Walli. W [illegible] jest dopiero od 2 tygodni; skromna jeszcze, niezepsuta przez szkołę rozpusty. Opowiedziała mi boleśną tragedię swego życia, która ją tu wreszcie wpędziła. [illegible] z dzieci, zna język niemiecki i kilkadziesiąt [illegible] słów rosyjskich. Zakochana w jakimś żydku, który ją z dziewictwa pozbawił a teraz mieszka w Rydze; matka ją wyrzuciła z domu za to, że nie chciała [illegible] … [illegible] ją miewał [illegible]. Wyrzucona z domu, [illegible] … [illegible] posłuchała namowy jakiegoś handlarza dziewcząt, który ją tu skierował. Niedola tego dnia wreszcie otwarta mię [illegible]; biedaczka płakała [illegible]

20 czerwca.
3 lipca.
rok 1911.

Ponieważ się już wczoraj zdecydowałem ostatecznie na zaangażowanie Hertza do naszego tygodnika, więc dziś zaszedłem do niego i zrobiłem mu propozycję konkretną. Hertz się zgodził chętnie. Zaangażowałem go do fejletonu, do działu literackiego i sprawozdawczo-krytycznego oraz teatralnego. Jedna jest tylko niedogodność, mianowicie ta, że Hertz ma zamiar dla dokończenia jakiegoś dramatu, który pisze, wyjechać w jesieni na kilka miesięcy aż do Bożego Narodzenia do Paryża. Wprawdzie zapewnia, że potrafi pisać fejletony z Paryża, ale ja to za wielką niedogodność uważam. Fejletony ze stosunków wileńskich, pisane z Paryża, choćby z talentem, będą zawsze nieco suche i schematyczne. Trzeba jeszcze będzie o tym pomyśleć. [poniedziałek]

Dziewczyna z Bakszty, Walli, nie wychodzi mi z pamięci. Biedne nieszczęśliwe stworzenie, rzucone na grunt obcy do lupanaru, na wyrafinowane praktyki rozpusty. Dziś jeszcze może uratować by się jej dało, bo jest wrażliwa, brzydzi się ekscesami rozpusty, cierpi. Jest jeszcze młoda, świeża, zdrowa. Ale z dnia na dzień w tej atmosferze zwyrodnienia ~~[illegible]~~ fizycznego, hańby, pijaństwa, które uprawia dla znieczulenia cierpień moralnych, będzie się coraz głębiej staczała w kałużę zepsucia. Aby nie tracić „klijentów" przezwycięży wstręt i nagnie się do najobrzydliwszych praktyk, które potem staną się dla niej chlebem powszednim. Zniknie(?) w niej moralnie, stępi zmysły i uczucia oraz resztkę wrażliwości. Wtedy już będzie zgubiona. Wprawdzie zapomni swej tragicznej niedoli, ale wraz ~~—~~ z nią wyzbędzie się wszystkiego, co szlachetne. Boli mnie ta dziewczyna. Chciałbym się przyczynić do jej ratunku, póki czas. W tym celu pospieszyłem rano do „Towarzystwa ochrony kobiet." Niewiele mi się tam wszakże udało dopiąć. Towarzystwo to zajmuje się nie tyle ratowaniem kobiet t. zw. „upadłych", ile raczej stręczeniem pracy dla dziewcząt i kobiet ~~—~~ „uczciwych" ~~[illegible]~~ w celu zapobieżenia ich upadkowi. Kobietami „upadłemi" zajmuje się tylko o tyle, o ile bądź one same się do Towarzystwa zwrócą, bądź ktoś je tam skieruje: ~~—~~ wtedy, jeżeli to są katoliczki, Towarzystwo odsyła je do Zakładu Magdalenek na Antokolu, ewentualnie odstawia je swoim kosztem ~~—~~ do miejsca ich urodzenia. Własnej wszakże samodzielnej akcji w celu ratowania tych kobiet, wyrywania ich z sideł wyzysku lupanarów, — Towarzystwo nie przedsiębierze. Agentów do tej roboty Towarzystwo nie posiada, a bez takowych nie zrobi nic. W Towarzystwie czynnemi są właściwie same tylko panie i jeden tylko czynny mężczyzna dr. Marcewicz(?), ale ten, właściwie będąc czynny jedynie w zarządzie, za ciężki zaś jest i zbyt zajęty, aby mógł się roli agenta podjąć. Wskazano mi w Towarzystwie niejaką Piątkowską, pracownicę(?) z zawodu, kobietę prostą, z ludu, która jest osobą ideową i poświęca się energicznie działalności nad ratowaniem „upadłych" kobiet; sama podobno chodzi do domów publicznych, gdy trzeba stamtąd jakąś dziewczynę wyrwać, zajmuje się następnie ich losem, ma ich zawsze po kilka u siebie. Poszedłem więc pod wieczór do niej za wskazanym adresem. Nie jest to wszakże kobieta, która by odpowiadała wymaganiom w stosunku do mojej Łotewki Walli. Piątkowska to poczciwa kobiecina, istotnie ideowa i szczera, ale traktująca ~~—~~ sprawę przeważnie ze stanowiska moralno-religijnego. Ma ona gorące serce dla nieszczęścia ludzkiego zbiorowego, lecz dla indywidualności jest [illegible]. Ale właśnie dla takiego wypadku, jak z Walli, trzeba nie tylko [illegible] umieć przeniknąć [illegible] w serce tej właśnie dziewczyny ~~—~~, jako żywego osobnika, nie zaś kategorii społeczno-moralnej; trzeba więc mieć takt i umieć [illegible] ~~—~~ [illegible] i ująć tę dziewczynę. ~~—~~ Łotewka(?) Walli nie jest katoliczka, więc Piątkowska nie zdoła dla niej nic zrobić. Zaproponowała mi Piątkowska, żeby Walli [illegible] do katolicyzmu skłonić, ale odmówiłem, bo [illegible] religijne [illegible]

21 czerwca. / 4 lipca. rok 1911. Wtorek.

O godz. 5 po południu w hotelu Europejskim odbyło się zebranie tych spadkobierców ś.p. Babuni Zuzanny Tukałłowej, którzy w roku zeszłym zwrócili się umową („uprawnieni(?) ...”) o ułożenie szacunku ~~majątków~~ majątków spadkowych, Staryszek(?) i Mannyłów(?), arbitrom. Do umowy tej przystąpili w roku zeszłym wszyscy spadkobiercy, oprócz wuja Igu. Tukałły, oraz Mieczys. Bohdanowicz, który w jednym z majątków, mianowicie w Mannytach(?), jest spółwłaścicielem spadkobierców, ponieważ wespół z c. Zosią Tukałłową kupił od wuja Ignacego jego udział mannytowski. Stawili się więc na zebraniu dzisiejszym: ciocia Masia Bohdanowiczowa, Mama, ja, jako plenipotent c. Cesi Tukałłowej, Ludwik Wołodkowicz, jako plenipotent c. Lucji Wołodkowiczowej, i c. Zosia Tukałłowa ze swym synem i plenipotentem Mieczysławem Tukałłą. Mieczys. Bohdanowicz, zajęty jakimiś interesami, wyjechał. Wkrótce wkroczyli arbitrowie: superarbiter p. Eustachy Lutański(?) i arbitrowie Romuald Chełchowski(?) i Jan Borowski. P. Eustachy Lutański odczytał nam rezolucję arbitrów w sprawie oceny dóbr. Spadek nie bagatelny; chodzi o grubą sumę, grubszą, niż się spodziewałem. Na podstawie dokładnych obliczeń i pomiarów ~~[illegible]~~ leśnych, dokonanych przez specjalistę p. Zaniewskiego(?), ogół ~~[illegible]~~ dóbr spadkowych, tj. ziemi i lasów, oszacowany został przez arbitrów w sumie ~~[illegible]~~ przeszło miljona (ściśle: rb. 1004810 kop. 32). Po wysłuchaniu rezolucji arbitrów rozeszliśmy się. ~~Wuj I.~~ Wuj Ignaś Tukałło jest w Wilnie, ale na zebranie dzisiejsze nie przyszedł. Dopiero więc jutro odbędzie się właściwe zebranie całego grona spadkobierców z udziałem wuja. Wuj w zasadzie wyraził się, że zupełnie nie liczy się z oceną arbitrów, ale wuj tego teraz nie chce, a nawet odłożyć ~~[illegible]~~ obrady działu na czas jakiś, aby tymczasem się rozejrzeć w dokonanej ocenie i zadecydować, czy ją przyjmuje czy nie. Mieczys. Bohdanowicz i c. Zosia są bardzo niezadowoleni z tej oceny i żałują w głębi serca, że się do niej w roku zeszłym przyłączyli, bo dla nich, którzy kupili za bezcen (za 114000 rb.) udział wujenka(?) w Mannytach, byłoby dogodnie nie ujawniać wartości spadku, aby tym łatwiej móc znów wydzielić naszą 1/14 część w postaci jakiegoś bezwartościowego ochłapa. Dla nas specjalnie ocena ta ma to znaczenie dodatnie, że zdobyliśmy pewną podstawę do sądzenia o tym, co wart jest spadek a przez to i nasza cząstka. Jeżeli wuj ocenę tę ~~[illegible]~~ przyjmie, to urzędowo, oczywiście żadnego znaczenia obowiązującego dla działu mieć nie może, ale każdy z nas może ją przytoczyć w charakterze materiału [illegible], ~~[illegible]~~ mającym być wytycznym dla działu arbitrom, który [illegible] liczyć będą, jako z roboty, opartej na rachunkowych i uzasadnionych obliczeniach i na ścisłych pomiarach.

W sprawie mojej Tołczewki(?) [illegible], widzę, że Towarzystwo Ochrony [illegible] być nie może, [illegible] dziś z Bohguszewskim(?). Jest to człowiek głębokiej kultury etycznej i człowiek serca. Zainteresował się on sprawą losów biednej dziewczyny. Ma on mały majątek w Niemenczynie(?), który jest [illegible]. Obiecał, że jeżeli dziewczyna z domu publicznego wyjdzie, on udzieli jej tymczasowo mieszkania w jego mająteczku, gdzie będzie też miała skromne utrzymanie. Oprócz tego przyrzekł napisać do jakichś swoich znajomych artystów, [illegible] na wsi, [illegible], czy [illegible] w charakterze [illegible], jeżeli jest [illegible]. Zaznaczyłem, że [illegible] z tego, że dziewczyna [illegible] chwilowo prosty [illegible] tutaj, i nie będą przez [illegible] dla rozpusty używać.

22 czerwca / 5 lipca. rok 1911. Środa.

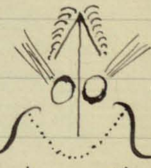

Sprawa spadkowa weszła dziś na nowe tory. O godz. 11 we dnie odbyło się w moim mieszkaniu zebranie spadkobierców, na które przybyli: c. Mania Bohdanowiczowa, Mamcia, c. Józia Tukałłowa, wuj Ignaś Tukałło, Mieczyś Bohdanowicz, Ludwiś Wołodkowicz, Mieczyś Tukałło i ja. Wuj na wstępie oświadczył, że prosi o kilka tygodni czasu dla zapoznania się z oceną majątków, dokonaną przez naszych arbitrów; do działu więc nasz wuj przystąpić dopiero po upływie tych kilku tygodni. Bezpośrednio zaś potem wuj oświadczył, że gotów jest sprzedać nam swój udział w Staryczakach (manuszłowski udział wuja został już w roku zeszłym sprzedany c. Józi i Mieczysiowi Bohd.); warunki, na których wuj sprzedaje swój udział w Staryczakach (9/14 części całości), są takie: całość Staryczak w ocenie arbitrów wynosi przeszło 500000 rb., z tego wuj odtrąca 25%, czyli że ceni całość ± 375000 czy trochę więcej; w proporcji do tej sumy ceni wuj swój udział 9/14, którego cena zatem stanowiłaby 240000 - 250000. Wuj oznajmił, że możemy kupić udział wuja za tę cenę albo wszyscy razem albo każdy z osobna ×, byle za gotówkę; kto pierwszy zgłosi się do wuja z gotówką, ten nabywa. Po ~~tej pro~~ wysłuchaniu tej propozycji wuja wszyscy umilkli; zapanowała cisza, jak gdyby anioł przeleciał; każdy oddał się własnym kalkulacjom. Zebranie zostało przerwane, poszeptano trochę po kątach i wreszcie wszyscy w te pędy się rozbiegli. Propozycja wuja jest dogodna. Już ocena arbitrów nie jest wygórowana, bo arbitrowie odrzucili w Staryczakach na lesie 25% od ceny, zaprojektowanej przez p. Zaniewskiego, który też jakiś % odrzucił; a teraz wuj jeszcze z ceny arbitrów opuszcza 25% tak na lesie jak na ziemi. Ale oczywiście propozycja wuja, postawiona w ten sposób, że pierwszeństwo kupna ma ten, kto pierwszy choćby własną ręką gotówkę złoży, sprawia, że dogodność ta jest dla nas problematyczna. Oczywiście, że przy takiej ~~[illegible]~~ zasadzie rywalizacji wszelkie dogodności i ulgi stają się przewagą na korzyść tego, który ma gotówkę najłatwiej. Pod tym względem nikt z nas ani w przybliżeniu nie może dorównać Mieczysiowi Bohdanowiczowi, który nas wszystkich zdystansuje. Właściwie skorzystanie przez nas z dogodności warunków tego kupna jest całkowicie zależne od Bohdanowicza, który może zechcieć lub nie zechcieć dopuścić nas do spółki ze sobą. Mieczyś Bohdanowicz ~~tu~~ zachowuje rezerwę i nie wyjawia tymczasem swoich planów. C. Józia też by chciała kupić, ale nie ma pieniędzy; ciocia posyłała podobno, jak mi Ludwiś mówił, p. Jana Borowskiego do Ludwisia, żeby wybadać, czy Wołodkowiczowie nie kupiliby udziału cioci w Manuszłach; widocznie ciocia chciałaby sprzedać swój udział w Manuszłach, aby za te pieniądze stanąć do kupna w Staryczakach. Ludwiś Wołodkowicz chciałby także stanąć do kupna Staryczak pod firmą matki swej dla siebie. Ludwiś bardzo nas do spółki namawia; ma on w pożądkim czasie pojechać do Staryczak i Manuszłów dla rozejrzenia się w ocenie arbitrów i jednocześnie być u wuja Ignasia i traktować z nim o kupnie. My mielibyśmy też ochotę kupować za tę cenę, ale nam trudno z gotówką, zwłaszcza gdybyśmy stawali do jakiejś większej części. Gdyby kupno to można było połączyć z [illegible], to z Natury części spadkowej musielibyśmy [illegible] jakiś obrót pieniądze na kupno. Zresztą, jak powiedziałem dotąd więcej, wuj zgodziłby się 100000 zakontraktować. W każdym razie umówiliśmy, czy my [illegible] w tej sprawie porozumiemy, bo chcę interes dobry, ale chodzi o grubą sumę. [illegible] o pierwszeństwo Tatusia. Wieczorem byłem u wuja, żeby mu wspomnieć, że gotowi byśmy też pomyśleć o kupnie [illegible] traktować. Wuj był bardzo uprzejmy, bo mnie specjalnie lubi; spostrzegłem, że [illegible] nam także możność skorzystania z tego interesu.

23 czerwca
6 lipca
rok 1911.
czwartek.

Rano przyszedł do nas wujaszek Ignaś i oświadczył, że Mieczyś Bohdanowicz już się do wuja zgłosił, deklarując, że zgodnie z wczorajszą propozycją wuja kupuje udział wuja w Stanynkach wespół z ciocią Różą Tukallową i gotów jest złożyć całą sumę żądaną na stół. Mieczyś zgłosił się z tym do wuja wczoraj wieczorem i wuj naraz się zgodził bez zastrzeżeń, ponieważ uważał się związany wyrażonym wczoraj słowem, że odda za wskazaną cenę swój udział w Stanynkach każdemu, kto się pierwszy z pieniędzmi do kupna zgłosi. Ale przez noc wuj widocznie uległ pewnym skrupułom, rozumiejąc, że przez oddanie Mieczysiowi i c. Róży Stanynek, tak jak im w zeszłym roku oddał Mamuny, wyrządzi krzywdę nam, t.j. Mamie i Wołodkowiczowi, którzy również chcieliby z taniego kupna skorzystać; jeżeli wuj robi ulgę dla rodziny, to z jakiegoż tytułu i w imię czego ulga ta ma być przywilejem dla Mieczysia, który jest najbogatszy ze wszystkich i najmniej potrzebujący, a który przy zastosowaniu zasady konkurencji zawsze będzie zwycięzcą i mając łatwość gotówki, zawsze ją pierwszy na stół wyłoży. Wuj też niewątpliwie liczył się ze mną, bo [illegible] wie, że mnie bardzo szanuje i że byłoby mu przykro w oczach moich krzywdą się splamić, a właśnie wczoraj wieczorem byłem u wuja i rozmawiałem z nim szczegółowo, zastrzegając, że my także chcielibyśmy do kupna tego stanąć ~~[illegible]~~ ale boimy się być wyprzedzonymi przez Mieczysia. Pod wpływem tych zapewne skrupułów wuj dziś o g. 8½ rano pobiegł do hotelu Europejskiego do Mieczysia Bohdanowicza i prosił, aby Mieczyś nie obstawał za kupnem li tylko we spółce z c. Różą, lecz zgodził się i nas, t.j. inne siostry wuja, do spółki w kupnie dopuścić. Mieczyś życzenie to uwzględnił i stanęło na tym, że wyznaczony został termin do niedzieli, w ciągu którego inni współspadkobiercy mogą się do kupna przyłączyć pod warunkiem, żeby się już z gotowymi pieniędzmi zgłosili; postanowiono wszakże, że ~~[illegible]~~ prawo do kupna mają tylko następujące osoby: ~~[illegible]~~ 5 sióstr wuja, t.j. c. Marja, Mama, c. Cesia, c. Lucja i c. Rózia, oraz Mieczyś Bohdanowicz. Każda z tych osób ma prawo tylko do kupna 1/6 części udziału wuja; jeżeli zaś którakolwiek do kupna nie stanie, to ~~[illegible]~~ odpowiednia część nie może być przez nikogo innego, prócz Mieczysia Bohdanowicza i c. Rózi, kupiona. Oczywiście, że w ten sposób część, którą by mogła nabyć c. Marja, przypadnie już wprost Mieczysia Bohdanowicza; zapewne też c. Cesi część zostanie przez c. Rózię kupiona, bo wątpię, aby c. Cesia sama kupować chciała. Wobec tego sytuacja prawdopodobnie tak się określi, że Mieczyś Bohdanowicz i c. Rózia Tukałłowa, którym na skutek przyspieszenia propozycji gotówki przysługuje jakieś dziwny, ale niewątpliwy przywilej, kupią po 2/5 udziału wuja, a Mama i c. Lucja Wołodkowiczowa po 1/6 części. Zatelegrafowałem zaraz o tym do Ludwisia Wołodkowicza, który już do Mińska wyjechał, sam zaś zająłem się z Mamą obliczeniem naszej możliwości współuczestniczenia w kupnie.

Na każdą 1/6 część udziału wuja ~~[illegible]~~ wypada w proporcji do ceny, wczoraj przez wuja wyznaczonej, po mniej więcej 11000 rb. Wuj zgodził się przyjąć od Mamy jej udziały w spadkowych sumach zastawnych: na Markowie 7000 rb., na Moczkach coś koło 5000 rb. i na Jelenkach w sumie nominalnej, bo wyzyskanie całkowite na Jelenkach jest niepewne, wyższej koło 5000 rb. Brakować więc z tych sum zastawnych Mamie mogą zapłacić koło 1800 rb. Pociągiem o godz. 2 m. 50 wyjechałem do Mińska, do Ludwisia Wołodkowicza, aby mu zdać relację z sytuacji i zarazem poprosić go o pożyczkę na kupno w sumie 12000 rb., na co Ludwiś się zgodził, uwzględniając Mamy przyrzeczenia. W Mińsku zabawiłem tylko 3 godziny, od 8 m. 40 do 11 wieczorem, i zaraz siadłem z powrotem do pociągu na Wilno.

24 czerwca / 7 lipca. rok 1911. piątek.

Rano już o g. 5½ byłem już z powrotem w Wilnie. Sprawa kupna Stanyszek prawdopodobnie dojdzie do pomyślnego skutku. Niewiele jeszcze, jak wuj Ignacy będzie liczył dokładnie cenę kupna. Podług rachunku, który dziś zrobiłem, cena udziału wuja w Stanyszkach wypadłaby nieco drożej, niż wuj w przybliżeniu sam powiedział. Stanyszki w ocenie arbitrów wynoszą 526000 rb., czyli po odrzuceniu 25% cena całości Stanyszek wyniesie ±394000, nie zaś 375000, jak mówił w ~~swojej~~ propozycji wuj. ~~Więc propozycji~~ Niewiadomo więc, jak wuj zechce obliczać: czy ściśle odtrącić 25% od oceny arbitrów czy ~~[illegible]~~ stanąć na cyfrze wypowiedzianej — 375000. Różnica dla nas byłaby ta, że w pierwszym razie ⅙ udziału wuja, wynoszącego 9/14 części całości, wypadłaby ~~[illegible]~~ gotówką, uwzględniając ±20000 długu bankowego, ciążącego na udziale wuja, — 40000, w drugim zaś razie — 36000 rb.. To się dopiero wyjaśni. Zapytywałem o tym rachunku Mieczysia Bohdanowicza, ale on sam tego nie wie. W każdym razie my ~~[illegible]~~ gotujemy się do posiadania gotówki na sumę 40000. Z zastawów na Agrafinie, Nocunach i Jeleńskiej, które wuj przyjmuje od nas za cenę kupna, zbierze się około 18000, od Ludwisia Wołodkowicza pożyczymy 12000, Papa zwróci dług Mamie w sumie 2000 i sprzedamy listów zastawnych Wileńskiego Banku Ziemskiego na resztę 8000. Tymczasem dziś nic nie robimy wspólnie, czekamy przyjazdu Ludwisia Wołodkowicza; każdy tymczasem krząta się koło tego interesu na własną rękę. Z urzędu, jako plenipotent c. Cesi Tukałłowej, napisałem i zatelegrafowałem do niej, oznajmiając o warunkach propozycji wuja i konieczności Mieczysia Bohdanowicza, że ciocia może nabyć ⅙ część udziału wujowskiego w Stanyszkach za cenę oceny arbitrów minus 25% i że termin do namysłu. Jestem wszakże przekonany, że c. Cesia do kupna nie stanie, bo już zapewne z ciocią Zochną się z nią porozumiała i ~~[illegible]~~ przyrzekła dla siebie tenże ~~dla~~ wanie o części c. Cesi. Mieczyś Tukałło już pojechał do Stanyszek, gdzie bawi c. Cesia, i tam zapewne dobije z ciocią interesu.

Tak jestem zaprzątnięty tym interesem kupna w Stanyszkach, że już nie mam chwili wolnej wieczorem. Odbyły się dziś chrzciny córki Elwiry; śród tych interesów chrzciny te jakoś przeszły niepostrzeżenie, bez należytej pompy i uroczystości. Ochrzcił wikary z kości. św. Jakuba, sprowadzony do Elwiry mieszkania. Do chrztu trzymałem ja i Mama, ale chrzestną matką zapisana została nie Mama, lecz Marynia [illegible] Helena. Wieczorem u [illegible] rejestr tytułem rachunku „Dailės Draugijos".

25 czerwca
8 lipca
rok 1911.
sobota.

Wobec sprawy kupna Stanyszek wszystko inne poszło nawet w zapomnienie a przynajmniej na plan daleki. Jedyne uboczne zajęcie, które mię jeszcze zajmuje, to wykłady „historii Polski" [?]. Sprawa Stanyszek jest w stadjum gorączkowym. Radzi byliśmy u wuja Ignacego. Ustaliliśmy z wujem cenę kupna. Wuj ceni całość Stanyszek 375900 i w tej proporcji oblicza swoje 9/14 części. Wuj ratuje z ceny arbitrów ustępuje więcej niż 25%. Zważywszy, że arbitrowie zrzucili już przy Cesi Tukałłowej [?] od siebie 25% z pierwszych obliczeń p. Zaniewskiego, cena określona przez wuja jest b. dogodna. Ludwiś Wołodkowicz przyjechał z Mińska. Pieniędzy jednak jeszcze nie przywiózł i nie ma jeszcze dostatecznej plenipotencji do kupna od matki. Wuj i Mieczyś Bohdanowicz, który się [illegible] położeniu [illegible], wraz zasugerowali Ludwisiowi termin do wtorku dla złożenia pieniędzy. O pożyczce dla Mamy 12000 na kupno Ludwiś, choć mi tę pożyczkę w Mińsku obiecał, teraz przebąkuje niechętnie. Wobec tego postanowiłem zaniechać pożyczki u Ludwisia, od którego wolę nie zależeć, i zwróciłem się po pożyczkę do Towarzystwa Wzajemnego Kredytu pod wekslem Mamy z żyrem [illegible] i p. Józef Mineyko, dyrektor T-stwa Wz. Kr., obiecał udzielić [illegible] i ostatecznie to się w poniedziałek rozstrzygnie. Liczymy pożyczkę na 9000 rb. Gotówka, którą Mama wnosi na kupno wstępnie, wynosi rb. 36000. Choć kosztuje to nas grubo, ale nabytek będzie dobry. Łącznie ze spadkową Mamy częścią (1/14 obu majątków) udział Mamy wynosić będzie obecnie, w proporcji do oceny arbitrów, rb. 123000; w takiej więc części Mama ma uczestniczyć w dziale swoją schedą czy to w jednym czy w drugim majątku. Mama, która zawsze o nas myśli, da swoją cząstkę w mój zarząd, abym miał w niej pole do interesów, a z ewentualnego obrotu i zysków Mama dopuści do korzystania tak mnie, jak Maryńci Mieczkowskich; coś i tam i dla Elizki przy okazji kapnie. O wszystkich nas Mama pomyśli.

Mnie osobiście będzie bardzo o to chodziło, aby Mama nie sprzedała całkowicie wydzielonki, lecz ją zachowała po skapitalizowaniu ewentualnie towarowego lasu. Pożądany [?] ja po śmierci Rodziców stanę do równego z siostrami działu a chciałbym Bohdaniszek nie dzielić w naturze, więc w Stanyszkach czy Mamuszkach zrealizowałaby się kompensata dla tych sióstr moich lub ich dzieci, np. Elizy, Maryni czy Henrysia Wołłowicza, którzy by ewentualnie na ziemię w naturze reflektowali.

Przyjechała c. Cesia Tukałłowa. Wynikła bardzo przykra sytuacja. Nikt nie przypuszczał [illegible], żeby c. Cesia pragnęła tego kupna. Ale w zasadzie c. Cesia miała takie samo prawo kupna 1/6 części udziału wuja, jak wszystkie inne siostry i Mieczyś Bohdanowicz. Tak też je rozumiałem, [illegible] w liście do c. Cesi i tak do niej telegrafowałem. C. Cesia przyjechała teraz z tym, żeby kupić. A oto Mieczyś Bohdanowicz oznajmił, że on się zgodził ustąpić od swego pierwszeństwa kupna tylko na korzyść c. Lusi Wołodkowiczowej i Mamy po 1/6 części, z resztą zaś, którą się ma podzielić z c. Zosią, nie przewidywał wcale, by mogła pretendować c. Cesia do uczestniczenia w kupnie. W imię jakich podstaw? Jest to bezwzględnością Mieczysia Boh. i przewrotnością chytrej c. Zosi.

Wieczorem traktowaliśmy, Mieczyś Bohdanowicz, Ludwiś, Mieczyś Tukałło i ja, o ewentualnym dziale. Chcielibyśmy załatwić takowy prędzej. Wybralibyśmy arbitrów dla dokonania działu i zarazem szacowania naszych części. Zaczyna się klarować, że Wołodkowiczowie i my trafilibyśmy do Mamuszek, Mieczyś zaś i c. Zosia zajęliby Stanyszki i obrzezki [illegible] w Mamuszkach. Na arbitrów proponowani są p. Kazimierz Borowski i p. Ludwik Uniechowski.

26 czerwca
9 lipca
rok 1911.
niedziela

Znów dzień prawie wyłącznie sprawą Stanyunek i Mamuntów wypełniony. Tylko ranek i wieczór przeszły inaczej: rano wyjazd Elwiry, wieczorem bal [illegible]. Elwira wyjechała już z Wilna z córeczką, nianią i służącą Weronisią. Odprowadziłem ją na kolej i zajechałem przez nieprzytomność aż do Wileńskiej, skąd zresztą zaraz najbliższym pociągiem wróciłem.

Z Mieczysiem Bohdanowiczem, który trzyma w ręku najlepsze atuty w sprawie działowej i który najlepiej z nas wszystkich zna się na interesie, gra jest trudna, choć tendencje jego są dla mnie zasadniczo widoczne i to mi pozwala orientować się i utrzymywać w pozycji obronnej. Wczoraj sprawa działowa była w taki sposób postawiona, że mamy wybrać arbitrów nie tylko dla działu, ale i dla skomasowania naszych cząstek. Wobec tego projektowało się, że każda ze stron będzie wypowiadała swoje desiderata oraz przedstawi arbitrom swoje względy o ewentualnych dogodnościach lub brakach poszczególnych kombinacji działowych; choć arbitrowie byliby wolni w decyzji swojej, ale oczywiście nie mogliby być faktycznie głusi na względy i na motywację stron. Oczywiście, że Mieczyś Bohdanowicz byłby w takiej sytuacji najsilniejszy, bo on i w ogóle na interesie się zna, i w szczególności zna znakomicie wszystkie działy i wszelkie warunki; ~~który~~ on by najlepiej z nas wszystkich, najrozumniej i z największą znajomością rzeczy uzasadnił arbitrom te dogodności, które by miał interes uzasadnić. ~~[illegible]~~ Jeżeliby tak dział był postawiony, to i my musielibyśmy się dobrze z następstwami zapoznać. Mieczyś Bohdanowicz chce wziąć dla siebie i dla c. Józi Stanyunki, nas i Wołodkowiczów zepchnąć na Mamunty i wziąć jeszcze sobie z Mamuntów trochę piękniejszych skrawków leśnych. ~~[illegible]~~ Ale przy tej kombinacji Mieczysiowi chodzi o to, aby Mamunty bardzo wycenić, żeby Stanyunki wziąć sobie na warunkach dogodniejszych. W tym celu udaje, że chce właśnie Mamuntów i że działki Mamuntowskie, które podług oceny arbitrów są * nieco tańsze od Stanyuńskich (bo choć las tam piękniejszy, ale przestrzeń mniejsza i warunki spławu leśnego są bez żadnego porównania gorsze), muszą być uważane za równe Stanyuńskim. My wszakże, a zwłaszcza ja, stoimy na tym, że zupełnie chętnie bierzemy udziały w Mamuntach w proporcji oceny arbitrów i że ich wcale dla Mamuntów nie [illegible]. Mieczyś chwyta się wszelkich sposobów, aby z nas obudzić popęd do Mamuntów i niechęć do Stanyunek, [illegible] przed tym odpowiednio na jego komysł dyskretnie [illegible] oznajmił, że rezerwuje sobie większą część Mamuntowską, na co ja się zgodziłem, zastrzegając sobie także działki [illegible] [illegible] tu i tam udziałów w proporcji oceny arbitrów. [illegible] wniosek, że [illegible] równowagi naszej przestałem.

Ludwik Wołodkowicz, widząc machinacje Mieczysia Bohdanowicza i mając udziałowy [illegible] tylko do Włoskiej za kupno 1/6 [illegible] w Stanyunkach, pieniędzy chciał popołudniu do Mińska, gdzie ma się naradzić z [illegible] Chełchowskim, czy stanąć w imieniu matki do kupna czy nie. Ludwik nie chce wkładać na ten interes własnych pieniędzy i nie chce się wiązać, dopóki nie ma odpowiedzi od rodziców i plenipotencji od matki. Do Włoskiej więc obrady wszelkie się zawieszają.

2 Czerwca / 10 lipca. rok 1911. poniedziałek.

Ból zębów, który mi wczoraj wieczorem straszliwie dokuczał, ustał. Zdaje mi się, że właściwie to nie ząb mię bolał, lecz cała szczęka; albo to newralgja albo zapalenie okostnej. Jeżeli się to powtórzy, będę musiał zwrócić się do dentysty.
W wszystkich obradach działowych cisza. Ludwisia Wołodkowiczowa nieobecna, więc nie możemy nic postanowić. My z naszej strony przygotowujemy pieniądze do kupna naszej części w Staryniach od wuja Ignacego. Papa w Towarzystwie Wzajemnego Kredytu zrealizował weksle Mamy, ja wybrałem z lokaty listy zastawne Wileńskiego Banku Ziemskiego. Wuj Ignacy poczynił nam niejakie dogodności w opłacie ceny kupna. Obiecał nie odtrącać wziętego przez nas za 4 miesiące zgóry % od sumy zastawnej Agresta oraz zwrócić nam jeszcze od tejże sumy %, który Agrest ma w listopadzie za następne półrocze zapłacić; następnie wuj zwraca nam kupony na styczeń roku przyszłego od listów zastawnych, któremi mu płacimy; wreszcie zwraca nam dyskonto weksli Mamy za całe półrocze.
Jutro upływa termin, do którego wuj zażądał wypłacenia mu całej sumy kupna. U mnie już wszystko gotowe. Całkowita suma, na naszą część wypadająca, wynosi po ostatecznym obliczeniu, rb. 37022 z kopiejkami. Niewiadomo, jak teraz stanie kwestja działu i ewentualnej skomasowania działek każdego ze współwłaścicieli. Mieczyś Bohdanowicz stara się wszelkimi sposobami wycenić Mamuty i obniżyć wartość Staryniek; sam chciałby być w Staryniach a wie, że Mama woli Mamuty, więc umyślnie uwydatnia stosunkowo dogodności mamutowskie i braki staryńskie, aby spotęgować w nas apetyt do Mamut i przy ewentualnej zamianie naszych części staryńskich na jego mamutowskie wycenić tę zamianę naszym kosztem na swoją korzyść.

Ból zębów znowu mi dziś przez cały dzień nieznośnie dokuczał, zwłaszcza na wieczór. Widocznie to w związku z pogodą; jak tylko wilgoć, deszcz, zaraz się odezwie.

28 czerwca
11 lipca
rok 1911.
wtorek.

Przedstawiłem wujowi Ignacemu rachunek wypłaty należności za kupno części Stanynek, załatwiłem wszystkie formalności w banku, słowem — rachunek skończony. Akt kupna (czyli t. zw. „kupczej") ma się sporządzić z Rogińskim, jako pełnomocnikiem wuja, we czwartek lub piątek. Ludwik Wołodkowicz nie przyjechał; przysłał jeno depeszę, że matka jego wysłała pełnomocnictwo i pełnomocnictwo z zagranicy i że prosi zaczekać. Wuj zaczekać się zgodził. Wobec nieobecności przedstawiciela c. Lucji sprawa działu się zawiesza. Dalszy ciąg nastąpi dopiero gdy już wszystkie kupcze zostaną zakończone. Mieczyś Wołodkowicz dziś już kupczę zrobił na imię c. Marii, Mieczyś Tukałło wyjechał a przyjedzie w poniedziałek na zrobienie kupczy.

Dziwne panują stosunki w tej rodzinie Mamy. Wszyscy są tylko zajęci, jak jedni drugich oszukać, podejść, spekulować w tym dziale. Jak czystej krwi urodzeni bandyci. A spotykają się jednak, całują, choć sobie nawzajem za grosz nie wierzą i szpetnie się posądzają. Mieczyś Wołodkowicz — najgrubszy zbytem, cynik, bezwzględny w interesie, potulny [illegible] i ograbiał bez ceremonii swe siostry [illegible] c. Maria Wołodkowiczowa głupsza, ale przebiegła i przewiadczona o dostojeństwie Mieczysia. C. Zosia [illegible], cichaczem na [illegible] swój interes [illegible], bardzo [illegible] i podła; znakomitym [illegible] [illegible] jest syn, Mieczyś Tukałło. C. Cecia Tukałłowa [illegible] poczciwa, ale [illegible], [illegible], [illegible]. Wuj Ignacy [illegible] [illegible], człowiek [illegible], nerwowy, [illegible] [illegible]. Ale [illegible], [illegible] Wołodkowiczem, [illegible] gruntu uczciwego.

Wuj Ignacy Tukałło zażądał, aby każda z sióstr przed [redacted] z sporządzeniem Kuperej na odpowiednią część w Stanysukach, wydała mu pokwitowanie rejentalne, zapewniające, że wszystkie rachunki [redacted] z wujem w sprawie spadku Babuni są zakończone i że w przyszłości ani ona ani jej spadkobiercy żadnych pretensji do wuja z tytułu spadku tego mieć nie mogą. Pokwitowanie to jest bardzo charakterystyczne. Rzuca ono swoje światło na stosunek rodzinny i [redacted] jest poniekąd kluczem do zrozumienia postępowania wuja w sprawie sprzedaży swego udziału w Stanysukach. Wuj Ignacy za życia Babuni, mając jej plenipotencję, rozporządzał się majątkiem samowolnie i popełnił szereg [redacted] drogą kosztownych przekroczeń swego pełnomocnictwa. Wuj może być tym tylko usprawiedliwiony, że majątek matki, którym operował, uważał faktycznie jakby za swój, bo Babunia przez całe swe życie utrzymywała wuja na stopie jedynego spadkobiercy. Gdy Babunia w ostatnich latach swego życia (w r. 1907) zmieniła swój testament i dopuściła córki do spadku, wuj był tym okrotowiony i zaniepokojony. Wytworzenie wuja w rozporządzeniu się funduszem matki wynosiły grubą sumę. Cały szereg nadużyć zaciągnął [redacted] Podtąd na odpowiedzialności wuja wobec sióstr, jako przyszłych spółspadkobierczyń po Babuni. Wuj domagał się od Babuni całkowitego pokwitowania z zarządu [redacted] funduszem, ale Babunia odmówiła, obawiając się, że wuj może zaprzedać cichaczem Stanysuki i Marynły wujence lub swym szwagrom Nierobyłowskim. Na tle tego pokwitowania wynikły ostre nieporozumienia [redacted] i wzajemne urazy i sprzeczki między wujem a Babunią, które zatruwały ostatnie lata życia Babki, wuj bowiem był zawsze ukochanym faworytem matki. Otóż teraz wuj żąda tego pokwitowania od [redacted] sióstr; najwięcej się wuj boi Wołodkowiczów, i sądzę, że chęć wytworzenia pokwitowania w gotowości tkwi w sprzedaży Stanysuńskiego udziału [illegible] z zasadniczych motywów, dla których wuj się postarał, aby Mieczyś, który był skłonny dopełnić nas i Wołodkowiczów do kupna. Wuj chciał tą drogą nas związać i [illegible] zmusić do pokwitowania. Nikt z nas zresztą wówczas podłoża w wuju za stare przekroczenia nie myśli. Wobec tego pokwitowania uzyskaliśmy

29 czerwca / 12 lipca rok 1911. środa.

Południowym pociągiem wyjechał do Bohdaniszek Papa. Zostaliśmy z Mamą we dwoje w mieszkaniu i 2 służące, Anusia i Ewka. Sprawa spadkowo-działowa znów weszła w stan raklityczny. Mieczyś Bohdanowicz, c. Zosia z Mieczysławem Tukałło, c. Lesia — wyjechali. Zastój więc tymczasem. Robię się kupcem. Dziś ja z Ragiżińskim, jako plenipotentem wuja Ignacego zaczęliśmy robić kupcem dla Mamy. Z Wołodkowiczami sytuacja jest w zawieszeniu. Wuj Ignacy daje 2 tygodnie terminu dla Wołodkowiczów na wniesienie pieniędzy i otrzymanie przez Ludwisia plenipotencji od c. Lucji. Ponieważ uporządkowanie sprawy spadkowej minęło, więc jestem w stanie wrócić i do innych moich zajęć, a przedewszystkiem do rachunków „Dziennika Wileńskiego”, do ratowania Walli, do organizowania redakcji naszego projektowanego tygodnika, do korespondencji zaległej etc.

Otrzymałem dziś list od prof. Natansona-Zdziechowskiego, któremu wysłałem rękopis mojego szkicu o Litwie pruskiej dla ewentualnego wydrukowania go w „Świecie Słowiańskim”. Zdziechowski pisze, że wręczył rękopis mój redaktorowi „Św. Sł.” p. Koneczynowi, który go przejął i jest zeń bardzo rad. Mam pewne skrupuły co do drukowania tej pracy w piśmie jawnie konserwatywnym, ale że to jest praca ściśle naukowa, nie zaś aktualna polityczna, więc może być drukowana niezależnie od kierunku pisma. Zresztą na odległości i poza krajem, poza naszą walką ideową w warunkach krajowych, kierunek wydawnictwa wielkiej roli dla pracy nie gra.

Wieczorem poszedłem na Ruksztę do Walli. Zaniosłem jej książki i miesięczniki łotewskie, które specjalnie sprowadziłem dla niej z Rygi. Ucieszyła się ogromnie, bo w domu [illegible], wśród obcych, w ciągłym towarzystwie przychodzących gości, którym ciało swe na użytek dawać musi, te książki będą dla niej jedyną szlachetniejszą rozrywką. Co za podłe tam życie! O godz. 9-tej, gdym przyszedł, zastałem ją dopiero wstającą ze snu — całą noc poprzednią spędziła z jakimś gościem, z którym pić musiała. Nie straciła jeszcze wrażliwości, nie stępiała w zepsuciu. Ale jeżeli ją się uda stamtąd wyrwać, trzeba to prędko robić, bo obawiam się, że w krótkim czasie moja Walli wdroży się w to życie i stanie się taką, jak wszystkie inne prostytutki. Zapewnia mię gorąco, że chce z całego serca wyrwać się z tej jamy i wrócić do równowagi; zdaje się, że jest zupełnie szczera. O miłości swej do Żydka nie zapomniała; tymczasem to dobrze, bo to ją jeszcze na poziomie wrażliwości utrzymuje. Mówiłem jej o projekcie Boguszewskiego, żeby tymczasem w jego [illegible] pod [illegible] zamieszkała, a potym ewentualnie pozowała za modelkę do jednego z artystów przyjaciół Boguszewskiego. Walli chce tego. Jest serdecznie [illegible] i cieszyła się z mego przyjścia, bo czuje przyjaciela we mnie. Walli przypomina mi trochę Nusię Bohdanowiczównę w intonacji, w uśmiechach. Ma w sobie dużo wdzięku i prostoty, połączonej z bujnością natury łotewskiej. Łotysze — to doprawdy lud ciekawy, a co za kobiety wśród nich! Może być u Walli we wtorek z Boguszewskim.

Pół dnia znów zajęty byłem sprawami kupna Staniszek. Przyjeżdżał na kilka godzin z Mińska Ludwik Wołodkowicz dla omówienia z Bagińskim i ze mną szczegółów jego udziału w tym kupnie. Nie otrzymał on jeszcze pieniędzy i plenipotencji od matki, ale każdego dnia się spodziewa. Ma on od wujaszka udzielony termin do drugiego wtorku, ale jeżeli do końca przyszłego tygodnia nie zrobi kupna, to nie będzie miał z kim jej zrobić, bo Bagiński wyjeżdża i ja też prawdopodobnie, a wujaszek tylko mnie zgadza się postawić w zastępstwie Bagińskiego.

1 (14) lipca.
rok 1911.
piątek.

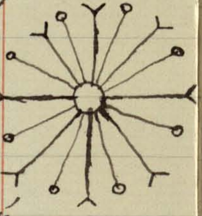

Pod wieczór przyszedł do mnie Połowiński, początkujący i dość jeszcze mało oczytany młody malarz-litwin, który przy „Lietuvių Dailės Draugiji" spełnia zwykle rozmaite pomocnicze funkcje. Z nim już od dni kilku codzień robimy rachunki wystawowe „Dailės Draugijos". Wciąż jeszcze nie mogę się z tych rachunków wywikłać. Jeszcze na kilka dni mieć będę z tym roboty. Dziś zakończyliśmy obliczenia rachunków ze sprzedanych eksponatów z działu ludowego, nagrodzonych i nadesłanych przez dr. Staugaitisa. Obliczenia są drobiazgowe. Praca duża.

2 (15) lipca. rok 1911. sobota.

Podpisaliśmy wreszcie z Boguńskim kupczą na 1/6 części udziału wuja w Stanygułkach. Podpisaliśmy też akt przelewu zastawu Szwesta od Mamy na wuja. Pozostaje do zrobienia tylko przelew zastawu Jeleńskiej na Laskiej Kępie. Zawiozłem Mamę do rejenta dla podpisania ~~[illegible]~~ żądanego pokwitowania Dolf wuja. Pozatym trzeba było gorączkowo przejrzeć cały stos kopij z ocenek leśnych i ziemnych Stanygułek i Mamylów, dokonanych przez arbitrów. Kopje te musimy wysłać Mieczysiowi Bortkiewiczowi, Ludwikowi Wołodkowiczowi i wujowi Ignacemu Tukallo. Są one przepisane na maszynie, ale winny być oczywiście zgodne z oryginałami, więc muszą być dokładnie sprawdzone od góry do dołu we wszystkich pozycjach cyfr. Dla wykonania tej roboty wziąłem Połowińskiego, któremu zapłaciłem 3 ruble i który ślęczał w moim mieszkaniu nad tą robotą od g. 9½ rano do 6 wieczorem.

Widziałem się z Bogusrzewskim. Mówiłem z nim o Walli. Lękałem się, żeby się Bogusrzewski nie cofnął. Byłoby to tym cięższe, że już powiedziałem Walli o tych projektach i że już konkretnie na tym z nią budujemy jej ratunek. Poza Bogusrzewskim zaś nie mam żadnego innego planu, nie wiedziałbym, co przedsięwziąć. Ale gdzież tam. Bogusrzewski — to człowiek serca, człowiek głęboki i nie powodujący się kaprysem przesądów i blagi. ~~[illegible]~~ Potwierdził wszystko, co mówił. Walli może się zalokować w jego majątecku pod Mińskiem na wsi a następnie trzeba dla niej otrzymać miejsce modelki u znajomego Bogusrzewskiego, rzeźbiarza Krasnopolskiego z Mińska. We wtorek mamy pójść z Bogusrzewskim do Walli. Jakżebym ja chciał tę dziewczynę wyrwać, dopomóc jej w tym ciężkim losie. Biedne to, sponiewierane dziewczątko. Walli właściwie sama przez się nic osobliwego nie przedstawia. Los jej i dzieje — powszednie; tragiedja jej nie jest ostatecznie o wiele cięższa niż tragiedja setek i tysięcy takich dziewcząt. Wina [illegible] jej sytuacja nawet za przeciętną uważać. Ale tym niemniej warto jej dopomóc, gdyby pomoc ta mogła jeszcze być skuteczną. Byłoby to życie uratowane, a to rzecz pierwszorzędnej wagi.

3 (16) lipca. rok 1911. niedziela.

Południowym pociągiem wyjechała do Bohdaniszek Marynia ze służącą Ewką. Zostałem w mieszkaniu moim zupełnie samotny ze służącą Annusią. Ile czasu tu jeszcze zabawię — nie wiem. Mieczyś Bohdanowicz pisze, że będzie w Wilnie 6 lub 7 b.m. i że chciałby się ze mną widzieć — oczywiście w sprawach działowych i ewentualnego skomasowania naszych działek staryńskich i mamuszyskich. Będę też czekał odpowiedzi od Stefana Mieczkowskiego, do którego napisałem, wzywając do pojechania ze mną dla dokładnego obejrzenia Staryniek i Mamuszek z planami i szczegółową oceną arbitrów w ręku. Wobec ewentualnych kombinacji przetranslokowania ~~[illegible]~~ wszystkich cząstek naszych bądź na Staryniki bądź na Mamuszki musimy poznać konkretnie warunki obu majątków, aby się choć trochę uzbroić w znajomość rzeczy przy ~~[illegible]~~ układach o zamiany.

Rozmawiałem z Bagińskim o Walli. Poradził mi on bardzo dobrą rzecz, żeby spróbować pomówić z panią Sawrośnicką, czy nie ofiarowałaby do niej na wieś przyjechać Walli na lato. Byłaby to bodaj lepsza kombinacja, niż z Bogusławskim. Z kim będzie Walla w miasteczku Bogusławskiego — nie wiem. Bez opieki, bez ludzi, — trudno ją zostawić samotną na wsi po wyjściu wprost z domu publicznego. Trzeba zaś wielkiej równowagi duchowej w tych warunkach, aby mogła znieść samotność, nie znając ludzi i języka. Pustka wewnętrzna, zmarnowanie, [illegible] niecnota, nuda, pewne nabyte może w lupanarze skłonności do alkoholu — to niebezpieczne sprawy. Być zaś artysty modelką a [illegible] — to też na swoje [illegible] przystoi. Co zaś do Sawrośnickiej, to znam ją, wiem, że to osoba subtelna, mająca dużo serca, taktu, wrażliwości, miękkości a zarazem kultury. Dla Walli jej towarzystwo, jej wpływ, jej opieka i ewentualnie pomoc jej byłyby bardzo dobre. Sawrośnicka jest [illegible] wykształcona w języku niemieckim. Trzeba będzie z p. Sawrośnicką pomówić. Dziś nie zastałem jej w domu.

W kwietniu i maju pisałem w dzienniku o moim projekcie jazdy do Holandii w interesie państwa Brandtów. Otrzymałem od nich pełnomocnictwo, mam w ich interesie list polecający do wice-konsula rosyjskiego w Amsterdamie od mego kolegi Jaffe [illegible] ukraińskiego, ale jakoś jazda ta skutku nie dochodzi. Pan Norwicki, który się temi pieniędzmi [illegible] opiekuje i który miał wyasygnować pieniądze na moją jazdę, przegrał w maju 1000 rb. w karty i już nie daje pieniędzy na tę podróż, a pp. Brandtowie pieniędzy nie mają.

Do obiadu zajęty byłem interesami u 4/17 lipca.
rejenta Sokołowa. Ludwiś Wołodkowicz rok 1911.
przyjechał wreszcie z pieniędzmi i ple- poniedziałek.
nipotencją od matki i ~~[illegible]~~ podpisał
papiery na swoją cząstkę Stanysławki.
~~[illegible]~~ Pod wieczór, wstąpiłem do p. Ławrońs-
kiej dla rozmówienia się z nią o Walli.
~~[illegible]~~ Dowiedziałem się wszakże, że p. Ławroń-
ska wyjechała już na wieś. Byłem tym
szczerze zasmucony, bo wczorajszy projekt
Bagińskiego, żeby Walli pojechała na
lato na wieś do p. Ławrońskiej, bardzo
mi trafił do przekonania. Okazało się
jednak, że Bagiński już się o tym z
p. Ławrońską rozmówił i że się ona naj-
chętniej zgodziła a nawet zapaliła do
tego projektu. Tym lepiej!
Wieczorem o godz. 8 odbyliśmy u Bagiń-
skiego posiedzenie naszej komisji odczy-
towej dla młodzieży. Zebraliśmy się wszys-
cy czworo członkowie komisji, t.j. Ba-
giński, Janulaitis, Boguszewski i ja
i oprócz nas jeszcze Domański. Nie-
wiele narazie mieliśmy do omówienia.
Postanowiliśmy, ~~[illegible]~~ ze względu na
ekonomję sił, wydzielić odczyty przyrodni-
cze i zorganizować je w grona prywatnym
pod firmą towarzystwa oświatowego („Aušra
Odpażobavimų"). Ułożyliśmy mniej więcej
kolejkę zadeklarowanych już odczytów,
wreszcie postanowiliśmy, aby grupa
odczytowców z zakresu społeczno-historycz-
nego porozumiała się ściśle między sobą
dla systematycznego rozłożenia między sobą
tematów.
Przy herbacie poruszona znów była kwestja ewentualnego
wystawienia w Wilnie na przyszłych wyborach do Dumy [illegible]
kandydatury bądź eseckiej bądź demokratycznej. Choć [illegible]
[illegible] przeprowadzenia takiego posła, ale chodziłoby o [illegible]
[illegible] kandydatury lewicowej, zupełnie czystej, niekompromisowej,
ażeby tą drogą zyskać pole do swobodnej krytyki i agitacji. Ponieważ
kandydatury eseckiej niema, zaczynają [illegible] powtarzać [illegible] o
ewentualnej mojej kandydaturze. Ja [illegible] nie zgodziłbym się zapewne na kandydowanie.

5 (18) lipca
rok 1911.
wtorek.

Napisałem długi gorący list do pani Szwoińskiej w sprawie Walli. Opisałem jej dzieje tej dziewczyny, tragedię jej miłości do Żydka, jej niedolę, jej ukochanie, jej upadek, który ją zagnał do tego publicznego zakładu w Wilnie. Będę czekać odpowiedzi i dopiero wtedy zawiozę do niej dziewczynę.

Wieczorem poszedłem na Subocz do Walli. Odtąd ostatni raz ją tym imieniem nazywam. Istotne bowiem jej imię – Anna Wolberg. „Walli" – to tylko pseudonim, który „każda" dziewczyna w takim domu i takim „zawodzie" przyjmuje. Boguszewskiego ze sobą nie brałem, bo jest już mi niepotrzebny. Stokroć wolę ulokować Annę na lato u pani Szwoińskiej. Będzie miała opiekę, będzie miała życzliwe i subtelne serce kobiece, którego tak potrzebuje. Spędziłem z Anną noc całą na rozmowie. W takiej atmosferze, jak dom publiczny, rozmowa nasza była zaiste niezwykła. Omówiliśmy z Anną cały plan wyrwania jej ~~stam~~ stamtąd. Zamiar to zrobić jutro; zwlekać nie warto, bo każdy dzień takiego życia zaoszczędzony wart wiele. Do wyrwania jej stamtąd mam użyć pomocy Bagińskiego. ~~[illegible]~~ Bagiński przyjedzie tam jutro wieczorem o g. 8, zażąda gości, wywoła Annę i na znak umówiony pokaże jej mój bilet wizytowy. Wtedy Bagiński zawoła wiceogospodynię zakładu, Bertę, i oświadczy jej, że przyjechał z Libawy, że jest dobrym znajomym matki dziewczyny i na polecenie zabrać ją. Sprawdzi rachunki, zabierze rzeczy Anny i wywiezie ją – niby do mego mieszkania. Jeżeli Berta nie zechce Anny wypuścić, zagrozi się jej policją, gubernatorem, skandalem. Anna odżyła z radości. Ta dziewczyna ma naturę głęboką i grunt ma dzielny, uczciwy, prosty. Nic w niej nie ma zepsucia, pomimo że już miesiąc prawie tu bawi. Boi się dnia jutrzejszego, boi się awantury, ale sercem rwie się do tej odzyskanej swobody, czystości. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie i uda mi się ją wykraść – będę szczęśliwy

i błogosławić będę ten dzień, który ~~[illegible]~~ mię skierował na drogę tego czynu. Będzie to jeden z najpiękniejszych i najradośniejszych czynów życia mego. Jestem wiecznym entuzjastą i optymistą, ale błogosławię z całej istoty mojej tę zdolność entuzjastyczną – ona mię dźwiga ustawicznie [illegible] do czynów. Co do podziału wszystkich pieniędzy [illegible], który przecież do pierwszorzędnych [illegible] [illegible] i który [illegible] – mógłby dawać dobre dzieło wszystkiemu. Sprawdziłem dziś z Anną rachunki jej [illegible]. Od dnia 25/VI „zarobiła" ona zgórą 354 rb.; połowa zalicza się dla gospodyni, połowa niby dla niej, to znaczy że wypada 177 rb.. Długów zaś naliczono jej akurat tyle, ile wypada ogółem.

[illegible] – [illegible] pieniądze [illegible] 32 rb., 13 rb. [illegible]; [illegible] 39 rb., [illegible] 32 rb. [illegible] [illegible] [illegible] 65 rb. [illegible]

6 (19) lipca rok 1911. środa

Zamach stanu się udał: Anna Wolberg jest już u mnie w mieszkaniu, swobodna, bezpieczna. Kapitalna część dzieła — wyrwanie jej z tego domu ohydy — została dokonana. Dużo jeszcze wprawdzie zostaje do zrobienia, bo trzeba się dopiero jej losem i ustaleniem jej bytu na przyszłość zająć, ale bądź co bądź najtrudniejszy jest ten pierwszy zasadniczy krok: wyzwolenie.

Popołudniu rozmówiłem się z Bagińskim, uprosiłem go o pomoc w tej sprawie. Bagiński, choć (mu to oczywiście przykro było), zgodził się. Wieczorem więc o godz. 8 Bagiński udał się na Bakszty do lupanaru, ja zaś siadłem w cukierni Sztrala na Wielkiej, gdzie był punkt umówiony. Przewidywaliśmy, że może ~~Anny~~ gospodyni nie zechce Anny wypuścić. Jest to bowiem dziewczyna młoda, śliczna, nader powabna, dająca lupanarowi dochód znakomity. Na wypadek więc, gdyby gospodyni zechciała zatrzymywać ją przemocą, musielibyśmy użyć także drogi gwałtu przez policję, ewentualnie przez gubernatora nawet. Dla Bagińskiego oczywiście skandal z policją, protokołami i t.d. byłby nader ciężki. Figurować w tych protokołach, potem gawędy po mieście, przekręcanie faktów, obmowa, brud. Wobec tego postanowiliśmy tak: jeżeli Anny nie wypuszczą, powinno ~~[illegible]~~ najgroźniejszej postawy Bagińskiego, Bagiński zaraz przybiega do mnie do cukierni. Zwlekać ~~[illegible]~~ w takich razach nie można, bo wprawdzie ale chciwy lupanar nie łatwo puszcza z rąk ofiarę i ~~[illegible]~~ mogą ją ukryć, sprzedać i wywieźć do innego lupanaru albo nawet do innego miasta i tak ślad zatrzeć, że się odnaleźć nie da. Mają one tysiące środków na dziewczęta samotne, bezbronne, sterroryzowane. Wobec tego wrazie zatrzymywania Anny, Bagiński poleca jej, aby pod żadnym pretekstem nie dawała się nigdzie wyprowadzać, a sam przybiega do mnie. Wtedy ja zaraz biegnę do pracowni Piątkowskiej, która mi na ten wypadek swą pomoc obiecała; Piątkowska, która już niejednokrotnie takiej roli się podejmowała ~~[illegible]~~ i która, jako członek Towarzystwa Ochrony Kobiet, ma poparcie wszelkich władz i do gubernatora włącznie, bierze policję, idzie do lupanaru i wyprowadza dziewczynę. Taki był nasz plan ewentualny. Przesiedziałem u Sztrala przeszło godzinę, wzruszony, zaniepokojony, czekając na rezultat działań Bagińskiego. Wreszcie Bagiński przybiegł z Anną i jej rzeczami. Powiodło się dobrze. Bagiński, przyszedłszy do lupanaru, kazał sobie przyprowadzić „Walli" (była „Walli") Anna otwarta, Bagiński pokazał jej mój bilet, jako znak umówiony. Anna, która już się tego spodziewała, i była uprzedzona, oznajmiła, że lupanaru nie zostanie. Bagiński zwołał gospodynię, oświadczył, że jest rzecznikiem rodziców Anny i że ją zabiera. Gospodyni z pierwszej chwili chciała protestować, ale na skutek groźnej i stanowczej postawy Bagińskiego

mogła ją. Z drugich rachunków z Bagińskim nie przeglądała, paszport zaś Anny i jej bieliznę z prania i jej nową sukienkę od szwaczki obiecała zwrócić niezwłocznie. Anna zabrała swój koszyczek z rzeczami i wyjechała z Bagińskim. Wnet zaprowadziłem ją do mego mieszkania. Zalokowałem ją w mojej pokoju sypialnym. W mieszkaniu teraz pusto, [illegible] [illegible] [illegible]. W mieszkaniu [illegible] jest bardzo poraniona, ~~[illegible]~~ podrażniona, ale [illegible]. Anna jeszcze się nie

7 (20) lipca. rok 1911. ~~Środa~~ Czwartek

Szczęśliwy i radosny jestem, bo bądź co bądź Anna jest uratowana. Wprawdzie to początek tylko, ale już sam fakt wyrwania jej z lupanaru jest wielką, jest kapitalną rzeczą. O godz. 10 rano Anna już wstała. Wyspała się dobrze, spokojnie, po raz pierwszy od długiego czasu. Cicho, bezpiecznie jej, zdrowo. Do obiadu siedziała przeważnie samotnie. Ja wychodziłem z domu, potym pracowałem, od czasu do czasu tylko z nią pogawędziłem. Czytała sobie swoje książki łotewskie, pisała swój dziennik. Dziennik niedoli i przygód tej dziewczyny, pisany zapewne z właściwą jej tragiczną prostotą, musi być niepospolitą skarbnicą serca ludzkiego. To łotewsku pisany, więc nie oczywiście zrozumieć bym nie mógł. Co za podłość, co za łajdactwo w lupanarze. Dziewczyna codziennie się w brudzie pławi, oddana na pastwę chuci pijanej, cynicznej; ile to kosztuje zdrowia, ile męki fizycznej i wstrętu, ile upokorzenia, ile upokorzenia, aby przez miesiąc i 10 dni „zarobić" 354 rb. od „gości". Przez ten czas tylko 3 noce ma w rachunku nierozpełnione(?). I w rezultacie, po takim psim życiu nie ma nic, nawet jeszcze z długiem zostaje. Zmuszają ją do picia, do palenia, bo gospodyni każe, aby zachęcała gości do obstalowywania trunków i papierosów, a ~~[illegible]~~ w tym celu oczywiście i sama pić musi. A w rachunku powyższym alkohol, który dnia z „gośćmi" wypiła, bynajmniej nie policzony; te 354 rb. — to tylko czysty rachunek tego, co „goście" jej gotówką do ręki zapłacili. Połowę czystej ~~[illegible]~~ tej gotówki bierze gospodyni a oprócz tego na pozostałą sumę nalicza wszystkie koszty po jaknajwyższej stawce cenie. Gdy raz pomimo wszystko zostaje nadwyżka na korzyść dziewczyny, zmusza się ją do kupna sukni, ale tylko oczywiście w szwalni umówionej i ~~[illegible]~~ za cenę dowolną, a tak wyliczoną, aby przewyższyła jej dochód i jeszcze w długu ją utrzymała. W ten sposób dziewczyna nietylko że nic nie ma, ale wiecznie ma dług i nie może przeto się wyrwać; prawnie jej zatrzymać nie wolno, ale ~~[illegible]~~ jakże wyjść może bez grosza. A w dodatku handel niewolnicami(?) jest tak zorganizowany, że sprowadzane są zawsze dziewczęta z daleka, jak w Wilnie przeważnie Łotewki, które i znajomych tu żadnych nie mają i często nawet językiem krajowym nie władają wcale, więc są już całkiem bez wyjścia.

Pod wieczór poszedłem z Anną na miasto. W księgarni [illegible] jest subjekt-Łotysz; do niego zaprowadziłem Annę, aby sobie z katalogu łotewskiego wybrała książki do sprowadzenia dla niej takowych z Rygi. Potym poszliśmy z nią do cukierni [illegible] i [illegible] [illegible] na Zakrętę do zakładu Tyry po paszport Anny, po resztę jej bielizny od praczki i po kuferek nowy, który [illegible] brać zmuszono, a za który wypadło dopłacić jeszcze do zaległego rb. koło 15. Potańcówki(?) poszedł z listem od Anny. Z lupanaru wydano wszystko za dopłatą 15 rubli. Oczywiście gospodyni jest wystraszona nieletnim wieczorem(?) wy- wierceniem(?) Anny. Ale się obawia — rozumiem. Z paszportu się okazało, że Anna skończyła w styczniu dopiero lat 20, jest więc niepełnoletnia. Utrzymywanie dziewcząt niepełnoletnich w domu rozpusty — jest zbrodnią, przez prawo karaną. To też w paszporcie Anny zanotowano, że mieszkała na końcu przy ul. Popławskiej, nie zaś na Zakrętce, aby śladu nie było. To też teraz gospodyni drży, aby sprawy nie podejmowano. Policja oczywiście była przekupiona; wprawdzie dla Anny to jest lepiej, bo zato w paszporcie niema wzmianki o jej „fachu".

8/21 lipca rok 1911. piątek.

Źle jest, że Anna kocha jeszcze swego Żydka. Miłość ta jest w niej uparta, głęboko utkwiona w całej psychologji tej dziewczyny. Z miłości tej wyjdzie zapewne najciężej. Tego sobie z głowy nie wybije z łatwością; przeciwnie raczej tym goręcej i uparciej się do niej przywiąże, im większą u mnie spostrzeże chęć oderwania jej od tego uczucia. Miłość to przekorna, zaś czysta, boleśnie podejrzliwa. Z tego źródła mogą jeszcze wypłynąć nieobliczalne przeszkody na drodze do jej uratowania całkowitego. Nie można przewidzieć, do jakich ekscesów, do jakich przeskoków w równowadze doprowadzi ją ta miłość szalona. Jest to tym niebezpieczniejsze, że Anna ma charakter nierówny, impulsywny, wrażliwy, i że już przecie wykolejona bądź co bądź została.

Wczoraj, gdy mi Anna pokazała fotografję swego ukochanego Żydka, porwałem ją jej, usiłując skryć i zrobiłem ruch odpowiedni, trzymając fotografję w ręku. Krzyknęła tak przeraźliwie, jękiem i płaczem głośnym, że chyba słysząca Anusia, która obok w kuchni spała, pomyślała, że chcę Annę zgwałcić. Fotografję tę pieści, stawia przed sobą podczas pisania dziennika.

Anna jest osobą godną zaiste lepszego życia i piękniejszej doli. Charakter ma bujny, żywiołowy. W żywiołowości tej tkwi tragizm. Trudno się wyzbyć do mniejszego bytu, nie umie się zadowalniać wegietacją życia, pragnie afektu, kocha się we wrażeniach intensywnych. Jest to typowy charakter łotewski. Ile znałem Łotewek — a znałem ich dużo — wszystkie w tym lub innym stopniu, w tej lub innej kombinacji miały te same zasadnicze rysy bujnego charakteru z wrażliwością intensywną, dziwną lub północy! Łotysze muszą mieć w sobie coś z rasy skandynawów, z tej rasy tragicznych norwegów z ich indywidualizmem głębokim i prostotą twardą i konsekwentną. Ma Anna wielką wrażliwość poetycką, wybitny zmysł piękna, ostrą tęsknotę do prawdy, lubowanie się w katastrofach.

Chodziłem dziś z nią na spacer za Zwierzyniec. Wieczorem była tęskna, rzewna, serdeczna. Ma ona gorącą wdzięczność dla mnie i poszanowanie, pomimo mój zastrzeżeń względem niej, bo chociaż ją z tego gniazda rozpusty wyrwałem, ale popełniłem wczoraj w stosunku do niej zawiniłem, bo przedtem moja pierwotna poufałość z nią była w charakterze gościa „lupanarowego", czyli że byłem sam też względem niej świnią. Teraz żyjemy z nią jak brat ze siostrą.

9 (22) lipca
rok 1911.
sobota.

Jednak ciągłe obcowanie z kobietą, młodą i piękną, musi doprowadzić, o ile mężczyzna jest wrażliwy — a jestem nim w najwyższym stopniu — do związku miłości. Mam wrażliwość niesłychanie czułą i jednocześnie mam umysł wybitnie analityczny. Zbyt dobrym analitykiem jestem, abym się nie spostrzegł, że zaczynam się w Anusi Wolberg (?) kochać. Dopóki ją znałem w domu, niestety, publicznym, jako jedną z dziewcząt do użytku, dopóty nie było cienia miłości we właściwym słowa znaczeniu. Z pierwszego poznania zapaliłem się gorąco, dzięki wrażliwości mojej, do wyrwania jej stamtąd i do ocalenia jej życia. Jej łzy, jej opowieść męki, jej niedola tragiczna — poruszyły mnie. Spostrzegłem, że dziewczyna ta jest czystą perłą, która dzięki li tylko warunkom — i to zwłaszcza warunkom społecznym — wpadła do tego śmietniska. Warunki bytu społecznego sprawiają, że na tory hańby i rozpusty trafiają nader często właśnie najcenniejsze natury, najbujniejsze charaktery dziewczęce, które mogłyby się stać ozdobą społeczeństwa i być zużytkowane jako najświetniejszy materiał życiowy. W lupanarach rozpusty są one towarem zbytkowym i wyszukanym; w nich stapiają mężczyźni swoje najgłębsze żądze, w nich zdobywają posiadanie swych najpierwotniejszych, najgłębszych i zarazem najpierwszych (?) tęsknot — wartość i głębia tych tęsknot zależy wprawdzie od głębi i natury samego mężczyzny. Błędem jest, jakoby mężczyzna w posiadaniu kobiety szukał jeno piękna fizycznego; charakter, temperament kobiety, jej urok, słowem to, co się w niej odzwierciedla z [illegible] psychicznie, — jest głębszą jej wartością od wartości li tylko ciała. W lupanarach rozpusty nie umieją się to cenić, już w powszednim, unormowanym życiu w stosunkach międzypłciowych. Bezwiednie po tej pierwszej mojej spotkaniu z Anusią w rozkoszy wyszedł, gdym poznał i ocenił jej wartość psychiczną, postanowiłem ją ocalić. Zbliżyłem się jak entuzjasta — i tylko. I dopiero gdy rzecz doprowadziłem do skutku, gdy ją z domu publicznego wyrwałem, gdy z nią zaniechałem nie tylko stosunków płciowych, ale nawet żadnego flirtu erotycznego nie uznam, dopiero teraz zaczynam się w niej kochać. Nie mogę słuchać, gdy mi ona coś mówi o [illegible], o [illegible] „gościach”, których posiadała; nie jestem też w stanie znosić jej miłości do [illegible], którego [illegible] z duszy. Nie daję wprost tego poznać po sobie i z całą mocą utrzymuję stosunek li tylko koleżeński i przyjacielski, niedopuszczając cienia erotyki, lecz gdyby Anusia była pod tym względem przenikliwsza i umiała coś więcej poza odruchami dla mnie czuła, to niezawodnie wszczęłaby mnie uwagę zgoła

erotyki i flirtu wszelkiego a nawet wszelkiego cienia możliwości jakichś uczuć pozabraterskich między nami unikam z całą stanowczością; przede wszystkim dlatego, że gdy kocham, to się oddaję bezgranicznie (mam to zawsze w mej naturze) i miłość traktuję głęboko; choć związek płciowy nie wykluczałby bynajmniej i miłości, ale erotyczne wykluczam stanowczo; następnie dlatego, że chcę być do końca w ocaleniu tej dziewczyny i wyrwaniu jej z burdelu — uczciwy (by nie rzekłby się, żebym miał z tego [illegible] korzyść); wreszcie dlatego, że jestem [illegible] w miłości [illegible] wzajemności, a wiem, że w tych warunkach wzajemności nie mogę; wreszcie — dla miłości dziewcząt 20-letnich wiek mój jest może za stary. Trzeba iść w cień i nie kusić.

10 (23) lipca. rok 1911. niedziela

Sam nie wiem, co za uczucie mam dla Anny. Czy to miłość — nie wiem. Podoba mi się jej twarz z wielkiemi oczyma i brwiami, z pięknemi zębami i bujnemi włosami, a nadewszystko podoba mi się jej bujny tragiczny charakter, tęskny, uparty, niezwykłej wrażliwości pełny. Charakter ten — to falująca poezja. Anna jest niezwykle wrażliwa, nierówna; nie znosi monotonnej szarugi powszednich dni, rwie się do wrażeń, do ekstazy, do piękna. Jest w niej potęga żywiołu i zarazem tkliwa głęboka tęsknota. Jest to natura zdolna, wydatna, świetny materjał ludzki. Cechy te wszakże sprawiają, że ocalenie jej całkowite i skierowanie na tory życia pracowitego i unormowanego — staje się zadaniem bardzo trudnym. W każdym razie nie należy przeciągać struny ustatkowania. Wszelkie moralizatorstwo wpłynęłoby na nią jeno ujemnie; nuda, zbytek monotonji w nowych warunkach jej życia, wyłączna pruderja i brak rozrywek, brak podniet wrażliwości, — mogłyby spowodować niepożądaną reakcję w kierunku [illegible] powrotu na poprzednią drogę, która choć jest ciężka, hańbiąca, podła (ona to rozumie dobrze), ale przecie daje upojenie alkoholem, daje jakiś hałas, jakieś odurzenie, jakiś ciągły krzyk pijany, w którym się głuszą najboleśniejsze tęsknoty i cierpienia samotności.
Chcąc zrozumieć, co się w duszy Anny dzieje, — ponieważ ona, czując szczerą i głęboką wdzięczność dla mnie, przez samą delikatność nie powie mi całej obecnej prawdy o swych nastrojach, — popełniłem rzecz z punktu surowej etyki naganną, ale w tych warunkach moim zdaniem konieczną, mianowicie w czasie jej nieobecności, gdy poszła z faktorką [illegible] po sprawunki, przepisałem z jej dzienniczka kartki, napisane przez nią w ciągu tych kilku dni ostatnich, t.j. po wywiezieniu jej z lupanaru. Z tekstem tym, pisanym po łotewsku, pojechałem do litwina [illegible], umiejącego trochę po łotewsku. Ten mi piąte przez dziesiąte przetłumaczył. Główne tony nastrojów Anny bądź co bądź z tłumaczenia tego zrozumieć zdołałem. Daleka jest od zrównoważenia zupełnego. Boi się nudy, samotności. Do takich rzeczy, jak alkohol, rozpusta, lupanar, nietylko że nie tęskni, ale ma szczere i głębokie obrzydzenie. Tęskni natomiast do wrażeń uczucia, pragnie tkliwego serca, głębiny miłości młodej, gorącej, tkliwej. Dziennik ten potwierdził moje przewidywania. To też w najlepszej wierze, aby jej dać na wieczór ostatni tych nieco wrażeń, których jej w zbytniej ciszy brak i których zwłaszcza na wsi przez czas dłuższy mieć nie zdoła, zaproponowałem jej wieczorem pójść do [illegible].

Chodziło mi o to, aby Anna miała w tych nowych warunkach życia przecie pewne urozmaicenie, odpowiednie jej wrażliwości i temperamentowi. Poszliśmy więc z nią do [illegible] do loży. Piliśmy trochę, patrzeliśmy na scenę, bawiliśmy się dobrze. Po powrocie do domu spędziliśmy z nią luksusową, bajeczną noc miłości. Anna była szczęśliwa i ja byłem szczęśliwy. Anna była przepiękną i przepyszną, rozwinęła całą moc swego temperamentu nerwowego i swego niepospolicie wrażliwego charakteru. Faktu tego nie uważam za zły. Nie była to rozpusta lupanarowa, jeno swobodna, szczęśliwa, pełnia wrażliwości i uczucia. To było piękne.

11 (24) lipca.
rok 1911.
Poniedziałek.

Zmęczeni i wyczerpani po nocy podniet niezwykłych, ale bez ~~[illegible]~~ otrzeźwienia niesmaku, — wyjechaliśmy z Anną o godz. 2 po południu koleją z Wilna do Puzel do pani Bronisławy Sawrońskiej. Wspomnienie nocy poprzedniej nie krępowało nas wcale. Czuliśmy oboje, że ta ekstaza miłości, która nas na chwilę połączyła, nie miała w sobie żadnych cech brudu. Co do mnie, to się wstydzę wspomnienia li tylko pierwszej mej znajomości z Anną na Bakszcie. Wtedy przyszedłem do niej, jako do dziewczyny publicznej, w charakterze „gościa" lupanarowego. Tego się wstydzę rzetelnie, bo to była li tylko rozpusta, li tylko brudna żądza użycia. To była krzywda, to była zniewaga biednej Anny. Wczorajsza noc natomiast była przepiękną, była upojną miłosną, była ucieleśnieniem najczystszych i najgłębszych tęsknot naszych do szczęścia. Nie wstydzę się jej, owszem — wielbię i błogosławię ją. Przesądem jest potępianie najszczytniejszych wyrazów miłości dlatego tylko, że nie są one dokonane w formach społecznie uległalizowanych. Związek swobodny nie przestaje być pięknym przez to, że mu sankcji społecznej odmawiają. Przyjdzie czas, że on królować będzie, jak to się coraz bardziej w społeczeństwach zachodnich, zwłaszcza francuskim, realizuje. Związek swobodny jest daleki od rozpusty, o wiele dalszy, niż powszechnie tolerowane ~~[illegible]~~ małżeństwo z interesu. Oczywiście, że warunkiem jego piękna i czystości jest swoboda istotna obustronna.

Rano otrzymałem list od p. Sawrońskiej, w którym zaprasza ona Annę do siebie serdecznie i dodaje, że czeka przyjazdu naszego na dziś wieczór. List ten wręczył mi Stach Łaskowski(?), który wczoraj z Puzel od p. Sawrońskiej przyjechał. O godz. więc 2-giej wyjechaliśmy. W pociągu gorąco było i duszno. O g. 6 przyjechaliśmy do Mołodeczna, skąd dalej końmi jechać trzeba w kierunku Lebiedziewa. Koni nam p. Sawrońska przysłać nie mogła, bo majątek jej jest w dzierżawie i końmi dzierżawcy ona swobodnie rozporządzać nie może. Jechaliśmy więc z Anną najętą furmaneczką. Anna była pogodna i dość wesoła. Cieszyła się wsią, zbożem, bydłem — wszystkiem, co po drodze spotykaliśmy. 10 wiorst drogi prędko, [illegible], minęło. Przyjechaliśmy wreszcie do Puzel. Tu biedna Anna poczuła się stropioną, onieśmieloną, upokorzoną. Jedzie bowiem do obcych ludzi, ona, dziewczyna biedna, mało wykształcona, dopiero co wyrwana z brudnego lupanaru. Ludzie, do których jedzie, są wykształceni ~~[illegible]~~ i nie mają na sobie żadnego piętna uznanej skazy. W dodatku Anna [illegible] języka niemieckiego(?) nie dość dobrze, a ci, do których jedzie, znają go [illegible] mniej. Wszystko więc razem wzięte usposabiało Annę smutnie(?), boleśnie. Po przyjeździe do Puzel wpadła biedaczka w przygnębienie, z którego się przez cały wieczór wyrwać nie zdołała. Okropnie mi jej żal. Miałem stąd jeszcze ~~[illegible]~~ z Puzel wyjechać, ale zostałem jeszcze do jutra.

12 (25) lipca rok 1911. wtorek.

Większą część dnia spędziłem jeszcze w Puszalach. Biedna Anna wciąż jeszcze jest przygnębiona. Nie czuje się tu zupełnie swobodnie, brak jej równowagi wewnętrznej. Dziewczyna ta, będąc bardzo wrażliwą, bardzo łatwo ulega nastrojom, które nią zawładają całkowicie. Czuje się ona tu bądźcobądź obcą, jest onieśmieloną, ma niewątpliwie pewne poczucie upokorzenia. Choć bowiem pani Sawrymska stara się być dla niej dobrą i traktować ją zupełnie na równi ze sobą, jednak Anna wie, że p. Sawrymska wie o jej przeszłości; to działa na Annę bardzo źle. Nie chce ona widzieć, żeby p. Sawrymska nie czuła dla niej gdzieś w głębi serca jakiejś pogardy. Nie przywykła Anna i nie zdaje sobie sprawy, że można jej przeszłość traktować, jako li tylko nieszczęście, i mieć z tego tytułu dla niej szacunek i gorące współczucie. Zresztą psychologja takiej dziewczyny musi w tych warunkach usposabiać ją do smutku i upokorzenia, zwłaszcza gdy jest to dziewczyna szczera i niezepsuta. Płakała dziś Anna i parokrotnie szczerze się przed panią Sawrymską uskarżała. Żal mi jej z całego serca. Trapi mię niepokój boleśny, jak Anna ten miesiąc u pani Sawrymskiej przebędzie i co z nią nadal po powrocie do Wilna będzie. Sytuacja nie jest wcale łatwa. Bądźcobądź Annie niezbędną będzie prócz pracy jakaś rozrywka, jakieś otoczenie przyjazne, jakieś urozmaicenie dla jej wrażliwości. Tego potrzebuje koniecznie jej natura wrażliwa, natura, jej temperament; nie chce ona powrotu do rozpusty lupanarów, którą się brzydzi, ale nie znosi życia szarego, bez odrobiny uczucia, wrażeń, poezji.

Nie wiem, czy dobrą obrała metodę p. Sawrymska, unikając z nią wszelkich rozmów na temat jej przeszłości. Przeszłość ta jest zbyt dla Anny żywą, zbyt bolesną, aby można było jej nie dotknąć, jeżeli stosunek ma być serdeczny i pełen ufny. Jeżeli przeszłość ta będzie zgóry i stale ze wzajemnego stosunku wyrzucona, to zawsze pozostanie coś niedopowiedzianego, i stosunek mimowoli utrzyma się na stopie konwenansu. Tak mi się zdaje. Mam też nadzieję, że wkrótce p. Sawrymska, obcując z Anną i dotykając zbliska jej duszy, jej trosk i cierpień, zboczy z drogi tych ostrożności, które sobie przez zbytnie skrupuły z góry nakreśliła.

Pociągiem wieczornym o g. 6, z ciężką troską w sercu, wyjechałem przez stację Płociany do Bobryszka. Jednym pociągiem z Płocian odjeżdżał mój brat Paweł, spostrzegłem jeszcze na peronie kolejowym p. Sawrymską i Annę, które przyszły mię tam jeszcze pożegnać. Pożegnaliśmy się chustkami na pożegnanie. Tęskno mi i smutno. Niepokój o Annę mię trapi. W nocy o godz. 1½ przyjechałem do Bobryszka, skąd mam dalej wycieczkę parostatkiem.

13 (26) lipca. rok 1911. środa.

Po przyjeździe do Bobrujska o godz. 1½ w nocy, zostałem na stacji do świtu, a wtedy ~~znowu~~ pojechałem dorożką na Berezynę na przystań, skąd odchodzą parostatki. Okazało się wszakże, że przystań jeszcze zamknięta, parostatków niema i niewiadomo kiedy odejdą. Wobec tego wróciłem do miasta i zalokowałem się w zajeździe. Było już 6ta rano. Parę godzin zasnąłem, o 8mej znów wstałem i wkrótce pojechałem znów na Berezynę. Powiedziano mi, że parostatek, który idzie do Parycz, odejdzie o g. 1½ popołudniu, drugi zaś, który ~~ma~~ powinien iść dalej za Paryczę, jeszcze nie przyszedł z Borysowa i niewiadomo jeszcze, kiedy odejdzie. Pojechałem więc jeszcze raz do miasta, zjadłem obiad i wreszcie siadłem na parostatek do Parycz. Droga statkiem po Berezynie o wiele milsza, niż koleją lub końmi. Niema kurzu, powietrze przepiękne, czyste, aromatyczne, widoki prześliczne. Łąki nad Berezyną skoszone, dokoła olbrzymie stogi ślicznie zebranego siana. Rzeka pachnie sianem, skoszoną trawą, gdzieniegdzie żywicą sosen. Berezyna jest jedną z najulubieńszych moich rzek. Kocham się w jej fali statecznej, w jej łęgach zielonych, pokrytych obfitą roślinnością pachnących traw i kwiecia, gęstych zarośli lub lasków dębowych. Rzeka o niskich przeważnie, zielonych brzegach, toczy powolnie swe wody śród nieprzejrzanych łęgów, na których w ~~ch~~ chwili obecnej kipi właśnie gorąca praca sianozbiorów. Cicho, słonecznie. Z Parycz przyjechałem łódką do Bielcza. Zastałem Grzechnę, Kotunię i wszystkich ich dzieci od Elizki do Zosi w komplecie.

Nie mogłem się wszakże pozbyć mej troski o biedną Annę, ~~[illegible]~~ którą zostawiłem strapioną, smutną w Rybakach. Napisałem do niej kartkę z Bobrujska. Nie schodzi mi ona z oczu. Boże, jak jej dopomóc, jak ~~[illegible]~~ zapewnić jej ocalenie!

Dziś wypada I rocznica urodzin mojej córki Celki Römerówny. Wielka to dla mnie data. Długo mi jeszcze wypadnie czekać, nim w niej świadomą miłość pozyszczę, zwłaszcza że nas z nią warunki tak okrutnie dzielą; ale miłość tego dziecka jest dla mnie dziś uczuciem najstateczniejszym, na którym ze spokojem i z ufnością moje marzenia o przyszłości opieram. 14 (27) lipca rok 1911. czwartek.

W Bielczu mam zabawić niedługo; mam zabrać stąd Stefana Mieczkowskiego i pojechać z nim do Staryniak i Kamyttów dla dokładnego obejrzenia ziemi i lasów w obu ~~w~~ tych majątkach. Wyjedziemy ze Stefanem zapewne w niedzielę.

Po rannej herbacie pojechałem z ~~El~~ moją siostrzenicą Elką Pruszanowską do Robertowa o 4 wiorsty od Bielcza. W Robertowie mieszka Elwira i Stefan. Wypiłem u nich herbatę, pogawędziłem, umówiłem się ze Stefanem co do wyjazdu i na obiad do Bielcza wróciłem. Pod wieczór wyciągnąłem moją ulubioną łódeczkę ze składu, zaniosłem ją na Berezynę i popłynąłem. Choć się trochę rozeschła i przecieka trochę, jednak płynąć można. Jak postoi przez noc w wodzie, to już całkiem dobra będzie. Wykąpałem się też w Berezynie, przepłynąłem rzekę wpław tam i z powrotem i wróciłem łódeczką do Angielszczyzny, gdzie ją pod dozorem stróża naszego na noc zostawiam. Jazda łódką po Berezynie, prócz znakomitego sportu dla mięśni w szczególności dla płuc, daje mi niezrównany sposób wzruszenia natury kontemplacyjnej, które spadają gdzieś het na dno mojej psychiki, tworząc tam kapitał energii na przyszłość.

15 (28) lipca.
rok 1911.
piątek.

Jeździłem łódeczką w kierunku Paryż, kąpałem się ze Stefanem Mieczkowskim w Berezynie. Mam tu w Bielczu łódeczkę, którą nikt nie jeździ oprócz mnie; leży ona przez lato całe gdzieś w lamusie a dopiero się na mój przyjazd wyciąga. Jest ona wąziutka, bardzo długa, leciutka, cała z desek zbita i deskami kryta; w środku jest jeno otwór, do którego się siada; siedzi się na dnie z nogami wyciągniętemi; to utrzymuje równowagę łódeczki, bo punkt ciężkości przenosi się przez to na samo dno. Wiosłuje się jednym wiosłem, bardzo długim, zaopatrzonym w łopatki po obu końcach, tak że się naprzemian to jeden to drugi koniec wiosła do wody zanurza i gdy jeden jest zanurzony, to drugi wysoko się do góry podnosi. Łódeczka ta jest niezwykle zwrotna i lekka. Jedzie się nią pod górę rzeki przeciwko prądowi bez żadnego wysiłku, a żadna inna łódeczka nie wyrówna w szybkości, gdy się na wyprzódki spróbuje. Łódeczkę tę kupił Czesław przed laty kilkunastu w Petersburgu, a już od lat dziesięciu ja ją sobie zupełnie zabrałem i jeżdżę na niej zawsze, gdy jestem w Bielczu. Kocham się w tej jeździe po Berezynie. Rzeka płynie śród pachnących łąk, pogodna, wesoła, skąpana w słońcu. Zespół barw wody i jaskrawej zieleni łąk z laskami dębowymi opodal przepięknie się harmonizuje w złotych promieniach słońca. Stapiam się z tą piękną naturą w czystej kontemplacji; czuję się błogo, jak liść gdzieś w łonie przyrody; pozbywam się wszelkich namiętności, trosk, wyzuwam swoją indywidualność w zespole wszechbytu, jako drzewo jakieś w łonie ziemi; natomiast to uosobienie indywidualności, które się wyraża w czynie, w namiętności, w uczuciu, tu na razie całkowicie się zatraca.
Wieczorem byłem w B[illegible]. Przyjechała tam z Bohdaniszek moja siostrzenica Helcia Römerówna, Maryni córka. Napisałem dziś list do Anny Wolberg.

16 (29) lipca rok 1911. sobota.

Będąc w Bielczu, lubię się bawić z gromadką dzieci Truszanowskich. Ciekawe to są dzieci, dziko i chaotycznie rosnące, bez dokładnego kierunku wychowawczego, psute przez ojca, niedające się okiełznać przez matkę, schorowane już i osłabione. Ale grunt w nich (w większości przynajmniej) bujny, temperament barwny, ciekawe i wielka rozmaitość wydatnych typów. Faworytki moje — to są Irka i Józieczka. Są to małe zupełnie istotki, Irka — 12-letnia, Józia — 10-letnia. Każda z nich zamyka w sobie odrębny światek. Irka gospodarna, zabiegliwa, troszcząca się wciąż o czyniś, niezmiernie praktyczna i spostrzegawcza; serce ma złote, jest prędka i zawsze bardzo realna, bardzo konkretna; kocha się w koniach, psach, w swym osiołku, zawsze w porę o nich pomyśli, aby ich nie przeciążano pracą, nakarmiono i t. d. Jest to wcielony ideał skrzętnej gosposi; energję ma niespożytą, temperament żywy i arbitralny. Taka sama jest w zabawie i we wszystkiem, co robi. Ma przytem dużo ambicji, lubi, aby ją dobrze oceniano. Józia jest w znacznym stopniu antytezą Irki; jest trzpiotem, daje się unosić wrażliwości i fantazji, kocha się w ostrych podniętach wrażeń, jest o wiele bardziej wyrafinowaną; do nauk Józia ma podobno zdolności fenomenalne; dziewczynka ta działa na nerwy, gra na nich nader umiejętnie i skutecznie; robi to oczywiście po dziecięcemu, bezwiednie, ale kiedyś będzie to niebezpieczna dla chłopców dziewczyna, która już niejednego figla wypłata. Józia rysów regularnych nie ma, ale ma w sobie „du diable" czy „du chien"; na suchej, nerwowej i wciąż drgającej wrażliwością twarzy ma duże czarne oczy skośne nieco z chińska oprawne, błyskające ogniem białka na tle powłóczystego spojrzenia czarnych źrenic; usta ma szerokie o wąskich wargach, nadające twarzy wyraz trochę okrutny i ironiczny, co w związku z powłóczystością spojrzenia i błyskiem białek tworzy dziwny zespół kontrastów. Nie zostanę tu już opisać tego pięknego dziecka, w którym tkwi zaród niezmiernie ciekawej kiedyś kobiety. Wieczorem, będąc w Bobetkowie, opowiadałem gromadce dzieciaków, — Hali, Żeni i Józi Truszanowskim i Heli Römerównie — bajkę o szczurołapie. Opowiadałem z werwą, improwizując obficie i budząc gorący zachwyt słuchaczy. Bawiły się dzieci i ja się bawiłem znakomicie.

Życie moje w Bielczu składa się z 2 ele- | 17 (30) lipca
mentów: jednym jest Bereczyna, drugim | rok 1911.
— dzieci. Zawsze kochałem dzieci i ciągnę do
nich, bo dostrzegam w nich całkowitą wyśniedziela-
rozistość charakterów, prostotę i szczerość.
Nikt chyba tak nie umie bawić się z dzieć-
mi, jak ja. Nietylko je bawię, ale ba-
wię się z niemi sam z całego serca. Mam
w sobie bowiem sam spory zasób dziecin-
nej prostoty i lubię ujawnianie się ~~[illegible]~~
stanów psychicznych w całej ich rozcią-
głości, w całej konsekwencji.
Pojechałem przed obiadem do Robertowa do
Mieczkowskich. Bawi tam właśnie Helcia
Römerówna i bawię 2 małe Pruszanow-
skie, faworytki moje, Irka i Józia.
Śpiewaliśmy im improwizowane ~~[illegible]~~ pio-
senki o przygodach Irki i Józi w lesie
z wilkiem. Improwizacje moje dla dzie-
ci przy fortepjanie na wieczyście też sa-
mą nutkę piosenki francuskiej „frère
Jacques, frère Jacques, dormez-vous?" —
przeplatane odpowiednią modulacją tonów
i wyrazów głosu w śmiechu, płaczu i
wszelakich wrażeniach, — są jednym z
nieśmiertelnych tytułów do mojej popu-
larności u dzieci. Józiecka, która jest
niezmiernie wrażliwa, jest cała porywa-
czona entuzjazmem w stosunku do mnie.
Swoim zwyczajem przekomarza się wciąż ze
mną, śledzi mię i nie odstępuje na krok. Za-
chwyt tego ślicznego dziecka jest dla mnie źródłem nie-
zrównanej uciechy i rozkoszy. Przez zachwyt i figle tej
dziewczynki odkrywa mi się cała jej duszyczka, wyłania
się w tym mieniu wrażliwości cały charakter, cała psychika
tego człowieczka, tworząc przepiękny epos, w którego kontempla-
cji doznaję rozkoszy artystycznej większej, niż przy czytaniu
~~epos~~ największych eposów literackich. Jest to prześliczny
żywy epos.
Wieczorem ze Stefanem Mieczkowskim wyjechaliśmy z Bielcza.
Pojechaliśmy koleją do Paryża, gdzie o godz. 11 w nocy siedliśmy na
parostatek, który nas zawiezie do Bobrujska. Pojedziemy statkiem
przez cały noc. Kajuta I klasy przepełniona; o należytym wyspaniu się
niema mowy. Będziemy ze Stefanem spali po kolei.

18 (31) lipca. rok 1911. poniedziałek.

Jeno po jakieś 3 godziny mogliśmy się ze Stefanem przespać na statku — po kolei to jeden to drugi, bo miejsca było mało. O godz. 7–8 rano przyjechaliśmy do Bobrujska. Stamtąd wyruszyliśmy wkrótce pociągiem do Mołodeczna, gdzie stanęliśmy o godz. 4 popołudniu. Myśleliśmy zamiast jechać wprost z Mołodeczna wziąć furmankę do Staryniek, ale nam powiedziano, że z Wilejki będzie bliżej i droga będzie lepsza, niż z Mołodeczna. Wobec tego postanowiliśmy jechać koleją do Wilejki i dopiero stamtąd końmi. W Mołodecznie mieliśmy 4 godziny czasu do odejścia pociągu na Wilejkę. Zjedliśmy więc obiad i ruszyliśmy na przechadzkę. Poprowadziłem Stefana drogą w kierunku Hurel, tą samą drogą, którą akurat tydzień temu wiozłem Annę Wolberg do p. Sawrońskiej. Droga ta budziła we mnie świeże wspomnienia i zwracała myśl moją do biednej Anny, którą w Hurelach stroskaną zostawiłem i od której żadnej wiadomości odtąd jeszcze nie miałem. Idąc drogą hurelską czułem się coraz bliżej Anny. Zaledwie jakaś mila przestrzeni dzieliła mię od niej. Jak się biedaczka czuje, co robi, o czym marzy, do czego tęskni? Chciałbym ją widzieć, chciałbym jej biedne serce ukoić. Doszedłszy drogą tą do plantu kolei siedleckiej, zawróciliśmy na prawo i torem kolejowym wróciliśmy do Mołodeczna, zakreślając wielkie koło. Spacer nasz wyniósł jakieś 7–8 wiorst drogi. O godz. 8 wyjechaliśmy do Wilejki.

W Wilejce postanowiliśmy zanocować, bo nie mieliśmy ochoty tłuc się po nocy 4 mile drogi do Staryniek i nie chcieliśmy tam sprawiać kłopotu tak późnym nocnym przyjazdem. Baliśmy się też nocować w Starynkach z tego względu, że Mieczyś Bołtupuowicz wnet by się dowiedział o naszej obecności i przyjechałby z Obodowiec, aby razem z nami objeżdżać majątki spadkowe, jak sobie tego życzył. My zaś wolimy objeżdżać majątki na własną rękę, bez wtrącania się Mieczysia. Do Staryniek zamierzaliśmy teraz zajechać tylko po plany i chcemy zaraz z planami do [illegible]. Zanocowaliśmy więc w Wilejce w zajeździe, który znałem od lat jeszcze dziecinnych pod firmą Estelli, który teraz zwie się hotelem szlacheckim. Zajazd ten obudził we mnie żywe wspomnienia lat dziecinnych i naszych wyjazdów konnych z Hańca do Wilejki.

13 lipca / 1 sierpnia rok 1911. wtorek.

Wstaliśmy ze Stefanem o godz. 4–4½ rano. Po wypiciu herbaty ruszyliśmy zaraz najętą parą koni pocztowych do Stanyczek. Ponieważ droga prowadzi tuż przez Kasutę, zatem wstąpiliśmy zboczyć nieco do Kasuty. Chciałem bowiem zobaczyć, jak wygląda Kasuta teraz po śmierci Babuni, w posiadaniu Mieczysia Bohdanowicza. Tyle mię wspomnień łączy z Kasutą, tyle chwil młodości tu spędziłem! Od r. 1894 do mniej więcej 1905 prawie że corocznie przyjeżdżaliśmy tu z Mamą i siostrami w sierpniu na jakieś parę tygodni na imieniny Babuni. Tu spędzaliśmy czas zawsze w licznym gronie dorastającej i dorosłej młodzieży najbliższych krewnych naszych, Wołodkowiczów i Bohdanowiczów, oraz dalszych, jak Borowskich, Bohdanowiczów Stajeckich, Małkowieckich i t. d. Tu odbywały się ciągłe spacery konne, trochę flirtu, włóczęgi i t. d. Kasuta przy Babuni była starannie utrzymana na stopie wykwintnej. Teraz wygląda trochę na ruderę. Dziedziniec porosła chwastem, dróżki niegracowane, pokoje w pięknym domu mieszkalnym ogołocone z mebli, zimne. Przebiegłem go cały, pogrążony we wspomnieniach, tchnących jeszcze żywą tradycyją Babuni. Zdawało się, że z każdych drzwi, z każdego zakrętu korytarza może się lada chwila ukazać Babunia, wysoka, z czepkiem na głowie, w długim czarnym szlafroku. Kasuta sprawiała mi wrażenie żyjącej Babuni.

Do Stanyczek przyjechaliśmy koło godz. 11 rano. Zastaliśmy tam całą rodzinę c. Zosi Tukałłowej oraz c. Cesię Tukałłową. Wzięliśmy od Mieczysia Tukałły plan Mamyłów i po obiedzie wyjechaliśmy do Mamyłów. Koni użyliśmy do przebycia 37 wiorst drogi. Po drodze wykąpaliśmy się ze Stefanem w jakiejś rzeczce, która przepływa między Iliją a Chociencyczami. Około godz. 8 wieczorem przyjechaliśmy do Mamyłów. Zalokowaliśmy się w pokoju rogowym od frontu wjazdowego, zjedliśmy kolację, wypiliśmy herbatę i jazda do łóżek. Mieliśmy zamiar rozejrzeć się w planie i w związku z aktami oceny arbitrów, aby się przygotować do naszej roboty jutrzejszej, lecz, ponieważ Stefan po wypiciu 2 kieliszków wódki jakoś dziwnie się odurzył, zaniechaliśmy już na dziś tego zamiaru. Kazaliśmy więc przynieść kilka wiązek siana z obory, które rozesłaliśmy na podłodze i na którym wnet usnęliśmy.

20 lipca
2 sierpnia.
rok 1911.
Środa.

Wstaliśmy ze Stefanem o 5tej rano i po spożyciu lekkiego śniadania z herbaty i jaj ruszyliśmy do pracy. Wziąwszy leśniczego Stefańskiego za przewodnika i z planem oraz oceną arbitrów w ręku poszliśmy oglądać całe Mamrys-ty. Robotę rozłożyliśmy na 2 dni. Na dziś zakreśliliśmy sobie obejrzenie samej fermy Mamryszów, następnie lasów w kierunku Tralmi, dalej lasów w kierunku Morek i stamtąd lasów aż po folwark Wasryn. Budynki oglądał Stefan, ziemię i las oglądaliśmy wspólnie i po wspólnej naradzie notowaliśmy. Lasy pod Tralmią i nad [redacted] rzeczką Udrą przecięte. Sosny wyniosłe, strzeliste pod niebo sięgające, mnóstwo sztuk towarowych. Majątek jest nadzwyczaj leśny, jakby [redacted] ciężarny brzemieniem rosnącego kapitału. Słońce i parno w lesie, aromat sosnowy [redacted] odurza zmysły; całodzienne bez wytchnienia niemal chodzenie po lesie zmęczyło nas, ale nie wyczerpało; zdaje się, że Stefan był więcej ode mnie zmęczony. W porze obiadowej usiedliśmy na łące nad rzeczką Udrą, wykąpaliśmy się w jej chłodnym nurcie, następnie zjedliśmy po kurczaku i ruszyliśmy dalej. Trzeba przyznać, że piękny był dzień. Ocena arbitrów ułatwiła nam robotę znakomicie. Dość przejść się przez każdy uroczysko leśny, aby się zorientować. Bez oceny nie bylibyśmy w stanie zapoznać się z lasem, bo samo przejście się daje tylko pewne ogólnikowe wrażenie, ale ścisłych pomiarów i obliczeń zastąpić nie może. Rad jestem, że tu przyjechałem. Znam teraz każdą działkę leśną, orientuję się w jej wartości, wiem dokładnie, z czym mam do czynienia. Jak samo przejście się bez dokładnej oceny, tak najściślejsza ocena [redacted] na papierze bez uzupełnienia jej żywym spostrzeżeniem i wrażeniem osobistym byłyby niedostateczne. Pod wieczór wróciliśmy z Wasryna do Mamryszów w bryczce, tam zjedliśmy suty wieczerz z jajecznicy, mleka kwaśnego z kartoflami i mleka świeżego i [redacted] poszliśmy na noszach posłaniach z siana. Stefan jest mi pomocny, jakkolwiek spostrzegam z radością, że i sam też umiem się orientować na lesie i ziemi. Od Stefana zaś mam o wiele lepszą zdolność orientowania się i lepszą pamięć lokalną.

Lubię Stefana, ma on zalety niewątpliwe, jak skromność, pracowitość, delikatność. Ale w bliższym obcowaniu przekonuję się, niestety, że ma on w sobie dużo cech parweniusza. Nie ma w nim żadnej stateczności przekonaniowej, zupełny brak jakiejkolwiek ideowości; [redacted] zdaje się, że imponuje mu nade wszystko pieniądz, siła materialna, [redacted] zachłanność użycia i ciach zmysłowych. Wybitną cechą Stefana jest chełpliwość i małostkowa parweniuszowska próżność.

21 lipca / 3 sierpnia roku 1911. czwartek.

Skończyliśmy dziś oglądanie Mamyłów. Od wczesnego ranka do zmroku chodziliśmy po polach i lasach. Byliśmy w Podgrudziu, objeżdżaliśmy Kasryn, Płosy, „Daukszewo”, „Saj”, „Czarną Łupę”, „Krasnowszczyznę”, zaścianki ~~Z~~ Placówkę i Zaścierki z lasami przyległymi, ~~folw~~ wreszcie folwark Terechowkę z lasami przyległymi. Popas obiadowy — w Placówce. Mniej ciepło, niż wczoraj, ale chodzenia po lesie więcej, to też i zmęczenie duże. Nogi znużone, ale ~~—~~ na zdrowie praca ta służy znakomicie. W kilku działkach mieliśmy znów prześliczny las towarowy, — wysokopienna smukła sosna, prosta, jak strzała, i całkowicie na towar wyborowy zdatna. Las Mamyłowski — to perła spadku. Szkoda tylko, że Mamyły mają spław dość daleki (12 wiorst) i niedogodny; nie mają też kolei; wartość drzewa i transportu przewyższają tu ceny, znacznie się przez to obniża a i sosna nie może reprezentować tu tej wartości, co w Staryńkach nad Wilją.

Przyjrzałem się dokładnie Kasrynowi i lasom doń przyległym. Jest to ta ewentualna działka, którą może otrzymać Mama, gdyby swoje udziały Staryńskie przy komasacji na Mamyły przeniosła. Gdyby Mama miała wziąć Kasryn, to w proporcji do przydziału Mamy, otrzymałaby też taki kawał lasu, któryby wyniósł ± 190 dziesięcin lasu z tzw. działkami pięknej towarowej sosny. Wypadłoby też w tym trochę serwitutu, ale w ogóle posiadłość byłaby piękna. Mieczyś Bohdanowicz bardzo życzy, aby Mama się w Mamyłach skomasowała, bo sam chciałby się na Staryńki przenieść wespół z c. Różą, wyprawiwszy stąd Władkowiczów i c. Cesię na Mamyły i jeszcze sobie pewne skrawki Mamyłowskie też rezerwując. Podejrzewam, że w dalszej konsekwencji zechciałby on c. Różę przenieść na Kasryn a sam ostatecznie w swym ręku Staryńki skupić. ~~[illegible]~~ W Wilnie starał się on wobec mnie i Mamy dyskredytować Staryńki a podnosić Mamyły, spodziewając się, że my się na oślep na Mamyły rzucimy i że jeszcze gotowi będziemy coś ustąpić na tej zamianie. Moją zaś taktyką będzie wyczekiwać i się bronić. Sobie jestem pewien dla Mamy korzystne [illegible] w Staryńkach i w Mamyłach bez komasacji. Wiem, że Staryńki to świetny majątek. Nie mają one wprawdzie takiego lasu towarowego, jak Mamyły, ale mają las rosnący ~~[illegible]~~ i takie warunki, jakich Mamyły dużo nie mają (spław i Wilja).

Staryńki nie dadzą może w tej chwili takiej łatwości kapitału, jak Mamyły, ale to, co narasta, będzie na lesie Staryńskim, będzie bez żadnego porównania bardziej wartościowe, niż narastanie na lesie Mamyłowskim. To też kwapić się z przeniesieniem cząstek Mamy na Mamyły nie będę. O ile dotyczy mnie, czas poczekam z Mamyłami. Staryniek nie objąłem jeszcze, doszedłem do przekonania, że można się zgodzić na skomasowanie się w Mamyłach, ale tylko z uwzględnieniem tego, co tracę na ustąpieniu ze Staryniek. ~~[illegible]~~ Mieczyś Bohdanowicz tak chce na Staryńkach się zostać, że przypuszczam, iż ostatecznie sam na ustępstwa pójdzie, by się kwapić nie było.

22 lipca / 4 sierpnia. rok 1911. piątek.

Rano wyjechaliśmy ze Stefanem z Mamutów via Ośćinkowicze na Stanyszki. Upał, kurz szkaradny. Między Rostami a Iłją wykąpaliśmy się w rzece w tym samym miejscu, gdzieśmy się kąpali przed paru dniami jadąc do Mamutów. O południu byliśmy już w Ośćinkowiczach. Zastaliśmy wuja Ignacego i wujenkę. Wuj był serdeczny, ale, jak zwykle, po swojemu, nie przestając być cynikiem i nie umiejąc się pozbyć szyderstwa. Biedny to człowiek. Posiada bogactwo, wygodę najwyszukańszą, jest w stanie szeroko dogodzić swym fantazjom, a przecie nie może się pozbyć nudy, która go trawi. Z natury wuj ma wrażliwą, miękką, głowę ma dobrą. Ale od dzieciństwa był rozpieszczony, przywykł zbytnio dogadzać sobie i z nikim się bardzo nie liczyć, gdy o niego chodziło; stał się samolubnym, sybarytą, wystudził swe uczucia, nie ukochał nigdy idei, jak nie ukochał też głębiej nikogo, i teraz ma przesyt i nudę, a w dodatku jest próżny, jest kaprysny i pozbawiony tęższej woli.

Z Ośćinkowicz o godz. 4 pojechaliśmy przez Olszynkę do Obodowców. Zastaliśmy tam Mieczysia Bohdanowicza, Nusię Mieczysiową, ich dzieci, dalej Manię Falkowską, siostrę Nusi, i Stasia Falkowskiego. Nusia źle wyglądała; postarzała trochę, zbrzydła; może zresztą była tylko nie dostrojona ubrana. Zato młoda siostra Nusi, najmłodsza z Falkowskich, 17-letnia Mania, która zaratem kiedyś małą dziewczynką, wyrosła na piękną pannę. Jest milcząca, skupiona w sobie, bardzo ładna. W oczach ma jeszcze jakiś wyraz twardy, wzrok ma badawczy i skupiony i jakby zdźbełko szyderczy, ale nie jest przez to ujmą piękna.

Pożycie Mieczysiów Bohdanowiczów sprawia przykre wrażenie. Nusia Mieczysia nie kocha, jest pod urokiem Jana Borowskiego. Mieczyś wie o stosunku Borowskiego do Nusi; nie kocha jej, ale cierpi z powodu głęboko obrażonej dumy i ambicji. Stosunek Mieczysia do Nusi jest jakiś nieszczery, srogi, nawet na pierwszy rzut oka, zaś między nimi jakieś nieporozumienie. Wyrosło na ambicji, na strachu przed ośmieszeniem się i zwłaszcza wzgląd na dzieci, które Mieczyś niezmiernie kocha, zmuszają go do utrzymania małżeństwa. Ten nieszczęśliwy Mieczyś w małżeństwie, tym bardziej, że ma go przykro do rodzinnego interesu. Wieczorem pojechaliśmy do Stanyszek.

23 lipca / 5 sierpnia. rok 1911. sobota.

Od wczesnego ranka rozpoczęliśmy ze Stefanem oglądanie Stanyuek. Obeszliśmy pole folwarku Stanyuek, stamtąd weszliśmy w las, przeszedłszy puszczę przy folwarku Prozorowie, dalej pole prozorowskie, w samym Prozorowie zatrzymaliśmy się w porze obiadowej, pijąc mleko i jedząc jaja, dalej przez pasiekę i piękny las sosnowy obeszliśmy do folwarku Pożaryszcze, stamtąd przeszliśmy jeszcze kawałek lasu i o zmroku wróciliśmy do Stanyuek. Folwark Prozorów z przyległą puszczą jest zdaniem moim najniebezpieczniejszą schedą w spadku. Puszcza składa się przeważnie z osiny z dodatkiem jodły. Gęstwina osiny i leszczyny z mnóstwem butwiejącego powalenia sprawia wrażenie jakiejś dziczy, jakichś lasów pierwotnych, nietkniętych ręką ludzką. Jako towar, las ten ma małą wartość, bo może być wyzyskany prawie wyłącznie na opał, zbytu zaś na opałową osinę na miejscu niema. Do spławu las ten źle się nadaje, ceny nie ma, bo kupcy osiny nie kupują. Dla Mieczysia Bohdanowicza las ten mógłby mieć wartość, bo Mieczyś ma budować kolej do Wiazynia (?) i stawiać tartak. Dla innych zaś spadkobierców las ten byłby tylko ciężarem. Mieczyś Bohdanowicz dobrze to rozumie i ma w tym atut w ręku, bo straszy nas Prozorowem i chciałby przez to zastraszenie wyłudzić od nas przeniesienie się na Mańczyły (?) na warunkach dla nas gorszych. Puszcza Prozorowska wynosi w ocenie arbitrów grubą sumę; gdyby ją nam wydzielono, wyssałaby prawie całą naszą schedę. Ponieważ zaś c. Zofia otrzyma prawdopodobnie fundum Stanyuki i stamtąd, wskutek swojej figury majątku, zagarnęłaby prawdopodobnie bór sosnowy w kierunku Wilji, więc Prozorów i Pożaryszcze pozostałyby zapewne stawione na naszej schedzie. Ewentualność otrzymania Prozorowa z puszczą jest dla nas wielkim niebezpieczeństwem, które trzeba uchylić na wstępie i od którego się bronić. Natomiast Pożaryszcze ma las piękny sosnowy i stanowiłoby wartą schedę.

Wieczorem przyjechała do Stanyuek Nusia Bohdanowiczówna z siostrą, Marią Falkowską. Nusia dziś wyglądała bardzo ładnie.

24 lipca / 6 sierpnia roku 1911. niedziela

Lasami sosnowemi i olchowemi poza granicą Obodowiecką doszliśmy dziś do Łuhów i Wilji. O godz. 10 rano byliśmy już nad Wilją i, zmęczeni upałem i ciągłym od dni kilku chodzeniem po lasach, z rozkoszą żeśmy się wykąpali w rzece. Dalej Łuhami doszliśmy do leśnika, gdzie spożyliśmy zaimprowizowany obiad, złożony z jaj, kwaśnego i słodkiego mleka, chleba i kwasu. Środkiem boru sosnowego wróciliśmy na godz. 5tą do Stanyczek. Wrażenie nasze jest takie, że Stanyczki, z wyjątkiem puszczy prozorowskiej, nie tylko że nie są mniej wartościowe, niż Mamyty, jak to chce mówić ciocia Zosia i Mieczyś Bohdanowicz, ale [illegible] prawdopodobnie nawet o wiele więcej warte i w każdym razie, jako położone nad Wilją, mają grubą wyższość od Mamytów przyszłości. Narastanie wartości lasu Stanyczkim, tak na wzroście lasu, jak na wzroście [illegible] ceny towaru leśnego, będzie [illegible] poprostu nieobliczalne. Wziąwszy dziś bór Stanyczkim sobie w 100000 podług oceny arbitrów, mógłby za lat 20 urość do tym z pół miljona. Zresztą wszelkie obliczania jest tu niemożliwe; zostaje jeno do stwierdzenia fakt, że bór sosnowy Stanyczki jest w całym tym spadku interesem najrzyskowniejszym*, mającym największą przyszłość. Bór ten już dziś mógłby dać gotówkę, a jeśliby się [illegible] wyczekać, to się na nim zysk skoczy kilkakroć. Oceniony jest względnie do Stanyczek tanio. Arbitrowie na lesie Stanyczkim strącili 25% z oceny normalnej, podczas gdy na Mamytowskim strącili tylko 15%. Mieczyś Bohdanowicz i ciocia Zosia Tukałłowa, chcą całe Stanyczki wziąć dla siebie, przetransportowawszy Kuchcę, Wołodkowiczów i c. Cesię na Mamyty, a więc żeby tego dopiąć, gotowi na wszelkie sposoby, że Mamyty oceniono za tanio a Stanyczki za drogo i chcą nas Stanyczkami zastraszyć. Stracimy to my lecz, bo

*) Mamyty są nawet, o ile nie Stanyczki, bynajmniej nie, większe, tylko nie są większe przyszłości; co do [illegible] — trudno się przewidzieć, że [illegible]

25 lipca
7 sierpnia
roku 1911.

Przed paru dniami otrzymałem list od Anny Wolberg z Puzel. List ten wcale mnie nie zadowolił. Anna pisze krótko, ogólnikowo i bezbarwnie. Powiada, że używa spacerów, że czuje się zdrowa, że jest jej u p. Sawrońskiej dobrze, że czeka mego przyjazdu i w końcu znów powtarza o swej wdzięczności dla mnie. Z listu tego widoczne, że Anna pisze raczej z poczucia pewnego obowiązku, niż z wolnego popędu. Wiem, że w istocie spokojna nie jest, że czuje w sobie pełno wątpliwości, zamierzeń, uczuć, tęsknot nieokreślonych i smutku. Tego w liście niema. Wogóle list ten nie odzwierciedla wcale jej duszy i jej istotnego stanu. Pragnąłbym od niej listu, któryby był wyjątkiem z jej prawdziwego dziennika, i wtedy dopiero wiedziałbym, co myśleć i jak ją ratować i prowadzić dalej. Niestety — rozumiem, że tej szczerości zupełnej, tej prawdy uczuć i myśli wymagać od niej nie mogę. To jej własność, której się doświadczeniem [illegible] nie kupuje. Jej stany wewnętrzne są nieraz dla niej samej zagadką, dla jej świadomości za głębokie. Trzeba czegoś więcej ponad wdzięczność, aby mi je ona otworzyła z całą prostotą i szczerością. Muszę więc je sam studjować i zgadywać, by je ratować. Trudne to zadanie, które [illegible] z p. Sawrońską! Listek Anny był pisany po niemiecku. Ponieważ ona źle [illegible] językiem własnym, więc już sam ten fakt był przeszkodą do szczerości w liście. Pozatym jestem dla Anny przedewszystkiem dotychczas dobrodziejem. Przez jedną chwilę, przez jedną noc ~~[illegible]~~ tylko byłem jej kochankiem, ~~[illegible]~~ ale to już mało jeszcze. Ukochanym, bohaterem jej serca nie byłem i nie jestem. Przyjacielem mógłbym się stać, ~~[illegible]~~ i chwilami nim byłem, ale oddalenie obecne znów musiało ten związek przyjaźni rozwiać. Na stałe zaś utrzymała się tylko moja rola i mój tytuł dobrodzieja — tytuł bardzo najgorszy dla szczerości stosunku, bowiem wyklucza między stronami równość. Z oddalenia zaś niczym innym być nie mogę, zwłaszcza że Anna nie jest w stanie się zorjentować w moich pobudkach i w moim działaniu. Tę rolę dobrodzieja będę musiał w jej umyśle wyplenić całkowicie, bo inaczej nie zdołam jej pomóc. Muszę zdobyć tytuł przyjaciela. List więc Anny mnie nie zaspokoił. Dziś wszakże otrzymałem kartkę od p. Sawrońskiej, która mnie trochę pocieszyła. P. Sawrońska pisze, że polubiła szczerze Annę i że się z nią dobrze porozumiewa. Jeżeli tylko p. Sawrońska się nie myli i jeżeli Anna nie maskuje się przed nią zbytecznie, to wiedz, to jest dobrze. Serdeczny i przyjazny stosunek Anny z p. Sawrońską byłby bardzo dodatnim czynnikiem na przyszłość. Nie wątpię, że Anna całkowicie swych stanów wewnętrznych przed p. Sawrońską nie otwiera; chodzi tylko o to, że jakaś miara się kryje.

Skończyliśmy dziś ze Stefankiem oglądanie Starzynek. Obeszliśmy same tylko boru sosnowego, który znaleźliśmy w stanie dobrym — jest to samo serce spadku, który jest rzeczą wyjątkową. Zwiedzaliśmy i jesteśmy dokonaniu kilkodniową [illegible], a dziś [illegible] na drodze [illegible] z boku przez parowy [illegible] pasieką poprzez [illegible] do kąpieli. Kąpiel [illegible] w [illegible], ale [illegible] tej pasieki [illegible] był straszliwie [illegible]. Zdaje się [illegible], że Stefan się [illegible] więcej, ale [illegible] zmęczył i pod koniec już ledwie [illegible] woli utrzymywał. Drogą [illegible] Starzyńskiego. Wieczorem wyjechaliśmy ze Starzynek [illegible] pociągiem [illegible].

26 lipca / 8 sierpnia rok 1911.

Wracam jeszcze ze Stefanem do Bielcza, gdzie za 3 dni zabawię dla ostatecznego zredagowania sprawozdania z naszych oględzin Mamyłów i Stanyuk. Stamtąd dopiero we wtorek rano jeszcze [illegible], Wilno dotrę wreszcie do Bohdaniszek.

Całą noc i dzień spędziliśmy ze Stefanem w podróży ze Stanyuk do Bielcza. Po naszej kilkodniowej pracy w Mamyłach i Stanyukach wyczerpani jesteśmy i zmęczeni. Chodzenie po lesie, po wertepach i po wałach osinowych i podłowych, po gąszczu zarośli, po czarnych bagnistych torfach leśnych i po skwarnym palącym borze sosnowym, rozłożonym w słońcu, wstając o świcie i pracując do nocy, — zmęczyło nas. Na zdrowie to nam posłużyło, czujemy się dobrze, ale wypoczynek i sen są po takiej pracy niezbędne. Opaliłem się jak cygan, ciało nabrało tężyzny, nogi stały się jak stalowe. Krążąc się we wszystkich kierunkach po lesie po jakichś 10 godzin dziennie z jednogodzinną zaledwie przerwą na obiad i na kąpiel, musieliśmy robić co najmniej po jakichś dwadzieścia kilka wiorst pieszo — i to bez dróg żadnych, po samym gąszczu leśnym. Co się w tym czasie napociło — pewno po jakimś garncu potu dziennie. To też teraz w drodze spać się nam chciało niewypowiedzianie. Byliśmy ze Stefanem jak 2 senne muchy. Na krótkim dystansie z Krzywicz do Mołodeczna zaledwieśmy się na dobre w sen pogrążyli, musieliśmy zaraz wysiadać. W Mołodecznie trzeba było czekać przeszło 2 godziny na pociąg do Bobrujska. W poczekalni duszno było i ani marzyć o miejscu dla nas. Wyszliśmy więc na peron i położyliśmy się na ławeczkach, na których przespaliśmy się nieco. Dalej znów spaliśmy w pociągu do Bobrujska. W Bobrujsku złapała nas burza z wichrem i ulewą. Stamtąd dojechaliśmy po Berezynie parostatkiem do Paryża. Z Paryża dotarliśmy na noc łódką do Bielcza, płynąc śród [illegible] oparów nocnych, wznoszących się gdzieniegdzie w fantastyczne kontury mgły.

27 lipca / 9 sierpnia / rok 1911. / Środa.

Na obiad poszedłem pieszo do Robertowa do Mieczkowskich. Wróciłem stamtąd po obiedzie do Bielcza z siostrzenicami memi Helcią Römerówną i Józią Truszanowską oraz z ich nauczycielką francuską. O zmroku wybrałem się na przejażdżkę ~~[illegible]~~ moją łódeczką po Bereżynie w kierunku Paryż. Wieczór był cudny. Cicho, bez wiatru, rzeka czysta i spokojna. W blaskach zachodu rzeka się srebrzy i zda się rozlewać aż ku łąskom dębowym, których kontury migocą w wodzie. W zmroku linje zatracają wyrazistość kształtów; stają się płynne i rozlewne, zmieszają się ze sobą i nabierają widmowego kształtu. Kontury się wysubtelniają w mgle cieniów przejrzystych i rzeka, ~~[illegible]~~ oraz jej brzegi, we dnie tak realne, cielesne, — stają się fantazją dziwnego snu. Pojechałem trochę więcej, niż do pół drogi do Paryż, i zawróciłem z powrotem. Wstał księżyc pełny, wpierw ceglasty, a dalej srebrny, rzucając złotawy mieniący się blask na wodę.

28 lipca.
10 sierpnia
rok 1911.
czwartek.

Większą część dnia zajęty byłem kolorowaniem kopji planu Stanguszek. Pomagały mi w tym moje siostrzenice Elizka Pruszanowska i Helcia Römerówna. Elizka zresztą pomagała mi tylko do obiadu, dopóki jej brat Sienio był zajęty lekcjami z nauczycielem. Jak tylko lekcje te się skończyły, Elizki już ani śladu nie było; podkochuje się bowiem w nauczycielu i przez cały dzień jest zajęta myślą, jak go gdziekolwiek w przechadzce upolować. Z całym zapałem 18-letniego serca hoduje w sobie kwiaty miłości. Elizka ma pod tym względem moją naturę i jest niesłychanie wrażliwą i równie łatwo i prędko, jak ja, się zakochuje. Zdaje się, że bohaterów miłości zmienia prędko; są to raczej przelotne miłostki, niż miłość głęboka i tragiczna. Umie czuć intensywnie, gorąco, ale zbytek wrażliwości zastępuje jej pod miłości wyłącznej: umie zapominać, ~~[illegible]~~ gdy prędko rany serdeczne zalewa jej uczucie drugiem. Elizka podoba mi się w tym roku o wiele więcej niż w roku zeszłym. Jest wrażliwa, subtelna, ma rozwinięte poczucie szlachetności i taktu, serce bardzo dobre; nieśmiała jest, ale po oswojeniu wesoła i prosta; bodziec ~~[illegible]~~ miłości dodaje jej uroku i żywotności; niema tego znudzenia, tej pustki, którą w roku zeszłym miała. Zapewne jest kapryśną trochę, jak wszyscy Pruszanowscy, i samowolną, ~~[illegible]~~ ale to się kojarzy z wielką ~~prostotą~~ naturalnością; niema w niej nic wyrachowania, nic [illegible]; żyje dla życia, nie szuka spekulacji. Wyrosła też na piękną dziewczynę.

Wczoraj, ~~[illegible]~~ przy wylewaniu wody z łódeczki, rozdarłem sobie ciężko [illegible] głęboko stopę prawą. Z powodu głębokiej rany nie chciałem pływać dziś łódką. Ale nie wytrzymałem i pod wieczór siadłem do niej i popłynąłem. W pięknym zachodzie słońca popłynąłem w górę rzeki aż do [illegible]. Wracałem przy świetle księżyca. ~~[illegible]~~ Koło północy powiozłem z [illegible] siostrzenic moich [illegible] starego [illegible] Berezyną do [illegible], gdzie [illegible] ze wszystkich stron. Było dużo uciechy!

Na obiedzie byłem u Mieczkowskich w Robertowie; stamtąd wróciłem ze Stefanem linijką do Bielcza. Choć to ostatni dzień mego pobytu w Bielczu, jednak po Rezerynie nie pływałem, bo dłoń prawa mocno rozraniona i nie chcę rany przez wiosłowanie jątrzyć. 29 lipca / 11 sierpnia. rok 1911. piątek.

Kotunia i Ezechjel zwrócili się do mnie z prośbą, abyśmy z Marynią przyjęli w Wilnie na mieszkanie ich syna Sienia. Będzie to zależało od tego, czy rozszerzymy nasze mieszkanie wileńskie czy nie. Marynia projektuje dobrać do naszego obecnego mieszkania sąsiednie mieszkanie Janulaitisa i spekulować na wynajmowaniu poszczególnych pokoi. ~~Zamie~~ Wtedy chętnie Sienia przyjmiemy na mieszkanie i utrzymanie; ma też zamieszkać u nas od jesieni Niunia, córeczka c. Róży Tukałłowej. Zdaje się, że Marynia chciałaby przyjąć na lokatę i Hektora Komorowskiego, ale [illegible] Hektora nie chciał; byłby on oczywiście nie na stopie lokatora, lecz domownika, i Hektor zaś ~~ju~~ już nie jest dzieckiem, więc w rygorze trzymany być nie [illegible], a jako stały domownik byłby krępujący.

30 lipca / 12 sierpnia rok 1911. sobota.

Wstałem o 4tej rano, żeby wyjechać na pociąg ranny z Krasnego Brzega. Po drodze zatrzymałem się na parę godzin dla sprawunków w Mińsku i na wieczór przyjechałem do Mołodeczna, skąd mam jechać do Turel do p. Ławrońskiej i Anny Wolberg. Ponieważ nie chcę przyjechać do Turel na noc, aby ewentualnie nie sprawić kłopotu p. Ławrońskiej, więc w Mołodecznie zanocuję. Upał miałem w drodze stalowy. Susze i upały tegorocznego lata — nadzwyczajne. Taka ilość słońca, jaką mamy, jest w naszym klimacie nadkosięg. W Mołodecznie zajechałem do miasteczka, do zajazdu żydowskiego bardzo czystego i porządnego. Miasteczko dobrze mi znane z czasów, gdy kolei Siedleckiej nie było i gdy stąd końmi do Kasuty jeździliśmy. Niegdyś Mołodeczno słynęło szkołami; miasteczko niemałe prawie wyłącznie żydowskie; ~~[illegible]~~ miasteczko stoi na pustkowiu, na szczerych piaskach, nad błotami, które się stąd rozciągają; skrzyżowanie kolei Libawskiej z Siedlecką wpływa na podniesienie Mołodeczna. Klęską Mołodeczna są powtarzające się często pożary; ~~[illegible]~~ w roku bieżącym Mołodeczno już 3 razy się spaliło.

31 lipca / 13 sierpnia. rok 1911. niedziela.

Z Mołodeczna południowym pociągiem wyjechałem przez Połoczany do Purel. Anna Wolberg zobaczyła mię zdaleka i wybiegła na ~~spotkani~~ spotkanie moje. Nie jestem zadowolony ze stanu Anny, w jakim ją zastałem. Jest bardzo zmizerowana, samotna, onieśmielona. Pani Ławrońska nie zdołała ją zbliżyć do siebie, otworzyć sercem, pojąć. Zapewne, że Anna pod względem poziomu inteligiencji i kultury stoi o wiele niżej od p. Ławrońskiej. Jest to dziewczyna z ludu, dziczka, ale natury bujnej, bogatej, z której dużo zrobić można i która w sobie ciekawą treść zawiera. P. Ławrońska tego dostrzec nie zdołała; stosowała się do niej przez pryzmat umysłowości inteligenckiej i nie potrafiła wyrwać ją z samotności i onieśmielenia i zrównać ze sobą. To działało na Annę przygnębiająco, pozbawiało ją energii, inicjatywy, pewności siebie. Na skutek tego Anna przebyła cały ten czas w Purelach jakby w odrętwieniu, nie mogąc uwydatnić swej treści wewnętrznej, swych uczuć, tęsknot i myśli. Zamykała się w swym dzienniku i na zewnątrz wcale się nie ujawniała. Stała się wobec mieszkańców i gości purelskich niemą, bezbarwną. Ten czas pobytu w Purelach był dla Anny męką. Próbowała kilkakrotnie przemówić serdeczniej do p. Ławrońskiej, nawiązać stosunek poufniejszy, ale oddźwięku trwałego nie znalazła. W pierwszym tygodniu pobytu, gdy w Purelach gości nie było, stosunek p. Ławrońskiej do Anny był serdeczniejszy, potem wszakże, zwłaszcza od czasu przyjazdu doktorowej Szwengrubenowej, p. Ławrońska stała się oschlejszą dla Anny. Z obserwacji mojej dzisiejszej sam się przekonałem, że p. Ławrońska istotnie nie jest taką, ~~[illegible]~~ jakaby była dla Anny do opieki potrzebna. W końcu tego tygodnia p. Ławrońska wraca już do Wilna i Annę zabiorę. Będę się starał znaleźć dla Anny w Wilnie zajęcie w kapelusznictwie. Na nocny pociąg wyjechałem z Purel do Mołodeczna.

Rannym pociągiem przyjechałem do Wilna. Część dnia spędziłem u siebie na porządkowaniu rzeczy, pod wieczór wyszedłem na miasto dla zobaczenia się z rozmaitymi ludźmi, do których mam interesa. Upał trwa wciąż nieustający. W moim mieszkaniu, pomimo okiennic zamkniętych, 22 stopnie Reaumura. Na ulicy spiekota okropna. Po kilku krokach pot zalewa całe ciało i spływa z pod kapelusza deszczem gęstych kropel. 1 (14) sierpnia. rok 1911. poniedziałek.

Odwiedziłem Srajewskiego, u którego nocy dzisiejszej urodził się syn. Widziałem się z Łuckiewiczami, Nagrodzkim, p. Bortkiewiczową, Połowińskim. O sprawach naszego projektowanego pisma dowiedziałem się co następuje. Był projekt wydawania zamiast tygodnika — taniej ~~dwugro~~ brukowej dwugroszówki codziennej. Nagrodzki, Krzyżanowski i Witold Abramowicz nasz projekt ten ~~.....~~ rozważali i mieli zamiar urzeczywistnić go w ten sposób, aby wejść w układ z wychodzącym od 1 lipca „Słońcem Porannym" Świetlińskiego i wziąć to pismo w swe ręce. Ze względu na moją nieobecność musieli ~~...~~ się oni z decyzją wstrzymać, a tymczasem „Słońce Poranne" już znalazło skądś pieniądze i już podobno układu z nami nie chce. Co do mnie, to stanowczo przeciwny jestem układom z „Słońcem Porannym" i w ogóle stosuję się sceptycznie do wydawnictwa brukowego; najbardziej bym pragnął pisma ludowego, jeżeli zaś takowe jest niemożliwe, to ze wszystkich innych typów pism najbardziej bym się skłaniał ~~..~~ w danych obecnych warunkach do tygodnika. Zaczynam się obawiać, żeby i tym razem, jak bywało stale od lat 5, projekt pisma postępowego nie rozpełzł się na mrzonkach i gadaninie. A tymczasem wciąż nowe i nowe pisma się zapowiadają, podczas gdy u nas ciągła chwiejność i walkowanie projektów.

Dzień dzisiejszy zabawiłem jeszcze w Wilnie na załatwieniu najpilniejszych spraw bieżących.   2 (15) sierpnia rok 1911. wtorek.

Wieczorem rozmówiłem się z p. Felicją Bortkiewiczową w sprawie Anny Wolberg. Chodzi o znalezienie dla niej zajęcia po przyjeździe do Wilna. Anna ma wrócić do Wilna z p. Ławrynską w ten piątek lub sobotę. Mnie w tym czasie w Wilnie nie będzie. Anna zamieszka narazie w moim mieszkaniu do mego powrotu z Bohdaniszek. Wrócę w poniedziałek lub wtorek. Ponieważ jednocześnie i Marynia wraca do Wilna ze Stefusiem, więc zaraz po przyjeździe będę musiał zlokować Annę gdzieśkolwiek indziej. Trzeba też będzie zaraz znaleźć dla niej zajęcie. Zostawiać ją samotną bez zajęcia — nie można. Po takich przejściach, jakie miała Anna, samotność i nadmiar wolnego czasu są niebezpieczne. Niepożądane jest, aby się zbytnio gnębiła w rozpamiętywaniu przeszłości. Uważam, że nawet ten dziennik, nad którym Anna ciągle ślęczy, jest niepotrzebny. Żadnych przeszłości i wspomnień — zwłaszcza takich! Chciałbym dać Annie zajęcie w fachu kapelusznictwa. Jest to praca miła, oparta na pomysłowości i poczuciu piękna. Nie jest to nudna mechaniczna robota. Annie zaś właśnie trzeba pracy takiej, któraby się z jej wrażliwością dobrze skojarzyła. W pracy tej miałaby też towarzyszki i życie umiliłoby się przez to. P. Bortkiewiczowa ma się zwrócić do pani Łopkowskiej, litwinki, która ma tu w Wilnie piękny magazyn i pracownię kapeluszy. Najchętniej pragnąłbym, żeby się udało ulokować tam Annę w charakterze uczennicy. Zresztą dużo będzie zależało od wrodzonych zdolności Anny. Anna ma dość dużo zmysłu piękna, więc mam nadzieję, że może się okaże [illegible] do tego fachu.

3/16 Sierpnia
rok 1911.
Środa.

Pociągiem południowym wyjechałem z Wilna do Bohdaniszek. Z radością jadę do domu. Stęskniłem do Bohdaniszek kochanych. Całe lato zeszło mi to na sprawach kupna udziału w Stanykach, to na podróżach po Białej Rusi. Dopiero teraz na krótką chwilę udało mi się wyrwać do domu. To też z tęskną radością powitałem za Święcianami mój kraj kochany, widoki rodzinne pagórków i jezior błękitnych. ~~[illegible]~~ Od Święcian na północ i wschód ~~[illegible]~~ wygląd kraju się zmienia kompletnie. Ustają piaski nadwilejskie, zaczyna się natomiast glina, powierzchnia ziemi staje się falista, śród wzgórz błękitnieją liczne jeziorka, barwy się zgęszczają, przechodząc w tony szczere surowe i posępne, barwa nieba nabiera jakiegoś odcienia ołowianego, zwłaszcza w chmurach. To nasza Litwa - Auksztota, przedsionek północy, ogniwo krain Bałtyku. Granice tego krajobrazu Bałtyckiego odpowiadają tu mniej więcej granicom osiedlenia litwinów i białorusinów. Kraj ten, kraj falistych pagórków i jezior, przedłuża się za Dźwinę, na Inflanty i gub. Witebską i het dalej poprzez ziemię Nowgorodzką i Pskowską spada w błota Karelji i wielkie jeziora Ładogi i Onegi. Zdawałoby się, że warunki klimatyczno-topograficzne powinnyby złać kraj ten w jedną więź kulturalno-państwową, litewsko-fińską. Rzeki wszakże okazały się potężniejszym czynnikiem dziejowym kultury, wiążąc Litwę z całym dorzeczem Niemna i stamtąd hen z Dnieprem, Bugiem i Wisłą i odrywając ją od krain zza Dźwiny, tamując prastare braterstwo z Łotyszami na rzecz słowian. W Bohdaniszkach zastałem Rodziców, Maryńkę i Stefusia. Tegoż wieczora zacząłem zdawać Mamie sprawę z moich oględzin Stanynek i Manuyłów.

4 (17) sierpnia, rok 1911. czwartek.

Zdawałem dziś sprawę Mamie z moich oględzin Stanygiek i Maniuszyłów i z ewentualnych horoskopów działu. Mama się przestaje niepokoić, gdy widzi, że ja się dobrze orjentuję w sprawach tego spadku i że mam określoną linję wytyczną, której się trzymać będę. Program mój w dziale jest taki: albo skomasować nasze cząstki na Maniuszyłach, o ile to nam na warunkach dogodnych zaproponowane będzie i o ile Mieczyś Bohdanowicz nam przedstawi pewne szanse, że otrzymamy w działce naszej folwark Kazaryn w dobrej figurze z lasem trzyfalowym (?), albo wziąć naturalnie naszą cząstkę w obu majątkach osobno, a w takim razie dążyć do otrzymania w Stanygiekach bądź działki w Dziarnyszczu (?) bądź w borze sosnowym od granicy Chipcek (?) i Juncewicz. W dalszej zaś przyszłości będzie mnie osobiście chodziło o to, aby Mama bynajmniej się nie pozbywała swej działki; z lasu, zwłaszcza w Maniuszyłach, można będzie wybrać kilkadziesiąt tysięcy kapitału, a poza tym nie dewastować wszystkiego, lecz zachować działkę w naturze w dożywociu (?) Mamie z narastającym lasem; będzie to rezerwa dla naszego przyszłego działu kiedyś po Mamie. Ja bowiem stoję z siostrami w każdym razie do równego działu; ale mi chodzi o to, aby Bohdaniszki w naturze dzielone nie były; ponieważ zaś niektóre z sióstr moich, jak Elwira i Marynia i siostrzeniec nasz Henryś Wołłowicz, ziemi nie mają, a mogą ewentualnie zechcieć takowej, przeto w posiadłości Mamy będzie dla nich kompensata w naturze za wzięcie w Bohdaniszkach spłaty bez tykania tam ziemi.

Bawiłem się dziś żywo z dziećmi w gry rozmaite — w piętnaszki, cyrkowca (?) i Zuabafolskiego (?) w ogrodzie oraz w chowanego na strychu. W grach tych uczestniczył siostrzeniec mój Stefuś, jego towarzysz i korepetytor 16-letni Arkadjusz, wesoły i miły chłopak z 6-tej klasy gimnazjum, wzięty do Stefusia na lato, rozjaśnienie (?), i mała dziewczynka Matylka, z biednej rodziny miejskiej, wzięta przez Marynię na lato. Stefuś i Arkadjusz spragnieni byli zabawy ze mną i przez całe lato z utęsknieniem oczekiwali mego przyjazdu. To też zabawa szła raźnie i wesoło.

Dowiedziałem się nieco szczegółów o mej córeczce. Zaczyna już chodzić a zwłaszcza pełza znakomicie. Wiadomość tę pochodzą od Stasia Römera, syna Izydora. Staś widział córeczkę moją latem w Cytowianach. Był w Antonosiu (?) i przyjeżdżał do Bohdaniszek w czasie mej nieobecności i tu o córeczce mej opowiadał.

5 (18) sierpnia rok 1911. piątek.

Rano pojechałem do Kowaliszek. Zastałem tam wszystkich w domu, to znaczy Elizkę i Zysia oraz Hektora, Julka, Zitkę i małą Milusię. Opowiadałem im dużo o Bielicach, o cioci Kasi, o stronach wilejskich i t.d.. Nadewszystko zaś musiałem opowiadać o sprawie działu Staszynek i Mamutów. Zysiowi zależy, aby działka Mamy jaknajprędzej po dziale spieniężona została. Oczywiście, że w jego interesie jest, aby Mama miała w ręku kapitał, z któregoby mogła dopomagać gotówką nam wszystkim. Unieruchomienie kapitału w ziemi i w rosnącym lesie nie podoba się Zysiowi. Słowem coraz bardziej się przekonywam, że każdy z nas ma inne w tym dziale ~~..~~ pragnienia. Niepodobna będzie wszystkim dogodzić. Co jednemu się podoba, to innemu nie. Dopóki Mama nie miała, był spokój. Teraz im więcej Mama ma, tym rozmaitsze narastają pożądania i zaczyna się już zarysować kolizja dążeń. Mam wszakże nadzieję, że Mama będzie się mocno trzymała jednej pozycji i nie da się zachwiać. W interesie większości nas jest wybranie przez Mamę kapitału z lasu towarowego i zachowanie poza tym działki w naturze, jako rezerwy dla ~~.....~~ przyszłego naszego spadku.

W Kowaliszkach miło mi czas zeszedł. Wieczorem o zmroku wróciłem do Bohdaniszek, wioząc ze sobą Zitkę, którą Elizka z okazji mego przyjazdu ~~..~~ uwolniła do nas na dni parę.

Cały dzień spędziłem bądź na za- (10) sierpnia.
bawie z dziećmi, Zitką, Stefu- rok 1911.
siem, Arkadjuszem i Natalką, sobota.
bądź na omawianiu z Mamą
sprawy dzielczej.
Z poczty przyszło drukowane ozna-
mienie o ślubie Stefana Rös-
nera, syna † Bolesława, z nie-
jaką Stefanją Heim. Ślub odbył
się w ostatnich dniach lipca w
Londynie. Podobno to panna
Heim, obecna żona Stefana,
jest amerykanką, bogatą, bodaj
czy nie miljonerką. Ciekawa
rzecz, jakie będzie ich pożycie
małżeńskie i czy Stefan zejdzie
wreszcie z drogi oszustw i swin-
dli. Może jak będzie miał pie-
niądze, to się ustatkuje.

7 (20) sierpnia rok 1911.

Niedziela. Podług starego zwyczaju odprawia się w Bohdaniszkach, gdy Papa jest w domu, wspólna głośna modlitwa. Zbierają się w niedzielę wszyscy domownicy w „wielkim" pokoju i klękają przy krzesłach; każdy ma swoje miejsce do klęczenia od lat dawna ustalone; Mama, jako niemogąca klęczeć, siedzi w swym fotelu, Papa klęka przy stole, na którym stawia krucyfiks, i odczytuje głośno z książki do nabożeństwa jedną z litanij, na które wszyscy odpowiadają chórem. Zwyczaj to tradycyjny, którego Papa przestrzega z całą ścisłością. I ja też, chociaż daleki jestem od prawowierności katolickiej, nigdy zwyczaju tego wobec Papy złamać nie pozwolę. Wiem bowiem, jak toby było boleśnie dla Papy, którego wiara jest jednolita i prosta i który nie jest w stanie pojąć innego układu wiary i sumienia, jak w ramach tego kościoła, w którym się każdy dany osobnik urodził. Swobody sumienia Papa nie jest w stanie zrozumieć i uszanować. Formalizm wiary Papy jest tak serdecznie naiwny i szczery, że go tykać nie mogę, bo obraziłbym przez to najgłębsze strony sumienia Papy i ~~[illegible]~~ odtrąciłbym Ojca oraz zraniłbym go najboleśniej. Nie ~~[illegible]~~ mogę szanować treści wiary Papy oraz kształtu takowej, lecz szanuję bez zastrzeżeń ~~[illegible]~~ szczerość i rzetelność tego subjektywnego pierwiastka, który się w wierze Papy zawiera, niezależnie od ~~[illegible]~~ jej wartości objektywnej. W życiu dużo jest takich rozdwojeń między prawdą objektywną i subjektywną, wymagających wyrozumiałości i nieraz niekonsekwencji.

Przed obiadem przyjechali Hektor i Julek Komorowscy i zabawili dzień cały. Bawiliśmy się z nimi oraz z dziećmi w [illegible] gry, potem gawędziliśmy. Wieczorem Hektor i Julek wyjechali na noc na polowanie na [illegible] w lesie [illegible].

8 (21) sierpnia rok 1911.

Ostatni dzień spędzony w t. r. Bohdaniszkach. Tradycyjnie zabawy z dziećmi — w króla i w cyrkowe.
Hektor i Julek na polowaniu nocy poniedziałkowej czy dzisiejszej w lesie Montowskim zastrzelili borsuka, młodą samicę, dużą sztukę i niezmiernie tłustą. Chłopcy z polowania pojechali wprost do Kowaliszek a zwierzę zabite tam odesłali. Skórę borsuka im się odda, tłuszcz zaś, bardzo obficie z borsuka zebrany i przetopiony, posłuży dla Mamy do wcierania od reumatyzmów i artrytyzmów.
Zraziła mnie dziś Mama przez wymyślanie na Litwinów za to, że pisma litewskie wyciągają z zapomnienia na światło dzienne rozmaite ciężkie szczegóły ze stosunków pańszczyźnianych i z ucisku, jakiego ongi w poddaństwie chłopi od panów doznawali. Nazywa się to piętnowaniem stosunków wsi z dworem, szczuciem na panów. Szlachta nie lubi, żeby jej winy przodków wobec ludu wytykano. Kłamią natomiast każdy fakt kradzieży leśnej przez włościan lub ~~innej~~ innej podobnej „zbrodni" ~~a~~ skwapliwie uogólniają, trąbiąc o rzekomej demoralizacji włościan. Że prasa litewska, jako włościańska, zapewne też nieraz zbytnio uogólnia wybryki gwałtów pańskich za pańszczyzny — to pewna, ale niemniej pewne, że wszelkie krzywdy i też ludu w pańszczyźnie były tak wielkie, iż najskrupulatniejsze notowanie wspomnień z przeszłości takowego nie wyczerpie. I któż ma pachować tę świadomość krzywd i kto ma je policzyć, jak nie chłop i prasa jego. W ustach chłopa krzywda ta jest twarda i dla ucha szlachty drażliwa. Szlachta wolałaby drapować pańszczyznę w ~~[illegible]~~ przestanki sielankowo-patriarchalne, chcąc same szczegóły gwałtów, jako wyjątki. Chłop natomiast twierdzi po prostu w sercu bez względu sielankowości, bo go te krzywdy bolą do dziś i bo dziś jeszcze porachunki jego ze szlachtą niezałatwione. W walce stanowo-klasowej, dopóki ona trwa, sztorcy i miłego bratania się nie ma.

Wieczorem przyjechał do Bohdaniszek na parę godzin Zyś Komorowski. Wyjechałem z Bohdaniszek na pociąg nocny, dochodzący z Abel po północy.

9 (22) września rok 1911. Wtorek.

Po nocy, spędzonej w wagonie, stanąłem około godz. 9 rano w Wilnie. W mieszkaniu moim zastałem Annę Wolberg, która już w piątek z Turek od p. Sawrymskiej wróciła. Ponieważ o godz. 2 popołudniu przyjeżdża z Łotdaniszek Marynia ze Stefusiem, więc musiałem zaraz po przyjeździe zająć się przeniesieniem Anny z mego mieszkania i zalokowaniem jej gdziekolwiek. Przedewszystkiem poszedłem do p. Felicji Mościckiewiczowej, od której się dowiedziałem, że pani Sapkowska, właścicielka magazynu mód, zgadza się przyjąć Annę w charakterze uczennicy w dziale kapelusznictwa. Za naukę w ciągu roku pobiera 100 rubli, płatne w dwóch ratach. Choć to ciężka ofiara dla mnie, ale będę musiał koszt ten ponieść. Skoro się podjąłem opieki nad Anną, nie mogę się cofnąć w pół drogi. Zresztą p. Sapkowska powiada, że w ciągu tygodnia potrafi określić, czy Anna ma zdolności do kapelusznictwa czy nie. Jeżeli ich mieć nie będzie, to trzeba będzie ją stamtąd wycofać i coś innego znaleźć, a wtedy p. Sapkowska zapłaty nie weźmie. Gdyby zaś odpowiednie zdolności u Anny się znalazły, to koszt ten sowicie się Annie opłaci, bo fach ten przy zdolnościach jest bardzo zyskowny i zarazem miły oraz dla wrażliwej natury Anny bardzo odpowiedni. W kwestii zalokowania Anny ~~miałem~~ byłem zafrasowany, co robić. ~~[illegible]~~ Myślałem ulokować ją tymczasem w jakichś przyzwoitych pokojach umeblowanych, ale gdybym ją tam wprowadził, pomyślano by zaraz, że to moja utrzymanka. P. Mościckiewiczowa poradziła, żebym się w tej sprawie zwrócił do praczki Piątkowskiej. Tak też zrobiłem. Piątkowska przyjęła Annę tymczasem do mieszkania pp. Platerów w domu cioci Zosi Tyszkiewiczowej na Nadbrzeżnej. Mieszkanie to tymczasem jest puste z powodu wyjazdu pp. Platerów na wieś. Piątkowska ma to mieszkanie pod swym dozorem. Piątkowska zaproponowała mi, abym potem zalokował Annę w jej mieszkaniu na Antokolu, gdzie ona ma pokoiczek do wynajęcia; gdy wszakże Piątkowska Annę zobaczyła dobrze ubraną, to osądziła, że pokoik ten będzie za mały i za ubogi dla Anny niemeblowany; my z Anną postanowiliśmy jednak pokoik ten u Piątkowskiej obejrzeć i ewentualnie wynająć, co zrobimy jutro. Na obiad zaprowadziłem Annę do restauracji Szyllinskiej i potem na spacer na górę Zamkową. Przy obiedzie wypiliśmy z Anną kawy z koniakiem. Anna się ożywiła. Jest to natura ciekawa, bardzo wrażliwa, skupiona, zamknięta w sobie, uważna, rozwijająca się w całej pełni i blasku dopiero za jakąś podnietą. [illegible] jest dla Anny zawsze momentem krystalizacji. [illegible] w [illegible] i serdecznie się garnie do mnie. Anna jest szczera i bardzo miła ze mną. ~~[illegible]~~ Myliłem się, gdym sądził przed miesiącem, że się w Annie kochać zaczynam. Nie kocham się w niej, lecz, gdy jestem przy niej, ulegam jej urokowi.

10 (23) sierpnia, rok 1911

Obejrzałem pokoik dla Anny u Piątkowskiej na Antokolu; jest istotnie malutki, na facjacie na poddaszu w małym parterowym domu, tuż nad samą Wilją. Zdecydowaliśmy się go wszakże wziąć tymczasem na próbę; cena za pokoik — bardzo niedroga — 3 rb. miesięcznie. Wątpię wszakże, czy tam na stałe Anna zostanie; spróbujemy tymczasem. Dziś jeszcze Anna zanocuje w mieszkaniu Platerów, a jutro się tam przeniesie. Znów byłem z Anną na obiedzie w restauracji Myśliwskiej, gdzie spędziliśmy z nią parę godzin, popijając po obiedzie kawę z benedyktynem. Te parę godzin, które Anna spędza ze mną, są dla biedaczki jedyną osłodą nudnego i samotnego dnia. Zajęcia jeszcze nie ma, cały dzień spędza samotnie, z Piątkowską prawie że się rozmówić nie może. Daję jej przy obiedzie trochę likieru, bo to [struck out] ją ożywia i daje jej kilka chwil intensywniejszych. A tak biedaczka ma mało wrażeń teraz, tak jest stęskniona, tak opuszczona. Anna ma w sobie dużo zmysłu kontemplacyjnego, lubi myśleć, kombinować, zestawiać swoje wrażenia. Przypomina mi ona trochę mój własny charakter, trochę moją siostrę Marynię; brak jej tylko wykształcenia, ale natura bogata. Ciekawe jest też w jej charakterze to, że z bardzo subtelną i giętką wrażliwością kojarzy się u niej wybitna i szczera samodzielność. Anna nie ulega autorytetowi opinji, jest wolna całkowicie od przesądów, wszystko analizuje i rządzi się wyłącznie własnym poczuciem. Obdarzona jest zmysłem spostrzegawczości i jest zupełnie w sądach swoich i wyrazicielka nieraz fleszna. Piękny to charakter, któryby w odpowiednich warunkach kultury mógł wydać kwiat prześliczny. Wywiera ona na mnie urok nietylko przez swą powierzchowność, ale przez ten swój charakter, który w młodym zwłaszcza wieku przypominającej czasem ... Anna kocha np. przykład Żydów, bo się jej tak podoba wbrew uprzedzeniom środowiska, z którego wyszła; nie wyznaje żadnych formuł religijnych, chociaż musi mieć w naturze dużo zmysłu religijnego; kocha pieśni; lubi się przyglądać życiu, nawet niekoniecznie poszukując nietyle zabawnych wrażeń, ile kontemplacji takowych. Błaga mię, abym we wszelkich zabawach moich brał ją ze sobą. Powiada, że chce poprostu być w tych zabawach moich spektatorem, ot tak abym ją brał ze sobą, jak biorę mój kij. Przytem jest bardzo delikatna i subtelna pod względem pieniężnym i bynajmniej nie żąda.

Wieczorem poszedłem do kolegi mego ze szkoły prawa Mikołaja Jewreinowa, który tu jest wiceprokuratorem w Sądzie Okręgowym. Zastałem tam drugiego prawnika, aczkolwiek [struck out] nie jednej z nami klasy, Sergjusza Andrzejewicza, który jest także wiceprokuratorem i który odprowadzał mnie do Jewreinowa. Stosunek mój z Jewreinowym po rozstaniu się naszym w Wilnie był dość sztywny — nie bywaliśmy też u siebie wcale. On — prokurator, ja — przejęty wtedy odrodzeniem ideałami pracy społecznej. To nas dzieliło, jak dwa biegunowe przeciwieństwa. Dziś byłem u niego w interesie dwóch więźniów politycznych, skazanych za rewolucję roku 1905; chodziło o to, aby Jewreinow poparł ich uwolnienie przedterminowe, gdy sprawa będzie rozważana w komisji specjalnej, do której należy. Rozmówiłem się z nim o tej materji, potem raz spędziłem z nim i z Andrzejewiczem parę godzin na gawędzie przy herbacie. Stopniowo sztywność zniknęła zupełnie, rozgadaliśmy się i harmonja się ustaliła kompletna, zupełna wzajemna, które były coś z koleżeństwa naszego pozostało, pod dołkiem nas objęła obecnie dzielącym nas czynnikiem.

Spotkałem się dziś z dr. Boguszewskim. 11 (24) sierpnia
Boguszewski z Buszczyńcem projektują rok 1911.
~~stwor~~ zorganizować zespół ludzi dla
wspólnego zaprenumerowania do Wil. czwartek.
na ilustrowanych wydawnictw arty-
stycznych w najrozmaitszych językach.
Cukiernia Sztrala na prospekcie pozwa-
la dla zespołu tego osobny pokoik, w
którym będą leżały te pisma i do któ-
rego w godzinach wieczornych będą
mieli wstęp tylko członkowie zespołu.
Ma to być zawiązkiem kawiarnianego
życia w Wilnie. Zapytany przez Bogu-
szewskiego, zgodziłem się do zespołu tego
należeć.
~~Wieczorem~~ Pod wieczór znów, jak zwykle,
zaprowadziłem Annę na obiad. Przy obie-
dzie wypiliśmy trochę koniaku i przy-
szła nam chęć spędzenia wieczoru
~~[illegible]~~ we dwoje. Przewieźliśmy
rzeczy Anny z mieszkania Platerów
do pokoiku na Antokolu, najętego od
Rytkowskiej. W pokoiku tym nie było
jeszcze wcale łóżka, więc tym bardziej
Anna zostać w domu na noc nie
mogła. Poszliśmy z nią do hotelu,
gdzie na miłosnej zabawie noc spę-
dziliśmy. Trochę wszakże nierad je-
stem z tego, czuję się winnym; le-
piej było tego nie robić. Cóż wszakże
poradzę, gdy temperament mię uno-
si, a obcowanie często z Anną działa
na mnie podniecająco. Zaczynam
spostrzegać, że Anna się potrochu
podkochuje we mnie, pożąda mnie,
tęskni, zazdrości. Dobrze, że już
wkrótce Anna do pracy stanie. Próżniactwo
nie może w tych warunkach być dobre.

12 (25) sierpnia, rok 1911. piątek.

Przychodził do mnie Jeleński (z „Naszej Niwy"). On to miał być sekretarzem projektowanego tygodnika postępowego, który ja redagować miałem. Nie mam pojęcia, czy pismo to dojdzie do skutku i kiedy. Od przyjazdu do Wilna nie widziałem się jeszcze z Nagrodzkim. Mówił mi Jeleński, że Nagrodzki chce skorzystać z mającego w tych paru dniach zacząć wychodzić dziennika „postępowego", zakładanego przez Jerzego Jankowskiego (Szumana) i Benedykta Hertza; Nagrodzki projektuje wejść z nimi w układ pod warunkiem wprowadzenia do ich redakcji człowieka wyraźnych ~~[illegible]~~ przekonań postępowych i, ~~[illegible]~~ gdyby układ stanął, Nagrodzki przelałby ewentualnie do tego pisma udziały, zebrane na tygodnik. W sprawie dalszego gromadzenia udziałów na tygodnik Nagrodzki z Trzcianowskim i Wit. Abramowiczem dotychczas żadnej akcji poza Wilnem nie prowadzili. Gubernie Mińska i Mohylowska, z których można było by przy odpowiedniej agitacji udziały pozbierać i które są pod tym względem hojniejsze od innych części naszego kraju, dotychczas wcale poruszone w tej sprawie nie były. Ja osobiście mocno wątpię o wartości i powadze tego projektowanego dziennika Jankowskiego i Hertza. Same osoby założycieli źle mi o piśmie świadczą. Są to kabotyni i snoby w gruncie rzeczy, choć zdolności literackie i giętkość posiadają. ~~Wątpię też~~ Nie wierzę też w szumnie brzmiące zapewnienia o tym, że to będzie pismo informacyjne takiego wzoru, co warszawski „Kurjer Poranny". Skąd wezmą na to środki? Zdaje się, że cała afera oparta na spekulacjach z ogłoszeniami. Nie dostrzegam też nic ideowego w całym tym przedsięwzięciu. Nasz projekt tygodnika byłby zapewne przez układ z takim pismem spaczony.

13 (26) sierpnia rok 1911. sobota.

Załatwiałem dziś moją korespondencję zaległą z lata. Spodziewam się, że się już z nią za parę dni uporam, a wtedy projektuję zasiąść na serjo do mojej pracy o Białej Rusi. Praca ta już też wielce zaległa i ciąży mi na sumieniu.

Stefuś, synek Maryni, skończył dziś swe egzamina do klasy wstępnej gimnazjum Winogradowa. Prywatnie Marynia się już dowiedziała, że Stefek przyjęty zostanie.

O południu zaprowadziłem dziś Annę do pani Felicji Bortkiewiczowej, która ją zaprowadziła do pracowni kapeluszy p. Sapkowskiej. Od dziś więc Anna staje do pracy. O godz. 4 poszedłem po Annę na Antokol, ale jej jeszcze nie zastałem; pochodziłem po Antokolu i dopiero o godz. 5, gdym już z Antokola wracał, spotkałem Annę. Była głodna, bo od rana na czczo, więc ją zaraz do restauracji Myśliwskiej na obiad zaprowadziłem. Ucieszyłem się serdecznie, gdy mi Anna powiedziała, że zadowolona ze swej pracy. P. Sapkowska zrobiła na nią, jako chlebodawczyni, bardzo dobre wrażenie: była bowiem dla Anny uprzejma i nawet serdeczna. P. Bortkiewiczowa nie powiedziała p. Sapkowskiej o przeszłości Anny i zmyśliła, że Anna niby została z Libawy przez policję ze względów politycznych wydalona. Sama praca w kapelusznictwie też się Annie podoba; atmosfera w pracowni miła. Oby nadal Anna zadowolona była i oby się nie zniechęciła, bo ma charakter trochę przekorny i nie lubi, żeby ją strofować, a p. Sapkowska bywa podobno porywcza. Anna była dziś jeszcze trochę zmęczona, nie pracą, ale raczej bólem głowy, jako pozostałością z naszej nocy pozaprzeszłej. Wskutek tego Anna była dziś mniej ożywiona, zwłaszcza pod koniec obiadu, zamyślona, chłodniejsza. Gdy ją widzę taką, to znów we mnie się budzi tęsknota do jej miłości i jakby pewne uczucie zazdrości. Jednak miłość jej jest dla mnie cenna. Niewątpliwie nie jest ona w stosunku do mnie obojętna, ale zakochana – nie.

14 (27) Sierpnia rok 1911. niedziela.

Zmieniamy mieszkanie od św. Michała, a że to od jutra zaczyna się termin wynajmowania mieszkań, więc już dziś zaczęliśmy z Maryńką oglądać takowe. Żałuję bardzo mego obecnego mieszkania na Zakretowej; jest ono ładne, czyste, pięknie położone, ma z jednej strony widok wiejski na góry Bouffałowe, z drugiej ma plac dr. Rymszy przed sobą i het dalej ponad domami widok na góry Szeszkinie, na lasy Kalwaryjskie i góry Antokolskie; rozkład mieszkania naszego dogodny, gabinet mam duży, piękny, słoneczny, z balkonem; powietrze w mieszkaniu znakomite; a jednak, choć z bólem serca, musimy mieszkanie zmienić, bo potrzebujemy niezbędnie obszerniejszego, na 6–5 pokojów; ma u nas bowiem zamieszkać na stałe na zimę 13-letnia cioteczna siostrzyczka moja Ninnia Tukałłówna, córeczka c. Róży, i mój 16-letni siostrzeniec, Sieniu Pruszanowski, który już dziś wieczorem przyjeżdża i będzie zdawać do klasy IV w szkole handlowej. Dziś jeszcze mieszkania odpowiedniego znaleźć nie zdołaliśmy.

Pod wieczór, jak zwykle, zaprowadziłem Annę na obiad. Poszliśmy do osobnego gabinetu w restauracji przy hotelu Niszkowskiego. Przy obiedzie wytworzył się między nami w gawędce nastrój takiego podniecenia, że poszliśmy znów z Anną na kilka godzin do hotelu dla swobodnego użycia miłości, która, jak napój szumiący z czar pełnych, tak się z serc i zmysłów naszych przelewała. Stosunek nasz jest upajający jak wino młode, i tak dziwnie nas kojarzy, że to, co mi się przed kilku dniami wprost niemożliwością wydawało, teraz wytryska wręcz w przecudnej pożodze, zmieniając całe tło naszego współżycia. Anna mnie kocha. Przekonałem się dziś o tym i posiadam pewność. Anna, pomimo że przez czas jakiś była na drodze upadku, nie straciła nic na wrażliwości i kobiecości. Indywidualność jej zbyt wybitna, aby się łatwo zetrzeć na szablon dziewki, nawet w tych warunkach, w jakich była. Wstydliwość kobieca jest u niej zachowana całkowicie. Zmysłowa jest bardzo, ale nie rozpustnica. Przez tę wstydliwość i przez tę dumę, której ma dużo, nie wyzna nigdy wprost w oczy, że mnie kocha; nie zrobi tego wyznania pierwsza, bo czuje, że to ją upokorzy, a nie wierzy, abym ją mógł ja kochać, i wstydzi się wyznania. Ale nie jest w stanie zataić miłości, która cała z niej bucha, to bezwiednie naiwna, to prowokująca, to zdobywcza. Miłość szczera jest takim uczuciem, które z siłą żywiołową parła do wyznania i do ujawnienia się. To też Anna jest ciągle miotana między dwoma krańcowymi popędami — żywiołowym intuicyjnym popędem do wyznania a świadomym hamulcem wstydu i dumy. Stąd trudno Annie ukryć przede mną istotny stan uczuć. Zbyt doświadczony jestem i zbyt dobrze poznałem wiedzę serca kobiecego, abym nie przejrzał nawskroś serca Anny. Z półsłówek, z niedomówień, z hamowanych wysiłkiem siły woli porywów i wybuchów, z gestu, z wyrazu, z czynów, z oczu Anny, z jej głosu i śpiewu czytam jej piękną duszę, badam, poznaję i piję. Bujna to i bogata natura kobieca, poznanie jej jest ciekawe samo przez się, a tym bardziej, gdy się przez miłość otwiera w całej krasie, w całej swej pełni mistycznej — dla mnie. Nie umiem wyrazić piękna jej rozkochanej twarzy.

15 (28) sierpnia
rok 1911.
poniedziałek.

Że Anna mnie kocha, poznałem to z całego szeregu szczegółów w ciągłym obcowaniu naszym, a zwłaszcza potwierdziły mi to niektóre wybitniejsze przejawy w jej zachowaniu się ze mną. We czwartek, gdyśmy z nią byli w nocy w hotelu, ja, po wypiciu wielkiej dozy alkoholu, byłem przez czas jakiś mocno upojony; bywają wtedy chwile, gdy człowiek staczą się do zbydlęcenia; to też wezwałem faktora i poleciłem mu sprowadzić dziewczynę, nie o tym Annie nie mówiąc. W tym wchodzi do pokoju wysoka brunetka, młoda i piękna. Anna, która siedziała w negliżu na kanapie, spostrzega dziewczynę, którą sadzam na łóżku i, pieszcząc ją, rozpinam jej stanik. Anna zaczyna płakać wpierw cicho, potem szlochać; i zaczyna drżeć na całym ciele, jak na mrozie, tak że ząb na ząb nie trafia. Wołam Annę do łóżka i kładę ją przy sobie, zbiedzoną, struchlałą, szlochającą a tak pokorną i tak bolesną, że mi się serce kraje i żeś, odzyskując trzeźwość, wydalam czym prędzej przybyłą dziewczynę. Co się wtedy w sercu Anny działo – to aż mi ciężko wyrazić. Świnią byłem i świętokradcą serca Anny, tego serca, które się dla mnie całe wraz z przepiękną pościelą i całym strumieniem uczuć otwiera. Scena ta jest dla mnie przygnębiającym wspomnieniem, pali mnie wstydem i tęsknotą.
Wczorajszej zaś nocy kochaliśmy się z Anną pogodną pełnią wrażeń, bez tych brudów rozpusty, jakimi przez sprowadzenie tamtej czarnej dziewczyny skalałem mój z Anną stosunek. Anna była teraz radosna, promienista, rozkwitła li tylko dla mnie, jak kwiat dla swego słońca, pachnąca, rozkochana, z ogniem w oku, z głosem śpiewnym, z drgającą podniecaniem, jak u konia rasowego, nozdrzą, z ustami do ust moich tęskniącymi, z przepięknym wyrazem życia, w którym się skrył radości uścisk ognisto-trawo z tęsknotą rojeń i marzeń oraz przeczuć bolesnych. W chwili największego rozkwitu Anna kilkakrotnie zwała się do wyznania miłości a wtedy ciągała przetworzych zachwytów wyrazistości, stawała się cała wyrazem, promieniem. Jest w niej tragiczna moc ekspresji, jaka tylko bywa w bajkach wschodu i w rozkochanej miłości. Nie forsuję tego wyznania, nie chcę go usłyszeć, nie chcę czarów wywoływać. Niech mi wciąż śpiewa tęsknotą wyznania, niech nie będzie rzeczą, która już się stała. Nie mogąc przełamać popędu wyznania a chcąc za wszelką cenę je powstrzymać, Anna wyśpiewała mi je po łotewsku w zaimprowizowanej piosence. „O, gdybyś wiedział ty, jak Anna kocha cię!...”, przy czym ostatnie dwa słowa zwrotki zmięła, nie wypowiadając; a potem z boską ekspresją wypaliła jednym tchem całą tyradę wyznania po łotewsku, sądząc, że treści słów nie zrozumiem. Zrozumiałem wszakże z poszczególnych kilku słów, a zresztą nie słowa, lecz brzmienie ich i ekspresja były wyznaniem. Słuchałem i piłem czar.
Dziś byłem z Anną tylko na obiedzie. Nie piliśmy nic, ale ten sam nastrój i ekspresja miłości otoczyły nas atmosferą, wyodrębniającą nas od świata. Otoczyłem Annę ciepłem, byłem serdeczny a ona cała mi się odkierowała miłością, której w słowach wyrazić nie mogę. Było nam przepięknie, dobrze.

Szukaliśmy z Marynią mieszkania – naprózno. Widzieliśmy jedno przepiękne przy ul. Antokolskiej między katedrą a Wilją naprzeciw Cielętnika i góry Zamkowej, ale było zawysoko i Marynia ze względu na dzieci nie mogła się zdecydować na wzięcie go. Trzeba znów będzie szukać jutro. Mieszkań 6- i 5-pokojowych mało w tym roku i prawie zawsze są albo drogie albo ciasne. Wybór bardzo mały i zły.

16 (29) sierpnia rok 1911. wtorek.

Najęliśmy dziś wreszcie mieszkanie z 5 pokoi w domu Wolbeka przy ul. Wileńskiej № 31. Jest to te same mieszkanie, w którym mieszkali pp. Janostwo Vileišisowie. Punkt na Wileńskiej bardzo dobry, mieszkanie miłe, jasne, rozkład wygodny. Będę miał duży piękny gabinet na [illegible], o 2 oknach i balkonie na Wileńską.

Przyjechał Ezechjel [illegible] z córką Halą. Był u nas na obiedzie, a potym z całą kompanją dziecinną byliśmy na lodach w cukierni Torwirta.

Wieczorem poszedłem odwiedzić Annę na jej mieszkanku na Antokolu. Anna spędziła już dziś cały dzień przy pracy w pracowni Łapkowskiej. Bardzo jest z tej pracy zadowolona; powiada, że się wcale nie nudzi i że jest wesoła; p. Łapkowska dobra dla niej i przyjazna, towarzyszki pracy weselne; choć Anna nie bardzo się z niemi może rozmówić, bo te mało umieją po rosyjsku, nie więcej od Anny, a po niemiecku nie umieją wcale, ale jakoś tam wcale dobrze do ładu dochodzą. Robota Annie się dobrze udaje, ma nadzieję, że złota się nauczyć. Od dziś Anna się zaczęła stołować u niejakiej Litwinki za[illegible] kościoła św. Mikołaja, gdzie z porady p. Felicji Bortkiewiczowej umówiłem warunki dla niej, płatne obiady za 10 rb. miesięcznie. Obiady są tam skromne, ale zdrowe. Słowem Anna już całkowicie zainstalowana. Przyniosłem jej wieczorem trochę kwiatów i cukierków. Spędziłem u Anny parę godzin na rozmowie. Wynikło między nami przelotne nieporozumienie, na skutek którego Anna popłakała, lecz zaraz potym harmonja znów całkowicie wróciła. Anna jest skrupulatnie drażliwa na punkcie, abym jej nie posądzał o interesowność w stosunku do mnie. [illegible] Zakochana jest we mnie na zabój; chciałaby mi to wyrazić i zarazem się wstydzi; chciałaby, żebym się sam domyślił, ale ja rozmyślnie udaję, że nie domyślam się, i że biorę jej stosunek do mnie za wdzięczność i przyjaźń; robię to nietylko dlatego, by ją drażnić, lecz też dlatego, aby się nie dać tej miłości rozpalić i wyczerpać. Przesłanka bowiem miłości Anny do mnie jest znakomitym czynnikiem pomocniczym w moim dziele uratowania jej. Przez tę miłość Anna czuje się obecnie szczęśliwa; wyznała mi, że czuje się teraz tak szczęśliwa, jak nigdy; ma dostatek, ma pracę miłą, ma mnie; [illegible] powiada, że w jednym tylko względzie jest nieszczęśliwa [illegible]; domyśliłem się, że tym quasi-nieszczęściem jest to, że nie zdoła pozyskać wzajemności mojej; gdym ją, niby nie rozumiejąc, pytał, co to za nieszczęście, nie chciała mi wyznać; powiedziałem, że więcej dla niej zrobić nie mogę i [illegible] nie jestem w stanie; z rezygnacją i smutkiem odrzekła, że wie, iż to, co jej brakuje, mieć nie może i nigdy nie będzie, jeszcze tym [illegible] tak jej to wytłomaczyłem, iż nieszczęściem jej jest, iż mi się niczym wynagrodzić nie może, bo to, co dać może, wartości więcej dla mnie nie będzie. O żadnym innym mężczyźnie, o żadnych zabawach i uciechach beze mnie Anna nie myśli; tęskni li tylko do mnie, mnie się cała oddaje i prawdziwie jest na tej nowej drodze szczęśliwa. Umiejętnie i starannie wyhodowałem w niej to uczucie, ale się z tego cieszę, bo bez takowego nie dokonałbym mego dzieła. Skoro się zaś zabrałem do ratowania jej, to powinienem i chcę do skutku rzecz doprowadzić. Miłość ta daje Annie pełnię życia i wyczerpuje intensywnie jej wrażliwość, jej energję życiową. Dopóki miłość ta trwa, dopóty dzieło moje jest mocne i dopóty życie Anny pozostanie niezawodnie na obecnych torach. A że ta miłość wlewa radosny promyk szczęścia i w jej i w moje życie — to jeszcze dobrze. Ascetyzm bynajmniej ani pięknym, ani [illegible] dodatnim nie jest. Życie, piękno i szczęście — to świat święty, którego kult winien być zasadą człowieka.

Wspomniałem dziś umyślnie Annie po kilkakroć o jej Augustelku, tym żydku, którego tak niedawno jeszcze tak namiętnie kochała. Przyjmowała go z obrzydzeniem, nie chce słyszeć o nim. Biedne dziecko uczy się myśl umiłowaną [illegible], ale to dobre i tak być powinno.

Michał Römer.

16 (29) sierpnia 1911.

Wilno. Portowa, 15.